

Laidler Keith

Ostatnia cesarzowa

przełożyła Janina Szymańska-Kumaniecka

W 1856 roku cesarz Xianfeng wprowadził do swego łoża wielce pożądaną nową konkubinę Jehonałę i w ten sposób przypieczętował los dynastii mandzurskiej. Przepowiednia sprzed wieków, że koniec panowania Mandżurów w Chinach nastąpi z powodu kobiety z plemienia Jeho-Nala, miała się spełnić. Szesnastoletnia dziewczyna weszła do świata obfitości, intryg i walki o władzę świata, który od setek lat pozostawał odizolowany od wpływów z zewnątrz, w którym rządziła etykieta i tradycja i gdzie na każdym kroku czyhało niebezpieczeństwo. Piękna Jehonała udowodniła, że potrafi sprostać wszystkim i wszystkiemu na dworze. Stała się jedną z największym władczyń w dziejach, najpotężniejszą osobą w Chinach, utrzymującą się przy władzy dzięki mieszaninie uwodzicielskiej siły, knutych intryg, manipulacji, a nawet morderstwa.



Od autora

Na początku lat osiemdziesiątych uśmiechnęło się do mnie szczęście: jako pierwszy filmowiec-dokumentalista zostałem zaproszony do Chińskiej Republiki Ludowej w celu przygotowania serii filmów telewizyjnych o przyrodzie Chin. Przez sześć następnych tygodni byłem nieustannie w podróży - od Szanghaju po Tybet, od pokrytych śniegiem bezdroży Mandżurii po tropikalne lasy południowego Yunnanu.

W wyniku tych podróży powstało kilka programów o dzikiej przyrodzie Chin, od nich zaczęła się też moja wieloletnia fascynacja historią tego kraju, i zainteresowanie Państwem Środka, które znalazło wyraz w szeregu kolejnych podróży i trwa aż do dziś. Od tego czasu wiele się w Chinach zmieniło. Chiny obecne to, przynajmniej pod wieloma względami, kraj nowoczesny, jedno z tych niewielu szczęśliwych państw o pomyślnie rozwijającej się gospodarce, supermocarstwo nowego stulecia. Lecz dwadzieścia lat temu był to jeszcze kraj miliona rowerów, którego domy mody oferowały klientom mundurki Mao w trzech rozmiarach, w kolorze szarym bądź niebieskim, a głośniki na każdym skrzyżowaniu i w każdym wagonie kolejowym wzywały masy do posłuszeństwa myśli Przewodniczącego i uchwałom Partii. Kraj zdecydowanie „słabo rozwinięty”, wciąż odczuwający skutki Wielkiego Skoku

Naprzód. Niektórzy nasi mniej bojaźliwi chińscy znajomi z nieukrywaną satysfakcją określali ów okres jako Wielki Skok Wstecz. Istotnie, słowo „wstecz” najlepiej pasowało do kierunku, w jakim szedł wówczas ten wielki naród. Odwiedzałem zagubione wśród bezdroży wioski i miasteczka - całkowicie niedostępne dla ludzi z Zachodu - które przypominały raczej średniowieczną Europę: gruntowe drogi, zamieniające się w ocean błota po pierwszej ulewie; brak urządzeń sanitarnych; na ulicach stosy śmieci i gnijących odpadków; gromady ludzi w więziennych drelichach, o twarzach bladych ze zmęczenia, pchających ciężkie taczki; domokrażcy, lutowacze garnków i szewcy, hałaśliwie zachwalający swoje towary; uliczni dentyści, wyrywający oporne zęby trzonowe jęczącym pacjentom; zaś naokoło niezliczone masy ludzi, bez przerwy w ruchu, w nieustannej pogoni za sobą tylko znanymi celami, czasami tylko zatrzymujący się na chwilę na widok pierwszego w ich życiu oglądanego z bliska *Da Bizi*, „wielkiego nosa” z Zachodu.

Po czterech tygodniach ciągłych podróży i egzotycznych posiłków z mięsa węży, psów i wielbłądów, mój towarzysz i współpracownik, Mike Rosenberg, miał już tego serdecznie dosyć i odleciał z powrotem do Wielkiej Brytanii. Ostatnie dwa tygodnie były chyba najtrudniejszym i zarazem najbardziej owocnym okresem mojego życia. Pogrążyłem się całkowicie w chińskich sprawach - samotny Europejczyk w całkowicie obcej mu kulturze. To jednak, że zostałem sam, zmusiło mnie do spojrzenia nowym wzrokiem na to obce dla mnie społeczeństwo. Dzisiejsze Chiny zdążyły już przyswoić sobie sporą dozę zachodniej kultury i sposobu myślenia, lecz w owych latach — mimo powierzchownej otoczki komunizmu - w gruncie rzeczy były wciąż jeszcze społeczeństwem konfucjańskim, ludzkie zachowania nawiązywały do prastarych tradycji rządzących Chinami od tysiącleci. Znalazłem się tam, żeby nakre-

cić kilka filmów przyrodniczych, ale dowiedziałem się o wiele więcej o życiu ludzi niż zwierząt. Zdołałem się zaprzyjaźnić z moimi gospodarzami, oni zaś bez skrupowania zaczęli opowiadać mi o pewnych aspektach swojego życia i kultury, których znajomość, jak teraz przypuszczam, pomogła mi zrozumieć i wytłumaczyć sobie pozornie nieracjonalne wydarzenia w życiorysie Ostatniej Cesarzowej. Przy tym oficjalne kontakty i rozmowy z miejscowymi urzędnikami pozwoliły mi lepiej zrozumieć, przypominający niekiedy rzeczywistość *Alicji z krainy czarów*, absurdalny świat chińskiej biurokracji. W Chinach istniała (i do pewnego stopnia istnieje nadal) powszechna skłonność do zaprzeczania w żywe oczy sprawom oczywistym, do twierdzenia wbrew zdrowemu rozsądkowi, za to z wielkim przekonaniem i udaną szczerością, iż białe jest czarne i odwrotnie. Przekonałem się o tym dowodnie w czasie rozmowy z urzędnikiem resortu leśnictwa w prowincji Syczu-an. Tuż pod oknami jego biura co minutę przejeżdżała przynajmniej jedna, czasem dwie lory wyładowane po brzegi balami drzew wycinanych w lasach przy granicy z Tybetem, a przeznaczonych na budowy w stolicy prowincji, Czengdu. Cienkie ścianki małego pomieszczenia biurowego dygotały za każdym przejazdem olbrzymiej ciężarówki.

- Dokąd jadą te wyładowane drewnem ciężarówki? - zapytałem.

- Jakie ciężarówki? - odpowiedział urzędnik, wytrzeszczając na mnie zdumione oczy.

W trakcie rozmowy stało się dla mnie jasne, iż zgodnie z polityką partii, w tym rejonie miało nie być żadnego wyrębu lasów, zatem z punktu widzenia owego urzędnika, nie mogło być żadnych wiozących drewno ciężarówek. Każdy wiedział, że nie należy o tej sprawie mówić, więc każdy udawał, że takiej sprawy nie ma. W ten typowo chiński sposób interes mógł

iść dalej, do Czungdu dostarczano tyle drewna, ile potrzeba, zaś linia partii była skrupulatnie przestrzegana, ponieważ w umysłach ludzkich nie działo się nic, co by z nią kolidowało! Dla mnie wydawało się to szaleństwem.

Pod koniec ożywionej rozmowy urzędnik udzielił mi bardzo ważnej wskazówki, jednej z tych, które pozwoliły mi właściwie spojrzeć na historię Państwa Środka.

- Musi pan zrozumieć - powiedział całkiem serio i wszystko wskazywało na to, że szczerze - iż w Chinach fakty wyglądają zupełnie inaczej.

Najważniejsze postacie występujące w książce

Alute - małżonka cesarza Tongzhi. Po jego śmierci została prawdopodobnie zamordowana z rozkazu Jehonali.

An Dehai - Wielki Eunuch we wczesnym okresie rządów Jehonali. Skazany na śmierć za pogwałcenie praw Pałacu i opuszczenie (na rozkaz Jehonali) Miasta Zakazanego, żeby udać się do prowincji Shandong.

Bruce Frederick - młodszy brat lorda Elgina, pierwszy brytyjski poseł w Chinach.

Burgevine Henry - amerykański najemnik, zastępca dowódcy Armii Zawsze Zwycięskiej walczącej po stronie cesarza przeciw zbuntowanym taipingom, na których stronę potem przeszedł.

Chun - księżę, syn cesarza Daoguanga. Wziął za żonę jedną z sióstr Jehonali, która urodziła mu syna, późniejszego cesarza-reformatora Guangxu. Później Jehonala uwięziła go i prawdopodobnie kazała otruć.

Daoguang - cesarz Chin w latach 1821-1850, próbował bez powodzenia powstrzymać handel opium.

Dong Fuxiang - buntownik muzułmański, który został generałem chińskiego wojska. Odznaczył się w czasie oblężenia poselstw w 1900 roku.

Dorgon - regent mandżurski; architekt ostatecznego zwycięstwa Mandżurów nad dynastią Ming w roku 1644.

Duan - książę z cesarskiego rodu, znany jako sympatyk Bokserów. Jego syna, Punchuna, najpierw wybrano następcą tronu, a potem zdegradowano do stanu plebejskiego.

Elgin, lord - przedstawiciel rządu brytyjskiego we wspólnej francusko-brytyjskiej ambasadzie w Pekinie w 1860 roku. W odwecie za tortury i morderstwa, jakich dopuszczali się Chińczycy na wziętych do niewoli jeńcach z sił sprzymierzonych kazał spalić Pałac Letni.

Favier - rzymskokatolicki biskup Pekinu. Jako jeden z pierwszych dowiedział się, że Bokserzy szykują masakrę wszystkich cudzoziemców.

Gang Yi - Szef Szantażu Podatkowego Jehonali, konserwatywny minister i przeciwnik reform, z rozkazu Cesarzowej Wdowy mianowany generałem Bokserów.

Gaselee - generał brytyjski, który 14 sierpnia 1900 roku przyszedł z odsieczą oblężonemu w Pekinie zachodnim przedstawicielstwom.

Gong - książę, brat cesarza Xianfenga, w 1860 roku wynegocjował z Brytyjczykami i Francuzami Konwencję Pekińską. Później był głównym doradcą Jehonali, dopóki nie wypadł z łask.

Gordon Charles George - brytyjski oficer, odkomenderowany do walki z taipingami jako dowódca słynnej Armii Zawsze Zwycięskiej po śmierci F.T. Warda. Polskim czytelnikom znany jako generał Gordon z *W pustyni i w puszczy*, zginął w Chartumie z rąk zwolenników Mahdiego.

Gros, baron - przedstawiciel rządu francuskiego we wspólnej francusko-brytyjskiej ambasadzie w Pekinie w 1860 roku.

Guangxu - cesarz Chin w latach 1875-1908. Syn księcia Czu-na i siostry Jehonali. Od 1898 roku, po fiasku przygotowywanych przez niego reform, na rozkaz Jehonali przetrzymywany w Mieście Zakazanym. Otruty przez nieznaną osobę

sprawców, być może przez Li Lianyinga (patrz niżej), Yuan Shikaia (patrz niżej) lub samą Jehonagę. Hart, sir Robert - szef chińskiej służby celnej, wielki sympatyk Chińczyków, przez pięćdziesiąt lat mieszkający w Chinach, gdzie przeżył oblężenie zachodnich przedstawicielstw.

Hong Xiuquan - nieudany uczyony i wizjoner, uważał się za młodszego brata Jezusa Chrystusa. W 1851 roku stanął na czele rebelii taipingów przeciw dynastii Qing.

James Hubert - profesor, ścięty przez Bokserów w czasie oblężenia poselstw. Jego głowę wystawiono na widok publiczny w klatce zawieszanej w bramie Dongan.

Kang Youwei - oświecony przywódca ruchu reformatorskiego, odpowiedzialny za wiele reform w okresie Stu Dni cesarza Guangxu.

Kangxi - cesarz Chin w latach 1662-1722.

von Ketteier, niemiecki baron - zamordowany przez Chińczyków na samym początku rebelii Bokserów i oblężenia zachodnich poselstw.

Li Bingheng - chiński oficer wspierający Bokserów. W 1900 roku, po serii porażek w walkach z europejskimi i japońskimi wojskami, popełnił samobójstwo.

Li Hongzhang - chiński minister, w pewnym momencie namiestnik prowincji Zhili. Odznaczył się w czasie rebelii taipingów. Okazał się niezrównanym negocjatorem w rozmowach z przedstawicielami rządów Francji, Wielkiej Brytanii, Rosji i Japonii. Prawdopodobnie najinteligentniejszy i najbardziej dalekowzroczny spośród doradców Jehonali.

Li Lianying - Wielki Eunuch Miasta Zakazanego po nagłym upadku An Dehaia. W ostatnim okresie rządów Jehonali był jej głównym powiernikiem.

Li Xiucheng - przywódca taipingów. Znany również jako Czung Wang, czyli Lojalny Książę. Wzięty do niewoli w czasie upadku Nankinu w 1864 roku. Zanim został ścięty, zdążył napisać historię rewolty taipingów.

Li Zicheng - przywódca buntu, który obalił dynastię Mingów; proklamował się cesarzem Chin, lecz wkrótce uległ Man-dżurom.

Loch Henry - sekretarz lorda Elgina, pochwycony i torturowany przez Chińczyków w 1860 roku.

Longyu - małżonka cesarza Guangxu. Podobno na rozkaz Jehonali śledziła każdy jego krok.

McDonald, sir Claude - ambasador Wielkiej Brytanii w Pekinie w czasie oblężenia poselstw.

Morrison George - korespondent londyńskiego „Timesa” w czasie oblężenia przedstawicielstw i przez długi czas potem, jeszcze w XX wieku.

Mu Yin - przewodniczący Rady Wojennej, główny (wraz z księciem Yi) negocjator ze strony chińskiej w okresie tuż przed konfliktem wokół francusko-brytyjskiej ambasady w 1860 roku.

Mujanga - wuj Jehonali, jej opiekun po śmierci ojca.

Nurhaczy-władca mandżurski, założyciel dynastii Qing, która władała Chinami w latach 1644-1912.

Parkes Harry - konsul brytyjski w Kantonie, pełnił rolę tłumacza w roku 1860, kiedy ambasadorem w Pekinie był lord Elgin; pochwycony i torturowany przez Chińczyków.

Perłowa Konkubina - konkubina Guangxu, zamordowana na rozkaz Jehonali podczas ucieczki przed siłami sojusznicznymi w 1900 roku.

Pichon Stephen - ambasador Francji w Pekinie w 1900 roku, w czasie oblężenia poselstw.

Puyi - syn księcia Chuna Młodszeo i córki Rong Lu; wybrany przez Jehonałę na następcę cesarza Guangxu. Był ostatnim cesarzem z dynastii mandżurskiej.

Pun Chun - syn księcia Chuna, wybrany na następcę tronu po cesarzu Guangxu. W późniejszym okresie popadł w niełaskę i Jehonała zdegradowała go do stanu plebejskiego.

Qi Ying - mandaryn, któremu kazano popełnić samobójstwo, gdy nie zdołał powstrzymać inwazji sił francusko-brytyjskich w 1860 roku.

Ojanlong - cesarz, uważany za jednego z najwybitniejszych i najślawniejszych władców Chin (1711-1796).

Rong Lu - przez pewien czas głównodowodzący armii Chin, prawdopodobnie narzeczony Jehonali, zanim została cesarską konkubina. Podobno był później jej kochankiem.

Sakota - małżonka cesarza Xianfenga, znana również jako Niuhuru (lub Nihulu) i Cesarzowa Wschodniego Pałacu. Jako współregentka sprawowała rządy razem z Jehonałą aż do swojej śmierci. Zmarła w 1880 roku podobno otruta na polecenie Jehonali.

Seng Guo Lin Sen - mongolski dowódca chińskiej armii broniącej Pekinu w okresie francusko-brytyjskiego poselstwa w 1860 roku.

Seymour, sir Edward - admirał brytyjskiej Marynarki Królewskiej, dowódca sił ciągnących na odsiecz oblężonym w Pekinie poselstwom.

Su Shun - minister rządu chińskiego, który drogą korupcji zgromadził ogromną fortunę. Po śmierci cesarza Xianfenga spiskował przeciwko Jehonali, ścięty na jej rozkaz.

Sugiyama - kanclerz japońskiego poselstwa w Pekinie. Zamordowany przez muzułmańskie oddziały wspierające Bokserów na początku oblężenia poselstw w Pekinie w 1900 roku.

Tan Sitong - uczonek reformator, ścięty za przygotowywanie zamachu przeciw Jehonali i jej zachowawczym sojusznikom.

Tongzhi - cesarz Chin w latach 1861-1875. Syn Jehonali, zmarł na skutek komplikacji po zarażeniu ospą, prawdopodobnie na polecenie własnej matki.

Wade Thomas - tłumacz w kierowanej przez lorda Elgina francusko-brytyjskiej ambasadzie, 1860 roku.

Ward Frederick Townsend - amerykański najemnik, organizator Armii Zawsze Zwycięskiej, zginął w 1862 w walkach z taipingami.

Ward J.E. - amerykański wysłannik na dwór chiński w 1859 roku. Chińczycy uważali, że przyjechał, by złożyć daninę cesarzowi.

Weng Tonghe - guwerner cesarza Tongzhi i Guangxu, Wielki Radca, popierał ruch reform, za karę zwolniony ze służby przez Jehonale po „zamachu stanu” w 1898 roku.

Wu Ketu - cesarski cenzor, w 1879 roku, w proteście przeciw pogwałceniu tradycji przez Jehonale popełnił samobójstwo nad grobem cesarza Tongzhi.

Wu Sangui - generał dynastii Mingów, zdradził swych mocodawców, przechodząc na stronę walczących z nimi Mandżurów. Później w imieniu dynastii mandzurskiej władał południowo-zachodnią częścią kraju, dopóki nie zbuntował się przeciwko władzy centralnej.

Xianfeng - cesarz Chin. Gdy Jehonala, konkubina trzeciej rangi urodziła mu syna, późniejszego cesarza Tongzhi, wyniósł ją do pozycji najpotężniejszej kobiety w Mieście Zakazanym.

Ye Mingchen - komisarz cesarski w Kantonie. Wzięty do niewoli przez Brytyjczyków w czasie konfliktu o statek „Arrow”, został wywieziony do Indii, gdzie zmarł.

Yi - książę z rodziny cesarskiej. Negocjator (wraz z Mu Yin - patrz powyżej) w rozmowach z ambasadą francusko-

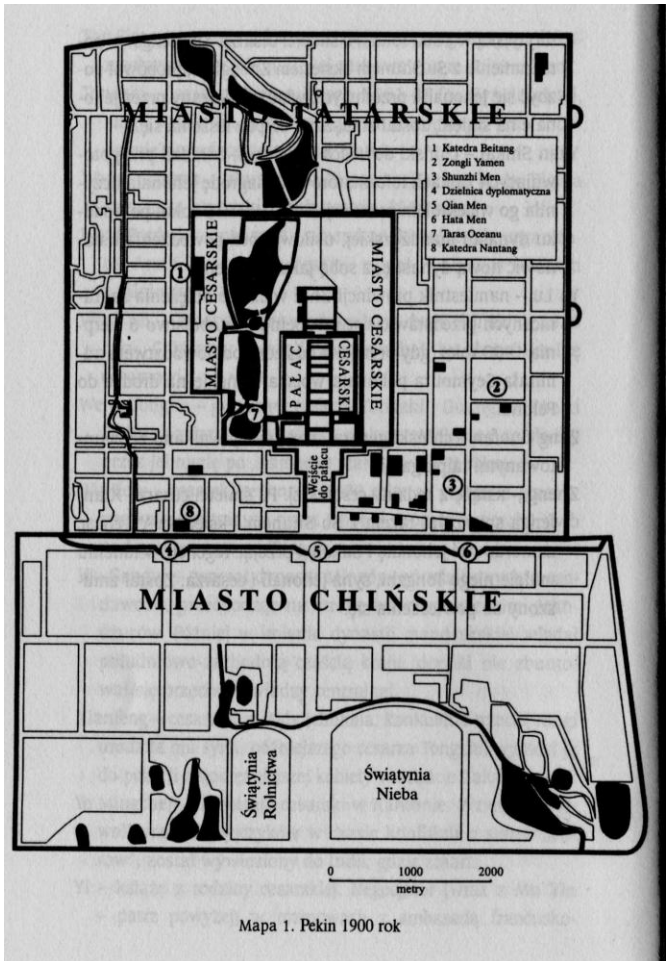
-brytyjską w 1860 roku. Po śmierci cesarza Xianfenga, w porozumieniu z Su Shunem i księciem Zhengiem, próbował pozbyć się Jehonali i przechwycić władzę. Skazany przez Jehonale na śmierć, został zmuszony do powieszenia się.

Yuan Shikai - chiński dowódca wojskowy, zdradził przygotowujących zamach reformatorów. W nagrodę Jehonala uczyniła go wicekrólem prowincji Zhili. W 1912 roku, po upadku dynastii mandżurskiej, usiłował bez powodzenia ustanowić nową dynastię, z sobą jako cesarzem.

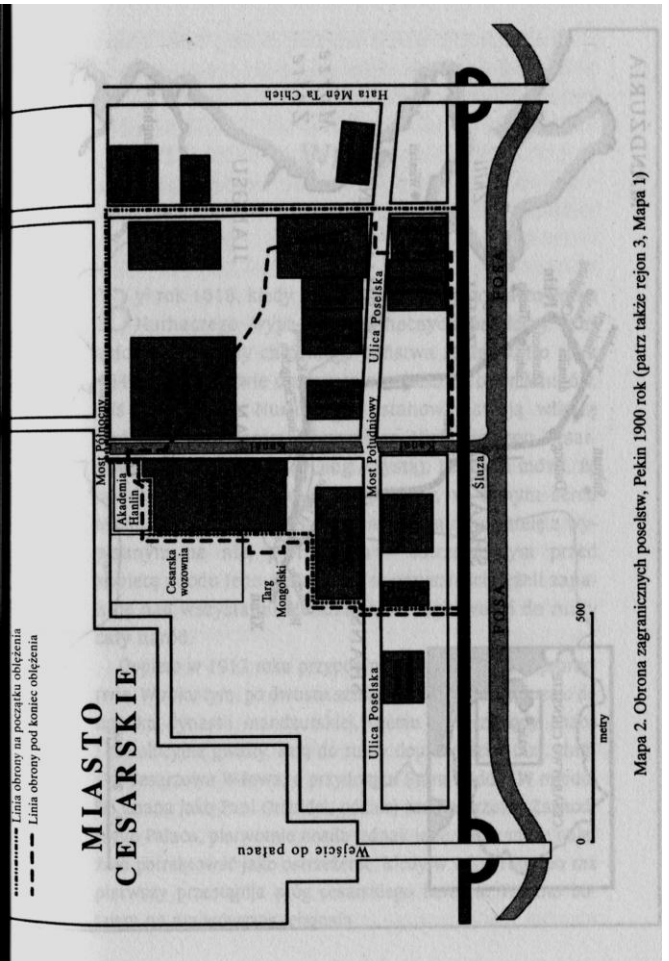
Yu Lu - namiestnik prowincji Zhili w czasie oblężenia zagranicznych przedstawicielstw. Popęlił samobójstwo 6 sierpnia 1900 roku, gdy brytyjska odsiecz pod dowództwem admirała Seymoura pokonała wojska chińskie na drodze do Pekinu.

Zeng Guofan - chiński generał, wsławiony walkami ze zbuntowanymi taipingami.

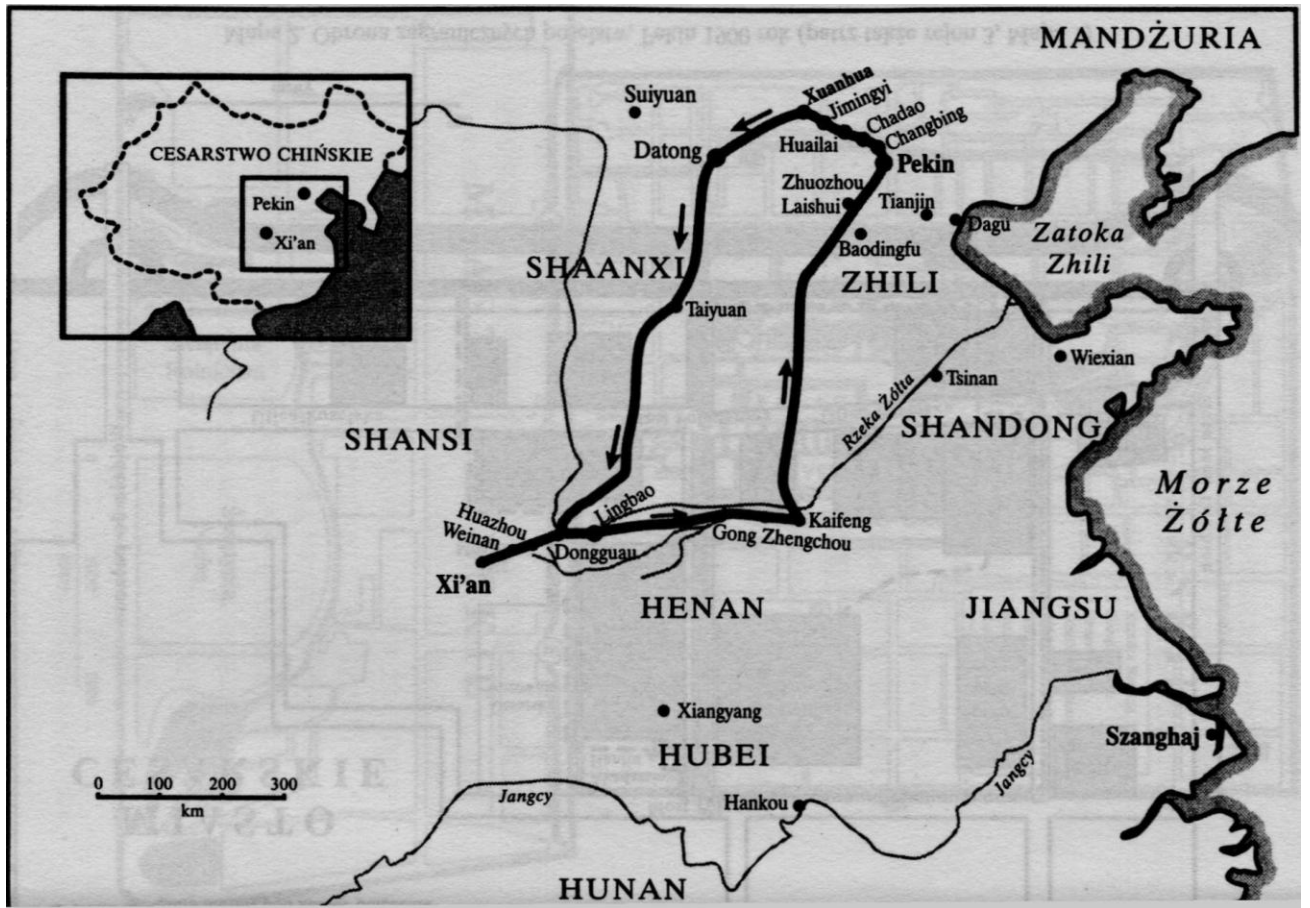
Zheng - książę z rodziny cesarskiej. Po śmierci cesarza Xian-fenga spiskował razem z Su Shunem i księciem Yi, chcąc zamordować Jehonale i Sakotę i przejąć regencję w imieniu małoletniego Tongzhi, syna Jehonali i cesarza. Został zmuszony do powieszenia się.



Mapa 1. Pekin 1900 rok



Mapa 2. Obrona zagranicznych poselstw, Pekin 1900 rok (patrz także rejony 3, Mapa 1)



Wstęp

Był rok 1618, kiedy hordy mandzurskiego harcownika Nurhaczego wypadły z północnych przełęczy górskich na równiny chińskiego państwa Mingów. Do roku 1644 Mandżurowie doszczętnie zniszczyli opór Mingów, zaś potomkowie Nurhaczego ustanowili swoją władzę nad całym obszarem olbrzymiego Niebiańskiego Cesarstwa i założyli dynastię Qing (czystą). Legenda mówi, że wkrótce potem w borach na północy, w samym sercu Mandżurii, znaleziono starożytną marmurową stelę z wypisanym na niej prorocstwem - ostrzegającym przed kobietą z rodu Jeho-Nala, która w przyszłości, jeżeli zapanuje nad wszystkimi Mandżuriami, doprowadzi do ruiny cały naród.

Dopiero w 1912 roku przypomniano sobie o owym proroczwie. W roku tym, po dwustu sześćdziesięciu latach, doszło do upadku dynastii mandzurskiej, czemu towarzyszyły chaos i rewolucyjne gwałty. Kraj do ruiny doprowadziła Cixi, chińska Cesarzowa Wdowa, o przydomku Stara Budda. W młodości znana jako Pani Orchidei, później zaś Cesarzowa Zachodniego Pałacu, pierwotnie nosiła jednak imię, które może należało potraktować jako ostrzeżenie, kiedy w roku 1851 po raz pierwszy przestąpiła próg cesarskiego haremu. Wołano bowiem na nią wówczas Jehonala.

Życie Jehonali obejmuje nieprawdopodobny kawał historii Chin, bowiem sprawowała ona władzę nad Państwem Środka przez lat blisko pięćdziesiąt. Kiedy po raz pierwszy w 1851 roku dołączyła do cesarskiej rodziny jako „konkubina trzeciej rangi”, cesarz sprawował niepodzielną władzę nad średniowiecznym feudalnym społeczeństwem, znajdując spokój i satysfakcję w przekonaniu, że Chiny są pępkiem świata, i tylko on, Niebiański Książę, sprawuje władzę nad „wszystkim, co się znajduje pod niebem”. Wszyscy cudzoziemcy byli „barbarzyńcami”, bez względu na to, czy byli to Xi Yang Guizi, czyli „zachodnie diabły” z Europy, czy też „karły mórz wschodnich”, czyli Japończycy. Rządząca elita nie dopuszczała do siebie myśli, że jakikolwiek kraj na świecie mógłby być równy Chinom.

Cudzoziemcom nie wolno było przebywać na stałe w Cesarskim Mieście; język chiński nie znał słowa „ambasador” - reprezentanci obcych państw zwani byli pogardliwie „przynoszącymi daninę”. Chińscy uczeni nie znali innej cywilizacji poza chińską. Poza Niebiańskim Królestwem mogły istnieć jedynie ignorancja i nędza, a zagraniczni barbarzyńcy nie mieli do zaoferowania niczego godnego uwagi władcom Państwa Środka.

Pięćdziesiąt lat później, kiedy jako Cesarzowa Wdowa Jehonala sprawowała władzę absolutną, rządziła całkiem innymi Chinami, w których istnienie „portów traktatowych” pozwalało „zagranicznym diablom” osiedlać się na chińskiej ziemi, misje handlowe i religijne sięgały daleko w głąb kraju, a obcy żołnierze strzegli poselstw zachodnich mocarstw w samej stolicy. Przez te pięćdziesiąt lat Jehonala znajdowała się w centrum długiej serii dramatycznych wydarzeń: takich jak konflikt z Wielką Brytanią o statek „Arrow”, francuska aneksja Indochin, rewolta taipingów i muzułmanów, marsz angielsko

-francuskiego wojska na Pekin, wojna z Japonią, bunt Bokserów i oblężenia placówek dyplomatycznych w Pekinie. Jej osobista wędrówka przez kręte korytarze władzy w Pekinie, przypomina trochę dzieje rzymskich cesarów: była pełna intryg, zakazanych związków, zdrad, tortur, potajemnych egzekucji i trucizny. Jehonała wszystko to przeżyła i zatriumfowała nad wszystkimi przeciwnikami, pokonując męskich konkurentów do władzy, udowadniając swą wyższość na tle kultury, która wszak miała w pogardzie wszystko, co żeńskie, najbardziej zaś same kobiety.

O dziwo, istnieje wiele podobieństw między tym, co działo się wówczas a tym, z czym mamy do czynienia obecnie. W 1860 roku Chiny i świat Zachodu spoglądały na siebie ze wzajemnym niezrozumieniem. Chiny ceniły trwałość, szacunek dla rodziny i pradawne tradycje, czyniąc z tego niemalże swoistą religię. Teraz, w początkach XXI stulecia, islam i Zachód patrzą na siebie z wrogością, której źródłem jest taka sama niemożność zrozumienia przeciwnika i jego sposobu widzenia świata: islam ze swoją nienaruszalną, uświęconą przez czas tradycją, przeciwstawia się Zachodowi z jego pro-teuszową zmiennością wartości kulturowych i obsesyjną pogonią za nowościami.

Na to wszystko nakłada się jeszcze jedna interesująca paralela. Europejczycy zawitali do Chin wyłącznie w celu kupowania i sprzedawania. Wielka Brytania i inne europejskie nacje toczyły z Chinami wojny o prawo do wolnego handlu, nieskrępowanego niczym handlowania z kimkolwiek i gdziekolwiek na świecie, dla zwykłego zysku. Ci europejscy kupcy i przedsiębiorcy byli poprzednikami, awangardą dzisiejszych rzeczników globalizacji. Hasło „handel i chrześcijaństwo równa się cywilizacja” streszczało poglądy dziewiętnastowiecznych rzeczników wolnego handlu. Dzisiejsi rzecznicy

globalizacji, podobnie jak tamci, głoszą ewangelię wolnego rynku jako panaceum na wszelkie bolączki świata, bez względu na to, czy świat chce, czy też nie chce się z nich uleczyć. Dziewiętnastowieczne Chiny nie ukrywały tego, że z wyraźną niechęcią odnoszą się do tego typu lekarstwa serwowanego im przez „obcych diabłów”, lecz mimo to zostały przymuszone, z pistoletem przytkniętym do skroni, do przełknięcia gorzkiej pigułki. Obecnie Światowa Organizacja Handlu z niemal religijną żarliwością przewodzi globalizacji i nie odwiedzie jej od tego nawet zniszczenie jej centralnych biur i śmierć blisko trzech tysięcy osób. Pomoc gospodarcza bogatego Zachodu uzależniana jest od przyjmowania przez resztę świata standardów i obyczajów Zachodu. Handel *musi trwać*.

Pozostaje otwarte pytanie, czy globalizacja okaże się (lub czy powinna się okazać) jedyną i najznakomitszą propozycją dla świata, czy też system zachodni nauczy się współistnieć z innymi, mniej „demokratycznymi” cywilizacjami. W XIX wieku dążenie Zachodu do wolnego handlu rozpętało siły, które doprowadziły do śmierci milionów ludzi i kompletnego zniszczenia starych Chin. Historia Jehonali i Państwa Środka, nad którym przez pięćdziesiąt lat sprawowała władzę, nakazuje ostrożność.

Chronologia

1644 Początek dynastii mandżurskiej.

1850 Umiera cesarz Daoquang. Na Tron Smoka wstępuje Xianfeng.

1851 Jehonala przybywa do Miasta Zakazanego.

1852-1853 Kraj ogarnia rewolta taipingów. 20 marca 1853 roku pada Nankin.

1855 Cesarz „poznaje” Jehonalę.

1856 27 kwietnia Jehonala rodzi cesarzowi syna, który jako Tongzhi zostanie ósmym cesarzem z dynastii mandżurskiej.

1860 Francusko-brytyjska ambasada w Pekinie. Wybuch wojny północnochińskiej. Cesarz wraz z dworem ucieka do Rehe. Spalenie Pałacu Letniego.

1861 Umiera cesarz Xianfeng. Na Tron Smoka wstępuje Tongzhi.

Dwór powraca do Pekinu. Spisek Su Shuna i książąt.
Jehonala i Sakota współregentkami. Frederick Ward przeprowadza rekrutację do Armii Zawsze Zwycięskiej dla walki z taipingami. Po śmierci Warda na czele Armii Zawsze Zwycięskiej staje Charles Gordon.

1864 Wojska cesarskie zajmują Nankin. Koniec rewolty taipingów.

1869 Egzekucja faworyta Jehonali, eunucha An Dehai, na rozkaz księcia Gonga lub Sakoty.

1872 Tongzhi osiąga pełnoletniość i żeni się z Alute.

1875 Umiera cesarz Tongzhi (otruty przez Jehonale?).

„Samobójstwo” Alute.

Czteroletni Zaitian zostaje cesarzem pod imieniem Guangxu.
Jehonala i Sakota znów sprawują wspólnie regencję.

1879 Wu Ketu na znak protestu popełnia samobójstwo.

1880 Śmierć Sakoty (otruta przez Jehonale?).

1885 Konflikt z Japonią o Koreę.

1887 Cesarz Guangxu osiąga pełnoletniość, lecz Jehonala zachowuje kontrolę nad rządem na dalsze dwa lata.

1889 Cesarz Guangxu poślubia Longyu, wybraną dla niego przez Jehonale. Jehonala „wycofuje się” z rządów.

1894 Wojna japońsko-chińska, przegrana przez Chiny.

1895 Chiny podpisują Układ z Shimonoseki, oddający Japonii Formozę, Port Artur i Weihaiwei, i nakazujący wypłacenie Japonii odszkodowania w wysokości dwustu milionów taeli.

1897 Niemcy zajmują port Yiaozhou i jego okolice, biorąc go w „dzierżawę” na 99 lat.

Francja zajmuje Guangzhouan w Kantonie, biorąc go w „dzierżawę” na 99 lat.

1898 Rosja bierze w „dzierżawę” na 35 lat Port Artur i port Dalianwan.

Czerwiec-lipiec-sierpień: Sto Dni Reform cesarza Guangxu, wydanych zostaje 27 dekretów. Wrzesień: spisek reformatorów przeciw Jehona-li, zdrada Yuan Shikaia. Zamach stanu Jehonali; uwięzienie Guangxu, reformatorzy uciekają albo zostają straceni.

1899 Nowa chińska polityka wobec obcej agresji. Włochom nie udaje się zająć Zatoki San Men. Przybiera na sile ruch Bokserów pod hasłem „Popieraj Ojngów, tęp cudzoziemców”.

1900 Ruch Bokserów zdobywa sobie coraz większą popularność wśród ludu i akceptację rządu.

Czerwiec: zamordowanie ambasadorów Sugiyamy i von Kettelera.
20 czerwca-14 sierpnia: oblężenie zagranicznych przedstawicielstw w Pekinie. Jehonala wraz z cesarzem i dworem uciekają w przebraniach z Pekinu, ostatecznie zatrzymują się w Xi'anie.
1902 7 stycznia: Jehonala z cesarzem i dwór powracają do Pekinu. Zbliżenie z mieszkającymi w Chinach cudzoziemcami. Jehonala inicjuje reformy.
1904/1905 Wojna rosyjsko-japońska wykazuje pilną potrzebę modernizacji Chin.
1908 Jehonala zapada na zdrowiu. Tajemnicza choroba cesarza Guangxu.
14 listopada: umiera cesarz (otruty?).
15 listopada: umiera Jehonala (otruta?).
1909 5 listopada: pogrzeb Jehonali.
1912 12 lutego: dynastia mandzurska rezygnuje z władzy.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Żadna radość nie może się równać z...

Odwracając napisem do góry tabliczkę z jaspisu na stoliku z kości słoniowej u drzwi swej sypialni, cesarz Xianfeng odmienił w sposób nieodwracalny los ostatniej dynastii rządzącej Państwem Środka. Na tabliczce byto wyryte imię młodej konkubiny z cesarskiego haremu. Odwrócenie tabliczki oznaczało, że cesarz życzy sobie spędzić z nią noc. Jak kazał zwyczaj, późnym wieczorem, okrytą jedynie czerwoną jedwabną chustą, eunuch wniósł ją na własnych barkach do wykładanej kamiennymi płytkami cesarskiej komnaty i złożył nagą u stóp łoża. Dziewczyna sama miała się wczołgać na łożo i podpełznąć ku Panu Dziesięciu Tysięcy Lat, symbolicznie okazując w ten sposób całkowite posłuszeństwo woli Niebiańskiego Księcia.

Dziewczynę, która miała zostać ostatnią cesarzową Chin, Mandżurowie znali jako Jehonałę, od nazwy rodu, z którego pochodziła, JehoNala. Miała dopiero szesnaście lat, kiedy wybrano ją na konkubinę do haremu cesarza Xianfenga, i zmuszono do porzucenia na zawsze rodzinnego domu i narzeczonego. Znalezienie się w cesarskim haremie bynajmniej jednak nie gwarantowało spotkania z Niebiańskim Księciem. W jego haremie pełno było urodziwych kobiet wyszukiwanych w całym cesarstwie, i Jehonała spędziła pięć długich lat, zanim po raz pierwszy wezwano ją do cesarskiej sypialni. Kiedy jednak

raz położono ją u stóp łoża, pozostała już tam na dobre, i żadna inna kobieta nie zdołała jej nigdy zagrozić w roli partnerki do cesarskiego łoża. Cesarz już do końca życia był pod urokiem „nowej” konkubiny, i po prostu nie umiał się bez niej obejść.

Nie wiadomo, co dokładnie zaszło między cesarzem Xian-fengiem a młodziutką Jehoną w czasie owej pierwszej wspólnie spędzonej nocy. Cokolwiek to było, musiało mu sprawić wiele przyjemności i pozostawić niezatarte wrażenie. Jehona zasiała ziarno, które pięćdziesiąt lat później przyniosło tragiczne żniwo, w postaci załamania się systemu władzy panującego w Chinach od przeszło dwóch tysięcy lat. Być może najlepiej atmosferę tego spotkania mogą oddać słowa chińskiego poety Zhang Henga, który blisko dwa tysiące lat wcześniej tak opisał pożądanie małżeńskie:

(Abyśmy) mogli przeciwzyć te wszystkie pozycje,
Również takie, o których nie mają pojęcia zwyczajni mężowie,
Te, których Tian Lao uczyła Żółtego Cesarza,
Żadna radość nie może się równać z rozkoszą tej pierwszej nocy,
Nigdy o niej nie zapomnimy, póki będzie się w nas tliło życie.

Zhang Heng (78-139)*

Jehona była wprawdzie niewątpliwie urodziwa, nie była jednak nadzwyczajną piękną, a przecież, poza wybieranymi ze względów dynastycznych, wszystkie kobiety w haremie cesarza były dobierane dla swej urody. To więc nie tyle uroda, co sprawność seksualna pozwoliły jej zapanować nad cesarzem i ostatecznie sięgnąć samej po władzę polityczną. Dla

*** E.R. Hughes, *Two Chinese Poets: vignettes of Han life and thought*, Princeton University Press, 1960.**

młodej kobiety, zwłaszcza kobiety zamkniętej w uświęconych granicach Miasta Zakazanego, sypialnia często bywała jedyną drogą do zdobycia wpływów i władzy. Bywała także środkiem do wywalczenia sobie wolności osobistej. Uwikłana w system, który postrzegał kobietę jedynie jako narzędzie rozkoszy i rodzicielkę potomstwa, Jehonała prawdopodobnie zdawała sobie sprawę z tego, iż atrakcyjność seksualna może być źródłem władzy, narzędziem przeciwstawienia się sile bezwładu, ciężącej ku wiadomej z góry przyszłości, sposobem na przejęcie kontroli nad własnym losem.

Jak wszyscy cesarze, Xianfeng już we wczesnej młodości został przeszkolony w przeżywaniu rozkoszy. Podobno lubił różnorodność w tych sprawach i, według niektórych relacji, nie stronił od perwersji. Nie przypominał wprawdzie cesarza Yangti, któremu w każdej podróży towarzyszyło dziesięć paradnych wozów, wyłożonych czerwonym atłasem, a w każdym z nich leżała naga piękność, gotowa do przyjęcia swego pana i władcy, ale nie ulega wątpliwości, iż Xianfeng był zblazowanym rozpustnikiem na długo przed ową pierwszą nocą spędzoną z Jehonałą. Czym w dziedzinie seksu mogła go zafascynować ta niedoświadczona, dwudziestojednoletnia kobieta, że usunęła w cień wszystkie inne piękności cesarskiego haremu?

W momencie przyjmowania do haremu Jehonała, podobnie jak wszystkie nowe konkubiny, musiała przejść drobiazgowy i bardzo intymny badanie, żeby lekarz cesarski mógł z całą pewnością stwierdzić, iż nigdy przedtem nie miała nic wspólnego z mężczyzną. Z uwagi na bezpieczeństwo i legalność rodu cesarskiego każda kobieta, z którą obcował cesarz, musiała być niepokalaną dziewicą. W obrębie cynobrowych murów Miasta Zakazanego, z jego trzema tysiącami służebnych i trzema tysiącami eunuchów, cesarz miał być jedynym

pełnowartościowym mężczyzną (każdy inny mężczyzna przyłapany na spędzaniu nocy w pałacu mógł zostać ścięty bez sądu). Niewielka więc była szansa, żeby Jehonala mogła wcześniej nabyć praktyki seksualnej, niezbędnej dla usidlenia cesarza. Jak w takim razie doszło do tego, że stała się mistrzynią w trudnej sztuce seksu? Wydaje się pewne, że wyszkoliła się w niej właśnie w ciągu owych pięciu lat spędzonych w Mieście Zakazanym, zanim jeszcze cesarz dowiedział się o jej istnieniu; a opanowała ją tak dobrze, iż usunęła w cień wszystkie inne piękności haremu.

Dalsze życie Jehonali pokazuje, że dążąc do zdobycia i utrzymania władzy, nie pozostawiała najdrobniejszego szczegółu przypadkowi i wszystko w tym zakresie czyniła z niezwykłą pomysłowością i energią. Te cechy jej charakteru niewątpliwie dały już znać o sobie w sypialni cesarza. Biorąc pod uwagę jej późniejszą żądzę władzy, i jedyną dostępną kobiecie w ówczesnych Chinach drogę jej osiągnięcia, wydaje się bardzo prawdopodobne, że owe pierwsze pięć lat spędzone w cesarskim haremie Jehonala wykorzystwała przede wszystkim do opanowania najbardziej wyrafinowanych technik dostarczania rozkoszy seksualnych mężczyźnie. Nie ulega natomiast wątpliwości, że cesarz, kiedy tylko zakosztował z nią rozkoszy, docenił jej mistrzowskie opanowanie techniki miłosnej i uznał Jehonale za kochankę wyjątkową i niepowtarzalną.

Taoizm narodził się w okresie dynastii Wschodniej Han (lata 25-220). Jego adepci byli przekonani, że istnieje zależność między umysłową i fizyczną kondycją człowieka a spełnieniem seksualnym. Byli autorami wielu podręczników uczących technik uprawiania seksu, w tym tak znanych jak *Yu Fang Mi Jue tajemnice Jaspisowej Komnaty*), *Yu Fang Zhi Ya {Drogowskaz do Jaspisowej Komnaty}*, czy *Su Nii*

Jing {Podręcznik dla Dziewic}). Autorzy tych dzieł opisywali szczegóły anatomiczne, posługując się wyrafinowanym kodem poetyckim. Przedstawiali ponad trzydzieści pozycji miłosnych, ich opis skrywając także pod elegancką frazeologią, takich na przykład określeń, jak „Zbliżenie do aromatycznego bambusa”, „Zakleszczenie rybich łusek” czy „Skok białego tygrysa”.

Taoiści zachowywali estetyzujące podejście do spraw płci, kładąc nacisk na poetyckie piękno stosunku płciowego i jego znaczenie dla zdrowia i długowieczności człowieka. Zwolennicy tej szkoły uważali, że namiętność płciową można spożytkować niczym piec ognisty w celu koncentracji i rafinacji energii życiowej, znanej jako *qi*. Skoncentrowaną energię biologiczną, kontrolowaną należycie przez zastosowanie swego rodzaju alchemii seksualnej, chcieli przesyłać z organów rozrodczych wzdłuż południków stosu pacierzowego aż do mózgu, w ten sposób osiągając wyższy stan świadomości, zaś jako produkt uboczny - długowieczność a nawet nieśmiertelność. Ta filozofia nie była po prostu pretekstem do uprawiania rozpusty, wręcz przeciwnie, uprawianie miłości sprawia przyjemność, ale ma też inny, wyższy cel, i wymaga samokontroli.

Sztuka miłosna stanowi szczyt ludzkich doznań i obejmuje całokształt nauki Tao. Dlatego też mędrcy starożytności ograniczali zewnętrzne, fizyczne rozkosze człowieka, żeby lepiej kontrolować jego wewnętrzne namiętności. Służyć temu mają szczegółowo opisane warunki i reguły rządzące stosunkiem płciowym mężczyzny i kobiety. Jeśli mężczyzna utrzyma w korbach swą rozkosz, osiągnie spokój wewnętrzny i znaczną długowieczność. Jeśli natomiast poświęci się całkowicie rozkoszy, ignorując reguły wyłożone w pradawnych tekstach, wcześniej zacznie chorować i sam sobie uczyni krzywdę.

Niektóre z technik wabienia mężczyzn przez kobiety utrzymywano w ścisłej tajemnicy i początkowo udostępniano jedynie tym, które miały szansę na zostanie cesarzową lub konkubiną Niebiańskiego Księcia. Młode kobiety, wspomagane przez pałacowych eunuchów, miały do dyspozycji szeroki asortyment wyszukanych narzędzi w celu wyuczenia się sekretnego fachu miłosnego. Do praktyk sprzed ponad dwóch tysięcy lat należało używanie szlifowanych kamiennych jaj do ćwiczenia mięśni pochwy i miednicy. Kamienne jaja, umieszczone w pochwie, stawiały opór, dzięki czemu za pomocą całego szeregu skomplikowanych ćwiczeń, można było wzmacniać znajdujące się tam mięśnie. W czasie wykopalisk w pobliżu Xi'anu, starej stolicy Chin, znaleziono niedawno wspaniałe odlane w brązie imitacje męskich organów płciowych z okresu dynastii Han (206 p.n.e.-25 n.e.)*. Chińscy eksperci doszli do wniosku, że ich znakomite wykonanie i wielki realizm świadczą o tym, iż musiały być dziełem rzemieślników specjalizujących się w tego typu wyrobach. Innych znalezisk, pochodzących z XVIII wieku i sięgających wstecz, aż po te najwcześniejsze, z epoki Królestw Walczących**, dokonano w przeznaczonych dla kobiet pomieszczeniach cesarskich pałaców oraz domów zajmowanych przez lokalnych możnowładców. Tu więc zdaje się tkwić źródło niezwykłych umiejętności i wczesnych sukcesów Jehonali.

Niezależnie od tego, gdzie Jehonala zdobywała swoją wiedzę, ta pierwsza noc spędzona z cesarzem zapewniła jej uznanie, na którym tak bardzo jej zależało. A jednocześnie stała

* „Straits Limes”, 2002, 14 lipca.

** 453-221 p.n.e. według dzisiejszego kalendarza. Z okresu rozpadu królestwa Czin. Ortodoksyjni uczeni wolą jednak rok 403 p.n.e., w którym król ludu Czou oficjalnie uprawomocnił akcje podjęte pięćdziesiąt lat wcześniej przez rody Han, Wej i Czou.

się początkiem wydarzeń, doprowadzających ostatecznie do upadku dynastii i załamania potęgi Mandżurów, którzy ponad dwieście lat wcześniej wyszli ze swoich ciemnych borów na północy, żeby zawojować Chiny i zająć tronem Wszystkiego pod Słońcem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Mandżurowie

Ostatnia dynastia rządząca w Chinach nie była dynastią chińską, nie uważał jej też za taką lud Han, mieszkańcy Państwa Środka. Byli to obcy zdobywcy, którzy przybyli z lasów północy, położonych między stokami Chang Bai Shan, Długiej Białej Góry, a bezkresnymi bagnami nad Amurem. Chińczycy znają ową krainę jako Dong Bei, ludzie Zachodu nadali jej miano Mandżurii, od nazwy owego plemienia dzielnych wojowników, Mandżurów.

Chińczycy znali Mandżurów od bardzo dawna, a ich przodkowie mieli w roku 2230 p.n.e składać cesarzowi Shun daninę z łuków i strzał. Kiedy po obaleniu rodzimej dynastii Ming Mandżurowie w roku 1644 podbili Chiny, Chińczycy z dużą satysfakcją opisywali ich jako nieokrzesanych barbarzyńców. W ten sposób starali się prawdopodobnie wzmocnić zranioną dumę i utrzymać niewzruszone dotychczas przekonanie o własnej wyższości nad innymi rasami. Zresztą, jak wiadomo, ofiara napaści zwykle nie uważa bandyty, który ją obrabował, za osobę intelektualnie wyżej stojącą, lecz raczej za brutala i gwałciciela. Obraz Mandżurów jako prymitywnych wojowników przejęli od Chińczyków również zachodni autorzy. Prawda jednak jest inna - siedemnastowieczni Mandżurowie stali na wysokim poziomie cywilizacyjnym. Mandżurscy monarchowie również nadawali sobie tytuły królewskie

i utworzyli dwór na podobieństwo dworu Niebiańskiego Księcia Państwa Środka, a ich rozmowy i korespondencja przetykane były cytatami z chińskich mędrców i klasyków. Co więcej, dzięki wielowiekowemu wpływowi olbrzymiego sąsiada z południa, byli już prawie całkowicie schińszczeni.

Nie znaczy to jednak, że za takich uważano ich na dworze Mingów: nie będąc Chińczykami, Mandżurowie zasługiwali jedynie na pogardę. Zachowały się listy pisane przez założyciela dynastii mandżurskiej, w których zdobywca skarży się na arogancką odmowę przyjęcia przez cesarza Chin posłów mandżurskich, którzy mieli negocjować w sprawie zawarcia pokoju: „Pragnę pokoju, lecz jedynie na zasadzie absolutnej równości [...] Nie może być mowy o ludach mniej czy bardziej «centralnych» [...] Wy, Mingowie, ignorujecie moje próby porozumienia, zaś wasz władca, w słodkim przeświadczeniu, iż jest istotnie Synem Niebios, demonstruje pogardliwą arogancję wobec równych sobie”. Te krytyczne uwagi powtarza w późniejszym liście: „Wciąż trwacie w przeświadczeniu o własnej ważności i nie chcecie przyjąć osobiście moich posłów, jak gdyby nie byli godni przebywać w waszym świętym towarzystwie”. Nie bez ironii czytamy dzisiaj te słowa, biorąc pod uwagę, że dwa i pół stulecia później władcy mandżurscy niemalże identycznie traktowali posłów mocarstw zachodnich.

Mandżurowie niemal na pewno ułożyliby sobie pokojowe stosunki z cesarzem z dynastii Ming i nie przyszłoby im do głowy podbijanie Chin, gdyby nie obluda chińskiego można-władcy, sprawującego władzę administracyjną nad terenem pogranicza. Ów urzędnik Mingów zdradziecko zamordował ojca i dziadka młodego Mandżura o imieniu Nurhaczy. Wprawdzie dwór w Pekinie wystosował przeprosiny i jako zadośćuczynienie wysłał wierzchowce i bele jedwabiu, lecz

stanowczo odmówił wydania sprawcy mandzurskiemu wymiarowi sprawiedliwości. Chińczycy, czując się całkowicie bezkarni w swej wyniosłej dumie, uznali, że nie mają żadnego powodu do obaw. Tymczasem ta właśnie jedna zbrodnia, w połączeniu z energią i inteligencją młodego Mandżura, czterdzieści lat później przypieczętowała los dynastii Min-gów. Zirytowany oczywistą dlań niesprawiedliwością, Nur-haczy skoncentrował wszystkie swoje wysiłki na zdobyciu władzy, żeby wyrzucić zemstę na wrogu. Mając 27 lat stał na czele pięciu mandzurskich rodów.

Armia Nurhaczego składała się początkowo z czterech chorągwi - białej, czerwonej, błękitnej i żółtej - potem dodał jeszcze chorągwie w pasy o tych samych kolorach, osiągając w ten sposób liczbę ośmiu oddziałów. Zarówno Chińczycy, jak i schińszczeni Mandżurowie uważali ósemkę za liczbę szczęśliwą. Później również mongolscy wasale Mandżurów, a także niezadowoleni Chińczycy, którzy przechodzili pod sztandary mandzurskie, utworzyli dwa pułki po osiem chorągwi każdy. Wojownicy Nurhaczego byli Rzymianami Wschodu, zorganizowanymi w dobrze wyćwiczone i zdyscyplinowane oddziały bojowe. Niechętnie widziano indywidualne akty odwagi i inicjatywę, kładziono zaś nacisk na działania zespołowe, każdy wojownik miał być jedynie trybikiem w wielkiej, świetnie naoliwionej maszynie wojskowej. Ten system zdał egzamin. W 1586 roku, kiedy to Nurhaczy objął przywództwo nad wszystkimi rodami pogranicza, siłę jego armii oceniano tak wysoko, iż Chiny zapłaciły daninę (w pokrętnym języku dyplomacji Mingów miała ona nazwę „subsydium”) w wysokości piętnastu szat z wizerunkami smoków i ośmiuset uncji srebra, żeby zapewnić sobie spokój na granicy z Mandżurami. Nurhaczy daninę przyjął, lecz nie miał zamiaru rezygnować z zemsty, i nadal szykował się do wytępie-

nia wszystkich Mingów. W ostatniej dekadzie XVI wieku przestał interesować się Chinami, koncentrując uwagę na podporządkowaniu sobie pozostałych mandżurskich plemion. W roku 1616 jedynie szczep Jeho nie uznawał jeszcze jego przywództwa, ale w następnym roku również i on podporządkował się Nurhaczemu. Po ostatecznym zjednoczeniu wszystkich plemion, Nurhaczy przyjął oficjalnie tytuł Wybrańca Niebios (Tian Ming), a swą nową dynastię nazwał Mandżurską.

Kilka lat wcześniej Jeho podbili sąsiadujący z nimi szczep, nazywający siebie Nala. Od owych dwóch połączonych szczepów, Jeho-Nala, wzięła swe imię dziewczyna, która miała rządzić Chinami przez blisko pięćdziesiąt lat. Kiedy żołnierze Nurhaczego podbili ten ostatni niezależny jeszcze szczep i wymordowali wielu jego wojowników, przywódca Jeho-Nalów, znany pod imieniem Bujanggu, przysięgł na łożu śmierci, że „jeśli ocaleje choć jedna kobieta z naszego szczepu, poszuka zemsty na Nurhaczym i obali rządy jego rodziny”. Umiłowanie niezależności i nienawiść Jeho-Nalów wobec domu Nurhaczego były tak wielkie, iż to nastawienie mogło być źródłem proroctwa o kobiecie ze szczepu Jeho-Nala, która doprowadzi do zguby dynastii mandżurską. Wydaje się, że Nurhaczy zdawał sobie sprawę z nienawiści, jaką żywili ku niemu pokonani Jeho-Nalowie i że próbował ich zjednać obietnicami stanowisk i małżeństw dynastycznych. Zarówno żony jak i konkubiny mandżurskich władców (Aisin Gioro, czyli Złota Rasa), miały pochodzić głównie spośród kobiet szczepu Jeho-Nala. Dumni Jeho-Nalowie nie zapomnieli jednak o upokarzającej porażce i nadal pałali żądzą zemsty, która pozwoliłaby zapomnieć o niesławie, a pragnienie zemsty na wrogu niewątpliwie przetrwało przez pokolenia. Większość rodzin mandżurskich połączona była silnymi więzami krwi, więc owa

podskórna niechęć tłumaczy być może obojętny stosunek Je-honali do dalszych losów dynastii Nurhaczego w momencie, gdy ona sama osiągnęła najwyższą władzę.

Podbicie Jeho-Nalów przyniosło Nurhaczemu inne korzyści: dało mu znakomity pretekst do ataku na Chiny. Mingowie, obawiając się przewagi wojskowej Nurhaczego i widząc w szczepie Jeho przeciwwagę dla rosnącej potęgi mandzurskiego harcownika, zlekceważyli prośbę Nurhaczego o zachowanie ścisłej neutralności, i wysłali pomoc jego przeciwnikom. Wówczas Nurhaczy ujawnił swe prawdziwe zamiary. Stojąc przed frontem armii, zaprzysiął dokonać zemsty na Mingach za zamordowanie swych przodków i za pomoc udzieloną szczepowi Jeho. Wypowiedział im wojnę. Chińczycy zareagowali natychmiast, starając się zdusić rosnącą potęgę Nurhaczego. W 1619 roku cztery chińskie armie, wspierane przez koreańskie wojska wasalne, przekroczyły północną granicę z zamiarem zgniecenia dynastii mandzurskich parweniu-szy. Nurhaczy, którego armia liczyła niecałe pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, rozbił w puch siły chińskie, zdobył ogromne łupy i wziął trzydzieści tysięcy jeńców.

Ta porażka na jakiś czas ostudziła zapał wojenny Mingów. Nie kwapili się już do wkraczania na ziemie Mandżurów, wysłali jednak na front zdolnych generałów, aby ci (z pomocą portugalskich armat, których import załatwili jezuiccy „misjonarze” sprowadzeni kiedyś przez cesarza) dotrzymywali pola napierającym oddziałom Mandżurów. Niektórym udało się nawet utrzymać strategiczne punkty oporu poza Wielkim Murem, poważnie ograniczając swobodę ruchów Nurhaczego. Lecz stratedzy na dworze Mingów byli tak niezdecydowani i pozbawieni woli walki, iż korzyści z pierwszej fazy obrony okazały się krótkotrwałe. Cesarz i jego faworyci pławili się w luksusie i więcej uwagi poświęcali najnowszym pieśniom

i spektaklom teatralnym, aniżeli przyziemnym wydarzeniom związanym z realną rzeczywistością. Pieniądze przeznaczone dla armii na froncie obracano na sfinansowanie uciech dworu. Dostęp do Niebiańskiego Księcia kontrolowali eunuchowie, którzy mogli nie dopuszczać do niego niepomyślnych wiadomości, a niesprawdzoną plotkę przekazywać jako szczerą prawdę. Jeżeli nie otrzymali odpowiedniej porcji „wonnego tłuszczu”, jak nazywano łapówkę, eunuchowie potrafili sprawnie i szybko zatruć umysł monarchy i nastroić go nie-przyjaźnie do najbardziej nawet utalentowanych jego dowódców. Większość wojskowych potulnie akceptowała swój los, jedynie generał Sun, energiczny i patriotycznie nastawiony dowódca, był na tyle odważny, żeby napisać list protestacyjny, zaadresowany osobiście do cesarza:

Wojsko Najjaśniejszego Pana zostało ostatnio pozbawione nieodzownego wyszkolenia, często również należnego żołdu. Miast pozostawić dowództwo w rękach kompetentnych oficerów, Najjaśniejszy Pan przysyła cywilnych ignorantów, żeby szkolili naszych żołnierzy. W czasie bitwy najwyższe dowództwo przechodzi w ręce jakiegoś cywilnego funkcjonariusza wysokiego szczebla, wspieranego przez wielki i najczęściej bezużyteczny sztab ludzi pióra. Taktyka, jaką Twoje armie, Panie, mają zastosować rano w polu, dyskutowana jest przy kolacji w kręgu Twoich dworzan, a niektóre decyzje podejmowane są w kręgu eunuchów w przerwach między ich lubieżnymi rozrywkami.

Nie wydaje się prawdopodobne, żeby ta odważna próba ostrzeżenia cesarza dotarła w ogóle do Niebiańskiego Księcia. Generał Sun nie zechciał okazać „szczodrości” szefowi eunuchów, Wei Jingxianowi, co miało katastrofalne skutki dla znakomitego dowódcy. W ciągu kilku dni został przeniesiony na

niższe stanowisko, jego miejsce zaś zajął Gao Ti, który nie zawałał się udzielić Wei Jingxiangowi finansowego wsparcia. Nawet dwór, złożony z ludzi pióra, musiał podobną strategię (jeśli można tak nazwać tego rodzaju działania) uznać za katastrofalną. *Sztuka wojenna*, podręcznik Sun Zi, jednego z uwielbianych przez dwór klasyków, przedstawiał sprawę jasno: „Wojna jest dla państwa sprawą o żywotnym znaczeniu, od niej zależy życie i śmierć, jest drogą do przeżycia lub ruiny. Dokładne jej studiowanie jest obowiązkiem”. Niestety w owym czasie sposoby produkcji najdelikatniejszej porcelany bywały ważniejszym tematem rozmów na dworze cesarskim niż jakiegokolwiek działania wojskowe.

Nurhaczy wykorzystał ślepotę dworu chińskiego. Do 1625 roku zdołał umocnić swą nową stolicę w strategicznie położonym Mukdenie, skąd mógł zagrozić nie tylko Chinom lecz również ich wasalowi - królestwu Korei. Rok później, mając już 68 lat, poprowadził swoich żołnierzy na południe, na ważne strategicznie chińskie miasto Ningyuan. Faworyt cesarski Gao Ti natychmiast zaproponował odwrót, lecz dowódca, generał Yuan, własną krwią wypisał tekst przysięgi, pod którą podpisali się wszyscy jego żołnierze, obiecując bronić miasta aż do śmierci. Kiedy Nurhaczy ruszył do szturm, okazało się, że twierdzy broni załoga zdecydowana, gotowa na wszystko i wyposażona w europejską artylerię, której pierwsze salwy rozniosły elitarne szwadrony mandżurskiej jazdy. Po raz pierwszy od czterdziestu lat Nurhaczy został zmuszony do odwrotu, i musiał odstąpić od oblężenia. Cofnął się armią aż do swojej stolicy, Mukden i - czy to wstydząc się porażki, czy też z powodu dolegliwości wieku, a może ze względu na jedno i drugie - nigdy już nie wstąpił na ścieżkę wojenną. Ten nieustraszony wojownik, zwycięzca wielu bitew, zmarł spokojnie we śnie 30 września 1626 roku.

Mandżurowie nie przestrzegali bezwarunkowo zasady pierworództwa, więc następcą Nurhaczego został jego czwarty z kolei, i najzdolniejszy syn, który przyjął imię Tiancong (Posłuszny Niebiosom). Tiancong podobnie jak ojciec marzył o podboju Chin, lecz był wystarczająco przenikliwy, by rozumieć, że swobodę ruchów, jaką cieszyli się tak długo Mandżurowie zawdzięczali przede wszystkim głupocie i niezdecydowaniu Mingów. Strategicznie rzecz biorąc, położenie Tiancongów było bardzo słabe. Cesarz Chin był uznanym suwerenem Korei na wschodzie i plemion mongolskich na zachodzie (które zresztą rządziły już Chinami w latach 1206-1333, za legendarnej dynastii Yuan Kubilaj Chana). Stwarzało to poważne problemy każdemu, kto by próbował zaatakować Chiny od północy. Gdyby tylko Mandżurowie ruszyli na południe, każdy kompetentny rząd w Pekinie nie powinien mieć problemu ze skłonieniem obu wasali do wzięcia najeźdźcy w kleszcze ze wschodu i zachodu, co przy jednoczesnym kontrataku wojsk chińskich z południa, niemal zapewniałoby katastrofalne skutki dla Mandżurów. Gdyby Mingowie zdołali zachować się racjonalnie i zorganizować należyłą obronę, Chiny byłyby nie do pokonania.

Tiancong niepokoiła siła i potencjalne możliwości jego chińskiego przeciwnika, toteż pierwsze wielkie natarcie poprowadził przez Mongolię, omijając linię silnie umocnionych fortec rozlokowanych wzdłuż chińskiej granicy. Spory oddział harcówników podprowadził pod same bramy stolicy Mingów. Jednak komendant przygranicznej fortecy, znakomity generał Juan, okazał się sprawniejszy od Mandżurów: ostrymi marszami poprowadził swoich ludzi na południe i zaskoczył Tiancongów w obozie w pobliżu cesarskiego rezerwatu zwierzyny łownej. W obliczu zagłady przez przeważające siły wroga, mandżurski władca znów dał popis swojej zimnej krwi i głębokiej znajomości chińskich klasyków.

Księga z późnej epoki Mingów, zatytułowana *Tajemnice sztuki wojennej: trzydzieści sześć strategii* napisana przez nieznanego autora, omawia długi szereg podstępów, opierając się na najbardziej poważanej ze wszystkich klasycznych ksiąg *Yijinf*, czyli *Księdze Zmian*. W systemie, przedstawionym przez tę księgę, cyfra sześć, czyli podstawowa liczba yin, oznacza plany wojskowe, zaś tytułowe trzydzieści sześć strategii (sześć do kwadratu) to całe mnóstwo brudnych sztuczek. O tym, jak „obrócić agentów nieprzyjaciela przeciwko niemu” poucza Strategia Trzydzieści Trzy.

Wytropiwszy obcego agenta [...] można udać, iż się go nie rozpoznało, następnie podsunąć mu fałszywą informację, a potem pozwolić na powrót i przekazanie tej wiadomości swojemu dowódcy. Biorąc fałszywą informację za prawdę, przeciwnik dokona niewłaściwej oceny sytuacji.

Tiancong nie miał w ręku agentów wroga, ale wziął do niewoli dwóch eunuchów z Miasta Zakazanego. Sfingował więc naradę wojenną ze swymi generałami w bliskim sąsiedztwie pomieszczenia, gdzie przetrzymywani byli dwaj jeńcy, w czasie której mówiono o tym, że generał Yuan jest zdrajcą Mingów, który prawdopodobnie nosi się z myślą przejścia na stronę mandżurską. Następnego dnia obydwóm więźniom pozwolono uciec. Przebiegły Mandżur nie zawiódł się: obydwaj uciekinierzy udali się prosto do swego cesarza i powtórzyli wszystko, co usłyszeli, oskarżając generała Yuana o zdradę. Chińczycy istotnie „dokonali niewłaściwej oceny sytuacji”. Generała Yuana natychmiast aresztowano i uwięziono. Na jego miejsce mianowano faworyta dworu, który okazał się całkowicie niekompetentny, a tak doświadczony w bojach przeciwnik jak Tiancong, z dziecinną łatwością rozszyfrowywał jego

manewry. W bitwie stoczonej przy bramie Yong Ding, u wrót Pekinu, Mandżurowie odnieśli błyskotliwe zwycięstwo, pozbawiając obrony Miasto Zakazane i jego władcę. Zamiast jednak zdobywać chińską stolicę i, co za tym idzie, koronę cesarską, Tiancong zarządził odwrót na ojczyście terytorium. Protestowali wszyscy: żołnierze, generałowie, nawet jego własny syn. Byli rozdrażnieni i zawiedzeni w nadziei na zdobycz - przecież droga do bogactw Miasta Zakazanego, a może nawet do mandżurskiego panowania nad całymi Chinami, leżała otworem. Czemu rezygnować z zesłanej przez Boga szansy, na którą zasłużyli swoim zwycięstwem? Tiancong nie był jednak pospolitym rabusiem; jego plany były bardziej dalekosiężne. Współczesny kronikarz zanotował jego słowa: „Moglibyśmy bez trudu zająć miasto, lecz ten czas jeszcze nie nadszedł. Siły poza stolicą są wciąż nienaruszone, płomień strachu nie rozpałił się jeszcze w sercu Chin. Gdybyśmy wzięli Pekin dzisiaj, nie byłibyśmy w stanie długo utrzymać go [... j Nie, pozwólcie nam wrócić do własnych domów i przygotować się na czas, kiedy wybije godzina, i gdy sam Bóg odda całe cesarstwo w nasze ręce”.

Tak więc Mingowie otrzymali jeszcze jedno odroczenie, jeszcze jedną szansę, żeby zaprowadzić porządek w kraju i przywrócić mu wielkość. Jednak podczas, gdy Tiancong zatrudniał ludwisarzy do odlewania dział według europejskich wzorów, dwór cesarski powrócił do swych ulubionych zajęć: intryg, rozpusty i spektakli teatralnych.

Tiancong bardzo powoli zacieśniał sieć wokół Mingów. W 1635 roku pod jego berłem znalazły się wszystkie mongolskie plemiona, na znak zaś poddaństwa ich przywódca wręczył Tiancongowi Wielką Pieczęć Chin, będącą w posiadaniu mongolskiej dynastii Yuan. Cztery lata później padła Korea, jej król zaś oficjalnie przekazał mandżurskiemu monarsze

dokumenty Mingów nadające mu tytuł królewski. Po upadku Korei Mandżurowie mieli zabezpieczone skrzydła i bez trudu mogli omijać pograniczne chińskie fortece, bezkarnie zapuszczając się na bogate, gęsto zaludnione chińskie niziny.

Pozostawało jeszcze tylko jedno: trzeba było „rozpalić płomień strachu w sercu Chin”. Tego Mandżurowie dokonali, zapuszczając się coraz częściej z łupieżczymi wyprawami w głąb Chin i niszcząc powoli pozostałe jeszcze chińskie graniczne fortece. W listopadzie 1642 roku Tiancong wysłał do Chin ogromną armię pod dowództwem swego starszego brata Ab-taja. Ekspedycja zakończyła się wielkim sukcesem: Abtaj stoczył trzydzieści siedem zwycięskich bitew z wojskami Mingów, wziął do niewoli i skazał na śmierć około tysiąca członków cesarskiego szczepu, w tym sześciu książąt krwi. Zdobył też ogromne łupy: 350 kilogramów złota, 348 ton srebra, 4440 uncji pereł, 52234 bel jedwabiu i atłasu oraz niezliczoną ilość futer, drogocennych szat i rogów jelenich. Wzięto do niewoli blisko 370 tysięcy jeńców (z których większość zwycięzcy rozdzielili między siebie jako niewolników) oraz zdobyto przeszło pół miliona wielbłądów, wołów i innych zwierząt.

I tym razem to nie tylko przewaga oręża przyczyniła się do sukcesu Mandżurów. Dworskie kliki i frakcje, intrygi i matactwa, zwłaszcza zaś zmowy eunuchów przeszkodziły w zorganizowaniu spójnej obrony państwa Mingów. Tylko na północnym odcinku Wielkiego Muru było czterech namiestników, sześciu gubernatorów i ośmiu dowodzących generałów, walczących między sobą o przewagę, a nad nimi wszystkimi stał sprawujący naczelne dowództwo eunuch, który dbał jedynie o swoje własne interesy.

W czasie, gdy Mandżurowie gromadzili siły na północnej granicy Chin, dynastii Mingów zagroził równie poważny kryzys wewnętrzny. Li Zicheng, niegdyś myśliwy i rozbójnik, po-

ciągnął za sobą wielu Chińczyków niezadowolonych z życia pod rządami Mingów. I oto, ku własnemu zdziwieniu, zwykły rabuś został nagle przywódcą prawdziwej rebelii skierowanej przeciwko rządzącej dynastii. Okazał się być utalentowanym dowódcą, jego oddziały odnosiły zwycięstwo za zwycięstwem, w ciągu pięciu lat przemierzając tam i z powrotem całe Chiny - od prowincji Hunan, po Shaanxi i Shanxi. Jego siły rosły z każdym przemierzonym kilometrem, aż wreszcie Li Zicheng skierował je na Pekin, zagrażając cesarskiej stolicy i rozsiewając wieść, że Niebiosa cofnęły Mingom mandat rządu, a on obalił zniechęconych Mingów i sam zasiadł na Tronie Smoka. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi, w momencie zagrożenia państwa z powodu wewnętrznej rebelii, zaufani cesarza doradzili mu rozpętanie wojny przeciw Mandżurom, tym samym rozpoczynając działania wojenne na dwa fronty.

W 1643 roku wszystko już działało na korzyść Mandżurów; cierpliwe wyczekiwanie Tiancongą zaczynało przynosić owoce: nie wątpił, że jego armia sprosta zarówno wojskom cesarskim, jak i siłom buntowników. We wrześniu tegoż roku urządził wielkie polowanie w lasach północy, po czym powrócił do pałacu, gdzie spędził dzień wypełniony wyczerpującymi audiencjami. Późnym wieczorem, około godziny 23.00, w momencie, gdy wstawał z tronu, by przejść do sypialni, upadł na twarz i wyzionął ducha. Przyczyną śmierci był najprawdopodobniej atak serca. Miał 51 lat. Tak skończyły się marzenia o podbojach Posłusznego Niebiosom monarchy.

Nie skończyły się one jednak dla innych Mandżurów. Najzdolniejszemu z żyjących synów Nurhaczego, Dorgonowi, prawo dynastyczne zabraniało wprowadzić przejęcia władzy, ale pozwalało mu zostać regentem. Urokiem osobistym i intrygami doprowadził on do osadzenia na tronie swego pięcioletniego syna, a sam zadowolili się tytułem pierwszego regenta.

Było to pogwałceniem całej dotychczasowej tradycji Mandżu-rów, ale trzeba było być bohaterem albo głupcem, żeby protestować. Dorgon miał niewątpliwie po swojej stronie siłę militarną i cieszył się absolutnym poparciem chorążych, którzy stanowili elitę mandżurskiej armii.

Dorgon, mając władzę zabezpieczoną na najbliższą przyszłość, kontynuował politykę poprzednika i dążył do zniszczenia Mingów. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy od śmierci Tiancong Mandżurowie zdobyli wszystkie twierdze broniące dostępu do Pekinu, prócz jednej: potężnej fortecy Ningyuan. Bronił jej garnizon dowodzony przez słynnego chińskiego generała Wu Sanguia, pod którego dowództwem miasto odparło wszystkie szturmy Mandżurów i zdawało się, że jest nie do zdobycia. Wówczas do Mukdeny nadeszła niespodziewana wiadomość, że Wu Sangui opuścił tę najbardziej strategicznie położoną twierdzę i wyruszył z wojskiem ku stolicy Chin. Początkowo nie dawano temu wiary: wydawało się niemożliwe, żeby Wu Sangui mógł popełnić tak kolosalny błąd, równoznaczny z wojskowym samobójstwem Mingów.

Mandżurowie nie wiedzieli jednak, jak szybko toczyły się wypadki po południowej stronie Wielkiego Muru. Rewolta Li Zichenga rozprzestrzeniała się błyskawicznie, i on sam szedł już szybkim marszem na północny wschód, w kierunku stolicy, pędząc przed sobą wszystko, co się dało. Stracił wprawdzie lewe oko, wykłute strzałą w czasie jednej z wielu bitew, ale znając prastarą przepowiednię, która mówiła, że Mingowie zostaną pokonani przez jednookiego mężczyznę, łatwo pogodził się z kalectwem. W ogóle, cała jego rebelia zaczęła się od wiary w przesady: jak piszą chińscy historycy, jako młody człowiek uczestniczył kiedyś wraz z dwójką przyjaciół w polowaniu, wtem nagle chwycił strzałę i wbił ją w ziemię, oświadczając, iż jeśli nocą zacznie padać śnieg i przykryje

strzałę do wysokości sterczącego z ziemi beltu, uzna to za znak niebios, że zostanie cesarzem Chin. Istotnie, śnieg spadł owej nocy, osiągając przewidywany poziom, dzięki czemu Li święcie wierzył w powodzenie rewolty.

Przywódca rebelii był jednocześnie przesądny i okrutny, jego bezwzględność stała się legendarna. Kiedy złapany przez rebeliantów cesarski generał nie chciał mu się podporządkować, Li kazał przywiązać go do belki pod powałą i strzelać doń z łuku. Gdy inny więzień, książę Fu, odmówił odpowiedzi na jego pytania, Li pozwolił sobie na makabryczny żart. Pełne nazwisko księcia oznaczało 'szczęśliwy los'. Li kazał uciąć mu głowę, domieszać jego krew do pieczonej dziczyzny, nazywając nowe danie „polewką szczęśliwego losu”, i zjadł je ze smakiem. Lecz najbardziej jaskrawię jego okrucieństwo przejawiało się w 1643 roku, kiedy miasto Kaifeng stawiało jego armii tak zacięty opór, że zatrzymało go w prowincji Henan na niemal dwa lata. Rozwścieczony oporem, Li kazał okolicznym wieśniakom rozkopać obwałowania na brzegach „smutku Chin”, jak nazywano Żółtą Rzekę, żeby zatopić niepokorne miasto. Kiedy rzeka przerwała wreszcie wały, w jej nurtach zginęło bez śladu przeszło sto tysięcy nieszczęsnych mieszkańców miasta (a przy okazji również około dziesięciu tysięcy żołnierzy Li). Plan się jednak powiódł. Kaifeng uległo kompletnemu zniszczeniu: z ponad milionowej ludności miasta uratowała się zaledwie co dziesiąta osoba. Przeszło dziewięćset tysięcy osób, złożonych na ołtarzu ambicji przywódcy rebelii, straciło życie w powodzi.

Li powiódł następnie swoich żołnierzy do prowincji Shan-xi, do starożytnego miasta Xi'an. Tutaj, przywdziawszy wyszywane w smoki cesarskie szaty, w pierwszym dniu 1644 roku proklamował początek dynastii Wielkiego Posłuszeństwa, sam przybierając tytuł cesarski i imię Yongchanga. Li był

przekonany, że jego zwycięstwa świadczą o tym, iż bogowie cofnęli nadany niemal trzysta lat wcześniej dynastii Mingów mandat cesarski, który teraz przyznali jemu. Wiadomość o tym, że Li założył konkurencyjną dynastię i że teraz zbliża się do stolicy państwa, wywołała w Pekinie rozpacz i strach. Jednak nawet wobec tak wielkiego zagrożenia Mingowie i ich dworacy nie otrzęsnęli się z letargu. Wierząc przesądom i wieszczbom, pocieszali się przepowiednią o dziwacznym tytule „Pieśń Ciast”, dotyczącą losów dynastii, której autorem miał być podobno pierwszy cesarz z rodu Mingów, Zhu Yuan-zhang. W owej „Pieśni” jest podobno mowa o nadejściu ośmiu mandzurskich chorągwi, i o tym, że Japończycy ostatecznie obalą władzę Mandżurów (do czego istotnie doszło, ale dopiero długo po tym, jak Mandżurowie obalili Mingów). Jeden z wersów tej przepowiedni jest zaiste niezwykły. Mówi on:

Dziesięciogębne baby z trawą na głowach ponownie niosą w ramionach dziecię, które stanie się Panem Cesarstwa.

Otóż w języku chińskim pierwszy znak imienia Jehonała składa się z symboli „dziesięć” i „usta”, pisanych jeden obok drugiego, ponad nimi zaś („na ich głowach”) znajduje się znak oznaczający „trawę”.

Na tej podstawie za głównych wrogów należało uważać Mandżurów, rebelię Li natomiast można było traktować jako jeden z wybuchających sporadycznie buntów, które co pewien czas zakłócały spokój Państwa Środka. Wielki Sekretarz Dworu, Li Jiandai, człowiek wielce majątny, wyasygnował fundusze na organizację nowej armii i na jej czele ruszył poskromić rebelię. Gdy jednak nieskładna czereda żołnierzy Mingów daremnie próbowała wytropić przeciwnika (a tysiące żołnierzy

umarło z głodu), chytry „cesarz” Li Zicheng prześlizgnął się z armią na północ, a następnie zwrócił swe oddziały na wschód do prowincji Zhili, stając u wrót Pekinu.

Przeciwko siłom Li wysłano drugą armię, lecz na jej czele nie postawiono jakiegoś doświadczonego generała, lecz wpływowego ignoranta, dworskiego eunucha Du Xuna który nie miał pojęcia o sprawach wojskowych. Kiedy Li skierował swe oddziały na kolejne strategicznie położone miasto, Datongfu, ów głównodowodzący eunuch nie chciał walczyć i szybko wziął nogi za pas, służalczo godząc się na poddanie miasta. Kiedy rebelianci znaleźli się w końcu pod bramami samej stolicy, Du Xun ponad murami miasta wysłał do obrońców strzałę z listem mówiącym, że rebelianci muszą wygrać tę wojnę, i że najlepsze, co może uczynić cesarz, jest popełnienie samobójstwa.

Nawet ta zdrada nie przywołała cesarza Mingów do rozsądku. Naczelnym dowódcą obrony Pekinu uczynił kolejnego eunucha, Wang Cheng'ena. Wynik był łatwy do przewidzenia. Poszczególne punkty obrony wpadały w ręce nieprzyjaciół. Nawet w obliczu ostatecznej katastrofy dwór nie uwolnił się od obsesyjnego przekonania o niezwyciężoności Mingów. W dniu, w którym padła pierwsza brama zewnętrznego łańcucha obronnego, zaledwie trzy kilometry od bezbronnego w tym momencie cesarskiego pałacu, jeden z wielmożnych eunuchów zabawiał gości występami teatralnymi.

Oddziały buntowników Li ruszyły do ataku, i z niewielkimi stratami własnymi zdobyły Qian Men, główną południową bramę wiodącą do północnej części Pekinu, posuwając się błyskawicznie w stronę ostatniego bastionu Mingów, ogrodzonej czerwonymi murami enklawy Wielkiego Środka. Cesarz dopiero teraz zrozumiał tragizm sytuacji i spróbował uratować swoich dwóch synów, ubierając ich w łańchmany „durnych ludzi”, jak arystokraci pogardliwie nazywali prostych

Chińczyków. „Dzisiaj jesteś następcą tronu - miał podobno powiedzieć do swego najstarszego syna - a jutro będziesz ... tutaj na ziemskim padole. Nie zdradzaj swego imienia, odmień swój wygląd, jak tylko potrafisz. Jeśli cudem jakimś uratujesz życie, nie zapomnij pomścić krzywdy swoich rodziców. Nigdy nie zapomnij mych stów". Potem chtopców wyprowadzono z miasta. Córki cesarskie czekał inny los.

Teraz cesarz zaczął pić wino, wychylając puchar za pucharem. Potem z pijacką odwagą zebrał swój harem i bez ogródek oświadczył kobietom: „Wszystko skończone. Czas umierać”. Najstarsza cesarska konkubina, pani Yuan, ogarnięta paniką próbowała uciekać, lecz cesarz ściął ją mieczem. Cesarska małżonka ulepiona była z twardszej gliny: wycofała się do Pałacu Kobiecego Uspokojenia i tam powiesiła się. Samobójstwo popełniło około dwustu kobiet cesarza.

Najstarsza z cesarskich córek czekała na swój los za progiem pałacu, jak na ironię zwanego Pałacem Spokojnej Starości, płacząc: „Cóż za zły los kazał ci urodzić się pod tak złą gwiazdą?”. Cesarz obciął jej mieczem prawe ramię i zostawił umierającą na posadzce z kolorowych płytek. Następnie udał się do pawilonu Dobroczynności, gdzie zabił swoją drugą córkę.

Wstawał świt. Któryś z wiernych sług przypomniał sobie o starym zwyczaju i uruchomił dzwon wzywający na poranną audiencję, w czasie której - w szczęśliwszych czasach - cesarz odbierał hołdy poddanych i raporty ze swych rozległych domen. Nikt się nie pojawił. Większość pałacowych sług uciekła. Księżciu Niebios towarzyszył tylko Wang Cheng'en, jedyny eunuch, który dochował mu wierności do końca. Nieprzytomny ze strachu, cesarz zamienił swoje uroczyste szaty na krótką tunikę z motywami smoka, i - z prawą stopą w pantoflu a lewą bosą - podążył na Wzgórze Węglowe, leżący na północ od Miasta Zakazanego pagórek, na którego szczycie znajdowało

się kilka pawilonów. I znów, jak na ironię, cesarz uciekał przez bramę noszącą imię Boskiej Odwagi Wojennej. Wszedł na szczyt Węglowego Wzgórza i tam, w pawilonie Cesarskiego Kapelusza i Przepaski Lędźwiowej, powiesił się ostatni cesarz z dynastii Mingów. Jak kazał obyczaj, jego ostatnim czynem było ułożenie pożegnalnego przesłania. Z braku materiałów piśmiennych napisał na skraju swej tuniki:

Ja, słaby i małej cnoty, zgrzeszyłem przeciwko Niebiosom; buntownikom udało się zdobyć moją stolicę, bo zdradzili mnie ministrowie. Umieram, wstydząc się spojrzeć w oczy moim przodkom. Zdjąłem me cesarskie szaty, zakryłem twarz włosami, niech buntownicy poćwiartują me ciało. Niechże jednak nie krzywdzą mego ludu!.

I tak, wbrew wszelkim przypuszczeniom, Li Zicheng, dawny rozbójnik, zasiadł na Tronie Smoka i ogłosił się Cesarzem Wszystkiego pod Słońcem. Chiny leżały u jego stóp. Wypełniło się stare proroctwo i jednooki mężczyzna obalił potężnych niegdyś Mingów. Jak to jednak zwykle bywa z proroctwami, przepowiednia odsłoniła tylko część mających nastąpić wydarzeń. Li został wprawdzie cesarzem, lecz jego panowanie miało trwać nie lata, ale dni.

Tuż przed ostateczną klęską cesarz zdążył wysłać ostatni rozpaczliwy apel do generała Wu Sanguia, rozkazując mu, aby ze swą armią, złożoną z doświadczonych i bitnych weteranów, pospieszył z odsieczą Pekinowi. To właśnie ten rozkaz sprawił, że Wu Sangui tak gwałtownie opuścił pograniczną fortecę, i nagle wyruszył z wojskiem w kierunku Pekinu, co tak bardzo zdumiało i zaniepokoiło Mandżurów. Teraz, kiedy nie było już Minga, nowy cesarz Li Zicheng także kazał generałowi przybyć do stolicy.

Wu jednak zignorował ten rozkaz i zajął pozycję między siedzibą nowego cesarza a mandżurską armią Dorgona, która rozłożyła się na granicy niczym wilcze stado, czekając na okazję. Zdesperowany cesarz Li poprowadził swoją przednią straż, ponad sto tysięcy ludzi, przeciw siłom generała Wu, lecz odniósł ciężką porażkę. Dostał po nosie i zaproponował rozmowy pokojowe. Wkrótce doszło do spotkania, na którym Li i Wu podpisali traktat o dokonaniu podziału Chin na dwie części. Wielka Posłuszna Dynastia uzurpatora Li zatrzymała skarby zrabowane podczas zdobywania stolicy, lecz zgodziła się ustąpić z miasta na rzecz Minga - następcy tronu (który był teraz zakładnikiem w rękach generała Wu). Wu ogłosił swego „gościa” nowym cesarzem z dynastii Mingów, a sam postanowił zostać szarą eminencją i sprawować władzę zza tronu. W rękach Li pozostała część Chin położona na zachód od prowincji Shanxi i Shaanxi. Układające się strony uzgodniły wspólne działania przeciwko Mandżurom, w przypadku gdyby regent Dorgon najechał Chiny.

Umowa okazała się świstkiem papieru. Dawała Li możliwość uniknięcia katastrofy, gdyby doszło do przymierza między Wu a Mandżurami, i pozostawiała w jego rękach olbrzymi szmat kraju, tytuł cesarza, oraz bogactwa, o których trudno mu było wcześniej marzyć. Generałowi Wu sojusz z Li pozwalał uniknąć zmory wojny na dwa fronty, jednocześnie z Li i Mandżurami. Wu wiedział jednak, że jego armia nie może się mierzyć z wojskiem Dorgona. Starał się więc za wszelką cenę przeciągać rokowania z Mandżurami, używać słodkich słów dla wygrania na czasie, a tymczasem gromadząc siły, które pozwoliłyby mu na odparcie ewentualnego ataku Mandżurów.

Dorgon nie dał się jednak oszukać. Kiedy dowiedział się o spotkaniu Li z Wu, przeszedł ze swymi wojskami przez przełęcz Shanhaiguan przy samym krańcu Wielkiego Muru, wysy-

lając jednocześnie ostre napomnienie do Wu, aby nie ważył się wejść do Pekinu z domniemanym następcą tronu. Przypomniawszy mu też o wcześniejszej mandzurskiej ofercie, na mocy której obiecywał generałowi Wu tytuł księcia w zamian za przyłączenie się do jego sił. Wu stanął przed trudnym wyborem. Mógł zignorować żądania Dorgona, osadzić na tronie cesarza-kukłę i zmierzyć się w bitwie z przeważającymi siłami wroga. Z drugiej strony mógł porzucić księcia następcę tronu, zadbać dla siebie o przyszłą pozycję, bogactwo i władzę, i pomóc Dorgonowi we wstąpieniu na Tron Smoka.

Jako ostrożny i przewidujący dowódca, zdecydował się rzucić następcę tronu na pożarcie wrogom i opowiedział się po stronie Mandżurów. Na wiadomość o tej zdradzie Li rozkazał ściąć ojca i szesnaście kobiet z rodziny Wu, po czym pociągnął w pole na czele dwustutysięcznej armii, by stawić czoło połączonym siłom Mandżurów i swego byłego sojusznika. Bitwa zaczęła się w czasie szalejącej burzy piaskowej, kiedy żołnierze z trudnością odróżniali swoich od obcych. Jednak teraz, kiedy nosił już tytuł cesarza, szczęście opuściło Li. Jego oddziały nie sprostały połączonym siłom mandzurskim i chińskim, i Li zmuszony został do ucieczki, zabierając ze sobą tylko tyle łupów, ile mógł bezpiecznie unieść.

Obawiając się siły generała Wu i jego znakomitego wojska, Dorgon natychmiast wysłał go w pościg za uciekającą na zachód armią Li. Zawsze kompetentny, Wu ścigał teraz Li i niszczył „jego” cesarstwo w imieniu Mandżurów, a także - o ironio losu - chociaż zaczął od tego, że chciał osadzić na tronie nową dynastię Mingów, następne dziesięć lat spędził, tropiąc i ścigając czterech pozostałych z tego rodu pretendentów do tronu. Guiwanga, cesarza Yongli, ostatniego z linii Mingów, ścigał aż po Birmę, a pojmwawszy, kazał go udusić cięciwą łuku. Przez trzydzieści lat Wu był prawą ręką mandzurskich

zdobywców Chin, został zarządcą prowincji i w żelaznym uchwycie trzymał południowo-zachodnie połacie Chin, poczynając sobie prawie jak cesarz. A mimo to zakończył życie jako buntownik: w 1674 roku na wieść o tym, że mandżurski cesarz zamierza ograniczyć jego władzę, wzniecił powstanie. Już w pierwszych akcjach dowiódł, że nie utracił swych wojskowych talentów. Historia Chin mogłaby potoczyć się całkiem inaczej, gdyby w 1678 roku, kiedy planował kolejną kampanię, tego geniusza wojny nie powaliła apopleksja.

Gdy generał Wu ruszył w pogoń za cesarzem rebeliantem, Mandżurowie mieli wolną drogę do zgłoszenia pretensji do Tronu Smoka i związanych z nim prerogatyw. Niebiański Mandat przypadł rodowi Aisin Gioro. Spełniło się marzenie Nurhaczego. Nieżyjący już od dawna mandżurski wojownik wywarł w końcu zemstę na znienawidzonych Mingach. Fulin, pierwszy mandżurski cesarz Chin, przybrał dynastyczne imię Shunzhi. Miał zaledwie pięć lat, kiedy obwołano go cesarzem. Prawdziwym władcą Chin został Dorgon, rządząc jako *primus inter pares* wśród regentów.

Dorgon umarł w 1650 roku, kiedy Shunzhi miał lat dwanaście, lecz już jako dziecko cesarz odznaczał się powagą i wielką prawością charakteru, które stały się wyznacznikiem jego krótkiego panowania. Mandżurowie gardzili słabością i nieudolnością Mingów. Wiedzieli, że zwycięstwo nad Mingami zawdzięczają nie tylko własnym talentom wojskowym, lecz również przywiązaniu przeciwnika do życia w luksusie, skłonności cesarskiego dworu do otaczania się pochlebcami, i wzrostowi władzy kliki pałacowych eunuchów. Starali się więc ze wszystkich sił, żeby wyplenić u siebie te cechy Mingów, które przyczyniły się do ich upadku. Shunzhi, który zmarł w 1661 roku, zdążył położyć podwaliny pod silną i stabilną monarchię: przede wszystkim zreformował skorumpo-

wany system egzaminów na stanowiska urzędnicze w chińskiej służbie cywilnej, oraz wprowadził przepisy dotyczące rekrutacji i szkolenia kapłanów. Największą jednak innowacją, wprowadzoną, gdy młody cesarz był jeszcze nieletni, okazało się wyeliminowanie z polityki Miasta Zakazanego kliki eunuchów. Gdyby jego następcy na Tronie Smoka szanowali owe surowe przepisy, nie wykluczone, że dynastia mandzurska panowałaby w Mieście Zakazanym do dzisiaj.

*

W chińskiej filozofii taoizmu symbol znany jako yin-yang zawiera niczym w kapsułce cykliczną naturę wszelkich stworów materialnych.

Zgodnie z tym systemem przeciwności uzupełniają się nawzajem i następują kolejno po sobie w niekończącym się cyklu. Po miesiącach życia wiosną i latem, następują miesiące jesieni i zimy, pora rozkładu i śmierci. Lecz po zimie znów następuje wiosna. Dzień przychodzi po nocy, noc po dniu. Kropka przeciwnego koloru w danym polu symbolizuje fakt, iż każdy dzień niesie w sobie zapowiedź nadchodzącej nocy, a w każdej nocy jest przeczucie zbliżającego się dnia. Wszystko, co istnieje, zawiera zapowiedź swego zniszczenia.

Nie inaczej stało się z panowaniem Mandżurów. Shunzhi zrobił znakomity początek, lecz w ciągu następnych kilkudziesięciu lat Mandżurowie także ulegli urokom afektowanej i zmysłowej atmosfery Miasta Zakazanego, absolutnej władzy, jaką sprawowali nad najliczniejszym narodem świata. Dwojaka była przyczyna owego zjawiska. Same rozmiary Państwa Środka sprawiały, że było ono nie do ogarnięcia dla jednego człowieka; przez stulecia kraj był trzymywany w garści przez

przeogromną (choć przeżartą korupcją) kastę urzędników. W ciągu całej długiej historii, kiedy tylko Mandat Niebios przypadał nowemu cesarzowi, czy to rodzimemu suwerenowi, czy też obcemu zdobywcy, okazywało się, że najmądrzejszym posunięciem było utrzymanie tego systemu w zasadniczo niezmienionej postaci, gdyż w przeciwnym razie mogło dojść do rozpadu i pogrążenia całego kraju w chaosie. Drugi problem był także trudny do rozwiązania. Mandżurowie, podobnie jak Mingowie, uważali, że honor cesarza jako mężczyzny (nie wspominając już o biologicznej reprodukcji) wymagał posiadania olbrzymiego haremu. Cesarze Mingów utrzymywali ogromne seraje (w niektórych latach uzupełniano je hurtowo, czasami nawet o trzysta konkubin na raz), a ich mandżurscy następcy uważali, że nie mogą być gorsi. Biologiczne realia takiej sytuacji wymagały jednak absolutnej bezpłodności męskich strażników cesarskich kobiet, żeby żaden nie był w stanie potajemnie zapłodnić którąś z nich. Pierwszy cesarz z linii mandżurskiej, Shunzhi, wedle niektórych relacji miał być splotzony w wyniku stosunku ulubionej konkubiny cesarza Taizonga z chińskim łowcą zwierząt o imieniu Wang Gao. Historia Chin pełna jest cesarskich „synów” wstępujących na Tron Smoka, których ojcami byli w rzeczywistości słudzy cesarza. Obecność eunuchów w pałacu stała się więc niezbędnym elementem systemu haremowego, a kiedy już raz te „szczury i lisy” pojawiły się jako akolici władzy, siłą rzeczy musiały dążyć do czegoś więcej. W obrębie Miasta Zakazanego nie wolno było mieszkać żadnemu biologicznie sprawnemu mężczyźnie poza samym cesarzem. Syn Niebios skazany był na towarzystwo eunuchów, którzy z powodu swej ciągłej obecności przy cesarzu, stawali się jego powiernikami i przyjaciółmi. Korupcja wszelkiego rodzaju pieniała się niczym chwast i proces upadku rozpoczął się od nowa.

Kiedy na granicach Chin pojawiły się silne państwa europejskie, proces degeneracji osiągał szczyty. Podobnie jak przedtem Mingowie, mandżurscy dynaści uwierzyli, że władają pępkiem świata, że Chiny są Zhong Guo, Państwem Środka, otoczonym zewsząd przez wasalne kraje barbarzyńców. Byli przekonani, że ich cesarz jest naprawdę Synem Niebios. Uważali, że ich cywilizacja i konfucjański system etyczny są najlepsze na świecie. Nawet skonfrontowani z przewagą techniczną przybyszów z Zachodu, zachowywali się wobec europejskich posłów z taką samą arogancką wyższością, jaka niegdyś tak rozwścieczyła ich własnego przodka, Nurhaczego, w rozmowach z Mingami. Niegdyś waleczni wojownicy, mandżurscy dynaści stali się zniewieściałą elitą władzy, a ich ślepa arogancja prowadziła do samounicestwienia. Za sprawą alchemii perwersji Mandżurowie upodobnili się do Mingów.

Podobnie jak poprzednio Mingowie, stali się więc „owocem dojrzałym do zerwania”. Jak przewidywało proroctwo pierwszego cesarza Mingów, właśnie rozpoczął się ostatni akt dramatu. Już wkrótce „dziesięciogębna baba” miała się pojawić w samym centrum mandżurskiej władzy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Konkubina trzeciej rangi

Dziewczyna, która miała zostać Cesarzową Zachodniego Pałacu i największą samowładczynią, jaką kiedykolwiek widział świat, urodziła się w dość ubogiej rodzinie w południowej prowincji Anhui, ciepłej i malowniczej krainie ryżowych pól i wodnych bawołów, przedzielonej nieskończonego pięknym łańcuchem Huangshan, Gór Żółtych, świętych gór Buddy. Jej ojcem był kapitan Hui Zheng, mandzurski oficer w pułku Chorągwi Obramowanych Błękitem, który jak wszyscy chorążowie, cieszył się bezpieczną synekurą na chińskiej prowincji. Pierwszym garnizonem, w którym stacjonował Hui Zheng tuż po narodzinach córki, było Luhan, w prowincji Shanxi. Stamtąd przeniesiono go do Wuhu w Anhui, w dolnym biegu rzeki Changjiang (Jangcy). Tutaj, w pobliżu niezliczonych świątyń buddyjskich w Jiuhua, Jehonala spędziła większość dzieciństwa.

Wedle niektórych źródeł ojciec Jehonali zmarł, kiedy miała trzy lata, wedle innych został dyscyplinarnie zwolniony z wojska za tchórzostwo w walce z powstańcami changmao podczas rebelii taipingów. Jakikolwiek był tego powód, wiemy, że kiedy Jehonala była małą dziewczynką, jej ojciec nie był w stanie utrzymać rodziny. W chińskim systemie rodzinnej odpowiedzialności, obowiązek ten spadał na najstarszego krewnego, i od tego czasu Jehonala, jej siostra i matka, pani Niuhu-

lu, znalazły się pod opieką jednego z wujów o imieniu Mufan, w jego ojczystym języku mandżurskim Mujanga. Mujanga był naczelnikiem rodziny w Pekinie oraz, mimo iż się jąkał, wysokim urzędnikiem Cesarskiego Wydziału Robót Publicznych. To jego pozycja sprawiła, że Jehonala wraz z matką mogły się przenieść na stałe z Wuhu do stolicy.

Płynęły do Pekinu barką przez Wielki Kanał, sztuczną drogę wodną, zbudowaną w VII wieku dla ułatwienia transportu zboża z Hangzhou i doliny Jangcy do stolicy. Według jednego ze źródeł (które mogło zostać sprokurowane i puszczone w obieg przez przeciwników Jehonali, żeby ją skompromitować), Jehonala i jej matka były tak biedne, że musiały podróżować odpowiednikiem naszej dzisiejszej trzeciej klasy. Kiedy barka zatrzymała się w Gungjiang, jednego z dostojnych pasażerów odwiedził na pokładzie stary przyjaciel, daotai (główny mandaryn) miasta. Zgodnie z chińskim obyczajem, również dzisiaj, dwaj panowie spędzili noc na hazardzie. Mandaryn przegrał dużą sumę i nazajutrz, zanim barka popłynęła w dalszą podróż, wysłał na pokład służbę z pieniędzmi dla uregulowania długu. Nie wiadomo jak to się stało, ale służba się pomylił, i sakiewka trafiła do rąk owdowiałej matki Jehonali. W ten sposób nagle i niespodziewanie z łaski daotai Ojngjiangu weszła ona w posiadanie sumy, stanowiącej dla niej małą fortunę. Kiedy mandaryn odkrył, co się stało, chciał zażądać zwrotu gotówki, ale przyjaciel odwiódł go od tego zamiaru, argumentując, że kobiety są Mandżurkami, w dodatku ładnymi i że w przyszłości mogą zejść daleko, może nawet do haremu samego cesarza. „Poznały cię, jako dobroczyńcę, przyjaciela w potrzebie. Po co stwarzać sobie nieprzyjaciół, sprawiając im przykre rozczarowanie?” Mandaryn posłuchał rady i wiele lat później podobno cieszył się względami dorosłej Jehonali, która z czasem osiągnęła władzę i wpływy, o jakich wówczas przyjaciel nawet nie mógł marzyć.

Żadne doświadczenia dzieciństwa nie przygotowały jej na ten moment, kiedy stojąc na dziobie barki po raz pierwszy zobaczyła stolicę. Pekin w owym czasie był najludniejszym miastem świata, otoczonym murami, widowym dowodem potęgi i sprawności Mandżurów. Widok owej potężnej metropolii, otoczonej ponad sześciokilometrowym pasem murów o wysokości 12 metrów, zwieńczonych blankami, z masywnymi zadaszonymi basztami w narożnikach, musiał wywierać niesamowite wrażenie. Miasto wyrastało wprost z nisko położonej równiny: „Żaden widok na świecie nie mógł się z nim równać”. Poza murami, świątyniami i pałacami cesarza, aż po horyzont rozciągała się niska zabudowa miasta, zwykli ludzie mieszkali przeważnie w parterowych „pawilonach” zwanych *bianfeng*. Piętrowych domów nie pozwalano budować od dawna, bo byłoby to świętokradztwem, gdyby zwykły człowiek mógł patrzeć z góry na cesarza, gdy ten przemierza ulice w swej wybitej żółtym atłasem lektyce. Całe miasto, zaprojektowane na początku XV wieku, stanowiło sieć krzyżujących się równoległych i prostopadłych ulic. We wszystkich wielkich miastach Mandżurowie, świadomi grożącego im niebezpieczeństwa, wśród ciasnej chińskiej zabudowy wznosili otoczone murami „tatarskie miasta”, jako ochronę na wypadek buntu poddanych. Pekin też miał swoje chińskie miasto -chaotyczne i przeludnione, w którym zapachy wspaniałych przypraw chińskiej kuchni mieszały się na co dzień z odorem fekalii w rynsztokach - o niebrukowanych uliczkach, na których latem osiadał kurz, a błoto po kostki powstawało po jesiennych deszczach. Na północ od owego tętniącego życiem ludzkiego zbiorowiska znajdowało się pekińskie tatarskie miasto, bezpieczne, otoczone wysokim na 12 metrów i długim na 25 kilometrów murem - za którym stały przeznaczone wyłącznie dla Mandżurów domy i pałace. Tę monstrualną forty-

fikację wzniósł w XV stuleciu trzeci cesarz z dynastii Mingów, Yongle, a ponad dwieście tysięcy robotników zmuszono do pracy przy jej budowie. Na tym jednak kończyło się podobieństwo Pekinu do innych miejskich ośrodków. Jak chińska łamigłówka, z wyłaniającymi się kolejno pudełkami, Pekin był labiryntem bardzo i jeszcze bardziej świętych miejsc. W samym sercu tatarskiego grodu leżało Cesarskie Miasto, enklawa o powierzchni 600 hektarów, administracyjne i rządowe centrum państwa. Lecz to jeszcze nie wszystko: w środku Cesarskiego Miasta, niskie i kwadratowe, z murami w cesarskim kolorze ciemnej czerwieni, leżało Miasto Zakazane, Wielki Środek, dom Syna Niebios. W środku zaś jego uświęconych granic, w przypuszczalnym centrum Ziemi, stał tron, stolec Niebiańskiej Władzy.

Szesnastoletnia dziewczyna musiała być pod ogromnym wrażeniem rozmiarów tej tętniącej życiem, rozpościerającej się u jej stóp metropolii oraz złowrogiej powagi i splendoru czerwonych murów i złocistych dachów Wielkiego Środka. O czym myślała, patrząc na ten symbol potęgi, która zdawała się być niewzruszona? Ród, z którego obie pochodziły, wywodził się w linii prostej od Jangkunu, mandżurskiego księcia z plemienia Jeho, którego córkę wydano za wielkiego założyciela dynastii, Nurhaczego. Cesarze ciągle jeszcze brali pierwsze żony z rodu Jeho-Nala, żeby w ten sposób scementować przymierze dwóch grup i zaspokoić dumę szczepu Jeho po klęsce, jaką zadało mu plemię Nurhaczego. Najstarsza córka wuja Jehonali została cesarską małżonką, ale zmarła wkrótce po skonsumowaniu małżeństwa. Czy Jehonala ośmieliła się marzyć, że również i ona mogłaby pewnego dnia osiągnąć tak wysoką i godną pozycję?

Jakiegokolwiek by nie były marzenia Jehonali, jej nowy dom nie był zbyt wspaniały, chociaż bynajmniej nie ubogi. Wuj

Mujanga miał obszerną siedzibę, odpowiednią do jego urzędniczej rangi. Za typowym dla chińskich miast, chroniącym od ciekawskich oczu wysokim murem, pozbawionym okien od strony ulicy, stał rząd pawilonów otaczających centralny dziedziniec, na którym zieleniły się wierzby i zarośla bambusa. Chińczycy nie znoszą trawników, zamiast nich wolą źródelka i skalne groty, więc w nowym domu Jehonali z pewnością było jakieś ujęcie wody, wypływającej może ze skałek z wysoko cenionego kamienia Daihu z Jiangsu. W tym wygodnym otoczeniu Jehonala dorastała razem z kuzynką, swoją rówieśnicą Sakotą, i obie dziewczyny zaprzyjaźniły się.

Kiedy w 1850 roku stary cesarz Daoguang „dosiadł smoka”, jego następca, czwarty syn zmarłego cesarza, Xianfeng miał lat dziewiętnaście i był młodym wdowcem. Jego pierwsza małżonka, starsza siostra Sakoty, zmarła wkrótce po ślubie, i nie urodziła mu dziecka. Po śmierci każdego cesarza rytuał wymagał, żeby w czasie trwania oficjalnej żałoby, czyli w ciągu dwudziestu siedmiu miesięcy, nie zawierano nowych małżeństw. Kiedy tylko minął ten okres, w czerwcu 1852 roku, ukazał się dekret nakazujący mandżurskim urzędnikom ze wszystkich prowincji przedstawić do wglądu w Pekinie listę wszystkich spełniających wymagane warunki mandżurskich dziewcząt. Takie listy istniały zresztą zawsze i stale je aktualizowano, dodając dokładne informacje dotyczące pochodzenia, układu konstelacji niebieskich w dniu urodzin, wieku, temperamentu, wyglądu zewnętrznego i wykształcenia każdej z dziewcząt.

Wykształcenie uznawano za rzecz najmniej istotną. Po prostu nie było nań zapotrzebowania. Zgodnie z *Księgą Liji*, dokładnym opisem zasad rządzących zachowaniem się elit, zarówno w mandżurskiej jak i chińskiej społeczności, od osoby płci żeńskiej wymagano „trzech posłuszeństw”: wobec ojca,

małżonka i najstarszego syna. Wychodząc za mąż, kobieta powinna także stosować się do życzeń jej teściów.

Cztery najważniejsze kobiece powinności sformułowała po raz pierwszy w II wieku naszej ery pisarka Ban Zhao. Pouczała wszystkie kobiety:

Mają starannie strzec swojej cnoty; być powściągliwe w zachowaniu; wyrażać skromność w każdym ruchu; i brać przykład z najlepszych wzorów. To są Kobiące Cnoty.

Kobiety mają starannie dobierać odpowiednich słów; unikać wulgarnego języka; odzywać się we właściwym czasie; i nie męczyć innych (zbytnim gadulstwem). To są wskazówki dotyczące Kobięcych Słów.

Powinny myć i ścierać wszelki brud; czyścić i odświeżać ozdoby i szaty; regularnie myć głowę i kąpać się [...] To są wskazówki dotyczące Kobięcego Postępowania.

Mają z zapalem zajmować się szyciem i tkaniem; stronić od plotek i głupich śmieszek; dbać o czystość i porządek podczas przygotowywania podawanych gościom wina i pożywienia. To są wskazówki dotyczące Kobięcej Pracy.

Te cztery cechy powinna posiadać kobieta prawdziwie cnotliwa. Żadna kobieta nie może się bez nich obyć.

Jednym słowem, chińskie kobiety powinny być posłuszne i bierne. Mężczyzna był aktywnym pierwiastkiem *yang*, kobieta - cichym i pasywnym pierwiastkiem *yin*.

To nastawienie sięgnęło apogeum w praktyce krępowania stóp dziewczynkom. Nieludzka i bolesna praktyka hamowania naturalnego wzrostu stóp miała długą historię, której początek sięga dynastii Song (960-1126). Ten barbarzyński obyczaj, szeroko rozpowszechniony w wyższych klasach społecznych, w niektórych prowincjach objął nawet dziewczynki

z rodzin chłopskich. Dziewczynce w wieku pięciu, sześciu lat ciasno bandażowano stopy, uniemożliwiając ich normalny wzrost i zniekształcając je tak bardzo, że z czasem palce stykały się z piętą. Wykrzywione stópki o długości poniżej dziesięciu centymetrów z trudnością mogły utrzymać masę ciała właścicielki. Chodzenie stawało się męką, i w rezultacie powstała szkoła „chodu lilii”, który Chińscy mężczyźni uważali za podniecający erotycznie. Okaleczone stopy były też symbolem kobiecej słabości i jej absolutnego uzależnienia od mężczyzny w sprawach życiowych. Było groteskową parodią historii Kopciuszka, że dziewczosłebowie, zamiast portretu młodej dziewczyny, przynosili bucik, pasujący do jej maleńkiej stópki. Matka poszukująca żony dla syna często wybierała przyszłą synową na podstawie maleńkich wyszywanych pantofelków, które tak estetycznie ukrywały okaleczone stópki. Czym mniejszy pantofelek, tym bardziej pożądana dziewczyna. Krępowanie stóp, podobnie jak zapuszczanie paznokci u rąk do monstrualnej długości, stało się symbolem statusu społecznego: pozwolić sobie na taką deformację stóp mogły jedynie kobiety niewykonyjące pracy fizycznej, stąd samo-okaleczanie stóp stało się symbolem przynależności do wyższej kasty.

Niektórzy Chińscy intelektualiści buntowali się przeciwko tak ograniczonemu pojmowaniu kobiecości i traktowali kobiety w sposób bardziej oświecony. Pisarz Li Ruzhen użył swego talentu do ośmieszenia społecznej pogardy dla praw kobiety. Jego powieść *Jing huayuan* była w swoim czasie bardzo popularna, i bardzo przypominała satyryczne *Podróże Guliwera* Jonathana Swifta. Podobnie jak Guliwer, bohater powieści Li Ruzhena, kupiec Lin, odbywa podróże do różnych krajów. W jednym z nich, Krainie Kobiet, odwrócone są chińskie wzorce seksualnych ról kobiety i mężczyzny. Przystojny kupiec Lin

zostaje wybrany konkubentem miejscowej królowej. Choć jego męska uroda budzi zachwyt, jednak sam Lin jest uznany za nieoszlifowany diament, potrzebujący solidnego, kilkudniowego przygotowania, które w skrócie przypomina cierpienia, jakie muszą znieść chińskie dziewczęta. „Musiał nosić kobiece stroje, nałożono mu na twarz gruby makijaż, przekłuto uszy, sprawiając mu wielki ból”. Po czym następuje drobiazgowy opis największego upokorzenia: krępowania bandażami jego dużych raczej stóp. „Lin nieustannie odczuwał ból, chodzenie sprawiało mu trudności, miał kłopoty z jedzeniem i spaniem [...] przestał być panem swego losu. [Jak niezliczone dziewczęta w całych Chinach], nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia: postanowiono, że zostanie konkubentem, a decyzję po prostu mu zakomunikowano [...] Lin z człowieka stał się przedmiotem, obwieszanym ozdobami i podziwianym, ale nikt nie pytał go o zdanie, był po prostu zabawką dla kogoś innego. Ucieczka była niemożliwa, a samobójstwo wykluczone, bo bez przerwy go pilnowano, aż wreszcie załamała się jego odporność psychiczna”. Na szczęście krępowanie stóp było jednym z niewielu chińskich obyczajów, którego Mandżurowie nie zgodzili się naśladować.

Jeszcze wcześniej pewien filozof z epoki Mingów, Li Zhi (1527-1602), oświadczył, że w związku małżeńskim żona i mąż są sobie równi i mają takie same prawa, i wygłosił rewolucyjne na owe czasy zdanie: „Można być kobietą, ale intelektualnie sprostać każdemu mężczyźnie”. Niestety, ten zaskakująco nowoczesny pogląd był tylko indywidualnym podejściem do spraw płci i nie zmienił niczego w konfucjańskim systemie etycznym. Niewielkie też wrażenie zrobił na chińskim społeczeństwie. „Ograniczono swobodę i możliwość działania chińskich kobiet, bo uznano, że są z natury inne niż mężczyźni, raczej bierne niż aktywne”.

Nie odnotowano, jak radziła sobie z owymi ograniczeniami jehonała, kiedy miała kilkanaście lat, ale jej późniejsze zachowanie dowodzi, że o ile posłuszeństwo, bierność, dostosowanie się i inne obłudne frazesy mogły obowiązywać większość kobiet, ona nie uważała, że powinny ograniczać jej własną swobodę działania. Ulubioną postacią literacką Jehonali była Mulan, młoda dziewczyna, która rościła sobie pretensje do zastrzeżonej dla mężczyzn roli wojownika, i dowiodła w walce, że jest nie gorsza od mężczyzny.

Spośród dziewcząt, które z racji pochodzenia mogły ubiegać się o „zaszczyt” zostania cesarską konkubiną, podczas selekcji już na szczeblu prowincjonalnym odpadły te, które miały jakiegokolwiek wady psychiczne lub fizyczne. Mandżu-rów było około pięciu milionów, rozsianych w tłumie blisko czterystu milionów chińskich poddanych. Mimo to przesyłana do Pekinu ostateczna lista kandydatek liczyła jedynie około sześćdziesięciu nazwisk dziewcząt, uznanych za godne cesarskiej uwagi. Sześćdziesiąt wybranych z prawdopodobnej liczby półtora miliona kobiet, nawet uwzględniając, że liczba dziewcząt w odpowiednim wieku była o wiele mniejsza, to świadczy o bardzo ostrej selekcji. Niewątpliwie głęboko zakorzeniona w Państwie Środka korupcja powodowała, że pewna ilość „nadających się” dziewic nie została uwzględniona na liście, ale prawdziwszym chyba tłumaczeniem tego faktu są przede wszystkim ciężkie warunki życia, powodujące wielorakie, mniej lub bardziej poważne, zniekształcenia ciała, nawet wśród mandżurskiej szlachty. E.H. Parker, były brytyjski konsul na Dalekim Wschodzie, wracając pamięcią do czasu spędzonego w Chinach w latach sześćdziesiątych XIX stulecia, twierdził, że zgodnie z jego doświadczeniem, wszyscy członkowie ówczesnej elity Chin, mandżurskiej czy rodzimej, chińskiej:

... zdają się mieć jakieś «straszne zniekształcenia»: przerażające wole; jedną stronę twarzy całkiem różną od drugiej; jakiegoś dziwnego zęza, cztery lub pięć zębów zrosniętych razem w jedną kość; duże wgłębienie w czole; brodę, złożoną z sześciu długich, szczeciniastych włosów; orle szpony zamiast paznokci. Każdy miał też w owym czasie głębokie dzioby po ospie.

Uroda była więc wyróżnikiem, ze względu na to, że zdarzała się rzadko. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że młoda Je-honala była piękna. Chociaż niska jak na Mandzurkę, miała nie więcej niż 152 cm wzrostu, jej twarz, pełen uroku uśmiech i doskonale proporcje figury czyniły z niej godną rywalkę „Piękności o Okrągłej Twarzy” z chińskiej legendy, kobiety na którą mężczyźni nie mogli patrzeć bez pożądania, damy dworu zaś na jej widok zawsze odczuwały zazdrość. Dodajmy do tego bystrą inteligencję, przewrotne poczucie humoru i dźwięczny zmysłowy głos („aksamitny”, jak go określił sir Rober Hart, z którego pisania zdaje się wynikać, że sam był „zdobyczą” Jehonali) oraz to, że nie można było nie zwrócić na nią uwagi, kiedy wchodziła do pokoju. Ona sama była tego świadoma: „Wiele osób było o mnie zazdrosnych - miała mówić w późniejszym wieku - bo uważano mnie wówczas za piękną kobietę”. Inne, mniej chwalebne cechy jej osobowości - nieprzewidywalny, wybuchowy temperament i mściwość -które stały się później legendarne, były bez wątpienia starannie skrywane przed egzaminatorami w czasie jej pierwszej wizyty w Mieście Zakazanym.

Osobiści kurierzy cesarza przekazali szczęśliwym sześćdziesięciu dziewczętom wezwania do stawienia się w Pałacu. Heroldowie ci z wielką pompą w powozach lub lektykach w żółtym kolorze cesarskim (symbolizującym słońce i nadzwyczajny status cesarza jako Syna Niebios) zjawiali się przed

domem każdej z wybranek. Niezależnie od tego, co myślała o tym sama dziewczyna, przybycie cesarskich wysłańców natychmiast wzmagało prestiż jej rodziny i podnosiło jej status społeczny. Wysłańców witano z wszelkimi oznakami pokory, głowa domu kłaniała się do ziemi, tak, jakby przybywał sam cesarz. Należący do obyczaju rytuał symbolizował absolutną władzę cesarza nad poddanymi: wezwanie nadeszło i nie można było nawet pomyśleć o odmowie.

Jest niemal pewne, że Jehonala wolałaby nie przyjąć tego ofiarowanego jej „zaszczytu”. Zanim przyszło cesarskie wezwanie, miała poślubić jednego ze swych kuzynów, wysokiego, przystojnego Rong Lu. Według wielu źródeł młodzi byli w sobie bardzo zakochani i wkrótce miał się odbyć ich ślub. To uczucie miało przetrwać przez całe ich życie, i jeśli mamy wierzyć krążącym po Pekinie plotkom, tę niefortunną parę można porównać z Lancelotem i Ginevrą na dworze króla Artura. Niezależnie od tego, jaka była prawda, Rong Lu miał przez wiele lat odgrywać decydującą rolę, pomagając swojej utraczonej miłości w osiągnięciu władzy absolutnej.

Wezwanie do Pałacu musiało wstrząsnąć światem Jehonali i jej marzeniami na przyszłość. Zmieniało wszystko: skoro wybrano ją dla Syna Niebios, nie mogło być mowy o małżeństwie z Rong Lu. Tak brutalny kres jej dziewczęcych marzeń musiał wywrzeć zasadniczy wpływ na Jehonale. Miała szesnaście lat, była zakochana w przystojnym młodym wojskowym, który odwzajemniał jej uczucia i chciał ją poślubić. I oto nagle wszystko to zostało jej odebrane, marzenia miłosne legły w gruzach, gdy były jeszcze młodzieńczo świeże, zanim czas i życiowe doświadczenie mogły ostudzić ich namiętność. Byłoby sprzeczne z naturą ludzką, gdyby nie winiła cesarza za tę katastrofę. Jest bardzo prawdopodobne, że to trzęsienie ziemi, które zadecydowało o losie Jehonali, pozostawiło w jej ser-

cu nieuleczalną nienawiść i (w połączeniu z plemiennymi zatargami i rywalizacją między rodami Jeho-Nala a Aisin Gioro) tłumaczy być może jej późniejszą obojętność, a nawet okrutne lekceważenie losu dynastii i cesarskich następców tronu.

Nawet pomyślne przejście przez sito selekcji nie gwarantowało kandydatce na konkubinę, iż kiedykolwiek zostanie zaszczycona łaską cesarza. Harem był tak olbrzymi, że można było dostąpić rangi konkubiny i nigdy nie znaleźć się w cesarskim łóżu. Kobiety cesarza nigdy nie opuszczały Miasta Zakazanego, męską zaś obsługę seraju stanowili wyłącznie eunuchowie, zatem zostanie konkubiną mogło stanowić dla dziewczyny wyrok dożywotniego dziewictwa. W przypadku śmierci cesarza, obyczaj zabraniał jego żonom powtórnego za-mążpójścia, jak również opuszczenia granic Wielkiego Środka (niezależnie od tego, czy małżeństwo było skonsumowane). Tak więc kobiety w haremie stawały się dożywotnimi więźniarkami za jego czerwonymi murami. W 1924 roku, kiedy rozpędzono resztki mandżurskiego dworu, w Mieście Zakazanym znaleziono trzy stare kobiety, zapomniane żony dawno zmarłych cesarzy, dożywające swych dni w labiryncie rozpadających się komnat, w całkowitej nieświadomości świata.

W wyznaczonym dniu sześćdziesiąt kandydatek starannie przygotowywało się na oględziny. Podobnie jak jej rywalki, Je-honala użyła białego ołowiowego pudru, żeby zamienić swoją twarz w białą maskę w stylu gejszy, na policzki położyła dwie plamki róży oraz, jak kazał obyczaj, czerwoną szminką pomalowała dolną wargę na wzór róży lub wiśni. Odzianą w najkosztowniejsze szaty i biżuterię, na jaką mogła sobie pozwolić jej rodzina, potencjalną konkubinę niesiono w lektyce ku wysokim murom Wielkiego Środka. Otulona wilgotnym, dusznym powietrzem wewnątrz palankinu, zasłonięta przed niepowołanymi oczami, słysząc głównie skrzypienie drewnianych

drażków lektyki, stękanie tragarzy i kłapanie ich stóp w kurzu drogi, Jehonala, podobnie jak inne kobiety w jej sytuacji, musiała znajdować się w stanie silnego podniecenia. Nikt nie wiedział, czego się spodziewać i jakie zmiany mogą przynieść następne godziny. Ciężkie, haftowane, jedwabne zasłony tłumiły odgłosy pekińskiej ulicy: krzyki przekupniów, dźwięk kołatki, w którą uderzał uliczny golibroda, stukot wydrążonego bambusa, oznajmiający pojawienie się lekarza, wreszcie bębenek sprzedawcy węgla drzewnego. W miarę jak lektyka zbliżała się do placu Tiananmen uliczne hałasy oddalały się i cichły, aż wreszcie palankin przestał się kołysać, i tragarze postawili lektykę na ziemi. Zasłony odciągnięto i Jehonala znalazła się w strefie cienia na obrzeżach Miasta Zakazanego. Tutaj oddalono jej własnych służących i wszystkie dziewczęta, prowadzone przez eunuchów, poszły dalej pieszo, zapuszczając się coraz głębiej w labirynt wyłożonych żółtymi i błękitnymi kafelkami pawilonów i pałaców, które tworzyły wewnętrzną strefę Wielkiego Środka. Doprowadzono je wreszcie do Neiwufu, cesarskiego pawilonu, gdzie miały czekać na przybycie Cesarzowej Wdowy, małżonki zmarłego cesarza Daoguanga i matki nowego Syna Niebios, która, zgodnie z konfucjańską tradycją synowskiego oddania, stała o szczebel wyżej od cesarza. To ona, wspomagana radami Głównego Eunucha An Dehaia, miała decydować, które z dziewcząt nadawały się na towarzyszki życia jej syna, Niebiańskiego Księcia. Sala przyjęć obwieszona sztandarami i wielobarwnymi lampionami, pełna była dworzan w uroczystych szatach z barwnego jedwabiu, zdobionych perłami i nefrytem. Wszyscy oni ciekawi byli ujrzeć nowe kandydatki do cesarskiego haremu. Cesarz, chociaż także uczestniczył w uroczystości i siedział obok Cesarzowej Wdowy, blady i osłabiony latami rozpusty, nie odgrywał żadnej aktywnej roli w tym, co miało się wydarzyć. Nikt też nie pytał go o zdanie.

Dziewczęta ustawiono razem i każdą po kolei prezentowano Cesarzowej Wdowie. Kiedy kandydatka na przyszłą synową zbliżała się do niej, seniorka cesarskiego rodu miała trochę czasu, żeby przyjrzeć się jej rysom i postawie. Gdy już każda złożyła głęboki ukłon przed ich cesarskimi gośćmi, podano herbatę, i cały dwór mógł przyjrzeć się i ocenić wdzięk lub jego brak, z jakim dziewczęta przystępują do tego najbardziej podstawowego rytuału w chińskim społeczeństwie.

Wiele lat później księżniczka Derling zostawiła nam opis lat, jakie spędziła z wiekową już wówczas Jehoną. Zgodnie z jej relacją Jehona twierdziła, że już podczas owego pierwszego spotkania cesarz wykazał wielkie zainteresowanie jej osobą, podczas gdy na inne kandydatki nie zwracał uwagi. Chociaż oficjalnie nie wolno mu było okazywać swoich preferencji, w czasie tego spotkania znalazł jednak sposób, żeby dać wyraz swojemu zainteresowaniu córką chorążego. Jehonę zaproszono do cesarskiego stołu, i do udziału w rozmowie z rodziną cesarza. Wprawdzie wykształcenie zajmowało dalekie miejsce wśród cech wymaganych od cesarskiej konkubiny, Jehona była jednak na tyle obznajmiona z chińską klasyką, że mogła wykorzystać tę okazję, by zaimponować młodemu monarsze nie tylko urodą, lecz również inteligencją.

Jeśli nawet ta opowieść jest prawdziwa, Cesarzowa Wdowa nie przywiązywała wielkiej wagi do podziwu cesarza. Cesarskie konkubiny były podzielone na cztery klasy. Cesarzowa Wdowa stosowała ostre kryteria: z sześćdziesięciu zaprezentowanych dziewcząt żadnej nie przyznano pierwszej rangi, guifei. Jehona znalazła się wprawdzie wśród dwudziestu ośmiu kandydatek zakwalifikowanych do haremu, ale otrzymała raczej niską, trzecią rangę (guiren). Jej kuzynka Sakota, (która według wielu relacji nie była ani tak urodziwa, ani inteligentna), otrzymała drugą rangę (pin). Jehona i Sakota

musiały się jednak cieszyć, że razem zostaną w haremie. Życie w Mieście Zakazanym oznaczało niemal kompletną izolację od normalnego życia rodzinnego. W dniu, w którym zamykały się za nią Wrota Południka, każda mieszkanka haremu była skazana na życie do końca swoich dni w obrębie Miasta Zakazanego, z rzadka tylko mogąc spotykać się z przyjaciółmi i członkami rodziny. Kuzynki mogły więc teraz liczyć tylko na siebie nawzajem, nie ulegało zaś wątpliwości, że będą sobie potrzebne. Świat, w który wkraczały, był w najwyższym stopniu niebezpieczny, znalazły się na jednym z najbardziej rozwiązłych, zdradzieckich i okrutnych dworów, jakie znają dzieje Wschodu i Zachodu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wielki Środek

Miasto Zakazane, zespół pałacowy Niebiańskiego Księcia, władcy Wszystkiego pod Niebieskim Sklepieniem, zbudował Yongle, czwarty syn pierwszego cesarza Mingów, Zhu Yuanzhanga, byłego buddyjskiego mnicha, który w rezultacie uwieńczonego powodzeniem buntu przeciw mongolskiej dynastii Yuan w 1368 roku zapoczątkował rządy Mingów na tronie Państwa Środka. To Yongle w 1422 roku przeniósł siedzibę rządu z Nankinu (południowej stolicy) do Pekinu.

Główne budowle Miasta Zakazanego, wzniesione w latach 1410-1420, usytuowano na centralnej osi północ-południe. Na jego obszarze o łącznej powierzchni siedmiuset dwudziestu tysięcy metrów kwadratowych znajduje się przeszło dziesięć wielkich pałaców, dziewięć tysięcy pomieszczeń, trzy parkowe ogrody i świątynia lamaistyczna. Główne świątynie i pałace to niesłychanie bogato zdobione budowle, całe z drewna, o pomalowanych na cynobrowo murach i dachach krytych żółtą dachówką (kolor żółty jest symbolem słońca, a zatem również cesarza). W Mieście Zakazanym wszystko jest symbolem: każdy kolor, nazwa i kształt coś znaczy. Każdy pałac stoi na tarasie z białego marmuru, bogato rzeźbionym w skomplikowane wzory, z których najbardziej znaczące to smok i feniks - dwa znaki z cesarskiej pieczęci. Trzy główne pawilony

(Sale Harmonii) pałacu zewnętrznego, których rzut poziomy tworzy chiński znak odpowiadający „ziemi”, stoją na trójpoziomym tarasie z białego marmuru. We wszystkie drzwi wbito po dziewięć rzędów gwoździ, po dziewięć w każdym rzędzie: dziewięć jest najwyższą cyfrą nieparzystą i dlatego reprezentuje godność cesarza. Chińska nauka geomancji, zasada feng shui, „wiatr i woda”, przyświecała budowniczym wznoszącym cały kompleks. Tak jak cesarza nazywano Nan Mian, „zwrócony na południe”, tak też na południe był zwrócony Pekin, jego stolica. Chińczycy uważali, iż miasto, otoczone od północy półkolem wzgórz, spogląda na południe, ku uprawnym polom wschodniochińskiej równiny. W samym centrum stolicy, w Mieście Zakazanym, znajdował się tron, wokół którego - jak wierzyli - obraca się cały świat. W ten sposób (zgodnie z chińską wersją hermetycznej reguły „jak na górze, tak na dole, jak na dole, tak na górze”) struktura Państwa Środka stanowiła lustrzane odbicie symetrii nieba, poruszającego się w doskonałej harmonii wokół usytuowanej centralnie Gwiazdy Polarnej, jak powiadają Chińczycy: „Wszystkie gwiazdy Niebios oddają hołd Północy”; tak samo „Wszystko pod Niebieskim Sklepieniem” oddawało cześć cesarzowi na tronie Północy.

Mieszkańcy tego miasta symboli żyli w uprzywilejowanej izolacji na samym szczycie ogromnej ludzkiej piramidy, w krainie słynnej z urodzajności, która w czasach Jehonali liczyła około czterystu milionów ludzi. Jej podstawę stanowił tłum „durnych ludzi”, wieśniaków, kupców i rzemieślników. Handlarze i rzemieślnicy stanowili klasę najniższą, stosunkowo nieliczną i otaczaną pogardą (żaden Mandżur za nic nie chciałby uczyć się jakiegoś rzemiosła ani zajmować się handlem). Chiny były krajem rolniczym, zamieszkałym głównie przez wieśniaków uprawiających ziemię techniką kojarzoną

bardziej z ogrodnictwem niż rolnictwem. (Jeszcze w ostatniej dekadzie XX wieku o Chinach mówiono, że jest „gigantycznym ogródkiem działkowym”). Ich zadanie było proste: mieli dostarczyć tyle żywności, żeby wyżywić społeczeństwo. Na szczycie społecznej piramidy stała elita społeczna Chin, uczeni urzędnicy, znani na zachodzie jako mandaryni. Mandarynom przysługiwały wszelkie przywileje, do nich należała lwia część ziemi uprawnej, oni też cieszyli się największymi wpływami i prestiżem, gdyż zawładnęli stanowiskami najżywotniejszymi dla funkcjonowania kraju, obejmując rządy w niezmiernym Niebiańskim Cesarstwie. Każda z chińskich prowincji pod względem rozmiarów jest porównywalna z którymś z nowoczesnych państw europejskich - na przykład prowincja Sichuan jest większa od Wysp Brytyjskich i ma podobną liczbę ludności, około sześćdziesięciu milionów -w każdej mówi się własnym dialektem, często niezrozumiałym dla sąsiadów. W XIX wieku, wobec trudności w dziedzinie komunikacji i transportu istniało niebezpieczeństwo, że cesarskie Chiny składające się z tak olbrzymiej masy ogromnie zróżnicowanej ludności, mogą popaść w anarchię i ulec podziałowi. To głównie mandarynom zawdzięczać należy, że tak się nie stało (i że Chiny przetrwały jako jeden organizm państwowy od ich zjednoczenia w 221 roku p.n.e.). Sami nieproduktywni, spełniali jednak ważną społecznie funkcję nadzorców i koordynatorów pracy innych. Oni to „przygotowywali kalendarz”, organizowali transport i wymianę towarów, nadzorowali budowę dróg, kanałów, grobli i tam; ich zadaniem było kierowanie wszelkimi pracami publicznymi, zwłaszcza mającymi na celu zapobieżenie suszom i powodziom; oni inicjowali wszelkiego rodzaju prace irygacyjne i czuwali nad gromadzeniem zapasów na wypadek głodu. W społeczeństwie spełniali jednocześnie rolę architektów,

inżynierów, nauczycieli, administratorów i władców. Mengzi, prawdopodobnie najzdolniejszy z uczniów Konfucjusza, tak określał ich znaczenie:

Wielcy ludzie zajmują się właściwymi dla nich sprawami, i mali ludzie zajmują się tym, co do nich należy... Niektórzy pracują głową, a inni wykorzystują w pracy swoją siłę. Ci, którzy pracują głową rządzą innymi; ci, którzy wykorzystują w pracy siłę, są kierowani przez innych. Ci, którzy są kierowani przez innych, są dla nich oparciem; ci, którzy kierują innymi, korzystają z ich poparcia.

W przeciwieństwie do zachodnich teorii o specjalizacji, mandaryni uznawali tylko jedno powołanie: sprawowanie rządów. Odrzucali skrupulatnie zajmowanie się rolnictwem, astronomią, architekturą lub jakąkolwiek inną spośród niezliczonych specjalistycznych dziedzin wiedzy, uważając, że studiowanie klasyków, muzyki, poezji i kaligrafii stanowi lepsze przygotowanie dla wszechstronnego i pojętnego „menadżera”, który będzie w stanie sprostać wielorakim wymaganiom, jakie nakładały na niego obowiązki administratora. Ten niepowtarzalny chiński system zarządzania pod wieloma względami dawał dobre wyniki; nie mógłby przecież przetrwać niemal bez zmian przez ponad dwa tysiące lat, gdyby nie miał pewnych zalet. Ideały konfucjańskie pielęgnowały uczciwość, szacunek dla przeszłości, rodziców i dynastii cesarskiej. System ten ustanowił stabilny układ stosunków społecznych, które, przynajmniej w teorii, powinny spowodować wykształcenie się dobrze urządzonego, uporządkowanego, dobrze odżywionego, zgodnego społeczeństwa ludzi zadowolonych ze swego losu.

Rzeczywistość jednak daleko odbiegała od ideału, tym co powstało, była forma państwa dziedzicznej biurokracji, w któ-

rej każdy znał swoje miejsce (albo mu je wskazywano). Niżej urodzeni teoretycznie mogli wspinać się po szczeblach kariery dzięki systemowi egzaminów, na których sprawdzano ich znajomość klasyki konfucjańskiej, umiejętność kaligrafii oraz napisania eseju („praca na osiem nóg”), co pozwalało kandydatom zaprezentować cały wachlarz swego wykształcenia. Ci, którzy otrzymywali na egzaminach najwyższe noty, mieli szeroko otwarte drzwi do wysokich stanowisk w administracji rządowej niezależnie od posiadanego majątku i pochodzenia. Mandaryni chlubili się populistycznym i merytokratycznym charakterem takiego systemu egzaminów, lecz prawda była taka, że system ten przyczyniał się do niwelowania poziomu jedynie w obrębie ich własnej klasy. Przygotowanie do egzaminów zabierało lata, czasami dziesiątki lat, cierpliwego studiowania pod kierunkiem mentora lub wychowawcy, umiającego objaśnić uczniom całą mądrość klasyków i zawiłości ich stylu. Chłopi, kupcy i rzemieślnicy nie mogli sobie pozwolić na takie studia, ich koszty były zbyt wysokie; tylko dobrze sytuowany mandaryn mógł mieć na to środki. Bez względu na wzniosłą retorykę wychwalającą prawdę i uczciwość, mandarynat był faktycznie samoodtwarzającą się oligarchią. I tak jak wszystkie oligarchie w sytuacji zagrożenia, także chińska nie wzdragała się przed użyciem drastycznych środków w celu zabezpieczenia swoich interesów.

Wymiar sprawiedliwości w Chinach w XIX wieku był arbitralny, okrutny i faworyzujący klasę panującą. Gniew państwa spadał nie tylko na jednostkę, lecz na jego całą rodzinę. Postawiono na głowie system szerszej rodziny lub rodu, w którym każdy członek jest odpowiedzialny za pomyślność wszystkich, wykorzystując go dla zaprowadzenia terroru. Represje za przestępstwo popełnione przez jednego człowieka dotyczyły całego rodu: zdarzało się, że całe rodziny uśmiercano

lub na całe życie wysiedlano regiony pustynne, tylko dlatego, że jeden z nich dopuścił się wykroczenia. Każdego oskarżonego uważano za winnego, dopóki nie udowodnił swej niewinności, co było godne pożałowania w epoce, kiedy decyzje sędziego, jak każdy inny towar, najczęściej kupowano i sprzedawano. Tortury były na porządku dziennym; podsądnego podduszano sznurem obciążonym ciężarkami, aż do utraty przytomności przytrzymywano jego głowę pod wodą, pod paznokcie dłoni i stóp wbijano bambusowe szpilki, żeby wydobyć z oskarżonego „prawdę”. Wykonanie kary następowało niemal natychmiast po wyroku, a sama kara (nawet w porównaniu z drastycznymi metodami postępowania z przestępcami w wiktoriańskiej Anglii) była barbarzyńska, przerażająca i wymyślna.

Najczęstszą formą kary głównej było ścięcie głowy, ale na przykład rabuś drogowy mógł też zostać ukrzyżowany w pobliżu miejsca zbrodni; okradających groby umieszczano w drewnianych klatkach i zostawiano, dopóki nie umarli z głodu lub porażenia słonecznego. Schwytanych bandytów zmuszano do „stójki w balii”, co polegało na tym, że stawiano ich na kilku ceglach w beczce napelnianej nielasowanym wapnem, a kat codziennie wyjmował jedną z tych cegieł, tak że nogi przestępcy zagłębiały się coraz bardziej w wapnie, które przeżerało aż do kości skórę i mięśnie skazańca. Czasami stosowano rodzaj dybów, unieruchamiając głowę skazańca między dwiema deskami, które uniemożliwiały mu sięgnięcie dłońmi do ust, tak że sam nie mógł jeść ani pić. Za drobne przewinienia sędzia skazywał na „kilka dni gąsiora”; przy poważniejszych przestępstwach dyby zostawiano, dopóki zbrodniarz nie skonał z pragnienia lub z głodu. Zdradę uważano za straszną zbrodnię (jako przestępstwo przeciw Niebiańskiemu Władcy zagrażała podstawowym zasadom filozofii konfucjań-

skiej), więc najokrutniejsze kary zarezerwowano dla buntowników i zdrajców. Takiego przestępcę powoli ćwiartowano -kat dosłownie ukrecał stopniowo jego poszczególne członki, aż do spowodowania śmierci nieszczęsnika.

Dekretowane przez mandarynów okrucieństwa należy uznać za tym bardziej odrażające, że sam mandarynat był jedną z najsilniej skorumpowanych i sprzedajnych chińskich instytucji. Ogromne wydatki na wykształcenie, uniemożliwiające wejście do mandarynatu ludzi ze „sfer niższych”, były również ogromnym obciążeniem dla mniej zamożnych rodzin mandaryńskich. Duża ich część musiała zaciągać pożyczki, żeby przetrwać okres studiów. Na wielu etapach tej złotej drogi do rządowych posad trzeba było także „smarować wonnym tłuszczem” rozmaitych urzędników, a niechętnym decydenci bez żenady przypominali o tym obowiązku. Później, gdy nominat był już dobrze okopany na stanowisku, ci wszyscy „pomocnicy” domagali się wdzięczności za swoją uprzejmość, a jednocześnie rozległa rodzina nowego urzędnika oczekiwała od niego pomocy finansowej. Doktryna konfucjańska nauczała, że interes rodziny jest nadrzędny nad interesem państwa, dając racjonalne wytłumaczenie i zielone światło praktyce nepotyzmu. W całym cesarstwie wysokie stanowiska zajmowali niekompetentni urzędnicy, mianowani ze względu na powiązania rodzinne. Pensje owych „sług państwa” były przysłowiowo niskie, wymagany zaś przez zasady konfucjanizmu uniżony szacunek dla przełożonych uniemożliwiał zwracanie się do nich z jakąkolwiek prośbą o podwyżkę.

W tej sytuacji trudno się dziwić, że jedynym alternatywnym źródłem dochodu mandaryna było wymuszanie łapówek i usług od tych, którymi miał rządzić. Brał więc łapówki za przymykanie oczu na takie nielegalne praktyki, jak palenie i szmuglowanie opium; szantażował legalnych przedsiębiorców,

którzy musieli mu się opłacać, żeby uniknąć kar. Z czasem takie postępowanie stało się normą, sankcjonowaną przez obyczaj, przenikając do wszystkich dziedzin życia w Chinach. Pozwoliło to niektórym dostojnikom zgromadzić ogromne fortuny. Kiedy w 1799 roku, po dwudziestu latach sprawowania władzy, niesławnej pamięci minister He Shen musiał wreszcie odpowiedzieć za swoje czyny, skonfiskowano mu dziewięć tysięcy sztabek czystego złota, 288 dużych rubinów, 4070 szafirów, oraz liczącą 4288 sztuk złotą zastawę stołową. Po wymuszonym samobójstwie ministra jego całkowity majątek wyceniono na przeszło osiemset milionów taeli, co równało się blisko 60 procentom dochodów cesarstwa w owym okresie. Upadek ministra nie powstrzymał jednak innych mandarynów: w roku 1841, zaledwie dziewięć lat przed przybyciem Jehonali do Miasta Zakazanego, skarb państwa stwierdził, że ci sami urzędnicy, których powołano do strzeżenia skarbcza, ukradli z jego zasobów dziewięć milionów taeli.

Strukturę społeczeństwa chińskiego, jego podział na klasy i kasty, obyczaje i rytuały, a także system nagród i kar, utrwalił na dwa tysiąclecia konfucjański kodeks etyczny. Po podboju Chin przez potomków Nurhaczego w 1644 roku, na szczycie owej odwiecznej konfucjańskiej piramidy legła jeszcze jedna czapa, dodatkowa struktura przywilejów mandżurskich. Mandżurowie zazdrośnie strzegli swej czystości rasowej: nie wolno im było poślubiać Chinek (choć ten zakaz w miarę upływu lat coraz częściej łamano); mieli mieszkać osobno, nie stykając się z miejscową ludnością, w ufortyfikowanych grodach, dostarczających schronienia na wypadek rebelii. W całych Chinach wyodrębniono obszary ziemskie dla potomków zdobywców kraju, najżyźniejsze zaś pola zarezerwowano dla szlachty mandżurskiej, potomków owych wojowników, którzy niegdyś poparli wnuków Nurhaczego w ich dążeniu do opano-

wania Tronu Smoka. Mieli ogromne posiadłości, a także udział w zarządzaniu cesarstwem za pośrednictwem takich ciał przedstawicielskich jak Wielka Rada. Jej arystokratyczni członkowie intrygowali i zdradzali się nawzajem, walcząc o względy cesarza, władzę i status społeczny, bez których ich życie byłoby niewiele warte.

Miasto Zakazane, nowy dom Jehonali, stało jednak ponad szlachtą mandżurską, spokojne i odległe od wszelkich kłopotów zewnętrznego świata - tak przynajmniej sądziła większość Chińczyków. Dla nich Miasto Zakazane było omfalosem, pępkiem świata. Znajdował w nim odbicie Niebiański Porządek, leżało na osi między Niebem a Ziemią, i było częścią obydwójga. Wielki Środek był światem wewnątrz świata, Chinami w miniaturze. Biurokracja pałacowa była lustrzanym odbiciem państwowej; składała się z czterdziestu ośmiu urzędów, z których każdy miał pod swoją opieką jakiś osobny dział usług, od finansów i czynszów, po hodowlę słynnych pekińczyków, „lwich piesków”, i dostawę produktów dla pałacowych kuchni. Pod jednym jednak, bardzo ważnym, względem pałac wcale nie przypominał narodu. O ile struktura ludnościowa Państwa Środka wykazywała taką samą mniej więcej liczbę kobiet i mężczyzn, w Mieście Zakazanym, wobec istnienia cesarskiego haremu, nie mogło być mowy o jakiegokolwiek równowadze pomiędzy dwiema płciami. Automatycznie wykluczeni z niego byli wszyscy dorośli mężczyźni (z wyjątkiem oczywiście samego cesarza) i jedyną przeciwwagę dla trzech tysięcy kobiet, służących i konkubin, stanowiła w obrębie tych czerwonych murów taka sama liczba „półmężczyzn”, pałacowych eunuchów. Wbrew świadectwom historycznym, zgodnie z oficjalnym chińskim poglądem eunuchów, jak to wyraził jeden z cesarzy, uważano za „stworzenia nieszkodliwe, posłuszne i lojalne niczym wykastrowane zwierzęta”. Mężczyzn

niezdolnych do płodzenia dzieci uważano za mniej skłonnych do popełniania zdrady w celu zapewnienia dobrobytu potomstwu. Element męski to jang, w którym zawarta jest siła i aktywność; element kobiecy to jin - symbolizujący słabość i bierność. Uważano więc, że mężczyźni, pozbawieni elementu jang, skłaniają się ku jin, i stają się ulegli i posłuszni, nie stanowiąc żadnego zagrożenia. Zignorowano najwyraźniej inny „aspekt” owego systemu chińskiej filozofii: związków elementu jin ze złem.

To dziwne, ale relacje historyczne dotyczące eunuchów pojawiają się mniej więcej w tym samym czasie na Wschodzie i na Zachodzie, czyli w VIII wieku p.n.e. Praktyka zatrudniania kastratów w służbie króla lub wielmożów jest niemal na pewno jeszcze starsza. Wśród starożytnych chińskich znalezisk archeologicznych z okresu panowania cesarza Wu Dinga z dynastii Yin odkryto kość z wrytym piktogramem, składającym się z dwóch elementów, obok niego zaś inny oznaczający lud pasterzy Jiang, przeciwników dynastii Yin. Pierwszy, dwuczęściowy piktogram składa się z dwóch osobnych znaków, z których jeden oznaczał męskie genitalia, drugi zaś czasownik „ciąć”. Takich kości, z wypisanymi na nich pytaniami, używano do wróżb, i wydaje się, że jakieś 3300 lat temu cesarz Yinów, Wu Ding, pytał bogów, czy powinien wykastrować pojmanego Jianga.

Technika produkowania eunuchów szybko posuwała się naprzód, zmieniając się z pierwotnej brutalnej kastracji wrogów w wyrafinowaną procedurę chirurgiczną. Jedną z pierwszych cywilizacji uznających eunuchów za odrębną klasę w ramach struktur społecznych był Egipt, gdzie ranę po kastracji posypywano popiołem i zalewano gorącym olejem w celu zatamowania upływu krwi, po czym „świeżo upieczonemu” eunucha zagrzebywano w gorącym piasku po pępek

i zostawiano tak. na pięć do sześciu dni. Trudno się dziwić, że w tych warunkach około sześćdziesięciu procent kastrowanych umierało w męczarniach. W południowych Indiach operacje przeprowadzano w sposób bardziej wyrafinowany. Pacjenta sadzano w specjalnie skonstruowanym krześle i podawano mu opium dla uśmierzania bólu. Następnie chwymano jego genitalia w bambusowe szczypce i wzdłuż ich brzegów pociągano wyostrzonym jak brzytwa ostrzem, dokonując amputacji. Ranę przemywano gorącym olejem i bandażowano płótnem nasączonym olejem, po czym układano pacjenta na plecach i karmiono mlekiem, dopóki zupełnie nie wyzdrowiał.

Za dynastii mandzurskiej operację tę przeprowadzano już bardziej profesjonalnie, a specjaliści od zabiegu i ich uczniowie uprawiali swój proceder w *chang zi*, małym domku tuż przy zachodnich wrotach pekińskiego pałacu cesarskiego. Koszt operacji wynosił sześć taeli. W tych czasach wszystko wykonywano już w sposób bardziej cywilizowany: dół brzucha i górną część ud kandydata na eunucha ścisano bandażami, żeby ograniczyć dopływ krwi do tych części ciała, oraz zmniejszyć utratę krwi w następstwie operacji. Przed samą operacją genitalia trzykrotnie przemywano wodą z pieprzem w celu częściowego znieczulenia, pacjentowi podawano odurzającą herbatę i sadzano go w kangu, podgrzewanym fotelu. Do uwięzionego w odpowiedniej pozycji i przytrzymywanego przez uczniów w pasie i za uda podchodził specjalista z nożykiem o zagiętym ostrzu i zadawał pytanie: *Hou hui bu hou huil* („Czy nie będziesz tego żałował?"). Jeśli pacjent nie był do końca zdecydowany, operacji nie dokonywano, jeśli jednak mężczyzna godził się na zabieg, nożem pozbawiano go penisa i moszny. Przewód moczowy zatykano koreczkiem, ranę zaś okrywano papierem nasączonym wodą i bandażowano.

Inaczej niż w Indiach, zaraz po założeniu opatrunku pacjentowi kazano, z pomocą uczniów, chodzić po izbie przez dwie do trzech godzin, zanim pozwolono mu spocząć. Przez pierwsze trzy dni nie wolno mu było przyjmować płynów, pozwalano na to dopiero czwartego dnia, po usunięciu zatyczki moczowodu. Jeżeli z małej dziurki w ranie popłynął mocz, rokowania były pomyślne. Brak wycieku oznaczał, że moczowód zaczął zarastać i wówczas pacjent umierał w męczarniach w ciągu kilku następnych dni. Chińscy specjaliści od kastracji byli jednak tak biegłymi chirurgami, że George Stent, który pod koniec lat siedemdziesiątych XIX wieku zbierał takie informacje z pierwszej ręki, i spędził wiele lat, studiując chińskie archiwa, znalazł wzmiankę tylko o jednej nieudanej operacji. Po amputacji trzeba było około stu dni, żeby rana się zupełnie zagoiła, ale nowy eunuch dopiero mniej więcej po roku mógł objąć swe obowiązki w Mieście Zakazanym.

W czasie owych dwunastu miesięcy następowały zmiany fizyczne. Kastraci operowani już po osiągnięciu dojrzałości płciowej tracili owłosienie na twarzy i tułowi (operowani wcześniej w ogóle nie mieli włosów na ciele), zaś ich męski głos zamieniał się w falset. Mięśnie traciły elastyczność, pod skórą pojawiała się warstwa tłuszczu, nadając im wyraźnie obojnaczą figurę. Zmieniał się także ich sposób chodzenia: posuwali się drobnymi krokami bardziej pochyleni do przodu, rozstawiając stopy na zewnątrz. Niektórzy eunuchowie zdawali się nie zmieniać aż tak bardzo, dając temat opowieściom o tym, że niektórym odrastają genitalia, tylko w mniejszym rozmiarze. Według innych opowieści normalni mężczyźni przekupywali czasami eunuchów, chcąc znaleźć się w ich kręgu w Mieście Zakazanym, i zostawali kochankami cesarskich konkubin, a nawet samej cesarzowej. Autorzy kilku antymandzurskich pamfletów twierdzili nawet, że faworyt Jehonali,

eunuch An Dehai, był faktycznie jej kochankiem. Mogło się zdarzyć, że An Dehai był eunuchem, a także kochankiem Je-honali, jeżeli wykastrowano go, usuwając jedynie mosznę. Taka technika kastracyjna, rzadka w Chinach, miała jakoby tworzyć kategorię bezpłodnych kochanków o niezwyklej wytrzymałości w czasie stosunku. Pisarz arabski z VIII wieku wspomina, iż Bizantyńczycy (których on nazywa Rumami):

nie ruszają penisa, pozbawiając jedynie jąder [...] Gdy chodzi o rozkosz i zaspokajanie żądz, Rumowie twierdzą, że oni (eunu-chowie) osiągają szczyty nieznane nie kastrowanym mężczyznom. Powiadają, że eunuch potrafi jakoby wycisnąć z kobiety wszystko co tylko możliwe, a to dzięki swej nadzwyczajnej zdolności do przedłużania [aktu seksualnego].

Żeby zapobiec obrazie cesarskiego majestatu, w Wielkim Środku regularnie przeprowadzano badania eunuchów. Po operacji eunuch odkupywał swe genitalia od kastratora i przechowywał je w hermetycznym słoju. Owe resztki dawnej męskości (znane jako *bao*, „precjoza”) traktowano z wielkim szacunkiem i delikwent przechowywał je na najwyższej półce w swojej kwaterze, na znak jego wyższych aspiracji do dalszej kariery na wybranej drodze. Eunuch okazywał je w czasie dorocznej kontroli, a kiedy otrzymywał awans na wyższe stanowisko w obrębie pałacu, obowiązkowo musiał mieć je przy sobie. Mimo to ciągle opowiadano, że czasami normalnym mężczyznom udawało się kupić lub ukraść *bao* prawdziwych eunuchów i udając kastratów, pozostawali bezkarnie w obrębie Miasta Zakazanego. Nie jest to wersja tak nieprawdopodobna, jak by się wydawało. Przekupstwo było w pałacu wszechobecne, i znane są przypadki, kiedy prawdziwi kastraci, utraciwszy swe *bao*, kupowali nowy „zestaw” od kastratora

z *chang zi* lub pożyczali za opłatą zakonserwowane genitalia od znajomych eunuchów.

Normalni mężczyźni pogardzali eunuchami, nazywając ich „wronami” (od ich skrzekliwych głosów) lub „szczurami i lisami”. W społeczeństwie, w którym przekleństwem był każdy rodzaj okaleczenia ciała, kastracja broniła udziału w ceremoniach przy drewnianych tabliczkach (na które schodziły duchy zmarłych przodków, żeby otrzymać dary od swych potomków). Eunuchowie byli wykluczeni z tych ważnych rytuałów, utrzymujących więzy między danym osobnikiem a jego rodziną i plemieniem, wokół których zawsze koncentrowało się życie w Chinach. W dodatku, ponieważ nie byli w stanie spłodzić własnych synów, po śmierci ich duchy były na zawsze pozbawione pociechy, jaką dawał taki rytuał. Na tym i na tamtym świecie eunuch był wyrzutkiem społeczeństwa.

W odpowiedzi na takie traktowanie eunuchowie Cesarskiego Pałacu zawiązali ekskluzywne bractwo i stworzyli potężną klikę działającą w zawiłych międzyludzkich układach Miasta Zakazanego. W XIX wieku większość eunuchów otrzymywała jedynie niewielki przydział ryżu oraz dwa do czterech taeli miesięcznie (dwanaście taeli było pensją maksymalną), za które musieli się utrzymać. Mieli jednak uprawnienia do korzystania z „nacisku”: procentowego „podatku” od wszystkich towarów i usług, jakie przechodziły przez ich dłoń. Zważywszy ogromne ilości złota, srebra, futer, kości słoniowej, koni, bydła, mebli, broni, oraz takich towarów, jak ryż, pszenica i drewno, jakie ofiarowywano Synowi Niebios w formie corocznej daniny, procent ten wynosił spore sumy, również i dlatego, że eunuchowie mieli zwyczaj samowolnie zwiększać ów „podatek” do niebywalej czasem wysokości, nierzadko domagając się nawet jednej trzeciej wartości towaru, przechodzącego przez ich ręce. W hierarchicznym systemie Wielkiego Środ-

ka lwia część owych bogactw trafiała do rąk Wielkiego Eunucha; niektórzy z nich zebrali ogromne bogactwa. Pod koniec dynastii Mingów eunuchowi o imieniu Wei, działającemu w tajemnym porozumieniu z niesławnej pamięci Panią Ke, udało się zawładnąć cesarzem i zgromadzić takie skarby, że -według jednego z rozgniewanych cenzorów - podróżował

.....rydwanem w cztery konie, za którym niesiono cesarskie sztandary i insygnia. Straż przyboczna [eunuchowie mieli zakaz jej posiadania na mocy wewnętrznych praw dynastycznych] otaczała z obu stron jego powóz, chroniąc jego świętą osobę przed niepowołanymi spojrzeciami. Jego przejazd pod każdym względem przypominał przejazd Jego Cesarskiej Mości". Wei tak bardzo podważył godność cesarską, że w niemałym stopniu przyczyniło się to do upadku Mingów, a do podobnych sytuacji doszło za panowania dynastii Zhou, Qin, Han i Tang, z równie tragicznym skutkiem. Jednak - mimo surowych przepisów zabraniających eunuchom mieszania się do spraw państwa, wprowadzonych przez pierwszych władców mandżurskich - kiedy Jehonala zjawiała się w Pałacu, rządziła klika eunuchów mocno osadzonych w większości obszarów życia pałacowego, którzy ze wszelkich sił doili mleczną krowę imperium.

Konkubina trzeciej rangi była malutkim trybikiem w olbrzymiej maszynie korupcji i przekupstwa. Jehonale umieszczono w Pawilonie Elegancji, jednym z zachodnich pawilonów Wewnętrznego Pałacu. Tam, w przygotowanym dla niej przez eunuchów małym pomieszczeniu w rzędzie wyłożonych błękitnymi kafelkami parterowych pawilonów, Jehonala miała dokonać niezwykle istotnego wyboru. Musiała zdecydować, czy ma pogodzić się z losem „konkubiny trzeciej rangi" i całe życie spędzić w miłej, lecz bezmiernie nudnej anonimowości Miasta Zakazanego, czy też włączyć się do wielkiej gry toczącej się

w cieniu czerwonych murów, postarać się zająć miejsce w samym centrum, grając o władzę i wpływy, ryzykując wszystkim - upokorzeniem, torturami, może nawet życiem - żeby tylko osiągnąć swój cel. Biorąc pod uwagę to, co wiemy o jej temperamencie, wydaje się, że nie miała problemów z wyborem: anonimowość byłaby dla niej śmiercią za życia. Jehonala miała ambicję wypisaną na czole, nosiła ją jak diadem.

Lecz nawet ambitni gracze potrzebują łuta szczęścia. Mimo iż - jak później twierdziła Jehonala - cesarz zwrócił na nią uwagę już w czasie pierwszego spotkania, zdaje się, że szczęście ją opuściło wkrótce po przybyciu do Wielkiego Środka. Razem ze swoją kuzynką, Sakotą, przez pięć długich lat miała nudzić się w haremie, gdy Niebiański Książę obdarzał swymi łaskami inne, szczęśliwsze od niej, odaliski. Zapewne w tym właśnie okresie Jehonala musiała opanować do perfekcji sztukę miłosną, nabyć ową wiedzę, dzięki której stała się później niezastąpiona i nieodzowna dla przesyconego wszak rozkoszą cesarza. Musiały to być ciężkie czasy dla Jehonali, denerwujące w sensie zarówno seksualnym, jak i politycznym. Najpewniejszym, zapewne jedynym sposobem na poprawę sytuacji było przyciągnięcie uwagi Syna Niebios. Jego ogromna władza chroniła tych, których wybierał na faworytów. Za taką tarczą ochronną Jehonala mogłaby realizować własne plany, niedostępna dla knowań rywalek - przynajmniej dopóty, dopóki miała wpływ na cesarza.

W Mieście Zakazanym były jednak również inne ośrodki wpływów. Jehonala, jeszcze jako nastolatka, miała chyba w sobie jakiś kompas, który nieomylnie kierował ją w stronę ludzi mających polityczną władzę nad życiem i śmiercią innych. Nie mając na razie dostępu do cesarza, w tym pierwszym okresie swego pobytu w haremie dużo czasu spędzała pielęgnując stosunki z owymi alternatywnymi źródłami wła-

dzy, i budując tak szeroką podstawę wpływów, na jaką pozwalała jej skromna pozycja.

Celem jej pierwszych działań stała się najważniejsza osoba w Mieście Zakazanym, którą była niewątpliwie Cesarzowa Wdowa, czyli wdowa po poprzednim władcy, ciesząca się w konfucjańskim społeczeństwie niekwestionowanym synowskim szacunkiem młodego cesarza. Miała prawo decyzji we wszelkich sprawach domowych: konkubiny niższych rang były nie tyle żonami cesarza, co raczej służącymi cesarzowej. Lepszy jednak wróbel w garści niż gołąb na dachu, a dostęp do osoby, która w cesarskim gospodarstwie pełniła nawet ważniejszą rolę niż sam Syn Niebios, mógł się z czasem przydać. Jehonala uczyniła więc wszystko, co w jej mocy, żeby zostać zauważoną i zasłużyć na łaski starej cesarzowej. Już wówczas była znacznie lepiej wykształcona niż większość jej rówieśnic, i nadal z entuzjazmem poświęcała się lekturze dzieł klasycznych i poezji, rozwijała wrodzony talent do malarstwa oraz, w mniejszym stopniu, do kaligrafii, co z całą pewnością podnosiło jej reputację w oczach przywiązanej do tradycji matki cesarza, i wyróżniało ją na tle dworu.

Włożyła też wiele starań w pielęgnowanie znajomości z najbardziej pogardzaną, lecz niezwykle wpływową kastą, z eunuchami. Ich żądza zysku była legendarna, ale wywierali również wielki - czasami złowrogi - wpływ na to, co się działo w samym centrum władzy. Zwyczajni Chińczycy odnosili się do bractwa eunuchów z pogardą i lekceważeniem, ale wewnątrz Miasta Zakazanego traktowano ich zgoła inaczej. Eunuch był wprawdzie wyrzutkiem społeczeństwa, pariasem zajmującym w hierarchii społecznej ostatnie miejsce, dokładnie przeciwne pozycji cesarza, który znajdował się na jej drugim biegunie, samotny człowiek na szczycie władzy. Kiedy cesarz w swej monarszej lektyce opuszczał Miasto Zakazane, wzdłuż trasy

rozstawiano bambusowe parawany, żeby uchronić jego boską osobę przed wzrokiem „durnych ludzi”. A mimo to, o czym mówi taoistyczny symbol taiji, te wyróżnienia dotyczyły raczej pozorów niż realnego życia. Niezależnie od otaczającej go pompy i majestatu, cesarz był w głębi istotą ludzką, pełną ukrytych kompleksów, potrzebującym ponad wszystko towarzystwa innych istot swego gatunku. Wzbraniało mu tego towarzystwa wyniesienie ponad innych śmiertelników - w obecności cesarza wszyscy musieli klęczeć; nikt też (poza Cesarzową Wdową), nawet członkowie rodziny cesarskiej, nie mieli prawa odezwać się do niego niepytani. W czasie audiencji w obecności Syna Niebios wszyscy mieli spuszczone oczy, bo nikomu nie było wolno spojrzeć wprost w monarsze oblicze. Cesarz był nie mającym sobie równych Księciem Niebios, i może najbardziej samotnym człowiekiem na świecie.

Ta właśnie nietykalność natury cesarza zbliżała go w jakimś sensie do innych „nietykalnych” - pałacowych eunuchów. Tylko ci półmężczyźni, istoty wyrzucone poza nawias normalnego społeczeństwa, miały prawo usługiwać Synowi Niebios, ubierać go i karmić, pilnować tych naturalnych czynności umysłu i ciała, które zaprzeczały mitowi boskości cesarza i świadczyły o tym, że jak każdy inny należy do gatunku *Homo sapiens*, którego historia i przypadek postawiły tak przesadnie wysoko. Eunuchowie stali się więc nie tylko strażnikami haremu, strzegącymi czci cesarza i gwarantami czystości następstwa tronu, lecz także jego powiernikami, doradcami w najtrudniejszych chwilach, jednym słowem towarzyszami, wobec których nie wahał się zrzucić cesarskiej maski i ujawnić swej prawdziwej twarzy. Zostali jego przyjaciółmi. I na tym, i tylko na tym polegała ich władza.

Byli dla niego prawdziwym oparciem i najpotężniejszych z nich obdarzał niesłychaną władzą. Taka przyjaźń miała jed-

nak także ciemniejsze strony, zwłaszcza dla władców, którzy zostali cesarzami jako dzieci lub we wczesnej młodości. Nadzieje eunuchów na karierę, władzę i jedwabne życie zależne były wyłącznie od zachowania łaski ich pana, toteż licząc na osobiste zyski, większość z nich była gotowa na wszystko, i niczego nie odmawiała młodemu władcy. Eunuchowie byli w wyjątkowej sytuacji: mogli kształtować osobowość młodego monarchy, zmieniać jego gusty, odkrywać jego najgłębiej skrywane obawy i tęsknoty, po czym używać tej wiedzy dla własnych korzyści. Kierowali się przy tym odwiecznym obyczajem: Han Feizi, minister stanu w III wieku p.n.e., pisał przecież, że „Ci, którzy sprawują kontrolę nad władcami, pierwsi poznają ich tajemne obawy i życzenia”. Na przestrzeni dziejów często zdarzało się, że starając się przypodobać monarsze i uzyskać na niego wpływ, cesarscy eunuchowie wprowadzali swych niewinnych podopiecznych w krainę perwersyjnych i rozpustnych eksperymentów. Daoguang, trzeci syn poprzedniego cesarza (i brat pana Jehonali, Xianfenga), okrył się niesławą z powodu homoseksualnych stosunków z aktorami-kastratami, z których kilku więził w swoim domu, żeby móc się z nimi zabawiać, kiedy mu przyjdzie na to ochota. Nowy cesarz, wspomniany Xianfeng, też nie był wolny od rozpustnego wpływu swych eunuchów; w Pekinie wszyscy znali opowieści o jego orgiach i biseksualnych gustach, zwłaszcza o fascynacji Zhu Lianfengiem, czołowym aktorem odtwarzającym role kobiece. Biorąc pod uwagę jego stan w czasie, kiedy dwudziestojednoletnia Jehonala wkroczyła w jego życie, w pogłoskach tych musiało być sporo prawdy.

Chociaż eunuchowie byli więc dla cesarza wątpliwymi przyjaciółmi, z perspektywy Jehonali mieli niewątpliwie duże zalety. Gdyby udało jej się zaprzyjaźnić z kastratami z bliskiego otoczenia cesarza, mogli oni wprowadzić ją przed oblicze

Syna Niebios, a być może nawet do jego sypialni. Już z liczby cesarskich konkubin wynikało, że nawet najpiękniejsza i najwspanialsza z jego żon, o ile nie miała wpływów, mogła przez całe lata tkwić niezauważona w haremie, aż zbladła jej uroda (i szansa na władzę).

Nie było w tym nic nowego. Yuandi, cesarz z dynastii Han, miał tak olbrzymi harem, że kazał malarzowi, Mao Yanshou, malować portrety swoich żon, żeby na podstawie ich podobizn mógł wybierać partnerkę na kolejną noc. Jasne, że wiele z owych kobiet chętnie ofiarowywało artyście sporo „wonnego tłuszczu”, by wypaść jak najlepiej na portretach. Jedną z odali-sek, pani Zhao Jun, odmówiła jednak wypłacenia artyście jego „honorarium”, ufając, że jej niezwykła uroda tak czy owak podbije serce cesarza. Nie przyszło jej do głowy, że talent Mao mógł obrócić się przeciw niej. Mao namalował kobietę bezbarwną i przeciętną, i Syn Niebios nie zwrócił uwagi na Zhao Jun.

Nieco później Wielki Chan narodu Xiongnu (znanego na Zachodzie jako Hunowie), złożył oficjalną wizytę na chińskim dworze. Xiongnu od czasu do czasu urządzali wyprawy na Chiny. W nadziei na ukrócenie tych najazdów i nawiązanie przyjacielskich stosunków z groźnym sąsiadem, chiński dwór postanowił ofiarować wizytującemu monarsze dar najbardziej odpowiedni na tę okazję - kobietę z własnego haremu cesarza. Przypadkowy wybór padł na Zhao Jun. Kiedy kobietę wezwano przed Yuandi, ten zdumiał się; nie wiedział, że w jego haremie jest kobieta o tak uderzającej urodzie. Ale słowo się rzekło. Ukrywając gorycz, cesarz musiał oddać Wielkiemu Chanowi najpiękniejszą ze swoich konkubin i bezsilnie patrzeć, jak opuszcza go ona na zawsze. Kiedy tylko opadł kurz wzniecony kopytami koni odjeżdżających gości, cesarz wziął zemstę. Mao Yanshou i kilka konkubin, które zapłaciły mu za upiękzone portrety, wywleczono na rynek i publicznie ścięto im głowy.

W czasach Jehonali za murami Miasta Zakazanego nie było żadnego Mao Yanshou, ale dostęp przed oblicze władcy był nadal ograniczony, i zależał od zapłacenia słonego „haraczu” - już nie malarzowi, lecz wszechobecnym eunuchom. Przez pięć lat spędzonych w anonimowości, Jehonala dokładała starań, żeby zaskarbić sobie wdzięczność i lojalność głównego eunucha An Dehaia, który pozostał jej wierny przez ponad piętnaście lat, do czasu, kiedy w 1869 roku za sprawą rywali Jehonali padł ofiarą sądowego morderstwa. Jest niemal pewne, że to dzięki sprytowi An Dehaia Jehonala ponownie znalazła się w polu widzenia Syna Niebios. Pod koniec lat sześćdziesiątych XIX wieku opowiadano w Pekinie, jak to dwudziestojednoletnia wówczas Jehonala siedziała samotnie w Letnim Pałacu, w pawilonie zwanym „Głębokie Zakamarki wśród Klonów”, i śpiewała smętną pieśń z jej rodzinnej prowincji Anhui. Tak się złożyło, że również cesarz znalazł się w tym czasie w ogrodzie i, słysząc słodki głos, dał nura w gęste zielone zarośla w poszukiwaniu jego właścicielki. Oniemiał oczarowany pięknnością uroczej młodej kobiety w pawilonie. Wymknął się cichutko i wrócił do pałacu, lecz tego samego wieczoru jaspisowa tabliczka z imieniem Jehonali znalazła się na rzeźbionym stoliku z kości słoniowej u drzwi cesarskiej sypialni na znak, że ta, która je nosi, będzie tej nocy towarzyszyć mu w łóżu. Wieczorem, rozebraną do naga Jehonale eunuch wniósł na swych barkach do cesarskiej sypialni, gdzie poddała się woli Pana Dziesięciu Tysięcy Lat.

Bez względu na to czy opowieść o ich pierwszym spotkaniu jest prawdziwa, czy może prawda była bardziej prozaiczna (starania Jehonali mogły sprawić, że główny eunuch odpowiedział po prostu jej imię Synowi Niebios), jedno jest pewne. Tej nocy Jehonala usidliła cesarza. Wtedy zaczął się jej niepowstrzymany marsz ku władzy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Buntownicy i obce diabły

Można zrozumieć, że cesarz Xianfeng szukał otuchy i zapomnienia w ramionach swej ulubionej konkubiny. Jego państwo było u progu rozpadu, osaczone przez wewnętrznych i zewnętrznych wrogów. Wszystko wskazywało na to, że Mandat Niebios zostanie cofnięty, i dumni Mandżurowie, po ponad dwustu latach panowania, podziela losy swych poprzedników - Mingów, Hanów, Tangów i wielu innych domów panujących w długiej i krwawej historii Chin, które rozkwitły w całej wspaniałości, a potem pozostawało po nich tylko wspomnienie. „Spójrz na me dzieło, Wszechmocny, i rozpaczaj!”

W 1855 roku, kiedy Jehonala w końcu zdobyła łaski swego pana, Mandżurowie z wysiłkiem próbowali stłumić jedną z tych rebelii, które - od chwili ustanowienia systemu dynastycznego dwa tysiące lat wcześniej - co jakiś czas wstrząsały cesarstwem. Wybuchaly z tysiąca powodów - za wysokich podatków, przymusowych prac, prześladowań religijnych, suszy, głodu, albo po prostu rabunków, przyczyniających się do niepopularności reżimu - i na zasadzie kuli śniegowej przeradzały się z protestów w krwawe powstania, jak rebelia Li Zi-chenga, który omal nie zajął miejsca Mingów. Obecna rewolta była jednak z gruntu odmienna: zamiast niezadowolonych mniejszości etnicznych, głodujących wieśniaków, lub po pro-

stu bandytów, temu powstaniu przewodził ktoś o wiele bardziej niebezpieczny, mistyczny wizjoner, który potrafił przekonać swoich zwolenników, że jest w bezpośrednim kontakcie z Wszechmogącym i wmówić im, iż warto umierać, jeżeli się ma perspektywę raję.

Zarzewiem buntu stała się cienka, pozornie niewinna książka ***Dobre uczynki poprawiają świat***, rozprowadzana w Kantonie w 1836 roku przez Chińskie Towarzystwo Tekstów Religijnych. Autor nazywał się Liang Fa i był nawróconym na chrześcijaństwo Chińczykiem, w swoim czasie pomocnikiem Roberta Morrisona, pierwszego brytyjskiego misjonarza działającego w Chinach. Książeczkę tę, przypominającą dzisiejsze tanie wydania w miękkich oprawkach, bez wątpienia wydrukowano i rozpowszechniano w najlepszej wierze - żeby ponieść w chiński lud dobrodziejstwa „prawdziwej religii”, czyli chrześcijaństwa. Tymczasem była to najlepsza ilustracja znanej prawdy, że droga do piekła jest brukowana dobrymi intencjami. Autor całkiem bezwiednie podpalił tą książką lont, który piętnaście lat później miał doprowadzić do eksplozji bomby, i zamiast podzielić się z ludem Chin chrześcijańską nauką o braterstwie wszystkich ludzi, rozpętał najbardziej krwawą wojnę domową w historii świata.

Dobre uczynki poprawiają świat to również wymowny przykład ewolucji wierzeń religijnych i sposobu, w jaki kultura, a także osobiste skłonności jej zwolenników, wpływają na interpretację i wybór drogi do oświecenia. W swym tekście autor przedstawia dość udany skrót najważniejszych wydarzeń ze Starego i Nowego Testamentu: historię Noego, wyjście z Egiptu, kazanie na Górze, żywot świętego Pawła. Referuje aksjomat o wszechwiedzy i wszechmocy Boga, który w ciągu sześciu dni stworzył świat, i pod którego panowaniem wszyscy ludzie są sobie równi, bez względu na rasę i narodowość.

Liang jest jednak również człowiekiem swego czasu i swej społeczności, toteż włącza do dziełka elementy taoizmu, buddyzmu i chińskich ludowych przypowieści. Nie stroni też od zmyśleń, puszczając wodze fantazji, kiedy na przykład opisuje pojawienie się w jasny dzień Jezusa na niebie, co miało przekonać niedowiarków. W innym miejscu Jezus i święty Paweł wspólnie uczestniczą w obrzędzie chrztu, Jezus zaś mówi, że „od czasów najdawniejszych nie było nikogo, który by wstąpił do niebios i widział rzeczy niebiańskie; ja tylko, który zstąpiłem na ziemię z niebios, znam sprawy niebiańskie, i tylko ja mogę o nich mówić”. Następnie święty Paweł kładzie dłoń na głowie nowo ochrzczonego, który „odzywa się dziwnym głosem i potrafi przepowiadać przyszłość”. Dziwaczną innowacją religijną (prawdopodobnie zapożyczoną z konfucjanizmu, którego Liang Fa się wypiera) jest wzmianka o tym, że Jehowa karał swych synów chłostą. Bóg okłada batem swojego syna Jezusa, bo, jak wyjaśnia tekst, w taki sposób Bóstwo okazuje swą ojcowską miłość i naprawia synowskie wady. Liang często się powtarza, i w uzupełnieniu tych igraszek wyobraźni pozwala czytelnikowi wierzyć w to, że zarówno Bóg Ojciec, jak Jezus często odbywają regularne podróże między niebem a ziemią.

Chińscy odbiorcy po przeczytaniu tej książeczki, w większości po prostu odrzuciliby zawartą w niej teologię, jako religię „zagranicznego diabła”. Niewielu przyjęłoby jego wiarę, a ich niechrześcijańscy ziomkowie by ich nazwali pogardliwie „włochaczami”. Znalazł się jednak jeden człowiek, nauczyciel o nazwisku Hong Xiuquan z południowo chińskiego ludu Hakka, dla którego treść tej książki stała się podstawą, załączkiem całkowicie nowej religii, stanowiącym pożywkę dla wyobraźni tekstem, który ostatecznie doprowadził do śmierci ponad dwudziestu milionów ludzi.

Hong trafił na nią, kiedy przyjechał do Kantonu na państwowy egzamin, który miał być dla niego pierwszym krokiem na drodze do kariery mandaryna. Egzamin oblał, powrócił zatem do zawodu nauczyciela, próbując jeszcze raz w następnym roku, ale znów nie zdał. Głęboko rozgoryczony, przeżył chyba szok i popadł w malignę, która trwała podobno czterdzieści biblijnych dni. Twierdził, że miał w tym czasie wiele objawień: ukazywał mu się Bóg chrześcijan, który kazał mu wyrzec się Konfucjusza i innych tradycyjnych rytuałów przyjętych w chińskim społeczeństwie. Zgodnie z oficjalną relacją jego zwolenników (dla których był „Prawdziwym Panem”), gdy Hong miał...

dwadzieścia pięć lat [dwadzieścia cztery według zachodniego kalendarza], pierwszego dnia roku dingyn [5 kwietnia 1837], między jedenastą wieczorem a pierwszą w nocy, objawiło mu się wielu aniołów, którzy zstąpili z wysokości, żeby go zabrać do nieba... U wrót niebios przywitała go grupka dziewic stojących na skraju drogi [...] Przyjmowało go wiele osób odzianych w szaty smoka, z trójgraniastymi kapeluszami na głowach. Na ich rozkaz rozcięto ciało Prawdziwego Pana i zastąpiono jego stare wnętrzości nowymi. Położono także obok niego książki, żeby je przeczytał.

Kiedy doszedł do siebie po najgorszym ataku - wyposażony w nowe wnętrzości oraz wiedzę zaczerpniętą z niebiańskich ksiąg - powziął przekonanie, iż jest drugim zbawicielem, synem Bożym, młodszym bratem Jezusa Chrystusa.

Następnych kilka lat Hong spędził w rodzinnej wiosce, utrzymując się z dawania lekcji. Myślni był jednak zupełnie gdzie indziej. Pierwsze, katastrofalne w skutkach konfrontacje Państwa Środka z krajami Zachodu przekonały go, że całe Chiny Qingów są skorumpowane i wymagają „oczyszczenia”.

Absolutnie przekonany, że jest Synem Bożym, Hong postanowił obalić dynastię Qingów. Wszystkim z wyjątkiem samego Honga musiało się to wydawać beznadziejnym marzeniem -niewydarzony uczony, ubogi nauczyciel, członek pogardzanego ludu Hakka, który z dala od ośrodków władzy z trudem zarabia na skromne utrzymanie w zagubionej wiosce gdzieś w południowych prowincjach, postanawia wydać wojnę i zniszczyć potęgę Mandżurów. Jego arogancka pewność siebie zapiera dech nawet dziś. A najdziwniejsze jest to, że prawie mu się udało.

Hong miał wielką siłę przekonywania, i był wspaniałym mówcą. Razem z kuzynem o nazwisku Hong Rengan i szkolnym kolegą, Feng Yunshanem, założyli grupę o nazwie **Bai ShangDiHui** (Stowarzyszenie dla Uczczenia Boga). Ludziom zaimponowała ich szczerłość i moralne przeistoczenie tych, którzy wstępowali do stowarzyszenia. Doszło do wielu nawróceń, zwłaszcza na wsiach. Przez następnych sześć lub siedem lat triumwirat Honga wędrował po południowych prowincjach, organizując lokalne filie stowarzyszenia. Mimo morderczego rozkładu zajęć Hong uważał, że prawdziwe dzieło jego życia jeszcze się nie zaczęło. Pisał: „W obecnej chwili jestem jak ryba, która wskoczyła na głęboką wodę, i czekam, kiedy nadejdzie mój czas zbierania ludzi”.

Na początku 1851 roku poczuł, że jest gotów. Zwołał dziesięć tysięcy członków Bai Shang Di Hui do wsi Jintian u podnóża gór Zijingshan w prowincji Guangxi. Zgromadzili wszystko, co mieli - pieniądze, odzież i żywność - i przeprowadzili bojowe szkolenie. Na przekór mandżurskim dekretem, które nakazywały, aby wszyscy chińscy poddani mieli włosy wygolone nad czołem, a pozostałe zaplecione w warkocz z tyłu czaszki, buntownicy nie golili głów i nie zaplatali włosów, zasługując na przydomek **changmao** - „długowłosych wo-

jowników". W dniu 11 stycznia Hong uroczyście ogłosił rozpoczęcie powstania changmao przeciwko Mandżurom i proklamował utworzenie Taiping Tianguo - „Niebiańskiego Królestwa Wielkiego Pokoju". Tak zaczęła się wielka rebelia tai-pingów.

Zaniepokojony szybkim rozwojem wydarzeń rząd Cjingów przerzucił wojska z Hunanu, Guizhou, Yunnanu i innych prowincji, starając się otoczyć i zmiażdżyć powstańców. Ale cesarscy wojownicy, potomkowie „Rzymian Dalekiego Wschodu" Nurhaczego, zmiękli przez lata wygodnego życia na swoich synekurach. Zdyscyplinowana armia taipingów, zahartowana w ciężkich warunkach chłopskiej egzystencji i uskrzydłona wiarą w boskie pochodzenie swego przywódcy, pokonała wszystkie wysyłane przeciwko niej oddziały.

Gdy na skutek kolejnych wstrząsów perspektywy dynastyczne Mandżurów rysowały się dosyć ponuro, osobiste losy Jehonali w Mieście Zakazanym kształtowały się coraz pomyślniej. Dzięki talentom, jakie objawiła w cesarskiej sypialni, rozpoczęła już swój marsz ku górze: wkrótce po ich pierwszej wspólnej nocy, cesarz Xianfeng awansował ją o jedną rangę na konkubinę klasy **bing**. Niedawną prowincjuszkę czekały jednak jeszcze lepsze czasy, bo we wrześniu 1855 roku Jehonala stwierdziła, że jest w ciąży. Ta wiadomość musiała jeszcze bardziej rozpaścić jej ambicje. Wprawdzie wielu przodków cesarza miało męskich potomków, jeszcze zanim skończyli piętnaście lat, ale dwudziestokilkuletni obecnie Xianfeng nie doczekał się jeszcze upragnionego syna, który gwarantowałby chwiejącej się dynastii pewną stabilność. Gdyby Jehonala urodziła cesarzowi syna, jej pozycja na dworze byłaby niezagrożona. Przed matką następcy tronu otworzyłoby się wiele dotychczas zamkniętych drzwi. Miesiące do rozwiązania, kiedy przerzucała się od radosnej nadziei do obawy, musiały jej się dłużyć

niepomierne. Nic nie zostało powiedziane wprost, lecz każdy wiedział, że poronienie albo dziecko płci żeńskiej byłoby wielkim rozczarowaniem dla cesarza, i okryło Jehonałę wstydem przed całym pałacem, a także znów wtrąciło w niebyt, którego tak bardzo nienawidziła. Oczekiwanie skończyło się 27 kwietnia 1856 roku, kiedy to spełniły się jej wszystkie marzenia: Je-honała urodziła zdrowe dziecko płci męskiej, chłopca, który miał zostać ósmym cesarzem dynastii mandzurskiej pod imieniem Tongzhi. Radość cesarza była nie do opisania. Jehonała awansowała w hierarchii haremu - od razu wyniesiono ją do rangi guifei i nadano tytuł cesarzowej Hsiao Cz'yn. Cesarz był tak uradowany, iż jego faworyta dała mu wreszcie upragnionego od dawna następcę, że obdarzył nową cesarżową całkowitym zaufaniem, i pokazał jej, jak ma porządkować jego papiery, dzięki czemu miała dobry pretekst, żeby być stale u boku cesarza. W ten to sposób młoda konkubina mogła po raz pierwszy przyjrzeć się od środka sposobom sprawowania rządów przez Mandżurów i poczuć smak władzy. Taka pozycja dała jej dostęp do najbardziej tajnych dokumentów, czego nie omieszkała wykorzystać. Czytała dużo i pilnie, pochłaniając wszystko, do czego mogła dotrzeć, i wkrótce zaczęła spełniać rolę nieoficjalnej doradczyni cesarza.

W 1856 roku, kiedy zaczynała porządkować pisma przychodzące do cesarza, Jehonała zapewne szybko zorientowała się, jak ogromnym zagrożeniem dla dynastii stało się powstanie taipingów. Powstańcy usadowili się już na dobre w prowincjach Guangdong, Guangxi i Guilin, i od trzech lat w ich rękach znajdowała się południowa stolica cesarstwa, Nankin. W tym czasie powstanie całkowicie zmieniło swój charakter. Raz jeszcze, jak we wszystkich poprzednich chińskich rebeliach, „cesarski bakcyl” zatruł rewolucyjną czystość taipingów. Hong Xiuquan i jego najbliżsi współpracownicy, obrońcy

praw kobiet, rycerze równości potępiający przekłete przywileje, ulegli pokusom władzy i zaczęli gorliwie czerpać osobiste korzyści, jakie dało im zwycięstwo: Hong naśladowując cesarza, założył żółte szaty smoka, i kazał tytułować się Niebiańskim Królem. Równie pompatyczne tytuły nadali sobie jego sojusznicy- Król Wschodu, Lojalny Książę - i wszyscy zaczęli budować wspaniałe pałace i parki rozrywki, w których wprowadzali porządki prawie takie jak na cesarskim dworze. Wszyscy sprawili sobie ogromne haremy: sam Hong miał stajnię piękności złożoną z około trzystu „żon”, a od czasu do czasu przy okazji urodzin swoich współtowarzyszy, łaskawie pozwalał im powiększać dozwoloną liczbę odalisek. jednocześnie szeregowych taipingów poddawano drakońskiej dyscyplinie: wszelka własność była wspólna, mężczyźni i kobiety żyli w ścisłej separacji, a stosunki seksualne, nawet między małżonkami, karano ścięciem. Mimo tak jaskrawej rozbieżności między retoryką a praktyką wielu zwolenników Honga zachowało wiarę w mesjanistyczne posłannictwo swego przywódcy. Ci zgadzali się walczyć i umierać dla niego na skalę nie znaną w armii Mandżurów, którzy uginali się pod ciężarem przyniatającej ich od wieków korupcji. Zapal rewolucyjny powodował, że taipingowie odnosili więcej zwycięstw niż porażek i powoli, lecz nieustannie, rozszerzała się ich sfera wpływów. Na dworze w Pekinie mówiono, że jeżeli taipingowie nie przestaną odnosić sukcesów, następnym władcą na Tronie Smoka zostanie zapewne Hong Xiuquan.

Jehonala, doradzając cesarzowi, zgodnie ze swym wojowniczym temperamentem, utwierdzała go w przekonaniu, że należy reagować zdecydowanie na te wydarzenia. Podobno za jej sprawą dowództwo w walce z powstańcami powierzono utalentowanemu wojskowemu, generałowi Zeng Guofanowi. Zeng wyjechał na południe, zaopatrzone w odpowiednie

środki na reorganizację cesarskich wojsk, i rekrutację dodatkowych żołnierzy w prowincji Hunan. W roku, w którym Jehona-la powiła cesarzowi syna, działania Zeng Guofana zaczęły przynosić skutki: jego wojska odniosły kilka drobnych zwycięstw nad oddziałami changmao. Te sukcesy jeszcze bardziej podniosły notowania Jehonali na dworze cesarskim, i to tak dalece, że niektórzy z możliwych Mandżurów, dotychczas bliskich sercu cesarza, zaczęli jej zazdrościć pozycji na dworze.

Możni dworzanie, wraz ze swymi eunuchami, od dawna zachęcali cesarza Xianfenga do odbywania sekretnych wypadów za mury Miasta Zakazanego, gdzie niczym Neron w Rzymie, od lat oddawał się wyuzdanym przyjemnościom: oglądał erotyczne spektakle, odwiedzał palarnie opium i domy rozpusty z Chinkami o drobnych stópkach - owoc zakazany dla każdego Mandżura, a tym bardziej dla cesarza. Jeśli wierzyć ówczesnym plotkom, ważnymi uczestnikami tych nocnych wypadów Xianfenga byli aktorzy transwestyci (w chińskim teatrze niemal wszystkie role kobiece grali mężczyźni). W wyniku takiego trybu życia Xianfeng (gimnastyk za młodu) zaczął podupadać na zdrowiu. Wysłannicy krajów europejskich opisywali go na ogół jako niczym nie wyróżniającego się człowieka z rzadkim wąsikiem okalającym jego małe usta. Niektórzy zwracali uwagę na godność, z jaką zachowywał się w czasie audiencji. Kiedy uległ urokowi Jehonali, był już zdecydowanie słabego zdrowia, cierpiał na puchlinę wodną i skutki rozwiązłego trybu życia. Choroby (oraz, jak głosiła plotka, nadmierne korzystanie ze zmysłowych wdzięków Jehonali) spowodowały tak wielkie ogólne wycieńczenie organizmu, że cesarz dał się przekonać do oddania kontroli nad sprawami państwa czterem członkom Wielkiej Rady oraz czterem generalnym adiutantom. Najbardziej wpływowym członkiem Wielkiej Rady był Su Shun, członek cesarskiej ro-

dziny spod znaku tej samej chorągwi w błękitne pasy, oraz, co ważniejsze, przyrodni brat księcia Yi. Su Shuna bali się wszyscy zarówno w Mieście Zakazanym, jak i poza nim. Jako zastępca Wielkiego Sekretarza doprowadził do zabójstwa swego zwierzchnika, namawiając cesarza, żeby kazał ściąć uczciwego i bezkompromisowego Wielkiego Sekretarza Bo Sui, który wcześniej udaremnił intrygi swych podwładnych. Na próżno Jehonala wystąpiła w obronie skazanego; jej nieudana interwencja była zapowiedzią późniejszej nieubłaganej wrogości między nią i Su Shunem. Po zdobyciu władzy Su Shun zaaranżował aresztowanie wszystkich Sekretarzy Skarbu i sam trzymał straż nad więźniami, wyduszając z każdego z nich ogromne okupy za uwolnienie. Zgromadzona w ten sposób fortuna stanowiła podstawę jego pozycji na dworze i uczyniła ze Su Shuna niebezpiecznego przeciwnika.

Członkowie Wielkiej Rady, a przede wszystkim Su Shun, jako faktyczni władcy cesarstwa, stanowili poważną barierę dla ambicji Jehonali. Oni z kolei niechętnie patrzyli na wpływ Jehonali na cesarza i na wagę, jaką Xianfeng przykładał do jej opinii w sprawach państwa (bo wszystkie ważne decyzje podejmowane przez Wielką Radę jeszcze ciągle wymagały kontrasygnaty cesarza). Jehonala znalazła naturalną sojuszniczkę w kuzynce Sakocie, małżonce cesarza, i połączyła swe siły z księciem Gongiem, zaprzysiężonym wrogiem Su Shuna i jego frakcji. Gdy odziani w jedwabie dworzanie odgrywali swe tradycyjne rytuały w ozdobnych pałacach Miasta Zakazanego, wokół cesarza rozpoczęła się cicha walka konkurujących klik o władzę, przybierająca na sile w miarę, jak okazywało się, że jego dolegliwości są poważniejsze niż poprzednio uważano i że Pan Dziesięciu Tysięcy Lat najprawdopodobniej nie przeżyje następnych dziesięciu miesięcy. Kwestia, kto będzie sprawował faktyczną władzę w Państwie Środka w czasie małoletności

następcy tronu, syna Jehonali, stanowiła poważny problem na politycznym horyzoncie Chin. Nie była to już po prostu kwestia utrzymania „twarzy” między frakcjami, zachowania łask Niebiańskiego Księcia i rozgrywek o pozycję na dworze. Przygotowywano scenę do rozegrania ostatecznej walki o władzę w państwie, która doprowadzi do niełaski, a może nawet do śmierci zwolenników jednego ze stronnictw. Żadna ze stron, jak się zdaje, nie troszczyła się o to, że rosnąca potęga taipin-gów mogła sprawić, iż wkrótce nie będzie o co walczyć.

O ile w kraju przyszłość dynastii wyglądała kiepsko, o tyle jej sytuacja zewnętrzna była jeszcze gorsza.

Od tysięcy lat Chiny chełpiły się, że są **Zhong** - „Centrum”, Państwem Środka, z cesarzem, który jest jego sercem i rządzi Wszystkim pod Niebieskim Sklepieniem, a wokół niego obraca się cały świat. Kolejne dynastie pielęgnowały ów sinocentryczny obraz świata, i nawet Mandżurowie nie mogli oprzeć się jego uwodzicielskiej sile. Dopóki byli ludźmi z zewnątrz, wykpi-wali egocentryczną wizję świata Mingów; kiedy jednak sami zasiedli na Tronie Smoka, bardzo prędko uwierzyli, że pozycja dynastii rządzącej Chinami jest rzeczywiście wyjątkowa.

W kontekście otaczającego świata w XVII i XVIII wieku taka wygórowana samoocena Chin była w pełni usprawiedliwiona. Wszystkie sąsiednie narody i państwa uznawały zwierzchność Chin; chińska architektura, literatura, technika i etyka według wszelkiego prawdopodobieństwa przewyższały wszystko, czym dysponowali mniejsi sąsiedzi. Znajomość Zachodu i jego cywilizacji była bardzo ograniczona i wypaczona z powodu niezachwianej wiary Chińczyków we własną wyższość. Jeszcze w połowie XIX wieku chińskie mapy ukazywały Państwo Środka jako kraj niezmierny, a takie państwa, jak Wielka Brytania czy Stany Zjednoczone były zaledwie niewielkimi wysepkami na krańcach świata, kontynent

afrykański zaś po prostu nie istniał (współczesne mapy świata w Chińskiej Republice Ludowej kontynuują tę tradycję, umieszczając Chiny w centrum świata). Na jednej z map Wielka Brytania opisywana jest jako „Kraj Rudowłosych” i przyznaje się jej drugie miejsce na świecie po Chinach, a to ze względu na „cwaniactwo” jej mieszkańców: „Tutejsi ludzie przeważnie są inteligentni, dumni z natury i nie lubią się nikomu podporządkowywać”.

Od przeszło dwóch tysięcy lat Chińczycy wiedzieli o istnieniu narodów i imperiów leżących daleko na zachód od ich granic. Informacje o cesarstwie rzymskim (lub przynajmniej jego wschodniej części), znanej Chińczykom jako Da Qin, a później jako Fulin, dotarły do Państwa Środka za pośrednictwem Partów mniej więcej wtedy, kiedy narodził się Chrystus. Potem przez Szlak Jedwabny swoją wersję chrześcijaństwa przynieśli do Chin nestorianie, a za nimi przyszli kupcy i księża: Marco Polo, Michel Roger, Matteo Ricci. Wszyscy oni byli jednak po prostu pojedynczymi podróżnikami, cenionymi za osobliwości zachodniej kultury, które przywozili, i wreszcie sami uważani za osobliwości. Późniejsi przybysze, na przykład jezuici, dowiedli wyższości zachodniej matematyki i astronomii, a ich wiedzę gorliwie włączano do chińskiego kanonu. Kiedy na początku XIX stulecia przedstawiciele morskich narodów Europy - Portugalczycy, Brytyjczycy i Francuzi - coraz liczniej zaczęli przybywać do Chin, chcąc z nimi handlować, tutaj początkowo traktowano ich z lekceważeniem. Dla uczonych urzędników, którzy gardzili kupcami, nie było to zajęcie gwarantujące status społeczny, a nawet bogactwo. Czyniąc łaskawie ukłon pod adresem zachodnich barbarzyńców, tak jak poprzednio wobec hinduskich i arabskich kupców, Chińczycy dopuścili Europejczyków do swoich rynków, udostępniając im port w Kantonie, lecz na bardzo szczególnych warunkach.

Nie wolno im byto mieszkać w samym Kantonie, lecz jako kupcy, faktorzy, mogli przebywać jedynie w „faktoriach”, przeznaczonych dla nich niewielkich osiedlach poza murami miasta. Nie wolno im byto nawiązywać żadnych handlowych kontaktów z Chińczykami: ludzie z zachodu musieli korzystać z usług „kompradorów” - specjalnie wyznaczonych chińskich kupców, pełniących rolę pośredników, którzy prowadzili interesy w Chinach w imieniu europejskich barbarzyńców. W ten sposób Chiny mogły wycisnąć choć trochę „haraczu” od gości z zachodu, trzymając ich jednocześnie na bezpieczny dystans. W ten sposób mandaryni starali się odizolować naród od wpływów z zewnątrz. Chiny pozostawały zasadniczo nie zmienione i niezmiennie, samowystarczalne i bezpieczne za murem zarozumiałej niewiedzy. Jeszcze w 1816 roku, kiedy do Miasta Zakazanego przybył lord Am-herst jako przedstawiciel Wielkiej Brytanii, cesarz był zaskoczony i zgorszony awanturą spowodowaną odmówieniem przez Anglika wykonania wiernopoddańczej ceremonii *ketou (kowitz)* (należało uklęknąć i dziewięć razy „uderzyć głową” na znak poddaństwa). Dary, jakie przywozili Brytyjczycy, traktując je jako symboliczne wyrazy przyjaźni między dwoma monarchami, Chińczycy uważali za daninę składaną przez wasala. Świetnym przykładem tej bezmiernej arogancji jest edykt cesarza Jiaqinga wydany na zakończenie poselstwa Amhersta:

Cesarskie pełnomocnictwo dla Króla Anglii Wasz kraj, leżący daleko za wielkimi morzami, pragnął otrzymać błogosławieństwo prawdziwej cywilizacji... dlatego wysłaliście delegację żeby złożyć nam hołd.

Mieszkasz tak nieskończenie daleko od Państwa Środka, że wysyłanie poselstw musi sprawiać ci dużo kłopotu. Twój posł

wie nie mają przy tym najmniejszego pojęcia o obowiązującym w Chinach ceremoniale, i kłótnie, jakie towarzyszą ich przybyciu, rażą moje uszy. Moja dynastia nie przywiązuje wagi do zagranicznych wyrobów; wcale mi się nie podobają, ani nie budzą mojego zainteresowania dziwaczne, choć zmyślne towary wyprodukowane w twoim kraju.

W przyszłości więc, Królu... nie zadawaj sobie trudu wysyłania poselstw na taką odległość; to jest po prostu strata czasu, która do niczego nie prowadzi, jeżeli zachowasz się jak lojalny poddany i uznasz nasze zwierzchnictwo, nie ma doprawdy potrzeby, żeby twoi posłowie pojawiali się co roku na naszym dworze dla potwierdzenia faktu, że jesteś naszym wasalem.

Powyższe pełnomocnictwo przesyłamy ci, żebyś stosował się doń od dzisiaj po wsze czasy.

Było to prawdziwe zderzenie kultur. Z jednej strony znalazły się dzieci zachodniej rewolucji przemysłowej, z wypełnionymi po burty okrętami, poszukujący zbytu dla swych produkowanych w nadmiarze towarów, a także - herbaty, wyrobów z laki, jedwabiu, emalii oraz wszelkiej tak modnej wówczas w Europie chińszczyzny. Niczym zwolennicy „globalizacji” pod koniec XX stulecia, ówcześni Europejczycy wierzyli w „wolny handel”, wolny obrót towarami na całym świecie (kontrolowany wyłącznie przez odpowiednie przepisy i cła). Kupcom - jeśli tylko opłacali odpowiednie podatki i cła - powinno się pozwolić na swobodny handel, gdzie i kiedy chcieli, bez krępowania ich nadmierną biurokracją. Wolny handel w połączeniu z chrześcijaństwem miały stać się awangardą zachodniej cywilizacji, niosąc błogosławieństwo „postępu” upośledzonym tubylcom na całym świecie.

Z przeciwnej strony znalazło się konfucjańskie społeczeństwo rolników i uczonych, całkowicie przekonane o swojej

wyższości, które nie cenito sobie i nie potrzebowało żadnych „błogosławieństw” z Zachodu. To społeczeństwo nie uważało, żeby handel był podstawą egzystencji narodu, i umieszczało kupców na samym dole drabiny społecznej. Pomysł ustanawiania prawa dla handlu i wymiany towarów był obcy chińskiej mentalności. Handel traktowano z dużą podejrzliwością, a za jego jedyną bodaj zaletę uważano możliwość wyciskania z kupców „haraczu” przez rząd (albo przez jego pozbawionych skrupułów urzędników). Chiny były samowystarczalne, nie interesowały się nowinkami i, jak twierdził cesarz Jiaqing, „nie przywiązywały wagi do zagranicznych wyrobów”.

Cesarz jednak się mylił. Był taki wyrób, do którego Chińczycy przywiązywali wielką wagę.

Opium.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ucieczka cesarza

To dziwne, ale wszyscy uważamy, że opium jest narkotykiem pochodzącym z egzotycznego Wschodu. Tymczasem odkryto go i zaczęto produkować w czasach prehistorycznych w basenie Morza Śródziemnego. WII tysiącleciu p.n.e. Cypr handlowa! nim z Egiptem. Opium wymieniają także greckie teksty medyczne z IV i V wieku p.n.e. Ponieważ w chińskiej farmakopei opium pojawia się dopiero w VIII wieku n.e., jakieś jedenaście stuleci później, istnieje przypuszczenie, że wiedza na temat opium przybyła do Chińczyków z Zachodu - stałymi trasami handlowymi przez Bliski Wschód do Indii, a stamtąd do Państwa Środka.

Chociaż dobrze już znano medyczne właściwości opium, jego „wykorzystanie jako używki” odkryto dopiero w XV wieku, w Persji lub w Indiach. A kiedy okazało się, że jego stosowanie prowadzi do nałogu, opium stało się towarem bardzo pożądanym. Za panowania mongolskiego cesarza Akbara (1556-1605) w dolinie Gangesu w Bengalu i w zachodnich Indiach, w Malwie koło Bombaju, pod uprawę maku przeznaczono duże połacie ziemi uprawnej. W owych dwóch regionach produkowano „najlepsze” opium, jeszcze kiedy Jehonala przybyła do Miasta Zakazanego, i miano je produkować także długo po jej śmierci.

W Chinach nie znano właściwie pozamedycznego zastosowania opium i pozostało ono tylko lekiem aż do przybycia pierwszych Europejczyków, którymi byli Portugalczycy. W ślad za tymi odważnymi żeglarzami pojawili się hiszpańscy i holenderscy, szukając jakiegokolwiek, prócz złota i srebra, towaru, na tyle atrakcyjnego, żeby oferować go w zamian za chiński jedwab, po który przyплыnęli tak daleko. Jedwab sprawił, że Chiny od czasów rzymskich stały się „grobem europejskich pieniędzy”. W XVI stuleciu prawie dwadzieścia procent całego srebra wydobywanego w hiszpańskiej Ameryce od razu wysyłano przez Pacyfik do Manili, a stamtąd do Chin jako zapłatę za jedwab i porcelanę. W samym tylko roku 1597. do Państwa Środka trafiło co najmniej 345 ton srebra, więcej niż same Chiny mogłyby wydobyć przez pięćdziesiąt lat. Zdesperowani Hiszpanie i Portugalczycy przez pół świata transportowali do Chin beł tytoniu ze swych brazylijskich kolonii, w nadziei że pogańscy Chińczycy przywykną do wątpliwej przyjemności wdychania nikotyny. Nic z tego nie wyszło, ale fajki, które wprowadzono na rynek wraz z tytoniem, załatwiły sprawę: kiedy Chińczycy spróbowali palić tytoń zmieszany z opium z Indii, niemal dosłownie złapali się na haczyk, i nagle okazało się, że nie można im nastarczyć „zachodniego dymu”. Nałóg palenia opium w błyskawicznym tempie ogarnął całe Niebiańskie Królestwo, co tak zaniepokoiło władze, że w 1729 roku cesarz Yongzheng wydał edykt zakazujący używania narkotyku i potępiający tę praktykę jako barbarzyńską.

Ani hinduscy kupcy (strzegący zazdrośnie monopolu na dostawy bengalskiego opium), ani europejskie floty statków handlowych (przewożące narkotyki z Indii do Chin), nie pozwolili jednak na to, żeby cesarz pozbawił ich tak lukratywnych zysków. Na tych tropikalnych wodach do Portugalczyków wkrótce dołączyli Holendrzy, którzy - kiedy usadowili się

na dobre w Dżakarcie, w Indonezji - zaczęli karmić opium masy nowo zdobytych dla narkotyku Jawajczyków, osiągając na każdym transporcie niebotyczny zysk dochodzący do 400 procent. Stwierdzili także, że krajowcy podpływają łodziami do Dżakarty, żeby kupić opium, które następnie sprzedają w Chinach i wszędzie wzdłuż wybrzeża. W latach 1660-1685 import opium przez holenderską Kompanię Indii Wschodnich wzrósł z 600 kilogramów do 72,3 ton, czyli o 12050 procent w ciągu dwudziestu pięciu lat! Szczególnie duże ilości opium sprzedawano do Chin pod koniec wieku, co doprowadziło wreszcie do zakazu używania tego narkotyku przez cesarza Yongzhenga w 1729 roku. Patrząc z perspektywy czasu, ten zakaz był zapewne błędem. Sprawił, że opium stało się towarem trudniejszym do zdobycia, co wywindowało jego ceny, dzięki czemu oczywiście Hindusom i Europejczykom bardziej opłacało się omijać chińskie prawo i szmuglować opium do Państwa Środka. Niektórzy badacze uważają, że lepiej byłoby zalegalizować opium i pozwolić na hodowlę maku w Chinach (jak to uczyniono w późniejszych latach na masową skalę). Taka strategia spowodowałaby obniżkę cen, zmniejszyłaby opłacalność przemytu i być może przyczyniłaby się do utrzymania na umiarkowanym poziomie konsumpcji opium*.

Brytyjczycy odmienili charakter handlowania opium, kiedy „John Company” (Brytyjska Kompania Indii Wschodnich) wysłała wojsko z Kalkuty w głąb kraju i w 1764 roku podbiła bogaty w opium Bengal. W ciągu dziewięciu lat Brytyjczycy wyparli miejscowe kartele i ustanowili własny monopol handlowy, kontrolując uprawę, organizację zbytu i międzynarodowy handel tym towarem. Jednak Brytyjska Kompania Indii

* Ówczesną sytuację można porównać do obecnego problemu z narkotykami. Podobnie jak argumenty za i przeciw w toczącej dzisiaj dyskusji na temat legalizacji „twardych narkotyków”, rzecz dotyczy imponderabiliów.

Wschodnich ograniczyła przynajmniej eksport opium do czterech tysięcy skrzyń (280 ton) rocznie, co przynosiło jej dochód wystarczający akurat do zakupu chińskiego zbioru herbaty i osiągnięcia kolejnych przyzwoitych zysków, dzięki sprzedaży chińskiej „cza” uzależnionym od teiny Brytyjczykom. Ów komercyjny raj trwał ponad pięćdziesiąt lat. Kiedy jednak w 1834 roku wygasł monopol Kompanii, doszło do dalszej eksplozji w handlu opium - z około 400 ton eksport wzrósł do blisko 2558 w 1840 roku. Zyski były ogromne. Przez cały wiek XIX podatki od handlu opium dostarczały sześć do piętnastu procent dochodów skarbowych Indii Brytyjskich i stanowiły finansową podstawę brytyjskiego panowania w tym kraju. Rząd Wielkiej Brytanii potrzebował tego źródła dochodów, więc nie zrobił nic, żeby przeszkodzić kupcom w sprzedaży opium do Chin, i nie bez racji można oskarżyć Wielką Brytanię, że przez większą część XIX wieku jako państwo popierała handel narkotykami.

W 1838 roku, kiedy Jehonala była jeszcze dzieckiem w kołysce, aktualnie panujący cesarz Daoguang, przerażony wpływem z kraju srebra i coraz większą liczbą uzależnionych od narkotyku Chińczyków, rozpoczął krucjatę przeciwko opium, która początkowo, jak się wydawało, zdołała zahamować nielegalny import narkotyku. Najuczciwszemu i najskuteczniejszemu ze swoich ministrów, Lin Zexu, powierzył zadanie oczyszczenia Kantonu, prowincji przez którą szedł największy szmugiel opium. Lin skonfiskował przeszło dwadzieścia tysięcy skrzyń opium, zamknął barbarzyńców w ich „faktoriach” na odległych przedmieściach, i zażądał od każdego z nich przysięgi na piśmie, iż zobowiązują się dożywotnio nie szmuglować opium do Chin. W odpowiedzi na to uprawnione żądanie, żeby cudzoziemcy przestrzegali chińskich praw, Brytyjczycy odpowiedzieli wysłaniem sześciu okrętów wojennych, które

w maju 1839 roku zbombardowały i zdobyły Kanton. Rokowania pokojowe między stronami ciągnęły się przez lata, a w 1841 roku cesarz odmówił podpisania pierwszej wersji dokumentu. Wówczas flota brytyjska zagroziła Nankinowi, „południowej stolicy”, i w tym momencie Chińczycy skapitulowali. Pierwsza wojna opiumowa zakończyła się w 1842 roku Traktatem z Nankinu - upokorzeni Chińczycy musieli przystać na niemal wszystkie żądania Brytyjczyków. Odstąpili im „na wieczność” Hongkong, wypłacili ogromne odszkodowanie, i otworzyli pięć kolejnych portów dla „wolnego handlu”. Ponadto Chiny musiały uznać „sądową eksterytorialność” (cudzoziemcy oskarżeni o przestępstwa w Chinach mieli być sądzeni przez własne sądy) i przystać na „klauzulę najbardziej uprzywilejowanego kraju”, co oznaczało, że jakakolwiek umowa handlowa zawarta z którymś z państw europejskich automatycznie stosowała się do handlu z Brytyjczykami. Lecz nawet teraz cesarz odmawiał zniesienia zakazu handlu opium. Nie zgadzał się także na pozostawanie w Pekinie żadnego zagranicznego przedstawiciela czy ambasadora.

To ostatnie z europejskich żądań Chińczycy uważali za wielką obrażę, sprawę znacznie poważniejszą niż kwestia opium. Cudzoziemcy stanowczo nie godzili się na składanie Synowi Niebios tradycyjnego hołdu, polegającego na trzykrotnym padaniu na twarz i za każdym razem dziewięć-krotnym *ketou* (biciu czołem). Dla Chińczyków taka odmowa graniczyła z bluźnierstwem i od przeszło tysiąca lat stanowiła przedmiot sporu między Państwem Środka a przedstawicielami innych narodów. Już w 713 roku arabski poseł wysłany przez kalifa Walida prosił o zwolnienie go z obowiązku padania na twarz przed cesarzem z dynastii Tangów, Xuan-zongiem, mówiąc: „W moim kraju czcimy tylko Niebo, nigdy zaś Księcia”. Posła natychmiast przekazano w ręce kata „za

niewybaczalną próbę pogwałcenia tutejszych obyczajów". Wprawdzie cesarz darował życie nieszczęśnikowi i po prostu odesłał go z powrotem do jego kraju, ale incydent ów pokazuje, jak wielką wagę przywiązywali Chińczycy do ceremonii *ketou*. Tylko jedno słońce króluje na nieboskłonie i jeden tylko władca, ich cesarz, sprawuje władzę nad wszelkim ziemskim stworzeniem. Uważali za coś oczywistego, że wysłannicy podległych mu królów i książąt winni bić czołem przed Niebiańskim Księciem. Taki hołd był prostą i logiczną konsekwencją kultury, w której każda warstwa społeczna biła czołem przed warstwą znajdującą się ponad nią. Chińczycy nie mogli zrezygnować z tej zasady, która była spoiwem integrującym całe społeczeństwo.

Państwa zachodnie ze swej strony były również nieustępliwe. Ich świat oparty był o zasadę suwerennych i równych sobie państw narodowych. Toteż z przyczyn finansowych i ze względu na zasady, zdecydowani byli obstawać przy tym, żeby ich ambasadorzy, reprezentujący głowy państw zachodnich, byli przyjmowani przez cesarza na zasadach równości stron, nie mogło więc być mowy o biciu czołem przed cesarzem.

W południowych Chinach, daleko od Miasta Zakazanego i prawdziwych ośrodków władzy, zachodni kupcy nie przejmowali się tą dyplomatyczną wrzawą. Nie przejmowali się również faktem, że handel opium jest nadal nielegalny. Zapotrzebowanie było ogromne, i szybko znaleźli skuteczne sposoby dostarczania towaru do klientów. Z Indii do brzegów Chin przewoziły go statki europejskie, a przy ujściu rzeki Perłowej, tuż poniżej Kantonu, przeładowywano go na chińskie łodzie przemytnicze, nazywane „szybkimi krabami” i „pędzącymi smokami”, skąd - dzięki ogromnie rozgałęzionej sieci połączeń handlowych i przy milczącej zgodzie przekupnych mandarynów - rozprowadzano go w głąb Chin. Zawarcie Traktatu

z Nankinu przyczyniło się do rozkwitu interesu: w 1858 roku dostawy opium doszły do szczytu, osiągając 4810 ton.

Znacznie wcześniej, w 1850 roku, zmarł cesarz Daoguang i na Tron Smoka wstąpił cesarz Xianfeng; w ten sposób rozpoczął się cały ciąg wydarzeń, którego doniosłym skutkiem będzie wezwanie Jehonali do Miasta Zakazanego. Jehonala nic nie wiedziała o cudzoziemcach, ale jak większości mandzurskiej elity, nie przeszkadzało to jej odnosić się do nich z pogardą. Kiedy wreszcie otrzymała tytuł Cesarzowej Zachodniego Pałacu, zabezpieczyła podstawy swej władzy i pozbyła się wrogów, stała się jednym z najbardziej radykalnych rzeczników wypowiedzenia nierównych traktatów, bez względu na konsekwencje takiego kroku. W swej arogancji i nieskończonej naiwności uważała, że jeżeli zachodni barbarzyńcy nadal będą trwać przy swych nierozsądnych i obrazoburczych żądaniach, wojska chińskie bez trudu zepchną „długie nosy” do morza.

Do kolejnego kryzysu między Państwem Środka a Zachodem doszło w 1856 roku, kiedy chińscy marynarze weszli na pokład statku Arrow i zaarrestowali za piractwo 12 chińskich członków załogi, nie zważając na fakt, że statek miał brytyjską rejestrację i brytyjskiego kapitana. Ten stosunkowo mało ważny incydent rząd brytyjski potraktował jako pretekst, nie zważając na to, że rejestracja statku wygasła jedenaście dni przed powyższymi wydarzeniami. Harry Parkes, brytyjski konsul w Hongkongu, zażądał oficjalnych przeprosin. Ye Mingchen, uparty i nieprzejednany gubernator Kantonu, odmówił, i wmanewrował swój kraj w jeszcze głębszy kryzys polityczny twierdząc, że Arrow nigdy nie pływał pod brytyjską flagą. Taka odpowiedź była jak dar niebios dla Brytyjczyków, którzy natychmiast skierowali na Kanton swe kanonierki, chcąc pomścić obrazę Królowej i Ojczyzny. Kanonierki zbombardowały

Kanton i doprowadziły do poddania się miasta, „otwierając” je dla wolnego handlu, i uwożąc jego gubernatora do Indii, gdzie wkrótce zmarł.

Nie wystarczyło to jednak Brytyjczykom. Przy poparciu Francuzów (którzy mieli z Chińczykami na pieńku z powodu zamordowania francuskiego misjonarza w prowincji Guangxi), premier Palmerston wysłał do Chin Jamesa Bruce'a, ósmego lorda Elgina, by ten domagał się odszkodowania oraz rewizji niedawno zawartego traktatu, żądając dla państw europejskich jeszcze większych przywilejów na chińskim kontynencie. Francuskim emisariuszem był arystokrata, baron Jean-Baptiste-Louis Gros, który nie spieszył się jednak z wyruszeniem z Francji, co stało się powodem dużego zdenerwowania lorda Elgina. Wreszcie jednak w październiku 1857 roku, cały rok od chwili incydentu ze statkiem Arrow, połączone floty brytyjska i francuska były gotowe do pożeglowania na północ do Tianji-nu, portu pilnującego Pekinu i cesarza. Zbliżali się rudowłosi barbarzyńcy, żeby zażądać dopuszczenia przed oblicze Samotnego Księcia w jego sanktuarium w Mieście Zakazanym. I nie mieli zamiaru padać przed nim na twarz.

W Pekinie słuchano tych wieści z narastającą obawą. Chińczycy woleliby uznać incydent z Arrow za sprawę lokalną, tymczasem Europejczycy rozdmuchali go do wydarzenia na miarę międzynarodową. Mimo to Mandżurowie wciąż byli zdecydowani traktować całą sprawę jako przejaw niewytłumaczalnego uporu zamorskich państw wasalnych, które nie chcą pogodzić się z wolą Syna Niebios. Jehonala przewodziła stronnictwu wojennemu, radząc cesarzowi, żeby nie okazywał litości barbarzyńskim „buntownikom”. Natomiast brat cesarza, książę Gong, uważał incydent z Arrow za sprawę w gruncie rzeczy bez znaczenia. Bardziej niepokoił go „bandyci” taipingowie i tłącą się ciągle rewoltę nazywał potencjal

nie śmiertelną chorobą dla ciała Chin. Był zdania, że sięgający po chińskie terytoria i osaczający państwo od północy Rosjanie są zagrożeniem dla jego łona; tymczasem kraje morskie, a zwłaszcza Brytyjczyków, księżę uważał raczej za „niebezpieczeństwo dla członków”, irytujący kłopot, lecz nic ponadto. „Dlatego też winniśmy wpierym zmiążyć bandytów, następnie powstrzymać Rosjan, a na samym końcu zwrócić się przeciw Brytyjczykom”. Elita mandzurska uporczywie trzymała się swoich złudzeń, wierząc w niższość barbarzyńców, i wciąż nie zdawała sobie sprawy z tego, z czym przyjdzie się jej zmierzyć pod postacią parcia na wschód zachodniego imperializmu.

W maju 1858 roku połączone floty brytyjska i francuska, w liczbie dwudziestu sześciu kanonierek (a tuż za nimi okręty amerykańskie w roli ostentacyjnie neutralnych „obserwatorów”) rzuciły kotwice przed fortami Dagu - czterema masywnymi, zwieńczonymi blankami bastionami u ujścia rzeki Baj-he - które pilnowały najważniejszej drogi wodnej do chińskiej stolicy. W Pekinie Jehonała i stronnictwo wojenne parło do zorganizowania silnej obrony przeciw Europejczykom, których wciąż jeszcze uważano za aroganckich wasali. 20 maja siły sojusznicze zaatakowały forty i ku ogólnemu zaskoczeniu (zarówno Chińczyków, jak i Europejczyków) obrona załamała się niemal natychmiast. W Pekinie zapanowała konsternacja, jehonała wciąż jeszcze nawoływała do wojny na noże z barbarzyńcami, ale Xianfeng posłuchał mądrzejszych doradców, i natychmiast wysłał dwóch wysokiej rangi mandarynów, Gui Lianga i Hua Shana, do Tianjinu jako negocjatorów. Ich instrukcje w teorii mówiły o „rozsądnym i obustronnie korzystnym pokoju” i o „ugodzie nienaruszającej interesów Chin”, lecz w rzeczywistości mieli torpedować rozmowy i grać na zwłokę oraz zrobić wszystko, co w ich mocy, żeby nie dopuścić

do pojawienia się w Pekinie „ambasadorów” Francji i Anglii. Mandżurowie zdawali sobie sprawę z tego, że zachodni posłowie odmówią padnięcia na twarz przed cesarzem i zażądają prawa pobytu w Pekinie. Obie te rzeczy były nie do przyjęcia dla Chińczyków: nic nie podkopałoby bardziej mitu o omnipo-tencji cesarza, na którym opierała się cała struktura chińskiego społeczeństwa (i przywileje ich własnej oligarchii).

Po kilku dniach negocjacji, w czasie których lord Elgin na zmianę zamartwiał się lub parskał z gniewu, baron Gros zaś udawał obojętność, Chińczycy z bólem przystali na wszystkie zachodnie warunki, z wyjątkiem dwóch, które dynastia uznała za niepodlegające dyskusji. Chińczycy nie zgodzili się na przyznanie cudzoziemcom prawa do osiedlania się w Pekinie, i na zezwolenie cudzoziemskim kupcom na prowadzenie wolnego handlu na rzece Jangcy i w głębi Chin. Brytyjczyków nie zadowolily jednak chińskie ustępstwa, w dalszym ciągu nalegali na całkowitą kapitulację i przyjęcie wszystkich żądań. Prowadzący negocjacje mandaryni wpadli w taką rozpacz, że pokazali amerykańskim i rosyjskim wysłannikom wyroki śmierci na sobie, zaklinając się, że zostaną one wykonane, jeżeli tylko zgodzą się na jakiegokolwiek dalsze ustępstwa wobec Brytyjczyków. Później poproszono barona Grossa, żeby wstawił się za nimi u swojego brytyjskiego kolegi. Lord Elgin odpowiedział na to 26 czerwca, deklarując gotowość marszu na stolicę, i zainstalowania tam ambasadorów pod osłoną armat. Chińczycy błagali o jeszcze trochę czasu i ślali rozpaczliwe depesze do Pekinu z informacją o ultimatum. Mimo oporu Jeho-nali i innych twardogłowych na dworze, trzeźwiejsi ministrowie zdawali sobie sprawę z tego, że Brytyjczycy, wspierani nowoczesną techniką i lepszym wyszkoleniem żołnierzy, mogli istotnie spełnić swoje groźby. Rokowania się skończyły. Trzeba było ustąpić albo walczyć.

Chińczycy rozsądnie ustąpili. W dniu 26 czerwca podpisano Traktat z Tianjinu, i zdawało się, że wszyscy zgodzili się na to, by czerwonołłosi barbarzyńcy pojawili się w Mieście Zakazanym i zostali przyjęci na audiencji przez Syna Niebios, bez obowiązku padania na twarz. Dla elity mandżurskiej ten jeden katastrofalny fakt okazał się decydujący. Był to tak wielki cios dla ich dumy, że zaczęli się więc jak węże, żeby uniknąć skompromitowania starannie wypracowanego oszustwa o panowaniu nad światem, zniszczenia mitu o supremacji Chińczyków nad innymi narodami, która tak imponowała „durnym ludziom” w Państwie Środka, i od tysięcy lat utrzymywała przy władzy wszystkie poprzednie dynastie i ich samych. Po jeszcze jednej zwłóce, obie strony spotkały się ponownie, i tym razem Chińczycy zagrali ostatnią kartą. Zaproponowali, że w zamian za rezygnację z prawa do osiedlenia ambasadorów, Chiny zniosą wszelkie dotychczasowe cła nakładane na zachodnie towary. Było to wielkie ustępstwo, bo cła stanowiły duży procent dochodów skarbu państwa, a także świadectwo ogromnej wagi, jaką dynastia mandżurska wciąż jeszcze przywiązywała do rytuałów związanych z ich władzą. Ku ogólnej uldze i pewnemu zaskoczeniu, lord Elgin przystał na to, postulując jedynie, żeby zachowano *teoretyczne* prawo do osiedlenia. W prywatnych rozmowach Brytyjczycy wyrażali ulgę, że otrzymali wszystko, co chcieli, bez wojny, ale wkrótce zdali sobie sprawę z tego, w jak niebezpiecznym położeniu znajdzie się brytyjski wysłannik w chińskiej stolicy: „Jeżeli Chińczycy zechcą narobić kłopotu, Pekin stanie się dla posła pułapką na szczury”.

Chińczycy ze swojej strony odetchnęli z radością i ulgą. Z punktu widzenia Mandżurów udało im się klęskę zamienić w zwycięstwo. Wprawdzie musieli wyrazić zgodę na wizytę ambasadorów w Pekinie w przyszłym roku w celu ratyfikowania

nowego traktatu i wówczas znów powróci kwestia hołdowniczego pokłonu przed cesarzem, ale chińska klasa rządząca celowała w odwlekaniu decyzji i, jak wszyscy dobrzy politycy, Chińczycy wiedzieli, że nic nie jest pewne na tym świecie, a w ciągu następnych dwunastu miesięcy może się wydarzyć wiele rzeczy, które mogą doprowadzić do zmiany charakteru lub nawet odwołania planowanej wizyty. Cesarz i jego ministrowie odetchnęli, przygnębieni dworzanie powrócili do swych zwykłych próżniaczych zabaw i aroganckiej ignorancji spraw zewnętrznych. Po raz kolejny chińska mądrość zawróciła barbarzyńców od wrót Państwa Środka.

Członkowie mandzurskiego dworu nie będą musieli wystawiać się na bezczelne spojrzenia obcych diabłów. Jednak przynajmniej niektórzy musieli zdawać sobie sprawę z tego, że czas nie działał na ich korzyść i prędzej czy później Yinggu-oren i Faguoren powrócą na pokładach swych olbrzymich okrętów z nowoczesnymi armatami. Mimo to, jak przed nimi szlachta epoki Mingów, kiedy tylko znikło zagrożenie, Man-dzurowie powrócili do swych odwiecznych zajęć, utrwalonych od wieków w rytuałach i tradycjach ich prastarej kultury, wciąż od nowa udając hegemonów świata i najprawdopodobniej wierząc w swoje własne oszustwa. Rok powoli mijał, i chociaż powstanie taipingów wzniesło już pożar w prawie całych południowych Chinach, na scenie międzynarodowej nie zaszło nic takiego, co mogłoby odwrócić uwagę zachodnich mocarstw. Kiedy zakończył się rok 1858, a rozpoczął 1859, rozeszła się wiadomość, że Brytyjczycy i Francuzi znów są na Morzu Południowochińskim i szykują się do wyprawy na północ w celu ratyfikowania w Pekinie zawartego w ubiegłym roku traktatu. Chińczykom grunt usuwał się spod nóg. Ich propozycja, żeby ceremonia ratyfikacji odbyła się w Szanghaju, została zignorowana. W dniu 18 czerwca 1859 roku,

floty brytyjska i francuska, pod dowództwem Fredericka Bruce'a (młodszeo brata lorda Elgina) i M. de Bourbulona (ministra Napoleona III), zarzuciły kotwice u ujścia rzeki Baihe, tak blisko, że były dobrze widoczne z lądu. Towarzyszyły im znów zachowujące ostentacyjną neutralność amerykańskie kanonierki pod dowództwem komandora Josiaha Tattnalla.

Wszystko poszło nie tak, jak przewidywano. Zamiast opuścić flagi na masztach w obliczu przewagi zachodniej techniki, chińskie baterie przybrzeżne otworzyły ogień do sojusznicznych okrętów. Zatopiono cztery z nich, a jeden, Plover, został poważnie uszkodzony. Z czterdziestoosobowej załogi zginęło trzydziestu marynarzy i dowódca. Mimo śmierci swych towarzyszy i przewagi nieprzyjaciela, dziewięciu pozostałych przy życiu marynarzy odmówiło poddania się i nadal strzelało z armat. Demonstracyjnie dotychczas neutralny komandor Tattnall uznał, że nie można patrzeć obojętnie na rzeź dzielnych brytyjskich marynarzy, i - płynąc pod ogniem chińskich dział - pospieszył im z pomocą, zabierając na pokład rannych. Kiedy później zauważył, że kilku jego ludzi ma twarze czarne od prochu, spytał: „Co wyście tam robili, nicponie?”, jeden z jego marynarzy odpowiedział: „Prosimy o wyrozumiałość, panie komandorze, ale zabrakło im ludzi do obsługi działa na dziobie”. W równie bezpośredni sposób tłumaczył Tattnall powody, dla których zdecydował się popełnić ową dyplomatyczną gafę. „Krew jest gęstsza niż woda” - powiedział szczerze.

W Pekinie z entuzjazmem przyjęto chińskie zwycięstwo nad barbarzyńskimi „buntownikami”. Nareszcie daliśmy do wiwatu tym długonosym kundlom, i teraz zmykają do domu podkuliwszy ogony pod siebie. To był właśnie ten impuls, jakiego potrzebowała Jehonala i „wojenne stronnictwo” twar-dogłowych doradców cesarza. Wojna domowa z taipingami przybierała zły obrót, ale Tron Smoka wywarł przynajmniej

zemstę na innych wrogach. Teraz barbarzyńcy zastanowią się dwa razy, zanim znów zdecydują się na konfrontację z Państwem Środka.

Przez jakiś czas wydawało się, że chińska ocena sytuacji była słuszna, i że ta porażka rzeczywiście odbierze Brytyjczykom i Francuzom ochotę do kontynuowania chińskiej awantury. Mniej wojowniczy Amerykanie, przynajmniej na początku, lepiej wyszli na tych przepychankach. Tak jak postulowali Chińczycy, wylądowali pod Beitangiem i przyjęto ich z uprzejmą godnością, jak wymagał chiński obyczaj. Potem jednak sprawy zaczęły przybierać coraz gorszy obrót. Przewieziono ich do Pekinu, blisko sto osiemdziesiąt kilometrów, w okropnych, upokarzających warunkach, prymitywnymi, pozbawionymi resorów wozami. Była to okazja, żeby pokazać plebsowi, jak pokorni i uniżeni mogą być wysłannicy „kwitnącego kraju” i mandaryni rozegrali tę kartę jak tylko umieli najlepiej. Podróż Amerykanów, choć nie tak krwawa, jak nieudana próba Europejczyków otrzymania audiencji u Syna Niebios, okazała się tak samo bezowocna. Chińczycy, nadęci pychą, zażądali, żeby Amerykanie padli na twarz przed Niebiańskim Księciem. Posłowie amerykańskiej republiki wpadli we wściekłość: przecież po to wzniecili rewolucję, żeby nie zginać kolan przed królem Anglii. Nie mieli najmniejszego zamiaru padać na twarz i bić czołem, oddając cześć chińskiemu władcy. Nie przeszkodziło to chińskim kronikarzom zanotować, kiedy Amerykanie byli już daleko od wybrzeży Chin, że Państwo Środka opuścił „Ward, który złożył hołd cesarzowi”.

Wydawało się, że nic się nie zmienia.

Tymczasem budujący właśnie swoje imperium Brytyjczycy okazali się jeszcze bardziej niż Chińczycy przekonani o tym, że Bóg dał im rządy nad światem. Tylko dziewięć miesięcy wytrwali rudzi barbarzyńcy w błogosławionej ciszy. W lipcu

1860 roku powrócili z dużą siłą na ląd pod Beitangiem, zaraz na północ od umocnień fortów Dagu, wysadzili łączony brytyjsko-francuski korpus ekspedycyjny złożony z osiemnastu tysięcy żołnierzy. Dowodzili nim baron Gros i lord Elgin, obydwaj doświadczeni w sprawach chińskich. Przybyli, żeby podbudować nadwątlony prestiż mocarstw europejskich, zażądać jeszcze większych odszkodowań od Państwa Środka (16 milionów taeli, co równa się 5 milionom funtów szterlin-gów), zdecydowani wymóc w Pekinie, przed obliczem samego Syna Niebios, tym razem ostateczną ratyfikację Traktatu z Tianjinu.

Europejczycy wyciągnęli wnioski z ubiegłorocznej porażki. Działa fortów Dagu wycelowane były przede wszystkim na rzekę, od strony lądu natomiast forty były bronione znacznie słabiej. Tutaj właśnie, na najsłabiej bronionym odcinku dwóch bastionów na północnym brzegu Baihe, nastąpił atak sił brytyjsko-francuskich, poprzedzony trwającym dwie i pół godziny ostrzałem artyleryjskim. „Piechocie morskiej przypadł zaszczyt uczestniczenia w ataku... Francuzi nacierali w innym miejscu, a rywalizacja, kto pierwszy wedrze się na mury fortów, okazała się wspaniałą podniętą. Trudno powiedzieć, kto był pierwszy. Naszą flagę *wciągnięto* wcześniej, ale minutę lub dwie przedtem francuski chorąży zamachał flagą francuską, kiedy tylko wdarł się na mury, lecz zaraz potem padł zastrzelony... Dwie lub trzy minuty po godzinie 8.00, po zaciętej walce, która trwała tylko trzy godziny, fort został zdobyty". Harry Parkes i pozostali dowódcy sojusznicy byli „pełni podziwu dla Chińskich artylerzystów. O 6.30 wyleciała w powietrze ich prochownia i straszna eksplozja spowiła cały fort w tak gęstym dymie, że walki chwilowo ustały; chińscy artylerzyści jeszcze jednak przez godzinę wytrwali przy swoich działach". Kiedy sojusznicze wojska zdobyły wreszcie dostęp

do fortów, atakujący odkryli przyczyny samobójczej odwagi Chińczyków. „To był horror nie do opisania. Chińczycy nie pozwalali nikomu uciec, wydano rozkaz, żeby likwidować każdego, kto by tego spróbował, a na wszelki wypadek zabarykadowano wszystkie drogi odwrotu. Tak więc obrońcy ginęli tam, gdzie walczyli”. W bitwie zginęło blisko tysiąc pięciuset broniących fortów Chińczyków, sojusznicy stracili tylko trzydziestu czterech żołnierzy. Fortyfikacje na południowym brzegu rzeki wywiesiły białą flagę, nie podejmując walki, i forty Dagu znów dostały się w ręce zagranicznych diabłów.

Z początku mandaryni starali się, żeby wieść o klęsce nie dotarła do ludności Pekinu, lecz jak to bywa z „sekretami” w wielkim mieście, wiadomość o przegranej bitwie niemal natychmiast przedostała się do opinii publicznej i była przekazywana z ust do ust przez klientów licznych stołecznych zajazdów i herbaciarni. Jeden z pekińskich mandarynów, Wu Ketu, członek szacownej Akademii Hanlin, w tym burzliwym okresie prowadził dziennik. Opisał w nim szczegółowo swoją osobistą tragedię - nieuchronną śmierć matki, a przy okazji zapisał bezcenne uwagi ilustrujące chiński punkt widzenia na konflikt z Europejczykami i plotki krążące po stolicy. Warto zwrócić szczególnie uwagę na to, że Wu Ketu z góry zakładał, iż to Jehonała obejmie teraz władzę, co świadczy o jej wielkich ówczesnych wpływach na doradców cesarza i powszechnej świadomości tego faktu.

W sierpniu 1860 roku Wu notuje, że „Jego Cesarska Wysokość był poważnie chory, i jak powszechnie wiadomo, chciał wyjechać na północ, ale cesarska konkubina Yi [jeden z tytułów Jehonali] oraz książę Seng odwiedli go od tego zamiaru, zapewniając, iż barbarzyńcy nigdy nie wejdą do miasta [...]. W ciągu następnych dni ludność zaczęła opuszczać Pekin, ponieważ rozeszły się już wieści o porażce naszych wojsk

w Dagu i że poległ dowodzący brygadą generał; z Beitangu uciekł cały garnizon, a forty są w rękach barbarzyńców [...] nie znano prawdziwych przyczyn naszej przegranej, a ludzie, utrzymywani w nieświadomości, stopniowo zapomnieli o pierwszym alarmie".

Gdyby mieszkańcy Pekinu znali całą prawdę, byłiby prawdopodobnie bardziej zaniepokojeni. Wojska zachodnie były już w drodze do otoczonego murami miasta Tongzhou, gdzie zamierzali spotkać się z wysłannikami cesarza i uzgodnić warunki wejścia do Pekinu. Cesarz, prawdopodobnie za namową Jehonali, wysłał nowego posła, Ji Yinga, który miał zażądać wycofania się barbarzyńców. Misja była z góry skazana na niepowodzenie, i na nic się nie zdała wypróbowana umiejętność perswazji Ji Yinga. Kiedy niefortunny poseł powrócił, żeby zdać sprawę z niepowodzenia swej misji, wręczono mu jedwabny sznur jako znak wielkoduszności cesarza: Ji Ying mógł powiesić się sam, zamiast zostać ściętym jak pospolity przestępca. Teraz wysłano trzech nowych negocjatorów, wysokich rangą mandarynów, którzy mieli zadanie - korzystając ze starych jak świat metod chińskiej dyplomacji, mieszaniny przechwałek i przewlekania rozmów - powstrzymania barbarzyńców. I ta trójka została odesłana z kwitkiem przez zniecierpliwionych zachodnich dowódców, których armia posuwała się w kierunku Pekinu.

Wkrótce potem ogłoszono edykt cesarski, którego ognista retoryka i bezwstydną przekręcanie faktów znów świadczą o niewątpliwych wpływach Jehonali:

W ubiegłym roku barbarzyńcy próbowali sforsować ujście rzeki Baihe, ale ich okręty zostały zatopione w mgnieniu oka, a tysiące ich ciał na milę od brzegu kołysało się na wodzie. Sądziłem, że ta lekcja nauczy ich większej ostrożności. Jednak rok po tej klęsce

powrócili jeszcze bardziej liczni i bezczelni niż poprzednio. Wykorzystali odpływ morza i wysadzili wojsko w Beitangu, a następnie od tyłu - jako prawdziwi barbarzyńcy - zaatakowali forty Dagu. Nasi żołnierze, przyzwyczajeni do patrzenia w twarz swoim wrogom, nie spodziewali się takiego tchórzostwa i takiej perfidii. Rozzuchwaleni sukcesem, za który powinni rumienić się ze wstydu, teraz zaatakowali Tianjin. Mój gniew wkrótce uderzy i zlikwiduje ich bez litości. Wzywam wszystkich moich poddanych, Chińczyków i Mandżurów, żeby polowali na barbarzyńców jak na dzikie bestie. Opuszczajcie wasze wioski, kiedy tylko zaczną się zbliżać ci przestępcy. Niszczcie wszystkie zapasy, z jakich mogliby skorzystać. W ten sposób ich przeklęta rasa wyginie z głodu, niczym ryby w wyschniętym stawie.

W następnym edykcie, opublikowanym 6 września, cesarz znów przeklinał barbarzyńców za ich perfidię, wyznaczając cenę za ich głowy: „Za głowę czarnego barbarzyńcy [Brytyjczycy sprowadzili oddziały Sikhów z Indii] 50 taeli; za głowę białego barbarzyńcy 100 taeli”. Na koniec wciąż ulegając złudzeniu o własnej wszechmocy, cesarz obiecywał swoją łaskę: „Jeżeli Brytyjczycy i Francuzi pokajają się i zawrócą ze złej drogi, okazując należne nam posłuszeństwo, będziemy skłonni znów zezwolić im na handel, jak to miało miejsce w przeszłości. Oby się pokajali, póki jest jeszcze na to czas”.

Następnego dnia w kolejnym oświadczeniu odrzucono żądanie dodatkowych odszkodowań, jakie zgłosili alianci. Rola Jehonali w owym usztywnieniu stanowiska cesarza zdaje się nie ulegać wątpliwości. Cesarz wciąż jeszcze nosił się z zamiarem ucieczki przed kryzysem, chciał przekroczyć Wielki Mur i zamieszkać w swoim pałacu w Rehe, bezpieczny wśród własnego ludu. Jako naród zdobywców, Mandżurowie nigdy nie czuli się całkiem bezpieczni w Chinach, i tradycyjnie uważali swoją sta-

ra ojczyznę za bezpieczny azyl. Przed panowaniem ojca Xian-fenga, cesarze regularnie składali dary w tej krainie, żeby odprawić modły przy grobach swoich dynastycznych przodków, jeszcze przed pojawieniem się ludzi z Zachodu, Mandżurowie mieli przygotowane plany działania na wypadek udanego powstania przeciwko ich rządowi. W starej mandżurskiej stolicy Mukdenie zgromadzili bezcenne skarby, futra, jedwabie, przedmioty z nefrytu i szlachetnych kamieni. W starych pałacowych studniach zmagazynowali zdumiewające ilości srebra: cenny metal przetapiano w glinianych piecach ustawianych nad każdą studnią; prosto z tygli ciekłe srebro lano do studni, dopóki masywna bryła czystego srebra nie wypełniła całej studni, aż do jej szczytu. Kiedy studnia była pełna, otwór cementowano i przenoszono się do następnej, ponawiając całą procedurę. Te drogocenne ładunki, którymi napełniano studnie, nazywano „srebrnymi serami”, a zrzucony z tronu mandżurski cesarz mógł sukcesywnie odcinać kawałki metalu na utrzymanie swojego dworu, obmyślając tymczasem zemstę.

Jehonala i stronnictwo wojenne taki sposób myślenia uważali za bluźnierstwo. Barbarzyńcy zostaną pokonani, potrzebny był jedynie czas na przygotowanie należytej obrony. Chińscy negocjatorzy wciąż próbowali więc grać na zwłokę, wynajdując niekończące się preteksty, aby utrzymać najeźdźców z dala od Pekinu, i odwlekając moment ich spotkania z Synem Niebios. Główni negocjatorzy lorda Elgina - Harry Parkes i Thomas Wade - wdawali się w przewlekłe potyczki słowne z wysłannikami cesarza, odsłaniając warstwa po warstwie, niczym łupiny z cebuli, kolejne kłamstwa ich argumentacji, aż wreszcie wyciągnęli od nich wyznanie, że w rzeczywistości nie mają upoważnienia do podpisywania jakichkolwiek wiążących uzgodnień z ludźmi z Zachodu. Zniecierpliwiony i rozwścieczony zwłoką, lord Elgin nakazał wznowienie marszu na Pekin,

posuwając się w tempie, które zdumiało Chińczyków, gdyż ich ogromne i nieruchawe armie potrzebowały zwykle tygodni, żeby wykonać taki manewr. I znów na dworze w Pekinie zapanował strach i konsternacja. Cesarz miotał się pomiędzy poczuciem obowiązku wobec przodków a nieodpartym pragnieniem, żeby znaleźć się jak najszybciej możliwie daleko od tych nietaktownych barbarzyńców, którzy wciąż odmawiali uznania go za swego zwierzchnika. A jednak nawet Xianfeng musiał przyznać, że potrzebny jest jakiś reprezentant, który poprowadziłby negocjacje ze zbliżającymi się „rebeliantami” i postarał się namówić ich do powrotu pod skrzydła chińskiego władcy. Wbrew wszelkiej oczywistości, cesarz i jego dwór wciąż czepiali się wygodnych złudzeń o chińskiej supremacji nad światem i nadal uważali armię sojuszników za nieposłusznych poddanych, którzy na chwilę wymknęli się spod władzy Mandżurów. Cesarz zaproponował wysłanie pełnomocników wyższej rangi - swego własnego kuzyna, księcia Yi oraz ministra wojny, Mu Yina. Zastąpili oni trzech niefortunnych negocjatorów, odwołanych w niełasce, którym jednak w panującym akurat zamieszaniu zapomniano wręczyć jedwabne sznury.

Wybór mediatorów oznaczał usztywnienie chińskiego stanowiska. Księżę Yi był podporą stronnictwa wojny, i całkowicie zgadzał się z Jehoną, że nie należy czynić żadnych ustępstw względem ludzi z Zachodu. Siły sojuszników były bardzo nieliczne w porównaniu z armią Mandżurów, liczącą podobno *in toto* blisko pół miliona żołnierzy. Dowodził nią przy tym zdolny i odważny generał Seng Guo Lin Sen (który pod przekreślonym angielskim nazwiskiem, jako „Sam Collinson” stał się ulubieńcem brytyjskich oddziałów). Co więcej, korpus sojuszniczy znajdował się daleko od najbliższej bazy i miał niebezpiecznie rozciągnięte linie komunikacyjne, Chińczycy zaś walczyli o swoje domy i ojczyznę. Zarówno man

dżurska elita władzy, jak i chińscy uczeni nie dopuszczali myśli, że francusko-brytyjski korpus mógł zwyciężyć. Próbując ułagodzić dowództwo „rebeliantów” książę Yi oraz Mu Yin wysłali pojednawcze listy do lorda Elgina, usiłując przekonać go, że wszystko da się załatwić po jego myśli. Elgin nie dał się jednak wyprowadzić w pole. Jego armia posuwała się dalej w kierunku Tongzhou, gdzie ewentualnie będzie można porozmawiać o warunkach wejścia do miasta i audiencji u cesarza. Była to ostatnia kropla przepelniająca kielich goryczy zdesperowanych Chińczyków: Tongzhou był strategicznym punktem położonym niespełna dwadzieścia kilometrów od Pekinu, do którego prosto stąd prowadziły drogi lądowe i szlaki wodne. Jeżeli ludzie z Zachodu zdobędą kontrolę nad Tongzhou, nic już ich nie powstrzyma na drodze do północnej stolicy i Wielkiego Środka. Do tego po prostu nie można było dopuścić. Nie było wyboru. Musiało dojść do wojny.

Prowadząc jednak nadal swoją grę usypiania podejrzeń, Chińczycy postanowili udąć, że kapitulują. Zgodzili się, by lord Elgin i baron Gros przybyli do Pekinu ratyfikować traktat; prosili jedynie, żeby zabrali ze sobą do stolicy tylko nieliczną gwardię honorową, a główne siły zostawili tam, gdzie się obecnie znajdują. W odpowiedzi Elgin zaproponował, że jego siły zatrzymają się sześć kilometrów przed Tongzhou, w wiosce Zhang Jiawan. Następnie on i jego francuski kolega wyruszą do Pekinu z eskortą liczącą tysiąc żołnierzy, co jest ciągle liczbą imponującą, ale nie na tyle dużą, żeby wzniecić panikę wśród ludności chińskiej, uważającej, że armia zdobywców rzuci się do plądrowania ich domów i gwałcenia ich kobiet. Elgin dodał, że niezależnie od ratyfikacji traktatu, ma także list od królowej Wiktorii do cesarza Chin, który zamierza wręczyć osobiście Synowi Niebios. W XIX wieku w większości krajów uznano by taki list za zaszczyt dla adresata (i taka

była też jego intencja, brytyjska królowa-cesarzowa chciała w nim przekazać wyrazy szacunku innemu władcy). W Chinach jednak „fakty były inne”, i zarówno sam list, jak i bardzo osobisty sposób, w jaki miał być przekazany, uznano za największą obelgę. Żaden barbarzyńca - król czy nie król -nie mógł stawiać się na równi z Księciem Niebios. To było nie do pomyślenia i nie należało tego tolerować. O ile Chińczycy do ostatniej chwili wahali się, czy podjąć rękawicę, uwaga Elgina, że zamierza osobiście przekazać ten list, rozwiała wszelkie dalsze wątpliwości. Gdyby Brytyjczycy szukali konfrontacji, nie mogliby wymyślić lepszego pretekstu dla swych przeciwników do rozpętania wojny.

A jednak, mimo gniewu, Chińczycy ciągle jeszcze „uśmiechali się, ukrywając sztylet”, jak nakazywała dziesiąta z trzydziestu sześciu Klasycznych Strategii: „Spraw, żeby przeciwnik przestał mieć się na baczności, działaj w tajemnicy, żeby go sobie podporządkować; przygotuj się dobrze, zanim rozpoczniesz akcję [...] To jest metoda ukrywania silnej woli pod maską układowości”. Książę Yi oraz Mu Yin udawali, że zgadzają się na wszystko, ale we wrześniu Chiński Smok zaczął się ruszać, mobilizując swoją ogromną armię - mongolska i mandżurska jazda, oddziały tygrysów w czarno-żółtych mundurach, muszkietierowie, piechota z pikami, kanonierzy i wojownicy z dwudziestu prowincji - zdecydowaną powstrzymać pochód barbarzyńców ku stolicy i zapobiec upokorzeniu Syna Niebios.

Gdyby do takiej konfrontacji doszło dwadzieścia lat wcześniej, wynik byłby łatwy do przewidzenia. W tamtym czasie uzbrojenie obu stron było zbliżone, i decydującą rolę odegrałaby liczebna przewaga Chińczyków. Jeszcze pod koniec lat pięćdziesiątych XIX wieku armia brytyjska wyposażona była w gładkolufowe działa ładowane od przodu, praktycznie niezmiennie od czasu wojen napoleońskich. Zasięg i dokład-

ność rażenia niegwintowanych dział były rozpaczliwie słabe: ich pociski z trudnością trafiały w cel na odległość większą niż 500-700 metrów. Również piechota brytyjska wyposażona była w muszkiety podobnie starej daty. Ich oficjalny zasięg wynosił 180 metrów, ale w próbach na poligonie, przy idealnych warunkach pogodowych, dobrze wyszkolony strzelec trafiał w duży cel (175X 300 cm) jedynie trzy razy na dziesięć strzałów. Przyczyną takiego braku celności nie był człowiek, lecz broń. Kule muszkietowe były celowo podkalibrowane, aby dawały się luźno, a więc szybko załadować. W rezultacie, po odpaleniu muszkietu, obijały się one w lufie, ostateczna zaś trajektoria ich lotu zależała od tego, w jakim momencie kula opuszczała lufę. Celność była więc sprawą szczęścia, a nie wyszkolenia. Gdyby lord Elgin wyruszył ze swoim poselstwem nawet cztery lata wcześniej, o wiele liczniejsze siły chińskie zgniotyby jego korpus, wyposażony w tak niecelne, ładowane przez lufę, muszkiety.

Tymczasem, w ciągu kilku ostatnich lat przed chińską kampanią 1860 roku, w europejskim przemyśle rusznikarskim nastąpiła rewolucja, rozpoczęta wynalezieniem pocisku Delvigne-Minié, który dawał się łatwo załadować do lufy, ale w momencie odpalenia rozszerzał swą objętość, wypełniając sobą całe światło lufy, co radykalnie hamowało wyciek gazu prochowego do przodu, zwiększając donośność pocisku. Była jeszcze druga innowacja, mianowicie nagwintowanie lufy, które nadawało pociskowi ruch obrotowy i radykalnie polepszało celność ognia. Rezultatem było ogromnie zwiększone rażenie wroga.

Uzbrojenie Chińczyków było natomiast rozpaczliwie przestarzałe. Wiele ich armat strzelało jeszcze kamiennymi kulami. Ich muszkiety były przeważnie odpalane za pomocą tłącego się lontu. Takiego typu muszkietów nie używano w Europie już od

początku XVI wieku. Część jazdy nosiła jeszcze zbroje, co stanowiło znakomitą ochronę przed włóczniami i strzałami, lecz nie przed szybkimi pociskami z karabinu typu Enfield lub metalowymi odłamkami granatów rozpryskowych wystrzeliwanych przez armaty Armstronga.

W dniu 18 września ekipa złożona z Francuzów i Brytyjczyków pod dowództwem Harry'ego Parkesa jako tłumacza i Henry'ego Locha, prywatnego sekretarza lorda Elgina, wjechała konno do Tongzhou w celu ustalenia z księciem Yi oraz Mu Yinem ostatnich szczegółów „wizyty” sojuszników w Pekinie. Pozornie wszystko szło gładko, dopóki nie poruszono sprawy listu królowej Wiktorii do cesarza. Tu sprzymierzeni natknęli się na twarde opór Chińczyków i nagle spotkanie utknęło w martwym punkcie, a księżę Yi zaczął głośno krzyczeć: „Nie ma mowy o żadnym pokoju!” oraz „Wojna jest nieunikniona!”, i gwałtownie prysły wszelkie pozory przyjaznej rozmowy. Poruszeni do głębi Europejczycy opuścili chiński obóz. Podczas powrotu do kwatery lorda Elgina, któremu mieli złożyć sprawozdanie z przebiegu rozmowy, zauważyli baterie dział ukryte w wysokich łąkach proza wokół wsi Zhang Jia-wan, gdzie miała rozbić obóz armia sojusznicza w oczekiwaniu na powrót lorda Elgina i barona Grosa z audiencji u cesarza. Przyglądając się baczniej, dostrzegli dużą liczbę mandżurskich chorążych i chińskich piechurów, rozlokowanych wokół miejsca przeznaczonego na obóz. Chiński generał Seng Guo Lin Sen postanowił uczynić z wioski Zhang Jiawan cmentarz.

Rozsierdzony taką zdradą, Parkes natychmiast kazał przymocować białą chusteczkę do lancy jednego ze swoich Si-khów, i zaopatrzywszy się w tak zaimprovizowany znak ro-zejmu zawrócił raz jeszcze i wraz z eskortą popędził przed siebie wśród chińskich żołnierzy, szukając „Sama Collinsona” żeby spróbować wyjaśnić, co to wszystko znaczy. Sytuacja by-

la rzeczywiście kiepska, bo właśnie ogłoszono cesarski edykt, obiecujący nagrodę za głowę każdego barbarzyńcy. Widząc białą flagę, chiński oficer ofiarował się przeprowadzić całą grupę do kwatery generała Senga, gdzie dostaną oficjalny list żelazny. Parkes zgodził się ochoczo i razem ze swoimi ludźmi, bez obaw wjechał do obozu generała. Parkes i jego towarzysze uważali, że są bezpieczni, przybywając pod białą flagą i jako przedstawiciele obcych rządów podlegają ochronie dyplomatycznych konwencji, dla Senga byli jednak zwykłymi buntownikami, a przeciwko takim ludziom wszelkie środki są dozwolone. Najpierw więc Seng obrzucił Parkesa i jego towarzyszy istnym potokiem wyzwisk, a potem kazał ściągnąć z koni i związać - z ramionami skrępowanymi na plecach, a kostkami u nóg przywiązanymi do przegubów dłoni, jak tradycyjnie krępowano schwytanych buntowników. Seng kazał wrzucić ich na wozy i zawieźć do Pekinu. Zdaje się, że Chińczycy postanowili schwytąć jak największą liczbę „barbarzyńców”. W sumie w ciągu kilku godzin uwięziono aż trzydziestu dziewięciu sprzymierzonych - dwudziestu sześciu Brytyjczyków i trzynastu Francuzów - wszystkich związano i przetransportowano wozami do Pekinu.

Nie wydaje się, by to sam cesarz wydał rozkaz aresztowania któregokolwiek z Europejczyków. Wieść o ich schwytaniu wzbudziła panikę w słabym, chorowitym monarsze i wśród jego towarzyszy, i tylko silna dłoń Jehonali nie pozwoliła zatonać nawie państwowej. Jak pisał Wu Ketu:

[...] nasi żołnierze pojмали przywódcę barbarzyńców Ba Xiali [sir Harry Parkes] i ośmiu innych, których osadzili w areszcie karnym. Na tę wieść trwoga ogarnęła całe miasto, i rozeszła się pogłoska, że Jego Wysokość przygotowuje się do objazdu stron północnych [to znaczy do ucieczki z miasta]. Konkubina Yi przekonała jednak

kilku starszych urzędników, żeby wystąpili do cesarza z prośbą o pozostanie na miejscu [...] Wszyscy mandżurscy i chińscy urzędnicy wysyłali rodziny z miasta, a wraz z nimi swoje kosztowności, ale duże sklepy pod główną bramą nadal handlowały jak dotychczas.

Wtedy nie wiedzano jeszcze, jak źle chińscy strażnicy potraktowali alianckich więźniów. Lecz sam fakt, że zostali zdradziecko uwięzieni, kiedy jechali pod białą flagą, był wystarczająco bulwersujący, żeby siły francusko-brytyjskie natychmiast przystąpiły do akcji, i ruszyły niezwłocznie na Pekin. Między nimi a chińską stolicą stała armia generała Sen-ga, licząca trzydzieści do pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy, pałających nienawiścią do obcych diabłów i żądnych bitwy.

Decydujące spotkanie rozegrało się przy Ba Li Gao (Moście Ośmiu Li, jedna *li* jest równa mniej więcej jednej mili angielskiej, czyli ok. 1,6 km). Most ten spinał dwa brzegi głównej drogi wodnej prowadzącej z Tongzhou do stolicy, i to tutaj Chińczycy zgromadzili swoje siły w oczekiwaniu na atak sprzymierzonych. Seng Guo Lin Sen był zdolnym dowódcą: artylerię rozmieścił na skraju lasów i na wzgórzach, piechotę rozrzucił w tyralierę poniżej, powiewające nad nią barwne sztandary ze smokami i tygrysami zagradzały drogę do Ba Li Gao. Generał, mongolskiego pochodzenia, główną nadzieję wiązał ze zmasowanym atakiem doborowej jazdy tatarskiej, którym, niczym stalową pięścią, zamierzał zmiażdżyć centrum wojsk sprzymierzonych. W takt dźwięku trąbek i pojękiwania szkockich kobz brytyjskie i francuskie oddziały zajęły pozycje w odległości około trzech kilometrów od mostu. Seng rzucił na „buntowników” swoją falangę Tatarów. Tatarzy szarżowali w całkowitej ciszy, na sygnały flagami sprawnie zmieniając szyki, nie używając w ogóle komend głosem. So-

jusznicza artyleria (która miała wyrzutnie raketowe, na ironię historii, wynalezione przez Chińczyków) przeorała krwawe bruzdy w ich szeregach, lecz tatarska jazda w biegu zwierała szeregi i galopowała dalej, nie zważając na zmasowany ogień karabinowy z linii piechoty. Gdyby Tatarzy mieli wsparcie w postaci nowoczesnej artylerii, która mogła by odpowiedzieć na ogień nieprzyjaciela, wynik starcia mógłby być inny. Lecz chińscy kanonierzy celowali zbyt wysoko i nie próbowali nawet korygować ognia. W przeciwieństwie do Chińczyków alianccy artylerzyści celowali z zabójczą precyzją, obalając całe szeregi tatarskich kawalerzystów i dziesiątkując podążającą za nimi chińską piechotę. „Widzieliśmy głębokie bruzdy żłobione przez wroga w gęstej masie jeźdźców i koni. Atak stopniowo zmienił się w ucieczkę i jazda wycofała się w końcu w kierunku mostu”. Wśród ciężko rannych znalazł się generał Sheng Bao, dowodzący obroną mostu. Granat z działa Armstronga zdruzgotał mu szczękę. Dysząc żądzą zemsty, kazał wyciągnąć z tymczasowego aresztu, w którym ich trzymano, dwóch europejskich więźniów - byli to ksiądz de Luca i kapitan Brabazon z Artylerii Królewskiej - wciągnąć na most i ściąć przy jego barierce. Wprawdzie później Chińczycy twierdzili, że obaj zmarli z przyczyn naturalnych, lecz kilka miesięcy po bitwie w płytkim grobie odkryto dwa bezgłowe ciała. Na jednym z nich były resztki sukienego munduru brytyjskiej armii, na drugim - strzępy czarnej jedwabnej sutanny, dokładnie takiej, jaką nosił nieszczęsny francuski ksiądz.

Przez siedem godzin Tatarzy bronili desperacko podejścia do Ba Li Gao. W końcu jednak, wobec nieubłaganego, nieustannego ognia artylerii sprzymierzonych, załamali się i uciekli przez most na północ, w ślad za rozbitkami armii Senga, którzy już wcześniej rozproszyli się po bezdrożach chińskiej prowincji.

Kiedy resztki chińskiej armii cofały się w kierunku Pekinu i przerażonego cesarza, jeszcze groźniejsza, cicha wojna rozgorzała wokół Tronu Smoka. Dynastia mandzurska mogła nie wytrzymać ataku rudowłosych barbarzyńców (nikt na dworze nie był pewien, czy rzeczywiście chodzi im tylko, jak twierdzili, o wolny handel, czy też zamierzają zawojować Państwo Środka). Zakładając jednak, że reżim przetrwa lub że zostanie zmuszony do ucieczki do swojej mandzurskiej ojczyzny, na północ od Wielkiego Muru, musiało się rozstrzygnąć, kto będzie rządził po Xienfengu. Czy najwyższa władza spocznie w rękach Jeho-nali i jej sprzymierzeńców, czy też przejdzie w ręce kliki można-władców z jej głównym wrogiem, Su Shunem na czele?

Być może powodem ostrej, skierowanej przeciwko cudzoziemcom retoryki Jehonali i jej nalegań, by cesarz pozostał w Pekinie, był w mniejszym stopniu patriotyczny zapał, a bardziej zwykły instynkt samozachowawczy. Dopóki cesarz pozostawał w stolicy, żelazna etykieta Wielkiego Środka utrudniała innym mężczyznom dostęp do ucha Syna Niebios. Inaczej było z Jehonala: jako faworyta cesarza i matka jego jedynego męskiego dziedzica, miała niemal nieskrępowany dostęp do Jego Majestatu. Mogła więc użyć wszelkich kobiecych sposobów, żeby przeciągnąć słabowitego monarchę do swojego stronnictwa i nastawić przeciwko stronnictwu rywala, Su Shuna. Pozycja Jehonali była więc nieporównywalnie silniejsza dopóty, dopóki Xianfeng pozostawał w stolicy, natomiast jej wpływ mógłby znacznie osłabnąć, a nawet zniknąć całkowicie, gdyby cesarz przeniósł się do mniej oficjalnej rezydencji poza Wielkim Murem. Za wszelką cenę należało więc wyperswadować mu ucieczkę ze stolicy.

Tymczasem oddziały sojusznicze dotarły do przedmieść Pekinu, gdzie doszło do utarczki przy bramie Jihua, zakończonej kolejną porażką chińskich żołnierzy. Jak pisze pamiętnikarz:

Wielu stratowano na śmierć [...] nasi żołnierze uciekali we wszystkich kierunkach, barbarzyńcy zaś napierali na mury miasta. Niektórzy książęta i ministrowie błagali konkubinę Yi, żeby namówiła cesarza do wyjazdu ze stolicy, ale konkubina Yi przekonała dwóch spośród Wielkich Sekretarzy, żeby wystąpili w memoriale przeciwko takiej decyzji, i w rezultacie wydano dekret stwierdzający, że cesarz, bez względu na okoliczności, nie opuści miasta. Inny dekret wydała konkubina Yi, obiecując wysokie nagrody za zabicie barbarzyńcy. Sądzone powszechnie, że cesarz ostatecznie zrezygnował z projektowanego wyjazdu.

Wczesnym rankiem następnego dnia pod bramą Jihua rozegrała się jeszcze jedna bitwa, i wojska cesarskie ponownie poniosły porażkę. Ta ostatnia klęska sił chińskich w połączeniu ze zdumiewająco szybkim marszem „buntowników” na Pekin, zmieniała wszystko. Główne siły Xianfenga były rozbite i apele Jehonali o przeciwstawianie się barbarzyńcom nie znajdowały już posłuchu. Co gorsze, tak zdecydowanie identyfikując się z polityką stronnictwa wojny i jego hasłem „nie poddamy się cudzoziemcom”, która poniosła teraz kompletne fiasko, Je-honala poważnie osłabiła swój wpływ na umierającego już monarchę. Kiedy tylko wiadomość o kolejnej porażce dotarła do Letniego Pałacu, do którego Xianfeng przeniósł swój dwór, rozpętało się pandemonium: „Święty Majestat, w towarzystwie wszystkich swych konkubin, książąt, ministrów, wielmożów i dworzan, opuścił miasto w desperackim pośpiechu i niesamowitym bałaganie, zachowując się tak, jak gdyby hordy barbarzyńców następowały mu już na pięty. Tymczasem cudoziemcy byli jeszcze dosyć daleko [...]” (Wu Ketu).

Jehonala musiała czuć się zawstydzona i zaniepokojona tą wyprawą dworu na północ. Jej starannie przemyślane i coraz to bardziej karkołomne intrygi, których celem było zatrzymanie

cesarza w Pekinie, spaliby na panewce. Niezależnie od statusu matki następcy tronu, niepodważalna przedtem pozycja Jehonali jako cesarskiej faworyty, teraz była bardzo wątpliwa. Jej wpływ na cesarza malał raptownie. Doradzała stawianie oporu barbarzyńcom, co doprowadziło do katastrofy. Uderzające tchórzostwo Xianfenga i jego bezwstydna, godna pogardy ucieczka, przypominały o żalosnej ucieczce cesarza z dynastii Zhou, który opuszczał stolicę „posypując głowę prochem”. Konkubina Yi była główną przeciwniczką pomysłu ucieczki do Mandżurii, więc wielu uważało - jak skomentował to później jeden z europejskich dyplomatów - że Jehonala „była jedynym mężczyzną w Chinach”. Takie nastroje nie przydawały jej sympatii słabnącego i wciąż wahającego się cesarza, który tracił twarz tym bardziej, im bardziej Jehonala nawoływała do oporu. Nieprzyjaciele Jehonali również nie omieszkali wykorzystać jej porażek.

Na domiar nieszczęścia, dwór uciekał w tak strasznym pośpiechu i bałaganie, że Jehonala nagle stwierdziła, iż zgubiła swój największy atut, syna i dziedzica tronu. W czasie, gdy długa kolumna zakrytych wozów i lektyk posuwała się na północ rozmiękłą po jesiennych deszczach drogą, zaufani eu-nuchowie i słudzy Jehonali rozpaczliwie poszukiwali jej jedyne dziecko, chłopczyka, który stanowił dla niej najpewniejszą gwarancję bezpieczeństwa. Gdyby Su Shun, lub ktokolwiek z jego stronnictwa zdołał odnaleźć następcę tronu, poważnie ograniczyłoby to jej swobodę ruchów. Musiało jej się wydawać, że wieki minęły do chwili, kiedy wreszcie powiedziano jej, że chłopczyk jest w bezpiecznym miejscu. Zaopiekowała się nim jego ciotka Sakota, Cesarzowa Wschodniego Pałacu i kuzynka Jehonali; był bezpieczny w jej lektyce.

Teraz, kiedy następca tronu był bezpieczny, Jehonala mogła zastanowić się nad sytuacją. Nie ulegało wątpliwości, że tym

bardziej zagrożona, im bardziej cesarski orszak oddalał się od Pekinu, stawała się jej pozycja. Był jednak następca tronu i miała jeszcze jeden atut, na którym mogła polegać. Tak się złożyło, że eskorta towarzysząca Synowi Niebios w jego „objeździe północy” (eufemizm utworzony wkrótce po tym wydarzeniu) składała się w dużej części z wojowników klanu Jeho-Nala, na których lojalności cesarzowa mogła polegać aż po śmierć. Mogła też polegać na wierności ich dowódcy. Był nim bowiem wysoki, młody kapitan: Rong Lu, narzeczony Jehonali, zanim wezwano ją do Wielkiego Środka.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Akty barbarzyństwa

Po zwycięstwach nad chińską armią główny korpus sił sprzymierzonych okrążył Pekin od północnego wschodu, spodziewając się tam nawiązać kontakt z cofającym się przeciwnikiem. Przez jakiś czas Brytyjczycy nie nadawali za Francuzami, którzy nocą 6 października natknęli się na imponujące mury, poza którymi rysowały się na tle nieba spiczaste sylwetki trzech wielkich pagód. Było zbyt ciemno, żeby dostrzec cokolwiek, lecz mimo to, gdy żołnierze rozbili obóz pod murami, w ciemności zaczęli rozróżniać cienie okolicznych chłopów, którzy wspinali się po drabinach i znikali za murami. Francuzi, zaintrygowani, ruszyli za Chińczykami i nagle znaleźli się w baśniowej krainie, trafiając do Yuan Ming Yuan, Okrągłego Jasnego Ogrodu, który był ogromnym, ekskluzywnym parkiem rozrywki chińskich cesarzy.

Letni Pałac, jak go również nazywano, rozpoczął budować w 1709 roku sławny cesarz Kangxi, a kontynuowali dzieło kolejni Synowie Niebios, zwłaszcza cesarz Ojanlong. Letni Pałac zajmował powierzchnię co najmniej dwudziestu pięciu tysięcy hektarów, i pełno w nim było rzadkich okazów zwierząt i roślin z terenów całego cesarstwa, takich jak egzotyczne złote rybki, bażanty, drapieżne ptaki i si bu xiang („cztery cechy, które do siebie nie pasują”), stworzenia z ogonem osła, kopy-

tami krowy, szyją wielbłąda i rogami jelenia - dziś znane zoologom jako jelenie ojca Dawida. W obrębie Letniego Pałacu znajdowało się około trzydziestu pałacyków i rezydencji, a przy każdej z nich były domki z mieszkaniami dla straży przybocznej Syna Niebios, jego eunuchów i sług domowych. Budynki cesarskie wzniesiono w rozmaitych stylach, w tym jeden pałac, co zaskakujące, utrzymany był w stylu europejskiego baroku; zbudowali go jezuici, przebywający na dworze Ojanlonga. Mimo architektonicznej symetrii, to nie uroda budowli stanowiła o niezwykłym uroku Okrągłego Jasnego Ogrodu, lecz sposób ich rozmieszczenia w krajobrazie. Cały teren szczegółowo zaplanowany i, z wielką miłością rękami tysięcy robotników ukształtowany, teraz przedstawiał najpiękniejszy, najbardziej harmonijny widok, jaki może sobie wyobrazić ludzki umysł; dzieło sztuki zawierające w sobie dzieła sztuki o skali niemal nadludzkiej. Jak opisuje pewien angielski turysta w 1793 roku, była tam

obfitość kanałów, rzek i dużych powierzchni wodnych, których brzegi, choć sztuczne, nie są ani przycinane, ani koszone, ani pochylone pod kątem ostrym na kształt skarp fortyfikacyjnych, lecz ogromnym nakładem sił ukształtowane w nieregularne formy, pozornie przypadkowe, naśladujące swobodną rękę natury [...] Świadomie zaplanowano perspektywy; sadząc drzewa kierowano się nie tylko ich wielkością, lecz wydaje się, że przy komponowaniu całości wzięto nawet pod uwagę odcienie ich liści [...].

Chińscy chłopcy wyraźnie nie zwracali uwagi na uroki Ogrodu. Korzystając z braku straży wokół pałacu, ze spokojną zajadłością łupili jego pawilony. A kiedy francuscy żołnierze zajrzeli do budynków i zobaczyli zgromadzone tam bezcenne skarby, obudził się w nich grabieżczy instynkt Wizygotów.

Skoro te bogactwa miały zniknąć, Francuzi też chcieli mieć w tym swój udział, tak więc *les soldats* rzucili się chwacko do roboty, przeganiając lokalnych rabusiów i systematycznie wybierali dla siebie co lepsze rzeczy. Kiedy Brytyjczycy dogonili wreszcie francuską kolumnę, ich galijscy sprzymierzeńcy zapewnili ich solennie, że w armii francuskiej rabunek jest surowo zakazany, a w tym samym czasie, zadając kłam wszelkim zapewnieniom, żołnierze francuscy łupili, co tylko wpadło im w ręce. Kiedy Anglicy niechętnie stosowali się do obowiązującego i u nich zakazu rabunku, „ci dżentelmeni w zadziwiającym tempie... chwyтали przedmioty ze złota i zegarki, które natychmiast znikaly w ich przepastnych kieszeniach". Następnego dnia Brytyjczycy też dostali swoją szansę - cofnięto rozkaz zakazujący plądrowania, i teraz już całe sojusznicze wojsko rzuciło się na skarby Letniego Pałacu, ogoławając budynki ze wszystkich wartościowych przedmiotów, jakie dało się wynieść i w akcie dzikiego wandalizmu niszcząc wszystko, czego wynieść się nie dało.

Dwa dni później słodki smak zwycięstwa przemienił się w gorycz, radość - w ponury gniew. Od prawie trzech tygodni lord Elgin domagał się informacji o losie ludzi - Brytyjczyków, Francuzów, Sikhów i kilku chińskich kulisów - porwanych przez Chińczyków wbrew wszelkim konwencjom dyplomatycznym. Wreszcie 8 października uwolniono pierwszych więźniów i ich towarzysze dowiedzieli się prawdy o porwaniu, i o tym jak ich traktowano w więzieniu.

Jako pierwsi wrócili główny tłumacz Harry Parkes, i prywatny sekretarz Elgina, Henry Loch. Po tym, kiedy Seng Guo Lin Sen kazał ich związać i wraz z dwoma innymi więźniami (Francuzem i starym towarzyszem, Sikhem Nal Singiem) zawieźć do Pekinu, wrzucono ich do pozbawionego resorów wozu, i ogromnie cierpieli, kiedy wóz podskakiwał na wyboistej

drodze do stolicy: „Sądzę, że gdyby to potrwało trochę dłużej, nie przeżylibyśmy”, powiedział Loch o tej strasznej podróży. Zapadał zmrok, kiedy przez zachodnią bramę wjechali do miasta, a było już zupełnie ciemno, kiedy wreszcie zatrzymali się przed dużym budynkiem, szarym i bezkształtnym w panujących ciemnościach. Podeszło trzech ludzi z latarniami. Loch wyczuł, że Parkes sztywnieje i usłyszał jego szept: „Jest gorzej, niż się spodziewałem, jesteśmy przed najgorszym więzieniem Chin; znaleźliśmy się w rękach oprawców; to jest Obostrzony Areszt Karny”. Wciągnięto ich natychmiast do środka. Przewidując tortury, Loch starał się dodać otuchy współtowarzyszom niedoli, mówiąc, żeby się nie bali. Stary Sikh prychnął z oburzeniem: „Bać się? - odpowiedział w języku hindi. - Ja się nie boję; i tak umrę, jeśli nie dziś to jutro, jestem już po sześćdziesiątce, i jestem z wami. Nie boję się”.

W przerażającym pomieszczeniu obwieszonym różnymi narzędziami, „nad których zastosowaniem lepiej było nie zastanawiać się zbyt dokładnie, krępujące ich powrozy zamieniono na łańcuchy. Łańcuchy założono im wokół szyi i przy kostkach u nóg, zostawiając między kostkami odstęp mniejszy niż dziesięć centymetrów, co uniemożliwiało szybkie poruszanie się. Innym łańcuchem połączono szyję i kostki. Tak skrępowanych, na wpół popychano, na wpół przeniesiono, do odrębnych cel ogólnych, wypełnionych tłumami chińskich więźniów w różnych stadiach wycieńczenia. Locha strażnicy więzienni potraktowali szczególnie źle. Przyczepili łańcuch otaczający jego szyję do sterczącej z pułapu belki tak, że ledwo mógł się położyć. Europejczycy spodziewali się najgorszego ze strony otaczających ich zewsząd skazańców, lecz Chińczycy byli nad podziw przyjaźni. Kiedy Loch zbudził się po paru godzinach snu, dygocząc z zimna, okazało się, że tuż obok niego leży dwóch Chińczyków, a jeden z nich, „czując jak dygoczę, naciągnął

swój własny, postrzępiony i nadjedzony przez robactwo łachman na moje ciało - i byłem mu wdzięczny".

Nie był to jedyny dobry uczynek, jaki owi chińscy nieszczęśnicy wyświadczyli obcokrajowcom. Chińscy więźniowie codziennie starannie przemywali rany na kostkach u nóg i przegubach Brytyjczyków, przecierając je szmatką, żeby nie zagnieździły się w nich larwy much, powodując infekcję. Jak wykazało doświadczenie innych europejskich więźniów, to nie była tylko zwykła uprzejmość. Chroniąc ich od żerujących much i ich larw, chińscy więźniowie dosłownie uratowali im życie.

Jakkolwiek szorstkie traktowanie, z jakim spotkali się Parkes i Loch, było łaskawe w porównaniu z tym, czego doświadczyli inni więźniowie z ich grupy. Najbardziej brutalnie oprawcy obeszlą się ze swoimi ziomkami, Chińczykami: uwięzionych kulisów zakopano po szyję w ziemi i wypuszczono na nich wygłodniałe psy, które objadły ich czaszki. Dla obcokrajowców zarezerwowane były inne rodzaje tortur. Pewien Francuz wspomina:

Kiedy już nas związali, powrozy oblali wodą, żeby się mocniej ściągnęły. Następnie wywlekli nas na podwórze i rzucili na ziemię, gdzie leżeliśmy wystawieni na chłód nocy i słońce w czasie dnia. Drugiego dnia wieczorem dostaliśmy po dwa kawałki chleba i odrobinę wody. W ciągu dnia każdy, kto tylko miał ochotę, mógł podejść i znęcać się nad nami. Na noc przy każdym z nas stawiano strażnika. Jeżeli powiedzieliśmy choćby słowo, deptali po nas i kopali po głowach. Jeżeli prosiliśmy o coś do jedzenia lub picia, wpychali nam w usta nieczystości. Reszty nie śmiem opisać.

Nieczystości w ustach i kopniaki można przeżyć, lecz zaciśnięte więzy na przegubach były wyrokiem śmierci. Zaciskanie powrozów, praktykowane przez Chińczyków, odcinało do-

pływ krwi do palców, które czerniały i straszliwie puchły. Powrozy wcinały się w przeguby do krwi, i w końcu obumierające komórki i pękająca skóra stawały się łupem miliardów much, które stanowią nieodłączny element każdego chińskiego domu. Przed tymi muchami chronili rany Locha i Parkesa ich towarzysze więziennej niedoli. Wiedzieli, co robią. Muchy składały jajka na żywym mięsie. Dżawalla Sing, podoficer pierwszej drużyny pułku lekkokonnych Fane, tak opisał przerażające konsekwencje tego faktu:

[...] porucznik Anderson zaczął majaczyć i pozostał w tym stanie - tylko na kilka chwil odzyskując w tym czasie świadomość - aż do śmierci, która przyszła dziewiątego dnia od uwięzienia. Nim umarł, paznokcie i palce jego dłoni popękały od ucisku powrozów; przyszła martwica, wyszły na wierzch kości przegubów i jeszcze za życia robactwo zagnieździło się w jego ranach, pasożytowało na nich i rozpełzało się po całym ciele [...] pięć dni później w ten sam sposób zmarł szeregowy o nazwisku Ramden - jego zwłoki natychmiast zabrano [ciało porucznika Andersona przez trzy dni leżało obok innych więźniów).

Inny Sikh z tegoż pułku lekkokonnych, szeregowy Bughel Sing, siedział razem z Thomasem Bowlbym (korespondentem londyńskiego „Timesa”), francuskim oficerem o nieznanym nazwisku oraz brytyjskim dragonem który nazywał się Phipps:

Pan Bowlby zmarł drugiego dnia po naszym przybyciu; zmarł z powodu muszych larw żerujących na przegubach jego rąk. [...] Jego ciało pozostawiono w tym samym miejscu przez prawie trzy doby, a czwartego dnia przywiązano do belki i przerzucono przez mur na żer psom i świniom. Następnego dnia zmarł Francuz; był lekko ranny w głowę i dłoń. Larwy dostały się do jego uszu, nosa

i ust, i wkrótce stracił przytomność. Dwa dni później zmarł pierwszy Sikh; jego dłonie nabrzmiały od zaciśniętych powrozów, larwy much dostały się do ran, i umarł. Cztery dni później zmarł Phipps z pułku Gwardyjskiego Królewskich Dragonów. Przez dziesięć dni starał się dodawać nam odwagi, lecz pewnego dnia jego dłonie nabrzmiały tak jak dłonie pana Andersona, i larwy much zaczęły się rozmnażać w ranach. Mahomed Bux, podoficer, umarł dziesięć dni temu. Larwy zaczęły mnożyć się w jego ranach na cztery dni przed śmiercią i wyżarły mu mięso na dłoniach. Ja również bym umarł, gdyby mi w porę nie zdjęto łańcuchów.

Chińscy strażnicy nie przejmowali się męczarniami więźniów. Wprost przeciwnie, zdawali się z przyjemnością patrzeć na ich śmierć, zadawaną w tak okrutnie barbarzyński sposób. Dżawalla Sing pisze, że „kiedy porucznik Anderson i inni towarzysze prosili nas o pomoc w przegryzieniu ich [powrozów], Chińczycy odgonili nas kopniakami”.

Chińczycy chcieli użyć więźniów jako karty przetargowej do wytargowania ustępstw, lecz Elgin nie zgodził się na rozmowy i wprost oświadczył księciu Gongowi, że zniszczy Pekin, jeżeli Chińczycy nie zwrócą alianckich więźniów*. Jego zdecydowana postawa odniosła skutek: książę Gong nakazał przenieść Parkesa i Locha z ich cel w Obozrzonym Areszcie Kryminalnym i trzymać w bardziej ludzkich warunkach pod czujnym okiem mandaryna, Hang Ji, aż wreszcie w poniedziałek 8 października zgodził się ich wypuścić. Zaledwie piętnaście minut po opuszczeniu przez nich więzienia sąd cesarski w Rehe przysłał wyrok, spisany na papierze koloru ochry, nakazujący ich egzekucję. W ciągu następnego tygodnia Chińczycy,

*** Była to raczej pusta groźba - nie miano ciężkiej artylerii, z którą można by było zaatakować potężne mury stolicy.**

pod groźbą surowych retorsji sojuszniczych, wypuścili wszystkich pozostałych więźniów, jak również zwrócili ciała tych, którzy nie przeżyli uwięzienia.

Pierwsze ciała przywieziono nocą w czterech trumnach załadowanych na chińskie wozy. Ciała torturowanych i zabitych były tak przepalone niegaszonym wapnem, że prawie nie można było rozpoznać szczątków. Po przeliczeniu i oględzinach ciał stwierdzono, że spośród 39 uwięzionych, przynajmniej co trzeci został „barbarzyńsko zamordowany”. Kiedy wieści o tych okrucieństwach rozniosły się w sojuszniczym obozie, żołnierzy niemal opętała żądza odwetu. Gdyby Elgin lub Gros powiedzieli jedno słowo, francuscy i brytyjscy gwardziści bez wątpienia znieśliiby Pekin z powierzchni ziemi i z radością wyrznęli całą jego ludność.

Na szczęście obaj dowódcy zdawali sobie sprawę z tego, że odwet utwierdziłby tylko chińską elitę w jej uprzedzeniach, obrócił zwykły lud przeciwko „barbarzyńcom”, a może nawet pomógł zjednoczyć Chińczyków i Mandżurów w walce przeciw wspólnemu wrogowi, wzmacniając zaufanie do dynastii i przedłużając wojnę. Z drugiej strony, takiego aktu barbarzyństwa nie można było puścić płazem. Pytanie brzmiało: jak mają zareagować alianci?

Rosjanie zgłosili już propozycję, żeby zrównać z ziemią Obostrzony Areszt Karny i na tym miejscu wznieść pomnik ku czci pomordowanych. Francuzi zgadzali się z tą propozycją, sugerując dodatkowo, żeby przejąć i ukarać śmiercią oprawców, którzy znęcali się nad więźniami. Elgin nie zgadzał się ani na jedno, ani na drugie. Pomnik zostałby po prostu odebrany jako prowokacja przez wszystkich Chińczyków, którzy niewątpliwie by go zniszczyli natychmiast po opuszczeniu miasta przez ludzi z Zachodu. Wieszanie zaś oprawców, a pozostawienie w spokoju tych, którzy wydawali rozkazy, było

w jego oczach niesprawiedliwe. Poza tym, rządzący Mandżurowie najprawdopodobniej przekazaliby aliantom dowolną liczbę skazańców, twierdząc, że to oni są odpowiedzialni za złe traktowanie i śmierć barbarzyńców. Nie, trzeba było raczej zrobić coś, co przebudziłoby Chińczyków z letargu, w jakim tkwili od przeszło dwóch tysięcy lat, coś, co dotknęłoby głęboko odwieczną pychę Państwa Środka, ściągnęło cesarza z jego złocistego piedestału i na zawsze zniszczyło mit o jego bosko-ści, coś, co rozległoby się echem wzdłuż i wszerz po całym cesarstwie i pokazało jego poddanym, że Syn Niebios jest po prostu zwykłym władcą, jednym z wielu.

Elgin uważał, że wie, co ma zrobić: postanowił zniszczyć Letni Pałac. Francuzi (którzy niczym stado szarańczy ogołocili już Pałac ze wszystkiego) zachowywali się tak, jakby byli przerażeni tym pomysłem. Baron Gros, mając na względzie opinię publiczną w Europie, odmówił wzięcia udziału w czymś, co określił jako akt „barbarzyństwa”. Elgin jednak nie ustępował - Letni Pałac był świętym miejscem cesarza, jego baśniową krainą. Żadna z rzeczy, osób i miejsc w Państwie Środka nie uosabiała w tym stopniu potęgi i wyjątkowości Syna Niebios. Nic też tak skutecznie nie dowiodłoby jego bezsilności w walce z barbarzyńcami, jak zniszczenie Pałacu. Baron Gros nie był przekonany. „Obawiam się - pisał - że odwet tak bezużyteczny i dziki do tego stopnia wystraszy księcia Gonga, że rzuci się do ucieczki i zniknie w Mandżurii”. Odmowa udziału francuskich oddziałów w tej operacji składała całą odpowiedzialność na barki Elgina. Był to dla niego podwójny ciężar, przecież cała Europa słyszała o „marmurach Elgina” i o tym, jak jego ojciec splądrował Grecję, wywożąc do Anglii najpiękniejsze okazy sztuki helleńskiej. Nawet w 1860 roku tamta sprawa miała posmak skandalu, i ponury Szkot zdawał sobie

sprawę z tego, że taki akt zemsty na cesarzu bardzo zaszkodzi jego własnej reputacji; „Niedaleko pada jabłko od jabłoni” - dojdą do nieuniknionego wniosku bywalcy wytwornych salonów w całej Europie. O sile jego charakteru świadczy fakt, iż nie zrezygnował z tego planu, przekonany, że jest to najlepszy i jedyny sposób zarówno na pomśzczenie śmierci jego żołnierzy na pysznym cesarzu i jego sługusach, jak też pchnięcie opornych Chin (w jego przekonaniu dla ich własnego dobra) w objęcia nowoczesnego świata.

W dniu 13 października lord Elgin wydał rozkazy swym żołnierzom. Doszczętnie spłonął cały Letni Pałac, a także Yuan Ming Yuan i Cesarski Pałacyk Myśliwski (co pośrednio doprowadziło do wyginięcia jedynych w Chinach si bu xiang)*. Kompletnemu zniszczeniu uległo pięć pałaców i dwieście innych budynków, dymy pożarów było widać aż w Pekinie, i nikt nie mógł mieć wątpliwości co do katastrofy, jaka dosięgła cesarza, jednym z podpalaczy był kapitan Charles Gordon, który wkrótce jako „chiński Gordon” miał walczyć u boku Mandżurów z taipingami. Pisał do swej matki: „Z trudnością możesz wyobrazić sobie piękno i wspaniałość obiektów, które paliliśmy. Serce krwawiło, kiedy je podpalaliśmy; przy tym były one tak duże, a czasu tak mało, iż nie zdołaliśmy nawet ogołocić ich starannie z kosztowności. Z dymem poszła również pewna ilość złotych ornamentów, uznanych za brązowe. Dla wojska była to operacja głęboko demoralizująca. Każdego ogarniało szaleństwo grabieży”.

Choć niewątpliwie był to czyn barbarzyński, strategia Elgi-na okazała się skuteczna. Wbrew przewidywaniom barona Grosa książę Gong nie uciekł z Pekinu, patrząc jak płonie Letni

*** Uratowanych przez ojca Dawida, który wywiózł kilka okazów do Wielkiej Brytanii, gdzie gatunek ten przeżył i powrócił do Chin w późnych latach siedemdziesiątych XX wieku.**

Pałac. „Wprost przeciwnie, to wtedy właśnie, i dopiero wtedy zdał sobie sprawę z bezużyteczności dalszych forteli. Ogień wciąż jeszcze trawił Letni Pałac, kiedy do francuskiego obozu dotarł chiński parlamentariusz, przywożąc ze sobą pismo, w którym Chińczycy po raz pierwszy jasno i niedwuznacznie wyrazili oficjalną zgodę na propozycje sił sprzymierzonych. Baron Gros przyjął je z entuzjazmem. Lord Elgin uczynił to ze zwykłą mu wyniosłością”.

Dymiały jeszcze zgliszczona Letniego Pałacu, kiedy 24 października lord Elgin, w otoczeniu straży przybocznej na koniach, w dźwiganej przez szesnastu chińskich tragarzy lektyce krytej szkarłatnym palankinem udał się do siedziby Trybunału Rytuałów, żeby podpisać z księciem Gongiem traktat między Anglią a Chinami. Atmosfera spotkania była lodowata: żadnych uśmiechów, żadnych rozmów czy pojednawczych przemówień; uczestnicy skłonili się sobie w momencie przybycia na miejsce i potem po zakończeniu ceremonii. Trudno się temu dziwić, coś więcej niż belki i kamienne mury uległo zniszczeniu w pożarze Letniego Pałacu. Zniszczony został mit od tak dawna podtrzymujący poczucie dumy narodowej Chińczyków - wiara w to, że ich cesarz jest najwyższym władcą Wszystkiego pod Sklepieniem Niebios, osobą jedyną i wszechmocną, przed którą muszą się ukorzyć wszyscy barbarzyńcy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Cicha konspiracja

Mandżurscy arystokraci, którzy jesienią 1860 roku w Pałacu w Rehe tłoczyli się wokół słabnącego coraz bardziej cesarza, nie mieli żadnych złudzeń co do jego wszechmocy: Xianfeng umierał, a nowym cesarzem miało być dziecko, syn Jehonali Zaichun. Dla ambitnych wielmożów była to okazja jedyna w swoim rodzaju. Przy małoletnim cesarzu potrzebni byli regenci, którzy będą rządzić jego państwem, którzy „będą panować nad światem” w jego imieniu, decydując o życiu i śmierci przyjaciół i wrogów, dopóki cesarz nie osiągnie pełnoletniości. Kogo jednak umierający Xianfeng wyznaczy na tymczasowych rządców Państwa Środka? To niewypowiedziane głośno pytanie zawisło nad cesarskim łóżem śmierci: kto będzie rządził, kiedy zabraknie cesarza - Jehonala i jej stronnictwo czy minister skarbu Su Shun, popierany przez książąt Yi oraz Zhenga.

Na pierwszy rzut oka Su Shun i jego zwolennicy mieli wszystkie atuty w ręku. Ich szanse rosły w miarę jak Jehonala traciła łaski cesarza. Su Shun wykorzystywał teraz swoje wielkie talenty do rozpusty i oszustw dla przeprowadzenia dwóch życiowych przedsięwzięć: wspomaganie cesarskiej woli zapomnienia o wszystkim przez organizowanie mu coraz bardziej perwersyjnych rozrywek; oraz zatruwania uszu

umierającego monarchy jadem nieufności do jego niegdyś ulubionej konkubiny Yi. Udało mu się osiągnąć oba cele. W czasie ciemnej i mroźnej mandzurskiej zimy Xianfeng, pogrążony w rozpuście i słabnący od narkotyków, alkoholu i seksualnych rozkoszy, był coraz bliższy śmierci, która miała wynieść Su Shuna i książąt do wymarzonej władzy. Efekty przynosiła także rozsiewana przez ministra czarna propaganda; oskarżając Jehonale o kokietowanie członków gwardii cesarskiej i o romans z ich dowódcą Rong Lu, doprowadził do tego, że cesarz rozkazał odebrać syna spod matczynej opieki. Od tego momentu o następcę tronu miała „dbać” żona Su Shuna. Xianfeng nie chciał słuchać wyjaśnień Jehonali, i nie pozwolił, by konkubina Yi pojawiła się przed jego cesarskim obliczem. Zgodził się jednak na spotkanie z Cesarską Małżonką Sakotą i wręczył jej sekretny edykt, który dziesiątki lat później będzie miał dalekosiężne i fatalne konsekwencje dla obu kuzynek.

Głęboki kryzys w stosunkach między cesarzem i jego byłą faworytą stał się jeszcze bardziej oczywisty, kiedy cesarz odmówił Jehonali prawa do uczestniczenia w obchodach swoich trzydziestych urodzin. Jehonala stawiała się, według chińskiego powiedzenia, „jesiennym wachlarzem” - aluzja do liczącego sobie dwa tysiące lat poematu pani Ban Jieju, w którym poetka przyrównywała siebie do ulubionego wachlarza, odkładanego na bok po jesiennych upałach, kiedy innemu kapryśnemu cesarzowi znudziły się jej wdzięki:

O cudny biały jedwabiu, prosto z tkackich krosien, Czysty jak szron, jaskrawo biały jak świeży śnieg, Czy widzisz, jak przyjaźń obraca cię w wachlarz. W domu i w świecie, bliska współtowarzyszko, Każdym swym ruchem wzniecasz łaskawy powiew;

Jednak obawiam się, och tak! jesiennych chłódów Studzących upał zamierającego już lata, Które ujrzą cię odkładaną, zaniedbaną na półce rupieci, Jak myśli minionych dni, i jak one, minioną.

Perspektywa rzeczywiście była raczej ponura. Wszystko wskazywało na to, że Jehonala była bezsilna wobec swych wrogów. A w tego typu rywalizacji za przegraną płacono się nieuchronnie życiem.

Poza wojownikami kapitana Rong Lu i jej własną nieustraszoną odwagą, Jehonala miała jednak jeszcze jeden atut - eunuchów. Od lat zabiegała o względy kastratów, okazując im nadzwyczajną łaskawość, i nigdy nie pomijając okazji, by wręczyć bractwu dary w postaci rozmaitych prezentów i srebrnych taeli. Obecnie jej dalekosiężna strategia dawała owoce. Ponieważ Jehonala starała się nie przyspieszać konfliktu ze spiskowcami planującymi jej usunięcie, „skrywała sztylet za uśmiechem” i korzystając z pośrednictwa swego ulubionego eunucha, An Dehaia, przesyłała potajemnie wiadomości o tym, co się dzieje na dworze, kapitanowi Rong Lu, a ten przekazywał je z kolei jej sojusznikowi, cesarskiemu bratu, księciu Gongowi, który w tym czasie przebywał w Pekinie, próbując się dogadać z upartymi i niecierpliwymi ludźmi z Zachodu.

Po obchodach trzydziestej rocznicy swoich urodzin, Xian-feng już nigdy więcej nie pojawił się publicznie. Jego zdrowie pogarszało się w szybkim tempie. Wciąż cierpiał na skurcze mięśni i, szukając ulgi, korzystał z pomocy innego z ukrytych zwolenników Jehonali, młodego eunucha masażysty Li Lian-jinga. Masaże Li przynosiły ulgę w bólu, ale nie mogły wyleczyć choroby cesarza, i nie spodziewano się, żeby zdołał on przeżyć powrót do stolicy. Czterdzieści dni po uroczystościach urodzinowych, zdrowie cesarza pogorszyło się tak bardzo, że

spiskowcy, w obawie, że Syn Niebios może umrzeć zbyt szybko, przywołali do jego łoża wszystkich członków Wielkiej Rady i ministrów, którzy towarzyszyli dworowi cesarza do Rehe. Wszyscy należeli do stronnictwa Su Shuna i książąt. Jehona-la, Cesarzowa Małżonka Sakota i nikt, kto mógłby pokrzyżować ich plany, nie został dopuszczony do tej narady u łoża umierającego cesarza. Nie zanotowano słów, jakie tam padły, ale spiskowcy tak pokierowali niezbyt już sprawnym umysłem umierającego władcy, że Su Shun opuścił cesarską komnatę z pożądanym edyktem. Edykt ten przyznawał jemu, dwóm książętom - Yi oraz Zhengowi, a także kilku innym osobom sprawowanie regencji na czas małoletniości następcy tronu, i wprost wykluczał Jehona-la od wszelkiego wpływu na wychowanie małoletniego cesarza. Następnego dnia (w samą porę, jak twierdzili bardziej podejrzliwi) cesarz Xianfeng już nie żył. „Wyrażona na łożu śmierci wola” Syna Niebios została opublikowana i nowo mianowani regenci narobili dużo szumu, podnosząc małżonkę zmarłego do godności Cesarzowej Wdowy, jak tego wymagał obyczaj. Co dziwne, tym samym tytułem obdarzyli Jehona-la. Był to wybieg i obie strony wiedziały, że były to puste honory. Wydawało się, że długotrwała, cicha walka o władzę między stronnictwami Su Shuna a Jehona-la skończyła się bezpowrotnie. Gra dobiegła końca i Su Shun wyszedł z niej jako *victor ludorum*. I „biada pokonanym”.

A jednak nie wszystko było takie, jak się wydawało. W pałacowym przewrocie, z pozoru już dokonanym, był jeden słaby punkt. Edykty, którymi chełpili się tak bardzo konspiratorzy, były w rzeczywistości gigantycznym blefem. Od wieków wiadome było, że dla uznania ważności dekretu o ostatniej woli cesarza, nie wystarczał podpis Syna Niebios. Na dokumencie musiał być odcisk unikalnej pieczęci (którą miał tylko

cesarz) zawierającej ideogramy o treści „zatwierdzone przez prawo”. Bez owej pieczęci dokumenty były nieważne. Dziwnym zbiegiem okoliczności na kilka dni przed śmiercią cesarza pieczęć zaginęła. Mimo usilnych poszukiwań spiskowcom nie udało się odkryć miejsca jej ukrycia w sypialni cesarza i nie było wiadomo, co się z nią stało. Bez odcisku tej pieczęci edykty, z którymi Su Shun i jego zwolennicy wiązali tak wielkie nadzieje, nie miały żadnej prawnej wartości i przy pierwszej okazji można je było zakwestionować.

Kiedy ogłoszono publicznie treść ostatniej woli cesarza, z Pekinu do Rehe zaczęły napływać memoriały odmawiające Su Shunowi prawa do regencji i nawołujące dwie cesarskie wdowy do objęcia rządów w imieniu małoletniego następcy tronu, do „pokierowania rządem z za opuszczonej zasłony”. Zwrot ten nawiązywał do obyczaju, zgodnie z którym sprawujące regencję kobiety siedziały za jedwabną kurtyną i stamtąd szeptem przekazywały małoletniemu cesarzowi swe polecenia, które on następnie pełnym głosem ogłaszał publicznie, tak jak gdyby były to jego własne przemyślane decyzje. Te żądania zachwiały, jak się zdaje, pewnością siebie spiskowców, bo w odpowiedzi opublikowali dekret nadający Głównemu Regentowi tytuł „jian quo”, dający mu praktycznie władzę dyktatorską. Był to gest desperacji: przyjęcie przez Su Shuna władzy dyktatora stanowiło pogwałcenie protokołu nie mające historycznego precedensu; poprzednio tytuł jian quo nadawany był jedynie braciom, stryjkom lub wujom cesarza.

Teraz spiskowcy poczuli, że dosiedli tygrysa. Zbyt wiele upokorzeń zgotowali Jehonali w ostatnich tygodniach życia Xianfenga, za bardzo obrażali ją i niszczyli jej imię, wywierając zgubny wpływ na cesarza, żeby teraz mogli przekazać ster rządów dwóm Cesarzowym Wdowom, oddając się tym samym

w ich ręce. Takie ustępstwo byłoby dla spiskowców równoznaczne z podłożeniem głowy pod katowski miecz. Su Shun, najodważniejszy z nich, proponował zabicie Jehonali tu i teraz, w Rehe, a potem rozprawienie się z kapitanem Rong Lu i jego wojownikami ze szczepu Jeho-Nala. Dwaj książęta nie byli jednak skorzy do podejmowania takiego ryzyka. Mieli własne oddziały straży przybocznej, lecz były one znacznie słabsze od sił nieprzyjaciela dowodzonych przez kapitana, który według pogłosek był kochankiem konkubiny Yi. Książęta też życzyli sobie śmierci Jehonali, lecz postawieni w obliczu fizycznego gwałtu i śmierci, uznali, że z tak radykalnym rozwiązaniem należy jeszcze poczekać. Będzie się jej można pozbyć w bardziej sprzyjających okolicznościach, na przykład w czasie drogi powrotnej z Rehe do Pekinu. I w ten sposób, gdy dymy kadzideł owiewały ciało zmarłego cesarza, zaś bonzowie opiewali jego zasługi w wyśpiewywanych ku niebu wersetach, spiskowcy przegapili właściwy moment. Popelnili fatalny błąd. Ich przeciwniczka była również przeciwieństwem ich niezdecydowania i obaw. Cofnęli się przed czynem, który mógłby zapewnić im sukces, i dali Jehonali tak bardzo potrzebny jej czas na przygotowanie kontrakcji.

Ironia losu chciała, że to właśnie pretensje regentów do objęcia najwyższej władzy, choć zagroziły Jehonali natychmiastowym zabójstwem, dały jej okazję do przechytrzenia przeciwników. Rytuały pogrzebowe chińskich cesarzy nakładały na regentów obowiązek stałej obecności przy ciele władcy w czasie przewożenia go z Rehe do Pekinu, podróży na trasie około 240 kilometrów. Według wszelkiego prawdopodobieństwa kondukt pogrzebowy miał się poruszać bardzo wolno. Po wstępnych ceremoniach w pałacu w Rehe przepisy rytuału wymagały umieszczenia doczesnych szczątków Xianfenga na ogromnym katafalku,

budowli zwieńczonej kopułą i osłoniętej firankami z żółtego atłasu wyszywanego złotem. Katafalk niesiono na konstrukcji z krzyżujących się drążków, pociągniętych złotą i szkarłatną emalią. Drążki nośne krzyżowały się w taki sposób, aby rozłożyć ciężar pomiędzy [stu sześćdziesięciu] tragarzy. Transport musiał się odbywać z zachowaniem największej ostrożności, bo przy najmniejszym zachwianiu trumna mogła wylecieć w powietrze. Tragarze utrzymywali rytm pod komendę prowadzącego w takt uderzeń drewnianego gongu: trzy kroki do przodu, trzy w miejscu, trzy kroki do przodu, trzy w miejscu, i tak dalej, przez dwieście czterdzieści kilometrów. Na każdym postoju wymieniano tragarzy, a kiedy kondukt zatrzymywał się na noc (co 24 kilometry) na ciało cesarza i jego orszak czekały naprędce wzniesione pawilony. Owe pawilony budowano z prętów, przez które przekładano maty, i nazywano je „pałacami z mat”.

Od tego rytuału nie mogło być żadnych odstępstw, a od regentów wymagano obecności przy katafalku przez cały czas trwania podróży. Nawet przy dobrej pogodzie kondukt nie mógł dotrzeć do Pekinu przed upływem dziesięciu dni.

Ów wymóg stałej obecności przy trumnie nie dotyczył żon i konkubin zmarłego cesarza. Dwie Cesarzowe Wdowy, Jehonała i Sakota, mogły więc powrócić do Pekinu, kiedy chciały. Co więcej, miały obowiązek znaleźć się w stolicy przed nadejściem konduktu, żeby - zgodne z zasadami rytuału - zorganizować przyjęcie pogrzebowe. Obydwie strony dobrze wiedziały, że nie stypa będzie głównym przedmiotem ich troski, kiedy cesarzowe dotrą do Pekinu. Jehonała miała w stolicy wpływowych sojuszników i zapewne zechce zorganizować opór przeciwko spiskowcom, którzy mogli powoływać się jedynie na edykty wyrwane umierającemu cesarzowi, pozbawione pieczęci, więc z punktu widzenia prawa podejrzane. W ciągu

kilku zaledwie dni szanse uczestników rozgrywki odwróciły się. Przyszłość Su Shuna i jego stronnictwa rysowała się zdecydowanie niepomyślnie. Mogli liczyć jedynie na to, że Jehona-la umrze, nim dotrze do murów Wielkiego Środka.

Postanowiono więc wyznaczyć cesarzowym eskortę złożoną z ludzi Su Shuna, którzy mieli je zamordować w miejscowości Gou Bei Kou, na przełęczy prowadzącej z gór na chińskie równiny. Obie cesarzowe niewątpliwie świetnie zdawały sobie sprawę z tego, czym grozi im ta podróż - natrętna bliskość ponurych wojaków Su Shuna przypominała im o tym w każdej chwili. Znow jednak nic nie zostało powiedziane. Kiedy dwie wdowy wyjeżdżały z Rehe, obie strony nadal grały swe role, życząc sobie oficjalnie szczęśliwej podróży. Su Shun i jego kompani prawdopodobnie uważali, że po raz ostatni widzą żywą niebezpieczną konkubinę Ji, ale jak zwykle nie docenili odwagi i pomysłowości Jehonali. Za parawanem starannie dobranych zdań, pogodzenia się z losem i tanecznymi obrotami etykiety, jej precyzyjny i wyrachowany umysł bez przerwy pracował nad tym, jak pognębić przeciwnika. Miała jeszcze dowieść mistrzostwa w owej śmiertelnej grze intryg i kontrintryg. Spiskowcom zaś groziło większe niebezpieczeństwo, aniżeli mogli przypuszczać. Nie wiedzieli (choć mogli chyba podejrzewać), że Jehonala u woziła ze sobą „zaginioną” pieczęć cesarza, bez której odcisku wszelkie edykty i proklamacje dotyczące następstwa tronu można było wrzucić do kosza.

Jeszcze raz Jehonale uratowała ścisła współpraca z eunuchami Cesarskiego Domu. Eunuch Li Lianying, masażysta opiekujący się Xianfengiem w ostatnich dniach jego życia, sekretnie sprzyjał stronnictwu jehonali. Mając prawie nieograniczony dostęp do cesarskiej sypialni w czasie długich zabiegów leczniczych, jakie aplikował cesarzowi, odkrył miejsce ukrycia

pieczęci i nie sprawdzany przez strażników wyniósł ją z cesarskiej komnaty, a następnie przekazał swojej pani. Tym czynem niewątpliwie uratował życie Jehonali, a także jej kuzynki, Sa-koty. Przechwycenie pieczęci przez regentów byłoby katastrofą dla dwóch kobiet i w sensie dosłownym przypieczętowałyby ich los. Będąc w posiadaniu tej pieczęci, Jehonala miała teraz przed sobą nieskończone możliwości. Bo jeżeli dekrety bez tego najważniejszego odcisku nie były nic warte, to odwrotnie (co w tym przypadku miało absolutnie największe znaczenie), jakikolwiek dokument noszący odcisk owej pieczęci musiał z konieczności być uznany za prawnie obowiązujący.

Regenci starali się ograniczyć do minimum czas, jaki pozostanie pekińskim sojusznikom Jehonali na przegrupowanie sił, kiedy dotrze do nich wiadomość o zabójstwie cesarzo-wych, toteż wydano rozkazy, żeby kondukt żałobny wyruszył z Rehe natychmiast po opuszczeniu Pałacu przez obydwie kobiety i ich eskortę. Los sprzysiął się jednak przeciwko regentom. Niebiosa otworzyły śluzy, gdy tylko kondukt ruszył w długą drogę z Rehe do stolicy. Droga szybko zamieniła się w morze błota, uniemożliwiając transport katafalku. Jehonala i Sakota, których świta zdążyła tymczasem przebyć ponad piętnaście kilometrów, też ucierpiały z powodu deszczu, ale nie ulegało wątpliwości, że w ciągu następnych dni będą się posuwać o wiele szybciej niż ogarnięty paralizem orszak za nimi. Mimo niewygodnych kwater po drodze i napięcia powodowanego koniecznością podróży z ludźmi, którzy w każdej chwili mogli poderżnąć gardła jej i Sakocie, Jehonala wykazywała dużą dozę zimnej krwi, wysyłając do regentów posłańców z listami, w których wyrażała niepokój o stan trumny jej zmarłego Pana.

Źródłem jej odwagi był nie tyle orientalny fatalizm, co raczej staranne porozumienie z sojusznikami. Według jednej

z relacji, kapitan Rong Lu i jego wojownicy z plemienia Jeho--Nala otrzymali rozkaz towarzyszenia żałobnemu konduktowi aż do Pekinu, sposób na to, by ograniczyć swobodę ruchów współplemieńcom Jehonali, dopóki fatalny cios nie przerwie życia ich pani. Wydawało się, że posłuchają rozkazu, ale kiedy katafalk zbliżał się dopiero do postojów w pierwszym pałacu z mat, Rong Lu wykrzyknął komendę do swych jeźdźców i wszyscy oni oddalili się galopem, znikając w mroku. Nie oszczędzając koni, dogнали orszak Jehonali i Sakoty, i całkowicie zaskoczyli ludzi Su Shuna, tworząc ochronny pierścień zbroi i mieczy wokół palankinu obydwu Cesarzowych Wdów.

Z chwilą, gdy spisek w celu zabicia Jehonali spalił na panewce, a sama Cesarzowa Wdowa była bezpieczna pod ochroną własnej, lojalnej gwardii przybocznej, regenci musieli zrozumieć, że są ludźmi „straconymi”, skazanymi na śmierć. Najwyraźniej nie przyszło im jednak do głowy, żeby salwować się ucieczką za granicę, albo szukać ratunku u taipingów, którzy przecież nadal okupowali Nankin i większą część Chin Południowych. Jak gdyby nic się nie stało, tkwili na swoich miejscach w kondukcji i w odpowiedzi na grzeczne listy Jehonali, wysyłali własne, podobnie grzeczne w treści i formie, chwając się tym, jak bardzo dbają o ciało zmarłego cesarza. Spętani rytuałem, nadal eskortowali trumnę Xianfenga do stolicy, zaś żałobny kondukt, który prowadzili, z wolna stawał się ich własną procesją pogrzebową. Pod wieloma względami była to najlepsza ilustracja różnic między charakterem Jehonali a osobowością tych, którzy wystąpili przeciw niej. Podobnie jak jej wrogowie, Jehonala również starannie przestrzegała rytuału, etykiety i właściwych form zachowania. Pod tym względem ani oni, ani ona nie różnili się od masy uczonych i szlachty, dla których *li* (konwencje rządzące życiem społecznym i towarzyskim) były wszystkim. Gdy jednak większość Chińczyków

bezmyślnie pozwalała na to, by tradycja rządziła ich życiem, Jehonala wykorzystywała tradycję, by rządzić innymi. Była natomiast mistrzynią w omijaniu uświęconej tradycji, kiedy ta była jej w danym momencie nie na rękę, i działania bez powoływania się na stare obyczaje, za to w sposób jej zdaniem prowadzący najprostszą drogą do celu. Gdy tylko osiągnęła swój cel, znów bezwstydnie odwoływała się do rytuału, wspierając go z całą religijną żarliwością, dopóki okoliczności raz jeszcze nie kazały jej go odrzucić.

Kondukt żałobny miał wejść do Pekinu przez bramę północno-wschodnią, tutaj oczekiwało ocienione markizą podium, gdzie miano powitać regentów i odebrać z ich rąk katafalk z doczesnymi szczątkami cesarza. Gdy tylko tragarze opuścili na ziemię zwieńczony kopułą katafalk, regenci, na czele z księciem Yi o ponurej twarzy, przeszli do przeznaczonego dla nich miejsca. Nietrudno odgadnąć ich uczucia, kiedy wchodzili do pokrytej pałanką części recepcyjnej, oczekując prawie pewnej śmierci. Lecz nawet w tym stadium przestrzegano dworskiej etykiety. Jak tego wymagał obyczaj, padli na twarz przed nieletnim cesarzem, zdając mu sprawę z wykonanego zadania. Za nowym Synem Niebios stała jego ciotka Sa-kota, bracia zmarłego władcy, oraz Jehonala rozkoszująca się smakiem zwycięstwa.

Zgodnie ze swoim charakterem, Jehonala wzięła inicjatywę w swoje ręce i zapanowała nad sytuacją. Spokojnie obejmując przywództwo nad zgromadzonymi wielmożami, wystąpiła do przodu i z poważną solennością podziękowała księciu Yi oraz pozostałym regentom za ich wkład pracy, po czym wszystkich zwolniła ze sprawowanych funkcji. Książę Yi zaprotestował. Krzyknął, iż on i pozostali regenci są legalnymi opiekunami spraw cesarstwa, i przypomniał Jehonali, że nikt, także ona sama, nie ma prawa kontaktować się z nowym cesarzem

w okresie jego niepełnoletności bez ich zezwolenia. Było to posunięcie tyleż zuchwałe, co w ostatecznym rachunku mało skuteczne. Wszyscy wiedzieli, że na posiadanych przez regentów edyktach zabrakło najważniejszej pieczęci, mówiącej o tym, że dany akt „jest zgodny z prawem”. Tymczasem Jehonała miała już w ręku edykt sprzeczny z tamtymi, nadający jej i Sakocie takie same prerogatywy, jakie nadali sobie książę Yi oraz pozostali regenci. Co więcej, dzięki sprytowi eunucha Li Lianyinga, na tym dokumencie znalazł się wymagany odcisk pieczęci, mówiący o tym, że edykt „jest zgodny z prawem”. Równie ważny, a może jeszcze ważniejszy był zaś fakt, że regenci rozporządzali niewielką siłą zbrojną, gdy za Jehonałą i jej sojusznikami stały rozrzucone w wielu punktach miasta liczne i dobrze wyszkolone oddziały Pekinńskiego Korpusu Polowego. A jest prawdą, że zawsze i wszędzie „Bóg jest po stronie silniejszych batalionów”.

Zgodnie z jedną z relacji, Su Shun nie towarzyszył pozostałym regentom, i został zaskoczony we własnej kwaterze, w łóżku z ulubioną konkubiną, co stanowiło bezpośrednie pogwałcenie rytuału pogrzebowego. Według innej wersji miał przebywać z młodym cesarzem i Jehonałą, i podobno w krytycznym momencie ten najbardziej opanowany ze spiskowców miał zrzucić maskę oficjalnej układności. W furii zwrócił się do pozostałych regentów, sycząc: „Gdybyście posłuchali mnie, kiedy proponowałem, żeby od razu pozbyć się tej kobiety, nie mielibyśmy dzisiaj takich kłopotów!” Pozostali wysłuchali go w stoickim, konfucjańskim milczeniu. Nie mieli nic do powiedzenia. Su Shun miał rację.

Spiskowców zaarrestowano i natychmiast obarczono winą (nie całkiem bezpodstawnie) za klęskę w walce z rudymi barbarzyńcami, pojmanie i torturowanie europejskich emisariuszy, spalenie Letniego Pałacu i za wiele innych przestępstw.

Według uświęconego obyczaju, Jehonala znalazła kozły ofiarne i miała na kogo zrzucić wszystkie grzechy niedawnej przeszłości, co pozwoliło jej synowi wstąpić na tron pod pomyślnymi auspicjami, wolnemu od wstydu i winy. Su Shuna, księcia Yi oraz pozostałych członków ich stronnictwa przeprowadzono pod strażą do Pustej Komnaty, tradycyjnego aresztu dla członków rodu cesarskiego. Jehonala wydała dekret w imieniu swoim i kuzynki Sakoty, pozbawiając trzech przywódców spisku - księcia Yi, księcia Zhenga i Su Shuna - wszystkich tytułów i rang, i mianując swojego sprzymierzeńca, księcia Gonga, przewodniczącym Trybunału Rodu Cesarskiego, który miał osądzić regentów. Werdykt był z góry przesadzony. Nikt nie wątpił, że Jehonala nie pozwoli, żeby ci ludzie kiedykolwiek w przyszłości zagrozili jeszcze jej samej albo jej synowi. Edykt kończył się słowami: „Zuchwałość ich postępów świadczy o wielkiej niczemności, i dowodzi, że byli zdolni do najczarniejszych spisków. Dotychczasowa kara jest całkowicie nieadekwatna do ogromu ich winy". Wtedy młoda dziewczyna z Anhui po raz pierwszy poczuła smak władzy absolutnej i uznała, że jest słodki - upajała się nim do końca życia.

Szczególne nienawiść żywiła do Su Shuna, ze względu na jego aroganckie zachowanie wobec niej i zniewagi, jakie spotkały ją od jego żony, kiedy w Džeholu straciła łaskę cesarza. Następnego ranka po aresztowaniu Jehonala wydała jeszcze jeden dekret, wymieniając So Shuna jako szczególnego przestępcę oraz - zanim jeszcze komisja księcia Gonga wydała wyrok - konfiskując cały jego majątek, zarówno w Pekinie, jak i w Rehe. Bogactwo Su Shuna, wynik długich lat korupcji i przekupstwa, było legendarne, stanowiło ogromną fortunę liczoną w milionach taeli. Jedno pociągnięcie pędzelka uczyniło z Jehonali kobietę bajecznie bogatą, wpływową i rządzącą się własnymi prawami.

Kilka dni później, po rutynowym przesłuchaniu, Trybunał Rodu Cesarskiego ogłosił wyrok, uznając księcia Yi, księcia Zhenga i arcyzłoczyńcę Su Shuna winnymi zdrady i próby obalenia państwa. Były to zbrodnie kardynalne, pociągające za sobą najsurowszą karę: długą egzekucję przewidującą śmierć przez powolne ćwiartowanie. Mając już jednak wrogów u swych stóp, a wielką fortunę Su Shuna zabezpieczoną we własnym skarbcu, Jehonala mogła wykazać się wielkodusznością. Zarządziła nadzwyczajne złagodzenie kary: w uznaniu wysokiej rangi książąt Yi oraz Zhenga, wręczono im po jedwabnym sznurze, co było tradycyjnym zaproszeniem do samobójstwa przez powieszenie, co też bez zwłoki uczynili, wieszając się na belce pod stropem Pustej Komnaty. Su Shun także skorzystał z łaski, lecz w jakże inny sposób. „W sprawie Su Shuna [...] to w pełni zasłużył na karę powolnego ćwiartowania, choćby tylko po to, żeby stało się zadość prawu i gwoli zadośćuczynienia oburzeniu ludu na jego zbrodnie. Nie mogąc jednak zdecydować się na wymierzenie tej najsurowszej z kar [...] skazujemy go na natychmiastowe ścięcie”. Oprawcy powlekli więc Su Shuna, niegdyś najpotężniejszego ministra w Państwie Środka, na plac publicznej egzekucji i ścięli mu głowę. Jeszcze jednak i tutaj ściagała go zemsta Jehonali. Zgodnie ze zwyczajem po ścięciu skazańca kat natychmiast przyszywał jego głowę z powrotem do tułowia, żeby dusza zmarłego mogła w całości powędrować na tamten świat. Na wyraźny rozkaz Jehonali w tym przypadku nie dopełniono tego zwyczaju. Umieszczoną w klatce głowę Su Shuna wystawiono na widok publiczny, miejskim psom zaś pozwolono wychłeptać krew wyciekającą z bezgłowego tułowia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pomyślny początek

"Nie ma nic słodsze­go w życiu, niż pokona­nie wroga", a wysławszy na dobre Su Shuna i książąt Yi oraz Zhenga do Dziewięciu Źródeł (chiński eufemizm ozna­czający śmierć), Jehonała mogła rozkoszować się owocami swego triumfu. Za swoje pierwsze zadanie uznała wymazanie pamięci po oszukań­czych regentach, a w tym celu należało przede wszystkim zmienić oficjalne imię tronowe młodego cesarza. Spiskowcy nadali jej synowi imię Jixiang (Zapowiedź Szczęścia), wyjątkowo nietrafny wybór, gdy chodziło o ich własny los. Jehonała wybrała mu imię Tongzhi (Przenikający Wszystko Spokój), zapewne w nadziei na rychłe uśmierzenie powstania taipingów. Wydano dwa edykty: jeden proklamował oficjalne rozpoczęcie panowania młodziutkiego cesarza, w drugim w pokrętny i nieszczer­y sposób była mowa o tym, że Jehonała (i Sakota) obejmują regencję, chociaż wcale tego nie chcą; cyniczna hipokryzja tego dokumentu została potem powtórzona w wielu podobnych dekre­tach, wydawanych w ciągu długich lat sprawowania władzy przez Jehonałę:

Przyjęcie przez nas regencji było głęboko niezgodne z naszymi życzeniami, lecz zastosowa­liśmy się do usilnych próśb naszych książąt i ministrów [...] Gdy tylko cesarz ukończy stosowne nauki,

zrezygnujemy z dalszego udziału w rządach, które w sposób naturalny przejdą na osoby przewidziane w całej dynastycznej tradycji. Niech wszyscy wiedzą o naszej szczerzej niechęci do przejęcia kierownictwa spraw państwowych.

Wreszcie bezpieczna, Jehonała okazała wielkoduszność w swym zwycięstwie i nie wprowadziła prześladowania wszystkich sojuszników i przyjaciół spiskowców. Zadowolili się usunięciem z państwowych posad wszystkich zamieszanych w spisek, którzy, gdyby sprawy potoczyły się inaczej, z pewnością cieszyliby się z jej upokorzenia i śmierci. Chińczycy mają silne poczucie wzajemnych zobowiązań, toteż litościwe potraktowanie z pewnością przysporzyło jej wielu zwolenników wśród dawnych wrogów. Był to poza tym okres największego rozkwitu jej kobiecej urody: czarne migdałowe oczy, długie czarne włosy o granatowym połysku, niewielki nosek i ujmujący uśmiech. Znała potęgę swej urody, i silnym musiał być mężczyzna, żeby się oprzeć jej wdziękowi:

Była tak miła w obejściu i wdzięczna w ruchach, iż zdobywała każde serce, umiała przekonać każdego słuchacza, rozbrajała zawiść i nienawiść [...] Jej mowa obfitowała w dowcipne uwagi, dziwaczne pomysły ubierała w podniecające zwroty, ozdabiała je poetyckimi obrazami, przetykając wybuchami melodyjnego śmiechu. Ludzie uwielbiali słuchać jej głosu, dumni byli, gdy zwracała na nich uwagę, uwodziła ich swym uśmiechem. Kiedy się odzywała, jej oczy nabierały blasku, język polotu, i jak wyraził się jeden z jej rodaków „z jej warg płynął miód” [...] wytrawni mężowie stanu szli na jej pasku, mimo swej inteligencji. Zdawało się, że emanuje z niej jakaś magnetyczna siła, zdolna zahipnotyzować otoczenie i uczynić otaczających ją ludzi posłusznymi instrumentami jej woli.

Nie każdy jednak dawał się uwieść jej niezaprzeczalnemu wdziękowi. Gdy zdobywała sprzymierzeńców w szeregach dawnych wrogów, zaczęły psuć się jej stosunki z niedawno najwierniejszymi jeszcze sojusznikami. Współpraca z księciem Gongiem była, rzecz jasna, w dużej mierze koniecznością dla obu stron. Jedną z pierwszych oficjalnych decyzji cesarzowej było nadanie temu ważnemu sprzymierzeńcowi tytułu Yi Zheng Wang, Księcia Doradcy, oraz wydanie specjalnego dekretu, gwarantującego dziedziczenie w jego rodzie ważnego tytułu Qin Wang, Księżę Krwi. Ku powszechnemu zdziwieniu księżę Gong odmówił przyjęcia tego ostatniego honoru - interesowały go rzeczy o wiele ważniejsze niż tytuły. Jako młodszy brat Księcia Niebios, niewątpliwie uważał, że sam jest kandydatem na cesarza. Możliwe, że jego zgoda na wyniesienie Jehonali i Sakoty do rangi regentek spowodowana była bardziej przekonaniem, że zdoła manipulować obydwoma kobietami dla swych własnych celów, niż uznaniem dla prawdziwych zalet i cnót obu Cesarzowych Wdów. Gong widział się w roli ojca-opiekuna zarówno Jehonali, jak i Sakoty; starszego męża stanu, przed którego ogromnym doświadczenia zechcą ukorzyć się obydwie kobiety. Cesarzowa Wschodniego Pałacu, Sakota, chętnie przyznała mu takie prawo. Uległość przychodziła jej bez trudu: nie była zwierzęciem politycznym, a brak wykształcenia (nie umiała mówić ani pisać po chińsku, a po mandżursku też pisała z błędami) był dla niej dodatkowym obciążeniem. Sakota była wzorem konfucjańskiej kobiecości: chciała przyjemności i prestiżu bez odpowiedzialności, nie zagrażała supremacji mężczyzn. Cesarzowa Zachodniego Pałacu bardzo się od niej różniła, jej hierarchia wartości i celów życiowych była zupełnie inna niż preferencje kuzynki. Bystra i czujna, dowcipna i wystarczająco wyszkolona w kaligrafii, poezji i malarstwie, mogła dotrzymać pola każdemu mężczyźnie,

toteż, nie widziała powodu, żeby podporządkować się księciu Gongowi, czego ten się po niej spodziewał, jej ambicje rozkwitły po sukcesie kampanii przeciwko machinacjom Su Shuna, i stawały się coraz większe wraz z jej rosnącą polityczną świadomością, a podniecała je każda kolejna udana intryga. Kwitła w ciepłe pochlebstw eunuchów i sykofantów pośród podwładnych, aż do czasu, kiedy nic już nie było w stanie zaspokoić jej ambicji poza całkowitą i absolutną władzą nad cesarstwem: *aut Caesar aut nullus*.

Takie nastawienie musiało doprowadzić do konfliktu z księciem Gongiem, który pielęgnował własne marzenia o wielkości. Z początku, zdając sobie sprawę z tego, że jest nowicjuską w dziedzinie rządzenia i że przebija się po omacku w kierunku władzy absolutnej, była mu wdzięczna za wskazówki. Ale dojrzewiała szybko i, w miarę jak mijały miesiące, coraz częściej słuchała jego rad, po czym się do nich nie stosowała. Książę był równie dumny i zazdrosny o władzę jak Jehonala (pod wieloma względami ich charaktery były zadziwiająco do siebie podobne), toteż takie zachowanie uważał za obelgę dla siebie. Tarcia narastały, i w reakcji na coraz bardziej autokratyczne wypowiedzi Jehonali, książę zaczął demonstracyjnie zabiegać o przyjaźń Sakoty, przekonując ją, żeby stawała po jego stronie w razie jakichkolwiek nieporozumień w radzie. Zważywszy temperament jehonali, mogło to jedynie zaognić napiętą już sytuację i doprowadzić do pogorszenia stosunków między dwiema cesarzowymi. W rozmaitych momentach chińskiej historii, prawdziwe lub urojone zniewagi prowadziły do aktów zemsty, które zakłócały rozwój narodu, powodując nieopisane cierpienia dla ludności. Konsekwencje skonfliktowania dwóch cesarzowych miały w ciągu kilku następnych lat doprowadzić do śmiertelnego starcia.

Ale to miało nastąpić dopiero w przyszłości. Na razie było znacznie więcej niecierpiących zwłoki spraw do rozwiązania. W 1861 roku bunt taipingów ciągle jeszcze szalał za rzeką Jangcy, we władzy zwolenników Hong Xiuquana znalazły się cztery prowincje, Zhejiang, Jiangxi, Jiangsu i Anhui, zaś powstańczy Król Niebios w pełnej cesarskiej glorii rządził w Nan-kinie, tradycyjnej południowej stolicy cesarstwa. W ubiegłym roku, niepospolicie zdolny generał Li Xiucheng serią błyskotliwych zwycięstw przyczynił się do odrodzenia ducha taipingów. Dawny smolarz, Li doszedł do najwyższej rangi, zawdzięczając swój błyskawiczny awans wyłącznie zasługom na polu bitwy. W przeciwieństwie do innych członków elity taipingów, powodzenie nie pchnęło go w szpony korupcji, nie cierpiał też na przerost ambicji (nazywano go Zhong Wangiem, Lojalnym Księciem). Generał Li był człowiekiem inteligentnym, mistrzem strategii i człowiekiem humanitarnym, w każdym razie według norm przyjętych w tamtym czasie. Wierzył święcie w znaczenie misji taipingów, która w jego przekonaniu polegała na wprowadzeniu w Chinach chrześcijańskiej równości wszystkich ludzi względem siebie i sprawiedliwości. Wielu specjalistów uważa, że gdyby to on, a nie wizjoner Hong Xiuquan, dowodził taipingami, powstańcy niewątpliwie odnieśliby zwycięstwo. Sam Li obciążył ostatecznie Króla Niebios odpowiedzialnością za klęskę taipingów, pisząc w swych „wyznaniach”, że „jeżeli ktoś chciał porozmawiać o sprawach Królestwa, troszczył się o jego bezpieczeństwo, Król Niebios mówił wyłącznie o Niebie i Ziemi”. Na razie był dopiero rok 1861 i Lojalny Książę Li ani myślał o krytyce. Parł z oddziałami taipingów na wschód, i zagrażał już Szanghajowi, powodując panikę zarówno zachodnich mocarstw, jak i chińskich kupców. Był to zuchwały manewr. Ruch taipingów ograniczony był dotąd do wnętrza kraju, pozbawiony jakiegokolwiek większego

międzynarodowego portu, przez który mógłby utrzymywać dyplomatyczne i handlowe kontakty ze światem. Zdobycie Szanghaju dałoby powstańcom ogromne, wielorakie korzyści, być może decydujące o ich dalszych losach.

Fakt, iż generałowi Li nie powiódł się ów zuchwały plan, w niemałej mierze należy przypisać młodemu amerykańskiemu awanturnikowi o długich, ciemnych włosach, które spływały mu na ramiona „jak u Indianina”. Frederick Townsend Ward, urodzony w Salem w stanie Massachusetts w 1831 roku, bardzo wcześnie wypłynął na morze, zaś w wieku szesnastu lat był już matem na statku kupieckim. To poważne stanowisko świadczyło o tym, że umiał kierować ludźmi i zasłużyć na ich szacunek. Zanim przybył do Chin, Ward walczył w Meksyku i w Ameryce Środkowej, bił się też u boku Francuzów w wojnie krymskiej. Kiedy przyjechał do Chin, na początku, jak się zdaje, zdradzał żywą sympatię dla sprawy taipin-gów, ale potem znalazł się jako mat na mandzurskiej kano-nierce. Był niewysoki, ale charakterem nadrabiał to, czego natura poskąpiła mu we wzroście. Miał przenikliwe, piwne oczy, i był rzadkim przykładem człowieka łączącego w sobie silną motywację do działania z niezwykle łagodnym sposobem bycia. To połączenie z jakichś powodów wywarło magiczny wpływ na bandę pijaczków i innych wyrzutków społeczeństwa, zaciągających się w 1861 roku do jego pierwszej armii najemników.

Chińscy kupcy z Szanghaju, w strachu przed zbliżającymi się taipingami, nie ufając, że państwa zachodnie zdołają zorganizować obronę miasta, powierzyli Wardowi zadanie odparcia powstańców. Przy poparciu Chińczyków, Ward zebrał niewielką bandę desperatów, których od razu poprowadził do ataku na Songjiang. Niestety, nim jego niewielka armia dotarła do celu, jego najemnicy wypili po drodze tyle alkoholu,

ze broniący miasta taipingowie nie mieli kłopotów z odparciem półprzytomnych przeciwników, i przegnali ich z powrotem do Szanghaju. O sile charakteru Warda świadczy fakt, że przeszedł do porządku nad tym militarnym fiaskiem i szybko przekonał kolejnych kandydatów, żeby przyłączyli się do jego armii najemników. Następny wypad zakończył się sukcesem i młody Amerykanin zyskał sławę ze względu na sprzyjające mu szczęście i osobistą odwagę. Zawsze szedł przed pierwszym szeregiem swych zabijaków i nigdy nie miał przy sobie innej broni, poza tęgim kijem bambusowym. Ten „trik” przejął później brytyjski następca Warda, znacznie od niego sławniejszy „chiński” Charles Gordon, który miał zyskać nieśmiertelność, ponosząc śmierć w 1885 roku w walce z wojskami Mahdiego w Chartumie. Było jedną z ironicznych kart w historii Chin, że kiedy Ward bronił cesarskich interesów w Szanghaju, jego następca Gordon uczestniczył w niszczeniu ukochanej posiadłość cesarza, biorąc udział, wraz z resztą korpusu ekspedycyjnego sił sprzymierzonych, w rabunku i podpalaniu Letniego Pałacu.

Chińczycy uważali Warda za łatwego we współzyciu; był on też najbardziej przez nich lubianym przybyszem z Zachodu, jehonałę tak uradowały sukcesy wojsk Warda (teraz liczące ponad cztery tysiące żołnierzy, ubranych w takie same zielone mundury i zielone turbany), że wydała dekret nadający im nazwę „Armii Zawsze Zwycięskiej”.

Zeng Guofang, niechlujny służbista „z długą zwichrzoną brodą i wąsami” (mianowany przez Jehonałę naczelnym dowódcą wojsk walczących z buntownikami) był dotychczas najskuteczniejszym cesarskim oficerem w tej wojnie. Lecz Zeng już się starzał, i wyznaczył dwóch młodszych oficerów, z których żaden nie był Mandżurem, na swych bezpośrednich zastępców. Byli to Zuo Zongtang, pochodzący z jego rodzinnego

Hunanu, i wysoki i przystojny Li Hongzhang, który miał z czasem stać się prawą ręką Jehonali w rozmaitych kryzysowych sytuacjach. Li zdawał sobie sprawę ze słabości militarnej Chin i nie ukrywał fascynacji poziomem wyszkolenia obcych wojsk: „Maszerują w szyku, ich działa trafiają dokładnie w cel i są w stanie niszczyć domy; rozbójnicy [powstańcze wojsko taipingów] boją się ich. Jednakże [...] żołnierze obcokrajowcy często obrażają nas i samowolnie wydają rozkazy naszym oddziałom”. Dla dumnych Chińczyków, wychowanych w poczuciu wyższości nad barbarzyńcami, takie zachowanie było nie do przyjęcia. Wardowi natomiast udawało się jakoś oczarować zarówno mandzurskich urzędników, jak i własnych żołnierzy. Jako wytrawny znawca Chin, wiedział jak bardzo ważne jest dla Chińczyków zachowanie twarzy: toteż sugerował, a nie żądał, i z reguły godził się dzielić sławą ze swoimi zwierzchnikami (a przynajmniej udawał, że się godzi, co dla mandaryna oznaczało dokładnie to samo). Ward został „ban Chunguo ren”, (pół-Chińczykiem), zabiegał o rękę i ożenił się z Chinką, córką jednego z najbogatszych kupców w Szanghaju, Yang „Taku” Fanga. Najważniejsze jednak, że dokonał tego, czego oczekiwali od niego Chińczycy: w serii błyskotliwych krótkich kampanii odpychał stopniowo taipingów od wrót Szanghaju. Li Hongzhang był zachwycony i nawet skłonny przymknąć oko na okazjonalne wykroczenia amerykańskiego „pułkownika” przeciwko chińskiej etykietce. „Ward, który mężnie broni miast Song i Jing, jest najenergiczniejszym z nich wszystkich. Mimo iż jak dotąd nie ogolił jeszcze głowy, ani nie odwiedził mnie w mojej skromnej kwaterze, nie chcę tracić czasu na spory o tak mało ważne sprawy ceremonialne”. W dniu 10 sierpnia, po spektakularnym zajęciu przez Warda ważnego miasta OJngpu, akcje dowódcy najemników wzrosły jeszcze bardziej w oczach Li Hongzhang:

„Ward ma wystarczający autorytet, aby utrzymać w ryzach obcokrajowców w Szanghaju i jest ze mną na przyjacielskiej stopie [...] wykazuje się prawdziwą odwagą na polu bitwy. Poświęciłem wiele czasu, urabiając go dla siebie, w celu zdobycia przyjaźni innych krajów za pośrednictwem tego osobnika”.

Starania Li Hongzhang nieestety spełzły na niczym. Dnia 19 września Ward poprowadził swą Armię Zawsze Zwycięską na miasteczko Cigi, blisko portu Ningbo na południe od Szanghaju. Przez noc dał swym ludziom wypocząć w świątyni Bangiao prawie u wrót Cigi, zaś o świcie następnego dnia, wbrew swej normalnej taktyce, wypuścił ich do ataku na mury pod wodzą oficerów, sam nie wiadomo dlaczego pozostając w tyle. Kiedy „dowodził swoimi oddziałami, stojąc z tyłu i obserwował ich postępy patrząc przez lunetę, z murów miasta padł strzał i pocisk przestrzelił mu szyję i plecy. Ward padł bez przytomności; opatrzone go i adiutanci przenieśli go na statek”. Ward nie przeżył następnego dnia, zmarł 21 września 1862 roku, mając zaledwie trzydzieści jeden lat. Bohater, który tak często biegł do ataku uzbrojony jedynie w bambusową laskę i wiarę we własną nieśmiertelność, padł daleko od pola bitwy, trafiony strzałem, jaki zdarza się raz na milion.

Dowództwo nad Armią Zawsze Zwycięską objął teraz zastępca Warda, Henry Burgevine, urodzony na dalekim południu Stanów Zjednoczonych. Burgevine był ekscentrykiem, często wybuchał złością i nie miał w sobie nic z ciepła Warda i zrozumienia dla odmiennej kultury Chińczyków. Kiedy *da-otai* Yang Fang spóźnił się z wypłatą żołdu dla jego żołnierzy, Burgevine wpadł do jego domu na czele kilkudziesięciu muszkieterów, pobił go okrutnie „aż *daotai* zaczął wymiotować krwią”, następnie zaś włamał się do skarbcza, zabierając ponad czterdzieści tysięcy dolarów w srebrze (co i tak nie starczało na miesięczną wypłatę dla armii najemników). Taki napad na

chińskiego urzędnika to było za dużo dla mandaryńskiej wrażliwości Li Hongzhang. Mimo stosunków z ludźmi z Zachodu, chińska elita twardo trzymała się zasady nietykalności osoby mandaryna. Napaść Burgevina była więc postępkem niewybaczalnym, a poza tym Li zaczął obawiać się, że pod takim dowódcą cała Armia Zawsze Zwycięska może pewnego dnia przejść na stronę powstańców. Zwrócił się o pomoc do brytyjskiego konsula generalnego Stavely'ego, który zgodził się na zredukowanie Armii Zawsze Zwycięskiej z czterech tysięcy pięciuset do trzech tysięcy żołnierzy i wyznaczenia brytyjskiego oficera na jej dowódcę. Wybór padł na Charlesa George'a Gordona.

Gordon miał trzydzieści jeden lat, był w tym samym wieku co Ward, ale to było ich jedyne podobieństwo, poza tym różnili się jak ogień i woda. Ward był człowiekiem impulsywnym, skłonny do brawury. Gordon rozważny, spokojny, wręcz introwertyczny. Ward nie przejmował się moralnością swoich żołnierzy, byle dobrze walczyli. Gordon wychowany w surowym chrześcijaństwie wiktoriańskiej Anglii, nie tolerował swobody obyczajów. Obejmując dowództwo, zakomunikował, że w szeregi Armii Zawsze Zwycięskiej powraca surowa dyscyplina oraz że wino, kobiety i rabunki są zakazane. Po tym oświadczeniu niemal połowa żołnierzy zdezerterowała. Niewzruszony tym Gordon postąpił według tradycji znanej zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w Chinach: zwerbował do swych szeregów około dwóch tysięcy jeńców spośród pokonanych taipingów i wcielił ich do Armii Zawsze Zwycięskiej.

Tak jak Ward, także Gordon był nominalnie podwładnym Li Hongzhang. Z początku Li z niedowierzaniem traktował informacje o uczciwości i odwadze Gordona, lecz zachowanie Anglika i jego sukcesy na polach bitew wkrótce przekonały mandaryna. „Od momentu przejęcia dowództwa, Gordon wy-

daje się być rozsądniejszy [niż inni]. Wykazuje też większą gorliwość do walki z wrogiem". Później, w memoriale z datą 12 kwietnia, Li przyznawał, że „gdy brytyjski generał Stavely twierdził przedtem, że Gordon jest mężny, rozsądny i najlepszy z brytyjskich oficerów w Szanghaju, nasz urzędnik nie śmiał temu wierzyć. Jednak od czasu, kiedy przejął dowództwo Armii Zawsze Zwycięskiej, zdołał stopniowo poskromić jej niezwykle złe obyczaje. Jego silna wola i zapał są prawdziwie godne pochwały". Kolejny memoriał, z datą 2 czerwca, powtarza te pochwały: „A kiedy obcy oficer i inni nie użyli swoich ciężkich dział [...] a mimo to udało im się schwytać przywódców powstańczych i zniszczyć ich spelunki, ich czyny przewyższyły oczekiwania waszego urzędnika [Li Hongzhan-ga]". Za te zwycięstwa płacono jednak wielkimi ofiarami w ludziach. Tegoż samego dnia Li opisał obrazowo straszliwe zniszczenia we wsiach, przez które przetoczyły się walki:

Prowincja Jiangu była niegdyś gęsto zaludniona, z wioskami położonymi co pół *li* (trzysta metrów) jedna od drugiej, miasteczkami co trzy *li* (ponad półtora kilometra), dymiącymi kominami [...] i dochodzącym zewsząd gdańaniem kur i szczekaniem psów. Teraz nie ma tam niczego prócz chwastów i zarośniętych dróg. Czasami na przestrzeni trzydziestu *li* nie zobaczy się żadnego mieszkańca. Od czasu do czasu, wśród zrujnowanych budynków można spotkać pojedyncze osieroczone dzieci lub wdowy-jedynych ocalonych z setki dawnych mieszkańców. Ich twarze są pozbawione wyrazu, oni sami jęczą w oczekiwaniu na śmierć. Kiedy zapytać, z czego żyją, odpowiadają: „Nie mamy siły zebrać ani iść gdziekolwiek, więc zrywamy trawę i wygrzebujemy korzonki, sporządzając z nich placki, żeby oszukać głód". Mnie, waszemu urzędnikowi, powierzono stanowisko gubernatora, więc moje serce płacze, gdy oglądam na własne oczy owe straszne sceny.

Li był szczerze przejęty tym, co widział, toteż wywierał bezlitosną presję na wojsko w nadziei, że z pomocą Gordona uda mu się wreszcie stłumić trwające już dwanaście lat powstanie i przywrócić normalne warunki życia w prowincji.

W ciągu następnych kilku miesięcy wydawało się, że jego marzenia są bliskie spełnienia. Talent wojskowy Gordona i dzielność chińskich żołnierzy przyniosły cesarskiej armii więcej zwycięstw, niż pekiński dwór i sama Jehonała widzieli w ciągu wielu lat. Sam Li Hongzhang, mandaryn tak głęboko przekonany o wyższości narodu chińskiego, zaczął doceniać postępowanie młodego Anglika, obalające jego wcześniejsze opinie o zachodnich barbarzyńcach. Gordon był „dzielny, pracowity i bardzo dobrze wyszkolony w strategii i taktyce użycia broni palnej. Zwracam się z prośbą o wydanie edyktu uznającego jego działalność, tak aby mógł z dumą kiedyś powrócić do swego kraju”.

Jedną tylko sprawą przeszkadzała w rodzącym się porozumieniu między Wschodem a Zachodem. W miarę jak cesarskie armie odzyskiwały utracony poprzednio teren, zdobywając kilka dużych miast, i w końcu otoczyły Nankin, oblegając samego Niebiańskiego Króla, niektórzy z mniej fanatycznych przywódców taipingów zaczęli przechodzić do zwycięzców. W Suzhou, cudownie pięknym mieście kanałów, znanym jako Wenecja Wschodu, kilku z dawnych „wangów” taipingów rozpoczęło tajne rokowania z cesarskim dowódcą, pułkownikiem Zheng Guokuim, na temat możliwości kapitulacji. Poinformowano ich, że nie może być mowy o żadnej kapitulacji, dopóki nie pochwyca lub nie zabiją Tan Shaoguanga, znanego jako „Mu Wang”, powstańczego przywódcy cieszącego się znakomitą reputacją, który również znajdował się w Suzhou z „samobójczym szwadronem” liczącym ponad tysiąc ludzi, gotowych bronić miasta do ostatniej kropli krwi. Negocjatorom

powstańczym obiecano, że jeśli uda im się pozbyć Tana, zostaną przyjęci z otwartymi rękami i otrzymają wysokie stopnie w armii mandzurskiej. Zdrajcy pochwycili okazję, żeby uniknąć śmierci, jaka w ich czasach czekała buntowników, i uzgodnili plan z cesarskimi dowódcami.

W Suzhou przebywał również w owym czasie najskuteczniejszy z generałów taipingów, Li Zhongwang, Lojalny Książę Li. Oddziały cesarskie niewątpliwie chciały chwycić także jego, lecz Li, który albo dowiedział się czegoś przez swych szpiegów, albo dzięki instynktowi, nagle opuścił Suzhou z dziesięcioma tysiącami swoich zwolenników, i przebił się na zachód, w stronę Nankinu, oblężonej stolicy taipingów.

Kiedy 4 grudnia wojsko cesarskie szykowało się do ataku na Suzhou, Mu Wang wydał rozkaz obrony murów. Gdy odwrócił się w stronę swoich ludzi, pułapka zadziałała: Wang Yuwei, generał taipingów, wbił w plecy Tan Shaoguanga sztylet, a na jego „samobójczy szwadron”, liczący tysiąc bojowników, rzuciła się natychmiast chmara żołdaków, którzy rozsiekali ich na kawałki. Po czym opuścili flagi, otworzyli bramy, i poddali miasto.

Niektórzy z dawnych *changmao* długowłosych taipingów, na znak kapitulacji ogolili głowy. Wielu jednak tego nie uczyniło. Sześciu głównych przywódców taipingów, bojąc się zdrady, i świadomi faktu, że nadal mają jeszcze pod rozkazami blisko stutysięczną armię, próbowało negocjować o swe bezpieczeństwo z pozycji siły. Zażądali od Li Hongzhang'a dokumentów gwarantujących im na przyszłość rangi generałów i pułkowników w cesarskiej armii. Widząc ich wojownicze nastawienie, Li zaczął się obawiać, żeby w Suzhou ogon taipingów nie spróbował machać mandzurskim psem. Toteż, „by pozbyć się zbyt silnego ogona i innych ewentualnych niepowodzeń” Li nagle złamał dane buntownikom obietnice

i kazał ściąć wszystkich przywódców taipingów. Wyrok wykonano natychmiast.

Gordon, z jego wiktoriańską moralnością, poczuł się zdruzgotany. Wszak ci ludzie poddali się zgodnie z wymogami konwencji o prowadzeniu wojny i obiecano im bezpieczne wyjście z miasta. Tymczasem zostali zdradziecko zamordowani. Uzbrojony w dwa pistolety i ziejąc ogniem, ruszył na poszukiwanie Li, chcąc go uśmiercić. Na szczęście ten ostatni, znając „niepohamowany temperament Gordona”, ukrył się przed rozsierdzonym Anglikiem. Nie mogąc wyrzeć zemsty, Gordon zagroził, że wraz z całą Armią Zawsze Zwycięską przejdzie na stronę taipingów, ale ostatecznie, jak przewidywał Li, Anglik ochłonął i pozwolił się przekonać, choć nigdy do końca nie wybaczył zdradzieckiej (jego zdaniem) egzekucji przywódców taipingów. Li natomiast miał bardziej pragmatyczny stosunek do egzekucji, co po raz kolejny uwidoczniło przepaść pomiędzy europejskim a chińskim rozumieniem spraw. Wyjaśnił, dlaczego nakazał egzekucję - powstańcy wciąż jeszcze mieli ogromną liczbę ludzi pod bronią, a ich lojalność wobec Mandżurów nie była niczym pewnym - „człowiek, który sprzedaje jednego pana, sprzeda również następnego”. Obietnice czynione takim ludziom nie są wiele warte. Li uważał swoje postępowanie za słuszne i usprawiedliwione okolicznościami, i że na tym należy sprawę zakończyć. Lecz z typową dla mandaryna zimną krwią, był również gotów ulec potrzebie chwili i zrobić z siebie kozła ofiarnego. Jeśli rząd brytyjski zechce poprzeć Gordona i „zdecydowanie stanie po jego stronie - pisał do Jehonali - wówczas naturalną reakcją będzie surowa rozprawa z twoim urzędnikiem, w zależności od sytuacji, żeby uspokoić ich umysły”.

Li Hongzhang przez przeszło dwa miesiące unikał spotkania z Gordonem, chociaż skrupulatnie posyłał mu w tym cza-

się cały żołd i wyposażenie dla jego najemników. Gordon powoli miękł, i między innymi dzięki wstawiennictwu drobnego, wytwornego Irlandczyka Roberta Harta (wówczas zarządcy cesarskiego Urzędu Celnego, cieszącego się dobrą opinią zarówno wśród Chińczyków, jak obcych dyplomatów) w końcu doszło do pogodzenia. Li zachował jednak ostrożność - Armia Zawsze Zwycięska mogła stać się nożem wbitym w bok Mandżurów, gdyby zdecydowała się przejść na stronę powstańców, a Gordon „ciągle wpadał w gniew, a potem się uspakajał i nie wiem, czy znów coś się mu nie zmieni”. Li poprzysiągł sobie, że gdy tylko rebelia przygaśnie, Gordon zostanie zwolniony z dowództwa, a armia najemników rozwiązana.

Nie musiał długo czekać. W 1863 roku taipingowie zostali rozbici na trzy główne grupy, skoncentrowane w Hangzhou, Zhangzhou i Nankinie, w którym od kilku lat tkwił w oblężeniu Niebiański Król i dwieście tysięcy jego zwolenników. Wojska cesarskie przyjęły strategię rozprawienia się po kolei z każdym z tych trzech ośrodków. Pierwsze padło Hangzhou i wojska cesarskie oczyszczały okolice. W tym czasie został raniony w nogę Gordon, prowadzący szturm na powstańców w mieście Jintan. Wspomnienie śmierci Warda musiało dręczyć Li Hongzhang, kiedy dotarła do niego wiadomość o zranieniu Gordona. Na szczęście rana okazała się niegroźna.

Ośrodkiem obrony posiadłości taipingów na zachodzie Chin było teraz miasto Zhangzhou, o które toczono zażarte walki. Li zanotował, że powstańcy początkowo przerażeni skierowaną na nich europejską artylerią, z czasem zrozumieli, że „wprawdzie artyleria zdolna jest rozbić pociskami silne obwarowania, ale żołnierzy wspinających się na mury można powstrzymać [...] w samym Zhangzhou jest około stu tysięcy awanturników [...] bandy rabusiów z Guangdong [Kantonu] i Guangxi to oddziały samobójcze o dużym doświadczeniu”.

Li nie sądził, żeby walka o Zhangzhou miała pochłonąć wiele ofiar i 26 kwietnia wyraził nadzieję, iż uda się powstańców wziąć głodem, bez potrzeby frontalnego ataku. Niecałe dwa tygodnie później udzielił jednak zgody na atak i, ku ogólnemu zdziwieniu, miasto padło po zaledwie pięciu godzinach zaciętych walk ulicznych. Walczących na śmierć i życie awanturników z Kantonu i Guangxi wycięto w pień za wiedzą Gordona, który prosił kwaterę naczelną jedynie o łaskę dla tych szeregowych taipingów, którzy zgadzali się poddać. Li zgodził się.

Upadek Zhangzhou oznaczał praktycznie koniec powstania taipingów. W ich rękach wprawdzie nadal pozostawał Nankin, ale nie mieli już siły na operacje ofensywne. Stać ich było jeszcze tylko na odpieranie nieustannych ataków na miasto i złorzeczenie z jego murów otaczającym ich wojskom cesarskim. Li uznał, że czas już na rozwiązanie Armii Zawsze Zwycięskiej, a Gordon, którego jedyną misją było pokonanie powstańców (być może także zniechęcony nadmiernym przelewem krwi, charakterystycznym dla wojen toczonych przez Chińczyków), zgodził się z nim. Demobilizacja odbyła się szybko, 104 oficerów cudzoziemskich, z których wielu zostało poważnie rannych w tej kampanii, dostało od Chińczyków bardzo wysokie odprawy (do czterech tysięcy dolarów). Kilku cudzoziemców zatrzymano, żeby szkolili chińskich rekrutów, poza tym jednak w ciągu zaledwie kilku tygodni Armia Zawsze Zwycięska, jedna z najliczniejszych i najbardziej awanturniczych „kompanii ochotników”, jakie widział świat, przestała po prostu istnieć.

Gordon został wynagrodzony odpowiednio do swojej rangi. Rok wcześniej Jehonała zadekretowała, że jako nagrodę za swe usługi ma otrzymać dziesięć tysięcy uncji (311 kg) srebra, ale Gordon z charakterystyczną dla siebie pogardą dla zysku, odmówił. Zrobiło to wielkie wrażenie na chińskiej elicie wła-

dzy, poczynając od Cesarzowej Wdowy. Korzystając z pośrednictwa cieszącego się zaufaniem Roberta Harta, Gordon oznajmił, że służył Chinom nie dla pieniędzy, lecz „jedynie dla zyskania dobrego imienia”. Honorowa postawa Anglika ujęła Jehonałę, która, za osobistym wstawiennictwem Li Hong-zhanga, przystała na życzenie Anglika i przyznała cudzoziemcowi Żółty Żakiet, najwyższe chińskie wyróżnienie wojskowe. Gordon był niezmiernie dumny z tego wyróżnienia, które automatycznie plasowało go w szeregach chińskiej elity. W liście do matki w Anglii pisał, że „kraj został oczyszczony z buntowników i imperialiści dadzą już sobie sami radę. Dodam, że rząd chiński przyznał mi najwyższą rangę wojskową i Żółty Żakiet, wyróżnienie, jakie spotkało nie więcej niż dwudziestu innych mandarynów [Gordon najwyraźniej uważał siebie za jednego z nich] w całym cesarstwie, pasujące właściciela owego ubioru na członka gwardii cesarskiej”. Zyskawszy tak ważne dla niego dobre imię, Gordon opuścił Państwo Środka, a następnie w angielskich i innych europejskich salonach święcił triumfy jako „Chiński Gordon”. Bohaterska śmierć w Chartumie w 1885 roku przyćmiła w Europie pamięć o jego chińskich dokonaniach, ale nie w Chinach, gdzie pamięta się o nim jeszcze dzisiaj.

W rękach taipingów znajdował się już tylko Nankin, otoczona wysokimi murami południowa stolica cesarstwa, w której od 1853 roku przebywał ich Król Niebios. Z uwagi na poczucie dumy narodowej Jehonała i cała mandzurska elita wykluczały użycie obcych wojsk przy zdobywaniu Nankinu.

Tymczasem sytuacja w stolicy taipingów stawała się rozpaczliwa. Od przeszło dwóch lat trwało oblężenie miasta, zapasy żywności były na wykończeniu, a obrońcy dostawali jeden nędzny posiłek dziennie. Mimo to Hong Xiuquan, Król Niebios, który był przyczyną i początkiem tego konfliktu,

pociągającego za sobą śmierć wielu milionów ludzi, nadal zachowywał się jak gdyby zwycięstwo taipingów nie ulegało wątpliwości. Jak relacjonuje jeden ze świadków, kiedy Królowi Niebios powiedziano o braku żywności w mieście, kazał zbierać korzonki i liście drzew, ugniatać je w kuleczki, po czym rozdawał owe kulki swym bezpośrednim podkomendnym, rebelianckim dowódcom, ze słowami: „To jest manna z nieba; my w Pałacu od dłuższego czasu nie jemy nic innego”. Wydał rozkaz, żeby w każdym gospodarstwie w mieście nazbierano dziesięć pak tego surowca i oddano je na przechowanie do pałacowych spichlerzy. Niektórzy niezorientowani posłuchali rozkazu, ale większość powstańców nie zwracała sobie nim głowy. Podczas jednej z inspekcji murów Król Niebios, całkowicie oderwany od rzeczywistości, rozdawał perły swoim głodującym żołnierzom, którzy rozplakali się w beznadziejnej frustracji. Perły nie nadają się do jedzenia.

Relacja Lojalnego Księcia Li Xiuchenga (któremu udało się przebić z Suzhou do stolicy taipingów) pokazuje, jak dalece nierealna atmosfera panowała wówczas w pałacu Króla Niebios. Natychmiast po przybyciu do Nankinu, Li zażądał spotkania ze swoim przywódcą, żeby przedyskutować grożące im niebezpieczeństwo. Lecz „Młodszy Brat Jezusa” odmówił prowadzenia rozmów o strategii, woląc rozwodzić się nad swoimi wizjami, które, jak twierdził stanowczo, zapowiadają mu zdecydowane zwycięstwo. Chełpił się, że „Najwyższy Ojciec wydał w mojej sprawie święty dekret. Bóg Ojciec i mój Boski Starszy Brat [Chrystus] wyznaczyli mnie na jedyne prawdziwego pana wszystkich narodów. Czegóż więc mam się obawiać? Pozostań ze mną, lub opuść mnie, jak wolisz... Pod moją komendą znajdują się milionowe zastępy anielskie; jak więc te sto tysięcy bezbożnych imperialistów może kiedykolwiek wejść do miasta?”. Słuchając tych nonsensów, Lojal-

ny Księżę, najwierniejszy ze zwolenników Króla Niebios, wreszcie zrozumiał, że ten oszalał. Rozplakał się i wybiegł z komnaty.

Mimo czczych przechwałek, w miarę jak oddziały Mandżurów napierały coraz mocniej, bombardując i podminowując mury, nawet Król Niebios w końcu zaczął zdawać sobie sprawę z grozy sytuacji. W 27 dniu piątego Księżyca (12 maja 1864 roku) wlał truciznę do swojego wina. Ileż myśli musiało przebiegać przez jego głowę, kiedy wspominał ostatnie, pełne wydarzeń trzynaście lat: niezdany egzamin na mandaryna doprowadził go do pozycji cesarza południowej połowy Państwa Środka! I oto nadchodził koniec. Podnosząc w górę zatruty kielich, Król Niebios zapłakał: „To nie Bóg Ojciec oszukał mnie; to ja byłem nieposłuszny Bogu Ojcu”. Owe ostatnie słowa Hong Xiuquana nie były pozbawione racji, zważywszy wielkie odstępstwo od jego pierwotnych ideałów sprawiedliwości i równości w projektowanym Królestwie Niebiańskiego Pokoju, na rzecz odzianego w wyszywane złotem i klejnotami szaty „cesarza”, patronującego nierównościom tak samo przepastnym, jak w Chinach rządzonych przez Mandżurów. Wychylił kielich jednym haustem, ale jeśli spodziewał się szybkiego zejścia z tego świata, srodze się zawiódł. Trucizna działała powoli i Hong wił się w agonii aż do północy. Jego najbliżsi współpracownicy, obawiając się załamania ducha wśród obrońców, pochowali ciało na terenie pałacu i starali się nie dopuścić do rozejścia się wieści o śmierci Honga. Ponieważ Król Niebios żył w prawdziwie cesarskim odosobnieniu, przez szesnaście dni udawało się im zachować tajemnicę jego śmierci. Kiedy jednak wieść w końcu się rozniosła, skutki były odwrotne do spodziewanych. Zamiast opaść z sił, pozostałe jeszcze przy życiu oddziały taipingów walczyły w obronie Nankinu ze zdwojoną energią aż do śmierci.

O świcie 22 lipca 1864 roku ruszył ostatni szturm. Atakujący wysadzili w powietrze odcinek murów, robiąc wyłom długości blisko sześćdziesięciu metrów, przez który włali się do miasta cesarscy żołnierze, unicestwiając wszelką obronę. Powstańcy wysadzili w powietrze magazyn z amunicją, zabijając wielu zwolenników cesarza, i wymuszając paniczną ucieczkę napastników, którą dopiero po pewnym czasie zdołali powstrzymać mandżurscy oficerowie, strzelając lub siekąc mieczami uciekających. Późnym popołudniem stało się jasne, że miasto zostało zdobyte. Lecz nawet wtedy ani jeden z buntowników nie poddał się dobrowolnie - ginęli na miejscu albo wysadzali się w powietrze „grzebiąc się żywcem, zamiast się poddać”, taki los wybrał także syn Króla Niebios. Po zażartej walce udało się wziąć do niewoli tylko niewielu, wśród nich rannego Lojalnego Księcia i dwóch starszych braci króla buntowników. Ci dwaj wydawali się być kompletnie dezorientowani, „i powtarzali w kółko i bezustannie «Bóg Ojciec, Bóg Ojciec». Ponieważ nie mogłem wydobyć z nich żadnych informacji, a obaj byli ciężko chorzy, kazałem ich ściąć”.

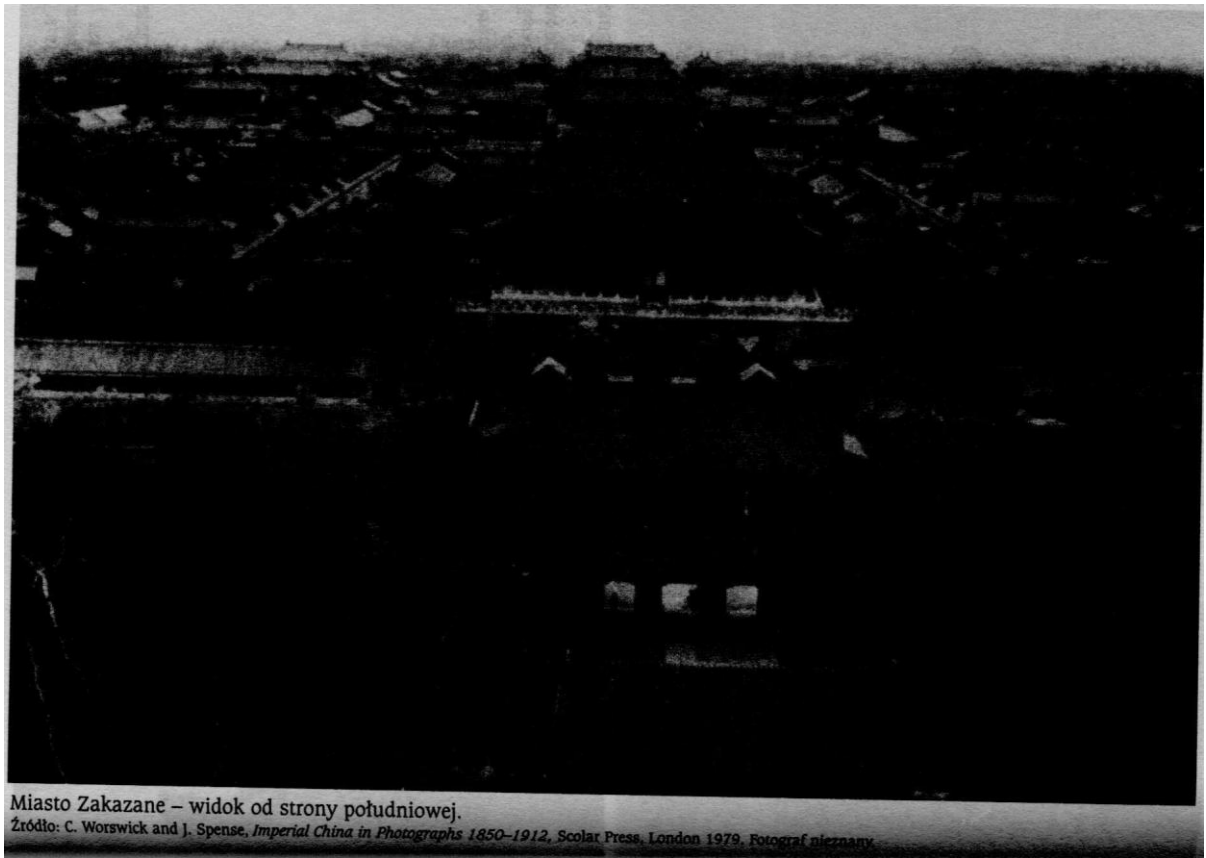
Zeng Guofan znalazł grób Króla Niebios i kazał ekshumować ciało: „Nawet stopy trupa owinięte były szatami haftowanymi w smoki - donosił Jehonali - miał łysą głowę i brodę przetykaną siwizną”. Zeng rozkazał odciąć głowę rozkładającego się już trupa, tułów zaś i członki spalić na stosie. Odciętą głowę Króla Niebios nasadzono na długi drąg i obnoszono po wszystkich prowincjach, które podbił w czasie powstania, oficjalnie „dla ułagodzenia gniewu ludu”, lecz przede wszystkim, jak się wydaje, po to, by przekonać ludzi o śmierci Honga i zapobiec ewentualnej propagandzie taipingów, głoszącej, że Hong wymknął się Mandżurom i powróci, by wyrzucić na nich zemstę.



Tego rodzaju torturowanie ludzi prowadziło do niechybnej śmierci głodowej.
Źródło: C. Worswick and J. Spence, *Imperial China in Photographs 1850-1912*, Scolar Press, London 1979. Fotograf nieznan.



Zniekształcone stopy kobiet działały erotycznie na mężczyzn.
Źródło: B.F. Beers, *China in Old Photographs 1860-1910*, Charles Scribner's Sons, New York 1978. Fotograf nieznan.



Miasto Zakazane - widok od strony południowej.

Jehonala rozkazała Zeng Guofanowi przywieźć Lojalnego Księcia Li Xiuchenga w otwartej klatce do Pekinu, gdzie chciała pokazywać go publicznie, zanim zostanie ścięty. Zeng jednak odbył już kilka rozmów z powstańczym wodzem i wydaje się, że więzień bardzo mu zaimponował. Poprosił Lojalnego Księcia, żeby spisał własnymi słowami relację dotyczącą powstania. Ten dokument dotrwał do naszych czasów i daje jedyną w swoim rodzaju relację z przebiegu ludowego zrywu - pamiętajmy, że przegrani rzadko są dopuszczani do głosu. W skierowanym do Jehonali memoriale Zeng Guofan wspomina, że Lojalny Książę radził Mandżurom, żeby nie karali zbyt surowo powstańczych żołnierzy z Kantonu i Guangxi, prowincji, w których zaczęło się powstanie. Surowe kary jeszcze bardziej zwiększą wrogość do dynastii i staną się zarodkiem przyszłych buntów. W zakończeniu, Zeng napisał: „Wydaje mi się, że jest dużo racji w tej radzie”. Zauważył też, jakim szacunkiem cieszył się Lojalny Książę wśród prostych żołnierzy powstania, i co bardziej niepokojące, wśród zwykłego chłopstwa. „Obawiam się, że istnieje niebezpieczeństwo, iż Li może zagłodzić się na śmierć w czasie podróży albo ktoś może podjąć próbę jego uwolnienia, bo cieszy się niezwykłą popularnością wśród zwykłego ludu”. Zeng był tak zaniepokojony możliwością takiego obrotu wydarzeń, że, wbrew wyraźnym rozkazom Jehonali, kazał ściąć Lojalnego Księcia, kiedy tylko ten skończył pisanie historii powstania.

Upadek taipingów bardzo wzmocnił pozycję Jehonali. W umysłach zwykłych ludzi początek jej panowania (bo nikt w Chinach nie miał wątpliwości, kto naprawdę dzierży władzę w Mieście Zakazanym) skojarzył się na zawsze z powrotem pokoju i normalnych rządów. Co więcej, człowiekiem Jehonali był przecież Zeng Guofan, generalissimus, który wreszcie położył kres trwającej trzynaście lat rebelii. Wobec tak pomyślnego

początku jej rządów, wielu zdawało się nie pamiętać, w jaki sposób doszła do władzy.

Teraz tylko jeden człowiek stał między nią a władzą absolutną, której tak pożądała - niegdysiejszy sojusznik i niespełniony mentor, książę Gong. Dopóty, dopóki szalało jeszcze powstanie taipingów, zdrowa strategia wymagała utrzymywania przynajmniej pozorów przyjaźni między rywalizującymi osobami. Po upadku rebelii Jehonala miała rozwiązane ręce. Książę Gong miał przekonać się wkrótce, że jego pozycja na dworze i przywileje zależą tylko od dobrej woli młodej konkubiny, której on sam dopomógł zostać najpotężniejszą kobietą cesarstwa.

Jehonala uderzyła w byłego sojusznika zaledwie dziewięć miesięcy po upadku Nankinu, kiedy ostatnie karne ekspedycje polowały jeszcze na resztki taipingów. W czasie jednego z regularnych spotkań z cesarzem i Cesarzowymi Wdowami książę Gong podniósł się z kolan jeszcze przed końcem audiencji. Zabraniał tego dawny obyczaj; miał to być jeden ze środków ostrożności zapobiegających zamachom na władcę. Książę Gong popełnił więc rzeczywiście wykroczenie. Przyczyną tego mogło być roztargnienie albo przekonanie księcia, że jego niepodważalna lojalność daje mu prawo do przywileju, którego odmawiano innym, ale Jehonala zobaczyła dla siebie szansę i ją wykorzystała. Wezwała na pomoc straż pałacową i - krzyżąc przeraźliwie o zdradzie - nakazała jej usunąć księcia. Zaskoczonego i wściekłego Gonga strażnicy wywlekli z komnaty. Represje przysły natychmiast: dekret cesarski w imieniu cesarzowej regentki pozbawił księcia wszystkich tytułów i dworskich zaszczytów oraz oskarżał go o próbę przejęcia władzy siłą. Geniusz Jehonali polegał jednak na tym, że już po miesiącu książę Gong został zrehabilitowany i przywrócono mu wszystkie tytuły prócz jednego. Wydała Dekret Wyjaśnia-

jący, w którym ona sama, a nominalnie również Sakota, wymieniły przyczyny, dla których książe został ukarany, tłumacząc podjęte środki potrzebą oczyszczenia go z grzechu arogancji i ratowania go przed samym sobą! Kiedy ten chwalebny cel został osiągnięty i w odpowiedzi na wiele próśb wnoszących o wybaczenie księciu jego błędów, dekret uznaje, że cesarz (co oznaczało jego matkę) bynajmniej nie jest przeciwny pojednaniu.

Przesłanie było jasne. Jak w Europie średniowieczni papieże uważali, że mają prawo mianowania i odwoływania monarchów, tak Jehonala uważała się teraz za dysponentkę wszelkich tytułów i zaszczytów w ramach Państwa Środka. Cena, jakiej żądali i papieże, i cesarzowa, była taka sama - niezachwiana lojalność. Jeśli Jehonala była w stanie w jednej chwili zniszczyć księcia Gonga, co mogłaby uczynić z mniej wpływowymi ludźmi?

W celu podkreślenia tego aspektu władzy, drugi dekret (ponownie wydany w imieniu obu Cesarzowych Wdów) zdawał relację z przebiegu pierwszej audiencji, do której cesarz dopuścił księcia Gonga po jego ułaskawieniu. Relacja ta zapewne głównie wymyślona, stanowi piękny przykład obłudnego przydawania sobie splendoru, motyw powracający wielokrotnie w czasie całego długiego panowania Jehonali:

Książe pokornie padł na twarz i gorzko zapłakał, demonstrując swe własne poniżenie. Zdawał się być pełen skruchy za złe zachowanie, do którego sam się przyznawał. Szczerść owego przyznania musiała skłonić nas do współczucia. Ze swej strony nie wykazałyśmy w tej sprawie żadnych uprzedzeń, kierując się jedynie ścisłym obiektywizmem; byłoby nie do pomyślenia, żebyśmy chciały szorstko potraktować tak wypróbowanego i mądrego doradcę, lub pozbawić się jego cennych rad. Przywracamy mu

więc godność członka Wielkiej Rady, lecz żeby ograniczyć zakres jego władzy, nie proponujemy, by przywrócić mu funkcję .doradcy rządu".

Teraz niech książę Gong sam zadba o to, by nie zapomnieć doznanego wstydu i okazanej skruchy! Niech stara się odpłacić nam za naszą łagodność i wykazać więcej samokontroli w wykonywaniu swoich obowiązków.

Nie ulegało wątpliwości. Jehonała wygrała wyścig po władzę absolutną, reszta stawki już się nie liczyła. Cesarzowa Zachodniego Pałacu trzymała mocno w garści Niebiańskie Cesarstwo.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Śmierć faworyta

Mimo wyrażanej głośno skruchy książę Gong bez wątpienia nosił w sobie głęboką urazę za doznane upokorzenie. Lecz w owym czasie Jehonala była już poza zasięgiem jego zemsty, nietykalna, więc zagniewany książę skierował swoją agresję na łatwiejszy cel - pałacowych eunuchów. Zwrócił swą złość zwłaszcza przeciwko ulubionemu eunuchowi Jehonali, An Dehaiowi. Jeżeli był on istotnie eunuchem. Pekinścy plotkarze twierdzili swego czasu, że An Dehai jest *homo intactus*, jednym z garstki mężczyzn, którym w ciągu całej historii (tak w każdym razie twierdzono) udało się prowadzić podwójne życie za murami Miasta Zakazanego, wystawionym na wszystkie niebezpieczeństwa i korzystającym z przywilejów, jakie wynikały z tak dwuznacznej sytuacji. Żył tam ponad trzy tysiące żon, konkubin i służących cesarza, które w większości czuły się zaniedbane i sfrustrowane, i były niewątpliwie wdzięczne za zainteresowanie ze strony jakiegokolwiek mężczyzny. Podobnie zresztą wyglądała sprawa z kobietami zmarłego cesarza, nie wyłączając Jehonali, od których obyczaj wymagał spędzenia w cnotce reszty wdowiego życia. Udający eunucha mógł, nie budząc podejrzeń, mieszkać w sąsiedztwie takiej pani. Szeroko plotkowano, że był kochankiem Cesarzowej Zachodniego Pałacu.

Książę Gong, jak się zdaje, podejrzewał, że to właśnie An Dehai poinformował Jehonałę, że książę przedwcześnie podniósł się z klęczek w czasie tej fatalnej audiencji, kiedy to mandzurski możnowładca utracił swoją władzę i tytuły. Cesarzowa Zachodniego Pałacu, siedząc za żółtą jedwabną firanką, nie zauważyłaby przecież, że książę złamał etykietę. Książę Gong mógł zresztą mieć również inne powody, dla których wziął na celownik właśnie jego. Normą w chińskiej polityce było szkodzenie potężniejszemu przeciwnikowi przez wymierzanie ciosów jego przyjaciółom i bliskim, a przywiązanie Jehonali do An Dehaia było znane wszystkim na dworze. Poza tym eunuch przywłaszczył sobie zaszczyty i tytuły, do których nie dawały mu prawa przepisy mandzurskiego domu cesarskiego: miał liczny dwór osobistych sług, ubierał się w najcenniejsze jedwabie, i był znany jako Pan Dziewięciu Tysięcy Lat, co wiele osób uważało za wykalku-lowaną obrazę osoby cesarza, któremu przysługiwał tytuł Pana Dziesięciu Tysięcy Lat. Taka arogancja musiała drażnić świeżo zdegradowanego, lecz wciąż wyniosłego wielmożę. Podobnie więc jak niedawno Jehonała cierpliwie wyczekiwała na okazję ugodzenia księcia Gonga, tak teraz książę ze stoickim spokojem polował na okazję, żeby zranić ją poprzez jej faworyta.

Musiał czekać aż cztery lata. W 1869 roku, absolutnie pewna, że niepodzielnie włada cesarstwem (mimo iż wciąż jeszcze sygnowała swe dekryty wspólnie ze współregentką, cesarzową Sakotą) Jehonała stała się nieostrożna. Potrzebowała pieniędzy, wysłała więc swego faworyta z nieoficjalną misją na południe do prowincji Shandongu, żeby zebrał należne jej daniny. W ten sposób złamała jedną z kardynałnych zasad mandzurskiego domu cesarskiego, zgodnie z którą pod karą śmierci żadnemu z eunuchów nie wolno było opuścić stolicy. Tym-

czasem An Dehai, zgodnie ze swym zamiłowaniem do rozrzutności i ufny w opiekę swej pani, wyprawił się w podróż z wielką ostentacją, żeglując w dół Wielkiego Kanału

dwiema barkami ze znakami smoka, z demonstracyjną pompą i przepychem. Nad jego barkami wznosiły się czarne chorągwie z potrójnymi cesarskimi znakami słońca w samym środku; po obu stronach jego statku powiewały także flagi ze znakami smoka i feniksa (symbol cesarzowej). Na pokładzie znajdowało się liczne towarzystwo płci obojga, były muzykantki, wyszkolone w grze na instrumentach smyczkowych i dętych. Wzdłuż brzegów Kanału niezliczone tłumy gapiów obserwowały płynące w dół barki ze zdumieniem i podziwem. Dwudziestego pierwszego dnia miesiąca przypadały akurat urodziny eunucha, więc wystrojony w szaty w smoki stanął na mostku swej barki, przyjmując hołdy od członków swojej świty.

An Dehai z pewnością dobrze się bawił w czasie tej wyprawy za mury Wielkiego Środka. Ani on, ani Jehonala nie wiedzieli jednak o tym, że gubernator prowincji Shandong wysłał po cichu do księcia Gonga informację o ekstrawaganckiej wyprawie eunucha. Dostarczyła ona księciu idealnej okazji do wywarcia zemsty na Zachodniej Cesarzowej, i uchwycił się jej obiema rękami. Sprytny polityk, dostrzegł też okazję do wbicia klina pomiędzy obydwie Cesarzowe Wdowy. Przyszedł mianowicie do Sakoty i przekonał mało bystrą i słabą cesarzową, żeby podpisała wyrok śmierci na eunucha jehonali, nie czekając na zwyczajowy proces w Pekinie. Niewątpliwie naiwna, Sakota zdawała sobie jednak sprawę, że rozpęta się nad jej głową burza, jak tylko Jehonala odkryje, za późno, jaki los spotkał jej ulubieńca. „Zachodnia Cesarzowa z pewnością mnie za to zabije” - miała powiedzieć, wręczając dekret księciu

Gongowi. Pozostaje tajemnicą, dlaczego Sakota się na to zgodziła: może wierzyła, że tajemniczy dokument, jaki wręczył jej umierający cesarz Xianfeng w 1860 roku w Rehe (którego treści nigdy nikomu nie ujawniła), uchroni ją od najgorszego gniewu Jehonali.

Księżę Gong wysłał dekret do Shandongu, gdzie gubernator prowincji, Ding Baozhen, natychmiast ruszył do akcji. Edykt nakazywał gubernatorowi, „by nie przywiązywać najmniejszej wagi do jakichkolwiek wykrętnych wyjaśnień, jakich może chytać się eunuch”. An Dehaia aresztowano tuż koło jego luksusowej barki na terenie prefektury Dai'an. Mimo jego głośnych protestów i powoływania się na swoją wysoką pozycję i rozkaz Zachodniej Cesarzowej, został ścięty na miejscu, przed frontem odświętnie przystrojonych członków jego własnej świty. A potem, zgodnie z zasadami chińskiego wymiaru sprawiedliwości, wszystkich członków jego rodziny zaarrestowano, obrócono w niewolników i zesłano do obsługi straży granicznej na północnym zachodzie, tradycyjnie najbardziej niebezpiecznego regionu granicznego w cesarstwie. Na tym nie koniec: uśmiercono przez uduszenie również kilku towarzyszących An Dehaiowi eunuchów. Sześciu innym udało się zbiec i na razie uniknęli pojmania. Pięciu z nich ostatecznie schwytano i ścięto, ale szósty umknął swoim prześladowcom, i w powrócił do stolicy. Tutaj w wielkiej tajemnicy o upadku An Dehaia opowiedział, Li Lianyingowi, temu samemu Li, który masował w Rehe umierającego cesarza, i ukradł cesarską pieczęć, dzięki czemu pośrednio Jehonala mogła pokusić się o wstąpienie na Tron Smoka.

Li raczej nie zmartwił się tą wiadomością. Sam mógł awansować na Głównego Eunucha Dworu tylko w wyniku niełaski lub śmierci An Dehaia, i chociaż często musiał marzyć o takich informacjach, jakie teraz przyniósł mu zbiegły eunuch,

nie mógł się spodziewać, że tak szybko zdota zaspokoić swoje ambicje. Niewątpliwie ukrywając zadowolenie, Li natychmiast poinformował o wszystkim swoją panią. Jehonała początkowo nie mogła uwierzyć w wiadomość o egzekucji An Dehaia. Od dawna nie traktowała Sakoty jako prawdziwej rywalki w Mieście Zakazanym, toteż nie mogła zrozumieć, że Cesarzowa Wschodniego Pałacu odważyła się tak otwarcie podważyć jej władzę. Kiedy wreszcie dotarło do niej, że to, co jej powiedziano, jest prawdą, natychmiast ruszyła do akcji. Kipiąc z wściekłości, udała się do pawilonu, jak na ironię losu noszącego nazwę Pałacu Dobrotliwego Spokoju, znalazła kuzynkę i zażądała od niej wyjaśnień. Sakota próbowała zrzucić całą odpowiedzialność za to, co się stało, na księcia Gonga, lecz była to niezdarna obrona, ponieważ na dekrete nakazującym ścięcie An Dehaia widniała jej osobista pieczęć. W niektórych relacjach z tego spotkania jest mowa o tym, że cały Pałac Dobrotliwego Spokoju trząsł się od krzyku Jehona-li, zapowiadającej otwarcie, iż za „morderstwo” na An Dehaju jej kuzynka zapłaci życiem. To jednak mało prawdopodobne: w Mieście Zakazanym poprawne formy i rygorystyczne przestrzeganie etykiety, przynajmniej w stosunkach pomiędzy równymi sobie, były bezwzględnie przestrzegane. Bez względu na zajadłość stron, drobiazgowo stosowano się do uświęconych tradycją zasad *li*. Chociaż jednak Jehonała prawie na pewno powstrzymała się od bezpośrednich gróźb, obydwie cesarzowe zdawały sobie sprawę z tego, że śmierć An Dehaia spowodowała radykalną zmianę w ich wzajemnych stosunkach. W bezpowrotną przeszłość odeszła bliska zażyłość z okresu młodości, sojusz wypróbowany w ogniu pałacowych intryg i wspomnienia wspólnej walki przeciwko Su Shunowi. Jehonała, w odpowiednim czasie i w odpowiedni sposób, będzie miała swoją zemstę.

Księcia Gongę spotkał podobny los. Następnego ranka Jehonala przyjechała go na audiencji i lodowatym głosem zagroziła ponowną dymisją i ponownym pozbawieniem zaszczytów. Nigdy jednak nie miała zrealizować swoich gróźb. Głośne protesty cenzorów i powódź memoriałów po jego pierwszej dymisji przekonały ją, że na razie Gong był zbyt popularny, by go usuwać. A nawet gdyby chciała to zrobić, brakło jej rozsądnego pretekstu - misja An Dehaia była przecież całkowicie nielegalna. Jehonala miała wprawdzie wystarczający zasób władzy, by uśmierzyć protesty, ale (co było tak bardzo do niej niepodobne) nie miała wystarczającego precedensu historycznego, ani nie mogła się powołać na interes państwa, żeby usprawiedliwić wyjazd eunucha poza granice Miasta Zakazanego. Czyn ten był istotnie zakazany przepisami dworu cesarza, a karą zań była śmierć. Fakt, że złamała przepisy, spowodował raczej podrażnienie ambicji niż wstyd. Przez dziesiątki lat pielęgnowała więc uraz do księcia Gongę i przez cały czas starała się go ranić przy każdej okazji, przede wszystkim wbrew wszelkim precedensom odmawiając jego synowi prawa do następstwa tronu. Starannie zadbała także o to, żeby wszystkich potomków księcia wykluczyć z praw do cesarskiej sukcesji. Ignorowała wszelkie protesty i stopniowo zepchnęła na margines tego zdolnego i sprawnego wielmożę, a historia Chin uległa nieodwracalnej zmianie z powodu śmierci pewnego eunucha.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

„Szczęśliwy los" cesarza

Tak się należało spodziewać, Li Lianying zajął miejsce An I Dehaia, awansował na Głównego Eunucha i wkrótce zaczął się cieszyć równie zażyłymi stosunkami z Cesarzową Zachodniego Pałacu, jak jego nieszczęsny poprzednik. Wszyscy wiedzieli, że Jehonała darzy eunuchów wielką sympatią, ale Li Lianying, przystojny i o nieskazitelnych manierach, cieszył się szczególnymi względami. Rzecz niezwykła w wypadku sługi: wolno mu było rozpoczynać dyskusje z Jehonałą na wybrany przez niego temat oraz siedzieć w jej obecności, a nawet korzystać czasem w trakcie rozmowy z odpoczynku na cesarskim tronie. W miarę jak zacieśniała się ich przyjaźń, coraz częściej używał zwrotu *ze-men*, „my dwoje", gdy mówił o sprawach łączących go z Cesarzową Zachodniego Pałacu, co było terminem używanym zwykle między członkami rodziny lub bardzo za-przyjaźnionymi ludźmi o równym statusie społecznym. Kiedy Jehonała była już w pewnym wieku, to Li ukuł dla niej przydomek „Lao Fuye" (Czcigodna Budda), czułe nazwanie, który ona sobie bardzo upodobała.

W przeciwieństwie do swego ulubionego eunucha, Jehonała okazała się niezdolna do nawiązywania i utrzymywania normalnych więzi rodzinnych, zwłaszcza z synem, cesarzem Tongzhi. Od wczesnego dzieciństwa wolał on przebywać

w towarzystwie swej łagodniejszej i mniej wymagającej ciotki Sakoty, od niedawna znienawidzonej Cesarzowej Wschodniego Pałacu. Od roku 1870, kiedy skończył czternaście lat, młody cesarz coraz rzadziej widywał matkę i, jak to nastolatek, uwielbiał szokować swoim zachowaniem. Po pałacu krążyły plotki o jego niedozwolonym związku ze służącą, co z pewnością wzmagало napięcie w jego i tak już trudnych stosunkach z matką. Narastający chłód między matką i synem był źródłem poważnej troski - nie tylko i nie przede wszystkim jej troski jako matki. Po pierwsze i przede wszystkim stanowił zagrożenie dla ciągłości władzy Jehonali.

Dziesięć lat temu, kiedy zaczynała rządzić jako regentka, miała wrażenie, że jej regencja nigdy się nie skończy. Lecz czas płynął i Tongzhi już za dwa lata miał osiągnąć pełnoletniość. Jak się spodziewano, Jehonala powinna wtedy ustąpić i stopniowo przekazywać kontrolę nad cesarstwem swojemu synowi. Z pewnością oczekiwała, że Tongzhi pozostanie jej posłuszny i pozwoli jej nadal zza kulis wywierać wpływ na sprawy państwa. Jego buntowniczy charakter stawiał jednak pod znakiem zapytania jej późniejsze wpływy. W miarę jak Tongzhi dorósł, w coraz mniejszym stopniu słuchał „rad” Jehonali. Zważywszy zaś jego sympatię do ciotki, istniało nawet niebezpieczeństwo, że może w końcu przejść do „obozu wroga”, tworząc wspólny front z Sakotą i księciem Gongiem, pozostawiając matkę osamotnioną i narażoną na ataki. Brak wpływu na syna i wynikające stąd zagrożenie dla jej władzy, stawało się stopniowo jedynym i najważniejszym wyznacznikiem polityki Jehonali, i doprowadziło do fatalnych konsekwencji.

To jeszcze nie wszystko. Na dłuższą metę rysował się nawet większy jeszcze problem. Z chwilą osiągnięcia pełnoletności, cesarz Tongzhi będzie musiał wziąć sobie żonę. Poza

sprawnym kierowaniem cesarstwem, podstawowym obowiązkiem Niebiańskiego Księcia było spłodzenie syna dla zabezpieczenia sukcesji. Bez niekwestionowanego następcy tronu można było spodziewać się intryg przeciwników, a w dalszej perspektywie nawet wojny domowej. Dla cesarza posiadanie syna było warunkiem *sine qua non* stabilności jego władzy. Życzył sobie tego każdy mieszkaniec Państwa Środka, od najbiedniejszego wieśniaka aż po najznakomitszego wielmożę.

Każdy oprócz Jehonali. Do czasu zajścia w ciążę była zwykłą konkubiną trzeciej rangi, co dawało jej mizerną pozycję w hierarchii Wielkiego Środka. Zdobyła uczucie cesarza, ale najwyższy status wśród cesarskich kobiet zawdzięczała wyłącznie macierzyństwu. Wtedy, jak i teraz, jej władza opierała się na tym, że była matką Tongzhi. Gdy jednak w swoim czasie przyszła żona cesarza powije mu syna, wszystko to ulegnie zmianie. Wówczas żona cesarza otrzyma zaszczytny tytuł Cesarzowej Matki. Wystarczy jeden połów, i Jehonala straci prawie całą pozycję i władzę. A może być jeszcze gorzej. Jeśli cesarz umrze wcześniej niż jego małżonka, Jehonala straci nawet tytuł Cesarzowej Wdowy na rzecz małżonki zmarłego cesarza, a wraz z nim także resztki swoich wpływów. Pozostanie wprawdzie starą Cesarzową Wdową, teoretycznie osobą cieszącą się wyższą pozycją na dworze, ale to nie ona będzie *ważną* Cesarzową Wdową. Zostałaby zepchnięta na sam koniec, zmuszona do życia z dala od źródeł władzy, i prędzej czy później zapomniana przez wszystkich. Natomiast, co było równie trudnym orzechem do zgryzienia, znienawidzona przez nią obecnie kuzynka Sakota, Cesarzowa Wschodniego Pałacu, zachowałaby wszelkie honory i przywileje jako żona zmarłego cesarza Xianfenga.

Było w tym więcej aniżeli po prostu pragnienie zachowania dotychczasowej pozycji i chęć dalszego korzystania z owoców

władzy. Rządząc jak autokratka, Jehonala naraziła się wielu osobistościom z rodziny cesarskiej. Wiedziała, że jeśli pozwoli pozbawić się swych funkcji, odarta z siły, nie może spodziewać się litości ze strony przeciwników. Zbliżające się niebezpieczeństwo przypominało sytuację z okresu walki z Su Shu-nem. Tym razem nie mogła już jednak liczyć na pomoc księcia Gonga ani kuzynki Sakoty. Poza sprzymierzeńcami w szeregach eunuchów, Jehonala nie miała nikogo.

Wyjście było proste - Tongzhi nie powinien mieć synów.

Jehonala musiała zdawać sobie sprawę z wniosków, jakie z tego płynęły. Pojawienie się wnuka mogło zagrozić nie tylko jej władzy, lecz także jej życiu. Nie mogła więc dopuścić do tego, żeby urodził się wnuk. Romans czternastoletniego Tongzhi z nieodpowiednią kobietą zapowiadał jednak, że niemal na pewno będzie miał dzieci, jeśli ożeni się z kobietą płodną. Prowadziło to do kolejnego wniosku, który zdawał się być sprzeczny z samą istotą instynktu macierzyńskiego. Tongzhi musi umrzeć, zanim będzie miał dzieci. A więc musi umrzeć młodo.

Przy normalnym biegu rzeczy trudno się było tego spodziewać - przecież Tongzhi nie miał jeszcze dwudziestu lat, Jehonala zaś miała trzydzieści pięć lat. Przy normalnym biegu rzeczy było bardziej prawdopodobne, że to Niebiański Książę przeżyje matkę i założy rodzinę. Lecz Jehonala zadbała o to, żeby życie młodziutkiego cesarza było dalekie od normalności. Kiedy był jeszcze bardzo młody zezwoliła, by towarzyszący mu eunuchowie wprowadzali go w świat rozpustnych „rozrywek”. Członkowie Domu Cesarskiego, tacy jak Wen Hai i Gui Bao, pomagali mu w „potajemnych” wyprawach poza mury Wielkiego Środka, gdzie prowadzali go do domów rozpusty i na dancingi w najgorszych dzielnicach miasta. Rozpustne rozrywki dały łatwy do przewidzenia skutek. Czytając między

wierszami ówczesnych relacji, jest oczywiste, że cesarz zaraził się jakąś weneryczną chorobą - być może nawet syfilisem. Autorzy ówczesnych dzienników i komentarzy są natomiast zgodni w tym, że kiedy to się stało, jego matka „pozwała chorobie niszczyć jego delikatny organizm, nie dbając o zapewnienie mu koniecznej pomocy lekarskiej”, jak się zdaje, Jehonała już wówczas planowała wczesną śmierć swego syna -choć Tongzhi był bardzo młody, wszyscy na dworze wiedzieli, że nie dożyje późnego wieku.

Niektórzy twierdzą, że Jehonała czule kochała swego syna i nic nie wiedziała o rozpuszczeniu i perwersji, jakim się oddawał. Ale chyba nie mają racji i nie chcą przyjąć do wiadomości, do czego była gotowa zniżyć się Zachodnia Cesarzowa, aby tylko zachować w swym ręku absolutną władzę. Jehonała rozporządzała najskuteczniejszym wywiadem w Państwie Środka. Trudno uwierzyć, że mogła nie wiedzieć o skandalicznych eskapadach swojego syna i fatalnych konsekwencjach jego przygód. Miała wystarczającą władzę, żeby mu tego zabronić, a jednak nie kiwnęła palcem, by to zrobić. Kiedy członek Cesarskiego Domu, Gui Ying, stwierdził, jak złowrogi wpływ wywierają eunuchowie na Samotnego Księcia, i kazał ściąć kilku największych winowajców, Jehonała usunęła go z zajmowanego stanowiska. To smutne, ale Tongzhi, ślepy na nieszczęścia, jakie szykowała mu przyszłość, zaakceptował tę decyzję. Mogło się wydawać, że Zachodnia Cesarzowa pragnie jedynie przyspieszyć śmierć swego syna. Czy mogła to być prawda? Czy istotnie planowała śmierć własnego syna? Na ogół rodzice nie chcą przeżyć swoich dzieci, nawet gdyby to oznaczało ich wcześniejszą śmierć, i raczej gotowi są poświęcić własne życie, żeby zapewnić przetrwanie następnej generacji. Czyżby piękne, smukłe ciało Jehonali zamieszkiwała dusza tak nieprzejednanie samolubna, iż gotowa była ona poświęcić swoje

dziecko na ołtarzu własnej ambicji? A może jej motywacja była mieszaniną ambicji osobistej oraz głęboko zakorzonego ducha rodowej wendetty między ludem Aisin Gioro a jej własnym ludem, i ta mieszanka doprowadziła do tak przeciwnego naturze zaprzeczenia miłości macierzyńskiej? Może gotowa była zrobić wszystko, żeby tylko zapewnić swemu rodowi sukcesję na Tronie Smoka? Wydaje się, że tylko w ten sposób da się wytłumaczyć jej działania.

Chyba że prawdą jest jedna z niewiarygodnych opowieści dotyczących jej ciąży. Wiele plotek krążyło w kwietniu 1856 roku, bezpośrednio przed i tuż po narodzinach Tongzhi. Według jednej z nich dziecko było owocem związku Jehonali z jej poprzednim ukochanym, kapitanem Rong Lu. Tę wersję można śmiało wykluczyć. Rong Lu przez całe jej życie wywierał ogromny wpływ na Jehonale, i zezwolenie jej na pozbycie się ich wspólnego dziecka wymagałoby sporej bezwzględności i byłoby sprzeczne z normalnym zachowaniem mandżurskiego wojownika, a także nie pasowało do tego, co wiemy o Rong Lu. Krążyła jednak wówczas jeszcze inna opowieść, która może w nieco innym świetle ukazywać zachowanie Jehonali. Według owej opowieści dziecko nie było w ogóle jej synem. Niemowlę kupiono podobno w tajemnicy od rodziny chińskich wieśniaków i przeschmuglowano do Miasta Zakazanego, kiedy zbliżała się pora rozwiązania Jehonali, która podała je następnie jako swoje własne dziecko, spłodzone w związku z cesarzem. Chociaż opowieść ta może wydać się nieco zbyt fantastyczna, dobrze pasuje do temperamentu Jehonali. Wiemy już, że wolałaby śmierć niż życie w zapomnieniu, w niebycie politycznym Miasta Zakazanego. Podjęła niewątpliwie ogromne ryzyko, stawiała na szalę własne życie, które mogła utracić w straszliwych męczarniach, gdyby oszustwo zostało wykryte. Wiedziała jednak również, że jeśli pod-

stęp z podstawieniem obcego dziecka powiedzie się, drzwi do władzy i bogactwa będą stały przed nią otworem. Może była gotowa podjąć to ryzyko.

Jeżeli tak, to tłumaczyłoby to jej obojętność na los Tongzhi oraz jej czynny współudział w spowodowaniu przedwczesnej śmierci cesarza. Zważywszy tradycyjną mandżurską pogardę dla chińskich poddanych, zwłaszcza zaś dla „durnych ludzi”, mogła ona uważać Tongzhi (zwłaszcza jeśli istotnie był on dzieckiem chińskich wieśniaków) za istotę niewiele lepszą od zwierzęcia, narzędzie do uzyskania władzy, które można odrzucić, kiedy przestało już być potrzebne.

Nawet jeżeli to była prawda, i mimo choroby i braku należytej opieki lekarskiej, cesarzowi udało się dożyć szesnastu lat. Tym samym zgodnie z prawem mandżurskim osiągnął pełnoletność, wiek, w którym miał sam przejąć władzę, a Cesarzowe Regentki powinny wycofać się z rządów. Osiągnął już także wiek odpowiedni do małżeństwa, małżeństwo zaś oznaczało, że najdalej w ciągu roku może przyjść na świat nowy następca tronu. Niewątpliwie, Jehonala miała bardzo mało czasu.

Najgorsze miało dopiero nadejść. Inaczej niż jego ojciec, Xianfeng, Tongzhi nalegał, żeby pozwolono mu samodzielnie wybrać małżonkę spośród mandżurskich dziewczec wzywanych do Wielkiego Środka. Jego wybranką została Alute, osiemnastoletnia córka Chong Yi, jednego z wychowawców cesarza, członka ogólnie szanowanego mongolskiego rodu. Wiele osób na dworze poparło ten wybór: dziewczyna była nie tylko śliczna, związek z nią miał także utrwalić nierówny sojusz między ludami Mongołów i Mandżurów, wzmacniając tym samym słabnącą władzę dynastii w Państwie Środka. Jehonala nie miała powodu do zadowolenia. W jej podświadomości może wciąż tkwiła zdra jej własnego „strategicznego” małżeństwa

(które miało podobno wzmocnić więzy między rodami Aisian Gioro i Jeho-Nala), ale poza tym Jehonala nie ufała synowej: „Czy jej uroda była zdradziecka? Była bardzo piękna, lecz nienawidziła nas”. Równie dobrze mogła odnieść te słowa do siebie samej.

Młodzi wydawali się być ze sobą naprawdę szczęśliwi i chyba obydwójce mieli tę naiwną wiarę zakochanych, że ich szczęście będzie trwało wiecznie. Cesarz poczuł się pewny siebie, zaczął odmawiać Jehonali prawa do przeglądania swych dokumentów i przestał zasięgać jej opinii, powoli, lecz stale, ograniczał udział matki w rządach. Sam może nigdy by się nie ośmielił posunąć tak daleko, lecz Alute pochlebiała mu i zachęcała do wykazywania większej inicjatywy i samodzielności w działaniu, a chcąc sprawić przyjemność młodej żonie, cesarz wciąż zmniejszał zakres władzy swojej matki. Gwiazda Tongzhi błyszczała coraz jaśniej, gwiazda Jehonali bladła i nikła.

I wówczas zdarzyła się katastrofa. Dekret wydany w imieniu cesarza w grudniu 1874 roku obwieszczał, że dostąpił „szczęścia zachorowania na ospę”. Ówczesni Chińczycy istotnie uważali, że choroba ta zapowiadała pomyślną przyszłość. „Ich Wysokości Cesarzowe Wdowy - czytamy dalej w dekreście - wykazały najczulszą troskliwość, dbając o naszą osobę. Zgodziły się też łaskawie przeglądać w naszym imieniu wszystkie memoriały i dokumenty państwowe, a także zajmować się nadal sprawami cesarstwa. Jesteśmy im za to ogromnie wdzięczni. Uważamy, że należy rozważyć nadanie ich Wysokościom Cesarzowym Wdowom dodatkowych tytułów honorowych, okazując choćby w minimalnym stopniu naszą wdzięczność za ich nieskończoną dobroć”.

Trudno nie dostrzec ręki Jehonali w treści i formie owego dekretu. Dawał jej wszystko, czego potrzebowała: dokumenty

państwowe, do których Tongzhi odmawiał jej poprzednio dostępu, mogła obecnie „przeglądać je” do woli; otrzymała nowe tytuły i związane z nimi coroczne dodatkowe apanaże; w dodatku w dekreście była mowa o wdzięczności jej syna za troskliwe dogłądanie go w chorobie. Do momentu całkowitego powrotu cesarza do zdrowia - próżna nadzieja z uwagi na jego słaby organizm i skutki rozpustnych zabaw w przeszłości - Jehonała ponownie miała w rękach najwyższą władzę w kraju (nikt wszak nie sądził, że współregentka Sakota mogłaby przeciwstawić się nieubłaganej woli swej kuzynki).

Wydawało się, że cesarz przezwyciężył najostrzejszą fazę choroby i 23 grudnia jego stan zaczął się poprawiać. Jednak zaledwie kilka dni później doszło do gwałtownego pogorszenia, po którym już nie powrócił do zdrowia. Jeden z urzędników, Yun Tuding, napisał później, że matka cesarza zakradła się do jego komnaty, kiedy ten rozmawiał ze swoją żoną. Słyszając, że Alute ma odwagę krytykować swoją teściową, Jehonała dostała jednego ze swych dobrze znanych ataków furii: „jej rysy wyostrzyły się, żyły wystąpiły na czole, wyszczerzyła zęby, jak gdyby cierpiała na szczękościsk”. Uchwyciła nieszczęsną Alute za włosy i wyciągnęła ją z komnaty, bijąc po twarzy i wzywając eunuchów, żeby wymierzyli jej chłostę. Owa domowa awantura, jak pisze Yun Tuding, spowodowała pogorszenie stanu zdrowia cesarza. Życie kołatało się w nim jeszcze do 13 stycznia 1875 roku, kiedy to umarł o godzinie 8.00 wieczorem, mając lat dziewiętnaście. Przy jego łożu śmierci była Jehonała, a obok niej Sakota, Rong Lu, książę Gong i około dwudziestu ważniejszych książąt i ministrów. Alute nie pozwolono wejść do komnaty. W ten sposób skończyło się krótkie panowania Tongzhi, i minął krótki okres odsunięcia od władzy jego matki. Jeszcze przed chwilą stojąca w obliczu pewnego, wydawało się, nieuchronnego upadku,

teraz Jehonala ponownie stała się absolutną władczynią Cesarstwa. Niebiosą raz jeszcze złożyły rządy kraju w jej ręce.

Wiele osób uważało jednak, że niebiosą miały bardzo nikły udział w tragedii ostatnich dni Tongzhi. Umieranie cesarza przypadło na czas aż zbyt dogodny dla Cesarzowej Zachodniego Pałacu, co wzniesło podejrzenia w wielu umysłach. Znowu zaczęły się plotki. Mówiono, że Jehonala nie tylko pozwoliła synowi rujnować swoje zdrowie w najpodlejszych burdelach Pekinu, lecz sama była odpowiedzialna za zakażenie cesarza ospą.

Chińskie posiłki to prawdziwe uczty, zwyczaje zaś przy stole radykalnie różnią się od tych znanych na Zachodzie; tylko wśród wieśniaków i nędzarzy jest inaczej. Nie zostawia się pustego talerza, zjadanie potraw do końca byłoby uznane za obrazę gospodarza - wszak gospodarz ofiarowywał tak dużo dań, że powinny zaspokoić głód gości. Posiłek składał się zwykle z wielu dań (nigdy nie mniej niż sto przy cesarskim stole), a między daniami, zwłaszcza na koniec uczty, każdy uczestnik otrzymywał gorący ręcznik, żeby się odświeżyć, wycierając twarz, a potem dłonie. Ten cywilizowany obyczaj nieraz jednak w historii Chin wykorzystywany bywał do niecznych celów. Kiedy ręcznik nasycono trucizną, niczego nie podejrzewająca ofiara sama wcierała sobie śmiertelnie substancję w skórę, powodując zakażenie i śmierć. W przypadku Tongzhi twierdzono, że ręcznik przeznaczony dla cesarza został wcześniej użyty do przetrucia otwartych wrzodów człowieka chorego na ospę, a następnie podany Księżu Niebios. Ponieważ Syn Niebios sam nie zniżyłby się do tak pośledniej czynności, to jednemu z eunuchów, pracujących pod nadzorem zaufanego Jehonali, Wielkiego Eunucha Li Lianyinga, powierzono zadanie intensywnego przetrucia twarzy cesarza zakażonym ręcznikiem, powodując niemal pewne zarażenie.

Nagle pogorszenie stanu cesarza wkrótce po jego pozornym zwycięstwie nad chorobą, i fakt, że nastąpiło ono w tak odpowiednim dla Jehonali czasie - również budziło wiele wątpliwości. Opowieść Yun Tudinga o ataku Jehonali na Alute i nerwowym załamaniu cesarza mogła być prawdziwa. Jednak późniejsze wydarzenia dowiodły, że Jehonala była wyrafinowaną specjalistką w stosowaniu działających powoli trucizn. Pogorszenie zdrowia cesarza mogło być wywołane raczej załamaniem funkcji fizjologicznych, niż kryzysem psychicznym.

Nieco później zanotowano słowa Jehonali dotyczące śmierci Tongzhi: „Od tej pory jestem inną kobietą, bo całe szczęście opuściło mnie wraz z jego śmiercią”. Jeśli Zachodnia Cesarzowa czuła się załamana po śmierci jedyne go syna, to umiała to dobrze ukryć. Następnego dnia po jego śmierci zwołała zgromadzenie ministrów i książąt, które miało wybrać nowego cesarza. Miała powody do pośpiechu - wiedziała, że musi działać szybko, żeby nie dać swoim przeciwnikom czasu na zorganizowanie się przeciwko niej. Ze śmiercią cesarza zniknęła podstawa jej władzy: „Macierzyństwu zawdzięczała tytuł do władzy; teraz pozostawały jej tylko własna niezmierna ambicja, odwaga i inteligencja, które miały zastąpić tytuły prawne i związki biologiczne”.

Był jeden jeszcze, może najważniejszy powód, dla którego cesarz musiał rozchorować się i umrzeć. Najgorsze obawy Jehonali ziściły się. Alute była w ciąży, nosiła pod sercem dziecko zmarłego cesarza. Jeśli Tongzhi był istotnie biologicznym synem Jehonali, to dziecko w łonie Alute było jej wnukiem lub wnuczką. Jeżeli to był wnuk, zostanie w przyszłości cesarzem, Alute będzie Cesarzową Matką, a wrogowie zaatakują Jehona-lę. Coś trzeba było z tym zrobić.

Tempo, w jakim potoczyły się sprawy, wskazuje na to, że plan był dawno ułożony i znakomicie wykonany. Jeszcze nim

odbyło się zebranie, na którym miano dokonać wyboru nowego cesarza, do specjalnych zadań w Mieście Zakazanym wyznaczono Rong Lu i jego pochodzących przede wszystkim ze szczepu Jeho-Nala wojowników. Także Li Hongzhang, chiński dowódca, który odznaczył się w walkach z taipingami i zawdzięczał swój awans Jehonali, na wyraźne życzenie cesarzowej wysłał wierne oddziały z prowincji Anhui do Pekinu. Natomiast lojalny i zaufany Wielki Eunuch Li Lianying rozstawił podległych mu eunuchów w strategicznych punktach cesarskiego pałacu. W sposób mistrzowski przygotowano scenę dla cichego zamachu stanu. Nie padło na ten temat ani jedno słowo, ale dwudziestu siedmiu ksiąząt i wysokich urzędników uczestniczących w historycznym spotkaniu nie miało wątpliwości, że sprzeciwienie się woli Zachodniej Cesarzowej mogłoby skończyć się dla nich bardzo źle.

Spotkanie odbyło się o zmierzchu, wśród pomalowanych błękitem i złotem kolumn Pałacu Wychowania Umysłów, w Mieście Zakazanym rozbłyskiwały i przygasały na zmianę węglowe piecyki, reagując na podmuchy wiatru, zwiastującego zbliżanie się jednej z burz piaskowych, nawiedzających od czasu do czasu Pekin o tej porze roku. Uczestniczący w spotkaniu członkowie rodziny cesarskiej i wysocy urzędnicy bili czołem w kornym pokłonie, gdy dwie Cesarzowe Wdowy weszły do pałacu w swych paradnych szatach, Jehonala ubrana w ceremonialną haftowaną w smoki suknię, w żółtym cesarskim kolorze. Kiedy wszyscy usiedli, Jehonala od razu objęła przewodnictwo obrad. Miała własnego kandydata na cesarza, ale wiedziała, że jest jeszcze dwóch innych pretendentów do Tronu Smoka, których kandydatury musiały być zaprezentowane i unicestwione. Byli to syn jej byłego sprzymierzeńca, księcia Gongga, i Pulun, wywodzący się od dostojnego cesarza Daoguanga, tego samego, który w 1838 roku próbował zli-

kwidować w Chinach handel opium. Była jeszcze także Alute. Jehonala z góry zapobiegła wszelkim dyskusjom na ten temat, wykluczając Alute z obrad. Sprawa ciąży Alute (tak uważała Jehonala) miała być rozwiązana przy innej okazji. Przebiegła i bezlitosna kobieta, która rządziła Chinami od przeszło czternastu lat, nie miała zamiaru pozwolić świeżo owdowiałej dziewczynie na apelowanie do uczuć zebranych członków rady; taki apel mógł popsuć misterne plany Jehonali.

Zgodnie ze swą władczą naturą Jehonala natychmiast przejęła inicjatywę, uzurpując sobie przewodnictwo obrad i odczytując oświadczenie, w którym odrzuciła wszelki tytuł do sukcesji nie narodzonego dziecka Alute, używając argumentu, że Tron Smoka nie może pozostać pusty, bo cesarzowa może urodzić chłopca. Księżę Gong próbował zaprotestować. Mówił, że wdowa po cesarzu jest już bardzo bliska rozwiązania, i można nie ogłaszać wieści o śmierci cesarza do momentu rozwiązania. Jeśli urodzi się chłopiec, wiadomo że zostanie cesarzem, jeśli dziewczynka, wówczas będzie dosyć czasu na wybór najlepszego następcy tronu po Tongzhi. Wielu cesarskich krewnych poparło ten pogląd. Lecz Jehonala, ze zwykłym jej błyskiem talentu politycznego, natychmiast uciekła się do nowego argumentu, przywołując na pamięć zebranych niedawną rebelię taipingów i inne bunty, wciąż zagrażające południu Chin. „Kiedy zniszczy się gniazdo, ile jaj pozostanie nienaruszonych?” - pytała uszczypliwie. W obawie, że wieść o śmierci cesarza mogłaby istotnie rozniecić na nowo ogień powstania, kilku członków Wielkiej Rady, w tym trzech reprezentujący Południe, opowiedziało się po stronie Jehonali.

W rzadkim porywie własnej inicjatywy (być może zawczasu uzgodnionym z jej dawnym sprzymierzeńcem) Sakota zaproponowała na następcę tronu syna księcia Gonga. Jak wymagał tego obyczaj, księżę Gong natychmiast uderzył czołem

o ziemię i oświadczył, iż syn jego nie wart jest tak wielkiego zaszczytu (do którego oczywiście bardzo się palił), zaproponował natomiast Puluna, dwumiesięczną niemowlę, które - jak zapewniał - jest lepszym kandydatem. Dziecko, jak wiedzieli wszyscy zebrani, było wnukiem najstarszego syna dostojnego cesarza Daoguanga. Kontynuując odwieczny kontredans, teraz z kolei ojciec Puluna (kipiący niepohamowaną ambicją władzy) uderzył czołem o ziemię i oświadczył skromnie, że jego syn z pewnością nie jest godzien tego zaszczytu.

Jehonala wzięła obydwu za słowo. Z punktu odrzuciła kandydaturę Puluna, stwierdzając (zgodnie z prawdą), że ojciec jego był adoptowanym synem, a nie krewnym cesarza, i pytając, czy istnieje jakiś historyczny precedens, uzasadniający taki wybór. Książę Gong, po krótkim zastanowieniu, przedstawił precedens z XV wieku. Jehonala z miejsca odpaliła, że to zły przykład, bo wspomniany cesarz „nie był w istocie synem poprzednika, lecz został mu «wmówiony» przez jedną z cesarskich konkubin. Poza tym jego panowanie było ciągiem katastrof”. Była to mistrzowska demonstracja, jak zniszczyć przeciwnika (demonstracja zuchwała, zważywszy plotki dotyczące legalności jej własnego syna), lecz wskazuje na coś o wiele ważniejszego: że ów „nagły kryzys” musiał być zaplanowany jakiś czas wcześniej. To po prostu nie do pomyślenia, żeby Jehonala mogła wymyślić z miejsca tak druzgocącą odpowiedź na oświadczenie księcia Gonga. Historia Chin to niewyczerpana kopalnia wydarzeń i precedensów wszelkiego rodzaju. Wiele trudu musiało kosztować wyszukanie precedensów, które podważyłyby pretensje do tronu rozmaitych pretendentów, a jeszcze więcej czasu wymagało przygotowanie odpowiedniej riposty. Szybka i precyzyjna odpowiedź, jakiej udzieliła już następnego dnia po śmierci Tongzhi, dowodzi staranności, z jaką ów cichy zamach stanu został zaplanowany

i wykonany. Wiele rzeczy można zarzucić Jehonali, ale nie to, że nie przygotowywała starannie swoich działań.

Kandydaturę syna księcia Gonga odrzucono na podobnej zasadzie, przez ponowne zmanipulowanie chińskiej tradycji, tak żeby pasowała do potrzeb Jehonali. W społeczeństwie konfucjańskim dziecko zawsze powinno bić czołem przed krewnymi ze starszego pokolenia, a zwłaszcza zaś przed ojcem. Z drugiej strony tradycja wymagała, żeby każdy skłaniał się przed cesarzem. Po wyborze Syna Niebios powstawała niezwykle kłopotliwa sytuacja, gdyż cesarz, jako syn swego ojca, winien padać przed nim na twarz, lecz jako Synowi Niebios nie wolno mu było tego czynić przed nikim. Chińska tradycja umożliwiała wybrnięcie z owej kłopotliwej sytuacji przez zwolnienie ojca ze wszystkich dworskich funkcji i oddelegowanie go do tych dziedzin życia, które gwarantowały brak możliwości jego spotkania się z synem. Otóż Jehonala stwierdziła, że księżę Gong jest tak cenną osobą dla kraju, że nie może się zgodzić na jego odejście z dworu, co musiałoby nastąpić, gdyby jego syn został obrany cesarzem. Tak więc także syn Gonga (choć ma zapewne najlepsze tytuły do tronu spośród zaprezentowanych kandydatów) nie może zostać cesarzem. Nie był to może najsilniejszy argument, lecz za to wsparty obecnością wojaków Rong Lu, a siła ma swoją, tylko sobie właściwą logikę. Jehonala przenosiła groźnie wzrok z jednej twarzy na drugą i nikt, także księżę Gong, nie miał odwagi, by przeciwstawić się Cesarzowej Zachodniego Pałacu.

W ciężkiej ciszy, jaka zapadła w komnacie, rozległ się jasny, srebrzysty głos Jehonali: „Co do mnie, proponuję na następcę tronu Zaitiana, syna księcia Chuna - i dodała ostrzegawczo - radzę wszystkim, żebyśmy nie tracili czasu". Przemówiła absolutna władczyni. Przedtem dała przeciwnikom

szansę uratowania twarzy, wysłuchując ich argumentów, teraz jednak oznajmiła im to, co naprawdę od początku miała zamiar uczynić. Odbyło się jawne głosowanie, i oto książęta i ministrowie, niewątpliwie wspomagani w swej decyzji obecnością żołnierzy Rong Lu, zgodzili się z „sugestią” Cesarzowej Zachodniego Pałacu stosunkiem głosów 15 do 10*. Zaitian został cesarzem, pod monarszym imieniem Guangxu, „Święty Następca Tronu”. Utrzymując inicjatywę w swoich rękach, Jehonala natychmiast wysłała Rong Lu i oddział konnych żołnierzy jako eskortę cesarskiej lektyki, która w świetle pochodni miała przebić się przez tumany burzy piaskowej do domu księcia Chuna. Śpiącego już trzyletniego Zaitiana wyciągnięto z jego ciepłego łóżeczka i, krzywiącego się ze złości, wsadzono do cesarskiej lektyki, udrapowanej żółtymi atłasami, haftowanymi w cesarskie smoki. W całkowitej ciszy (stopy tragarzy i kopyta koni owinięto szmatami) nowego cesarza przeniesiono wąskimi uliczkami stolicy do Miasta Zakazanego, i ubranego, jak tego wymagała jego nowa godność, w szaty smoka, zmuszono żeby - nie wiedząc, co czyni - uderzył czołem przed katafalkiem zmarłego kuzyna. Był to ponury początek i wiele osób owej nocy uważało przybycie cesarza w tumanach burzy piaskowej za zły omen dla jego panowania.

Jehonala była bezpieczna. Jej zwycięski kandydat był małym dzieckiem, co oznaczało, że przez następne trzynaście lat (oczywiście po zakończeniu zwykłych formalności, kiedy będą ją gorąco prosić, a ona w końcu udzieli swej niechętniej zgody na objęcie regencji) będzie sprawowała funkcję regentki. Co więcej, nowy cesarz był synem księcia Chuna, którego żoną była młodsza siostra Jehonali. Tak więc wstąpienie Zaitiana

* W głosowaniu siedem głosów padło za Pulunem, trzy za synem księcia Gongu.

na Tron Smoka było nie tylko osobistym zwycięstwem Jehonali. Poważnie wzmacniało także pozycję jej rodu.

Zamach stanu miał jednak także pewne mankamenty. Człowiek z Zachodu z trudem tylko jest w stanie pojąć, jak straszne świętokradztwo popełniła Jehonala w oczach obywateli Państwa Środka. Jej lojalność wobec własnego rodu, jej nepotyzm w obsadzeniu tronu, były oczywiste dla każdego, ale tym, co drażniło najbardziej konserwatywny żywioł chińskiego społeczeństwa, było całkowite zlekceważenie przez nią tradycji. Zgodnie z konfucjańskim rytuałem dla ducha Tongzhi należało regularnie odprawiać ściśle przewidziane modlitwy i rozpisane w czasie ceremonie. Na nieszczęście dla Jehonali, nie każdy miał prawo je odprawiać. Tylko bezpośredni potomek płci męskiej (syn biologiczny lub adoptowany) miał prawo dokonać odpowiednich aktów i przemówić do bogów w imieniu zmarłego. Na tym polegał problem, bo Tongzhi ani nie spłodził, ani nie adoptował syna. Spośród trzech możliwych kandydatów do tronu tylko dwumiesięczny Pulun miał prawo troszczyć się o cienie zmarłego cesarza. Ani syn księcia Gonga, ani sam Za-itian nie mieli do tego prawa, ponieważ obaj należeli do tego samego pokolenia co zmarły cesarz. Raz jeszcze Jehonala, ostentacyjnie przestrzegająca zachowywania tradycji, wybrała właściwy moment, żeby pogwałcić wszelkie uświęcone latami obyczaje i podporządkować je swym celom.

Ze zwykłym sobie sprytem wpadła na pomysł, który natychmiast ubrała w formę kłamiącego bezczelnie dekretu wydanego w imieniu obu Cesarzowych Wdów. Dekret oznajmiał, że regentki zostały „po prostu zmuszone do oddania tronu Zaitianowi i że miał on zostać następcą tronu dzięki przysposobieniu przez swego wuja Xianfenga [ojca Tongzhi], i gdyby tylko spłodził syna, cesarz Tongzhi natychmiast miałby spadkobiercę". Nie wspomniano ani słowem o Alute,

ani o nie narodzonym dziecku Tongzhi, które nosiła w tonie. Żona zmarłego cesarza została już zepchnięta w niebyt.

Cata sprawa od początku do końca była oszustwem. Większym nawet, niż mogto się początkowo wydawać. Z przeforsowanego przez Jehonałę wyboru Zaitiana na cesarza wynikał jeszcze jeden problem, znacznie bardziej zasadniczej natury niż wszelkie zawile konfucjańskie rytuały. Stanowiła go fizyczna ułomność nowego cesarza, pociągająca za sobą bardzo poważne konsekwencje. Jehonała świetnie zdawała sobie z tego sprawę, co wzmacnia jeszcze podejrzenie, że rzeczywiście postępowała zgodnie z ukartowanym z góry planem, chcąc wyrzucić plemienną zemstę na sprawującym władzę plemieniu Aisian Gioro, i zamierzała doprowadzić do upadku dynastii z końcem swoich rządów. Zaitian nie był normalnym fizycznie dzieckiem - miał nieprawidłowo rozwinięte jądra i wiadomo było, że kiedy osiągnie dojrzałość, będzie bezpłodny, jehonała świetnie wiedziała, że los nigdy nie pobłogosławi młodego cesarza potomstwem, i Tongzhi nigdy „nie otrzyma spadkobiercy”.

Przyszłość pokaże, że Zachodnia Cesarzowa nigdy nie zamierzała dopuścić do tego, by nowy cesarz ją przeżył. A bez silnej ręki i przenikliwego umysłu Jehonali, dzięki którym panowała nad rywalizującymi o tron stronnictwami, w momencie gdy Zaitian w końcu „dosiadłby Smoka”, kwestia sukcesji mogłaby się rzeczywiście przerodzić w krwawą wojnę domową. Fakt, iż pozostali uczestnicy zgromadzenia wybierającego cesarza również wiedzieli o ułomności Zaitiana, na długo zanim wyrazili zgodę na jego wstąpienie na tron, pokazuje niesamowitą siłę charakteru i żelazną wolę kryjącą się w szczupłym ciele Cesarzowej Zachodniego Pałacu.

Pozostawała jeszcze tylko sprawa Alute i jej nie narodzonego dziecka. W dniu 27 marca ogłoszono, że żona zmarłego ce-

sarza „umarła ze zmartwienia”. Popęłniła samobójstwo i podążyła za Tongzhi do Dziewięciu Źródeł.

Może tak i było. Może, jak sugerują niektórzy komentatorzy, Alute dokonała aktu całopalenia siebie i swego nie narodzonego dziecka, protestując przeciwko „strasznym krzywdom wyrządzonym jej, jak również ceniom jej męża i prawu do sukcesji jego pogrobowego spadkobiercy”. Popęłniane na znak protestu samobójstwa kobiet mają w Chinach długą i chwalebłą tradycję, obraza cieni Tongzhi przez odmówienie mu prawa do spadkobiercy miała w przyszłości doprowadzić do jeszcze jednego samobójstwa, które wryło się w pamięć potomnych głębiej niż samobójstwo wdowy po cesarzu. Jest jednak jeszcze inne wytłumaczenie całej sprawy, które dobrze pasuje do nieustępliwego charakteru Jehonali, a które w owym czasie kursowało po karczmach i herbaciarniach Pekinu. Żyjąca Alute była największą przeszkodą na drodze do dalszej władzy Jehonali. Plotkarze twierdzili więc, że to Zachodnia Cesarzowa kazała zamordować Alute wraz z jej nie narodzonym dzieckiem.

Czy jednak dziecko rzeczywiście się nie urodziło?

Wnuczka nie stanowiłaby zagrożenia dla Jehonali. Zepchnąwszy młodą wdowę w polityczny niebyt i zaaranżowawszy wybór Zaitiana na cesarza, mogłaby uznać za wygodne okazanie łaski wdowie po Tongzhi i tym samym zyskać wdzięczność mongolskich rodów - ale tylko wtedy, gdyby Alute urodziła córkę. Gdyby jednak urodziła syna, czyż znana z bezwzględności i niezłomnego dążenia do władzy cesarzowa zapanowałaby nad własnymi uczuciami? Czy nie nakazałaby natychmiastowego zlikwidowania matki i syna?

Taka ewentualność staje się bardziej prawdopodobna, kiedy zastanowimy się nad czasem, jaki dzieli śmierć cesarza od śmierci jego żony. Tongzhi zmarł 13 stycznia, zaś Alute

27 marca, czyli 63 dni albo nieco ponad dwa miesiące później. Wiemy z oficjalnych zapisów, że kiedy wybierano Guangxu (14 stycznia), książę Gong proponował - ponieważ Alute była bliska rozwiązania - by z decyzją o sukcesji tronu poczekać na wynik porodu. Jeżeli jednak Alute „popełniła samobójstwo ze zmartwienia”, zanim urodziła dziecko, oznaczałoby to, że w dniu śmierci męża i zebrania Wielkiej Rady była w ciąży niecałe siedem miesięcy. Żeby więc plan księcia Gonga miał szansę powodzenia, członkowie Rady musieliby wieść o śmierci Tongzhi trzymać w tajemnicy przez ponad dwa miesiące - zadanie prawie niewykonalne w dusznej atmosferze dworu, na którym plotka i pogłoska były sposobem na życie. Zważywszy, że zgodnie ze współczesnymi relacjami książę Gong wierzył w realność takiej pozornie nierealnej propozycji, wydaje się, iż Alute była jednak w znacznie bardziej zaawansowanej ciąży, aniżeli stwierdza jej oficjalny akt zgonu. Jeśli tak było, dziecko zmarłego cesarza musiało urodzić się przed 27 marca, datą śmierci jego matki.

Może więc Jehonala trzymała Alute w zamknięciu aż do rozwiązania, a gdy dziecko się urodziło, i okazało się, że jest to chłopiec, zrozumiała, iż pozostawienie przy życiu synowej i wnuka zagraża jej władzy. Wydaje się całkiem możliwe, że Jehonala była zamieszana w śmierć tych wszystkich osób -syna, synowej i własnego wnuka. Jeżeli tak było w istocie, świadczyłoby to o kompletnej obcości między Jehoną a jej synem (o ile oczywiście Tongzhi był jej synem), i jej górującej nad wszystkim żądzy władzy. Dla byłej konkubiny Yi, młodej dziewczyny z prowincji Anhui, nie było ceny zbyt wygórowanej, jakiej nie byłaby gotowa obecnie zapłacić za utrzymanie Niebiańskiego Cesarstwa w swoim żelaznym uchwycie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Odkrawanie plastrów melona

Od zakończenia powstania taipingów w roku 1864 stosunki z obcymi diabłami, choć nie całkiem przyjazne, ustaliły się przynajmniej na poziomie obustronnej tolerancji. W głównej mierze przyczyniły się do tego powolne i niechętne, lecz stałe ustępstwa Chińczyków. W Państwie Środka pracowało coraz więcej kupców z Zachodu (powodując coraz więcej tarć, które z czasem eksplodowały otwartą agresją wobec cudzoziemców) i coraz więcej misjonarzy próbowało prowadzić swoją prozelicką działalność wśród „pogan” nawet w najodleglejszych prowincjach cesarstwa.

W 1873 roku, po wstąpieniu na tron cesarza Tongzhi, Chińczycy przystali wreszcie na stale wyrażane, głośnie i agresywne żądania przybyszów z Zachodu, domagających się audiencji u nowego cesarza, i zrezygnowali nawet z odwiecznego wymogu, by ambasadorowie obcych państw padali na twarz i uderzali czołem przed Synem Niebios. Historyczna audiencja wyreżyserowana została do najmniejszego szczegółu przez obsesyjnych na punkcie etykiety Mandżurów (których ogromnie zbijały z tropu żarciki i chichoty dygnitarzy wielokrotnie zbieranych w celu przeciwiczenia procedury). Odbili sobie przynajmniej częściowo to upokorzenie, organizując audiencję w budynku Zi Guang Ke, Pawilonie Fioletowego Światła,

w którym zwykle przyjmowano hołdownicze delegacje przysyłane przez chińskie państwa satelickie, takie jak Tybet lub Korea, o czym nie wiedzieli przybysze z Zachodu. Chińczycy próbowali ratować swe zachwiane poczucie wyższości również podczas samej audiencji. Ambasadorów wezwano tuż przed świtem w dniu 19 czerwca, i przetrzymano przez wiele godzin, w czasie których wypili ogromną ilość herbaty z księciem Gongiem, aż wreszcie dopiero około godziny dziewiątej dopuszczono ich przed Najwyższy Majestat. Historyczna audiencja, o którą walczono przez tyle lat, i która kosztowała tyle trudu, odwiekania i zwodzeń, przelanej krwi i ludzkich cierpień, trwała raptem trzydzieści minut. Reprezentanci Francji, Holandii, Rosji, Stanów Zjednoczonych Ameryki oraz Wielkiej Brytanii stanęli w szeregu i każdy z nich skłonił się przed Księciem Niebios; nie było jednak mowy o wymaganym od każdego Chińczyka padaniu na twarz, każdy po prostu schylił głowę. Potem cesarz przemówił cichym głosem po mandżursku, a ksiązę Gong tłumaczył jego słowa na chiński. Nic ważnego nie powiedziano, ale też i nie o to chodziło w tej audiencji. Zachodni ambasadorowie, wysłannicy zachodnich barbarzyńców, zostali wreszcie przyjęci przez cesarza i nie uderzyli przed nim czołem. Dla przedstawicieli Zachodu było to świadectwem zwycięstwa zasady równości wszystkich suwerennych państw.

Chińczycy oczywiście patrzyli na to zupełnie inaczej. Przyznając wprawdzie, że ambasadorowie nie uderzyli czołem przed cesarzem, oficjalna „Peking Gazette” informowała czytelników, że obcokrajowcy trzęśli się nie mówiąc ani słowa, oniśmieleni majestatyczną aurą wokół Księcia Niebios. Przyznali, „że z cesarza emanowała nadludzka prawość, dlatego ogarnął ich strach i dygotanie, jakie odczuwali nawet nie patrząc na Jego Wysokość”. Zważywszy niemal całkowity brak

komunikacji między Zachodem a Dalekim Wschodem, nie istniało poważne niebezpieczeństwo, że ktoś kiedykolwiek porówna ze sobą te dwie sprzeczne wersje rzeczywistości, więc obie strony mogły uważać, że wyszły ze sprawy z honorem.

Ten stan niemal pokojowego współistnienia, stan chwiejnej, ciężko zdobytej równowagi w stosunkach między Chinami a Zachodem, uległ ponownie zakłóceniu w 1875 roku, po śmierci cesarza Tongzhi i rozpoczęciu przez Jehonagę drugiej, wspólnej z kuzynką Sakotą, regencji. W swojej imperialistycznej żądzy podbojów, państwa zachodnie chciały albo zdobyć całe Chiny, albo przynajmniej podzielić je na „sfery wpływów”, w których *deJdcto* chińskie interesy w dowolnym regionie byłyby każdorazowo podporządkowane interesom odpowiedniego mocarstwa kolonialnego. Chińczycy nazwali ów proces odcinania po kawałku fragmentów ich kraju „odkrawaniem melona”.

Pod pozorem przyjaźni w 1871 roku Rosja najechała rejon Yili w muzułmańskiej przeważnie prowincji Xinjiang. Szalała tam wówczas islamska rebelia, i istniało niebezpieczeństwo, że muzułmańska większość zechce ustanowić niezależne państwo islamskie, wtargnięcie zaś rosyjskiego niedźwiedzia opisywano na Zachodzie jako pomoc udzieloną Tronowi Smoka w zduszeniu rebelii. Tymczasem osiem lat później rosyjskie wojska wciąż stacjonowały w strategicznych punktach prowincji i nie chciały się stamtąd ruszyć. Carska Rosja stanowiła poważne zagrożenie, bo był to jedyny zachodni kraj graniczący z Państwem Środka. Rosyjski niedźwiedź od dawna parł na wschód wzdłuż północnej granicy Chin, przyłączając wciąż nowe tereny do Rosji i śledząc łakomie wydarzenia w nadgranicznych prowincjach Chin.

Zainstalowani w Indiach Brytyjczycy byli bardziej zainteresowani handlem i strefą wpływów, aniżeli zdobyczami

terytorialnymi. Uważali, że naturalna droga do Państwa Środka prowadzi przez południowo-zachodnie Chiny, i wysyłali ekspedycje drogą przez Burmę do prowincji Sichuan i Yunnan na rozpoznanie ewentualnych tras, po których mógłby iść handel między tymi krajami. Na nieszczęście w 1875 roku w Junnanie zamordowano geodetę o nazwisku Margary, a Brytyjczycy natychmiast wykorzystali jego śmierć do wywarcia ponownych nacisków na Chiny. Rokowania prowadził twardy negocjator sir Thomas Wade, który jako zwykły Thomas Wade włączył się w Chinach w czasie francusko-brytyjskiego marszu na Pekin w 1860 roku. Sir Thomas narzucił Chinom Konwencję z Zhifu, która otwierała dla handlu z zagranicą następne chińskie miasta. Negocjatorem ze strony chińskiej był Li Hongzhang, bohater powstania taipingów, a teraz, jako namiestnik ważnej prowincji Zhili, szybko rosnący w siłę polityczną w kraju. Chciwość tego człowieka była legendarna; w ciągu swojej długiej kariery, wyciskając „haracze”, dzięki oszustwom i przekupstwu, zebrał fortunę, która uczyniła go najbogatszym człowiekiem w Chinach, a być może na świecie. Li odznaczał się jednak nie tylko bezgraniczną chciwością, lecz również nadzwyczajną inteligencją. Był na tyle dalekowzroczny, iż zdawał sobie sprawę z obecnej słabości Chin wobec przeciwników i był konsekwentnym zwolennikiem polityki kupowania pokoju za cenę ustępstw (przynajmniej dopóty, dopóki Chiny nie wzmocnią się na tyle, by zrzucić jarzmo przeklętych obcokrajowców), wywołując tym gniew warstwy uczonych i co radykalniejszych członków rady Jehonali. Ona sama nie znosiła jego rad, ale prawie zawsze wrodzona inteligencja kazała jej doceniać ich wartość.

Li Hongzhang trzymał pieczę nad ostatnią rundą rokowań z Francuzami, którzy starali się zagarnąć królestwo Annamu, państwo lenne Chin. W 1862 roku Francuzi zastąpili Hiszpa-

nów w roli wielkorządców Kochinchiny, obejmującej z grubsza południową połowę Wietnamu, i podobnie jak Brytyjczycy, szukali teraz dla swych kupców dostępu do „miękkiego podbrzusza” Chin drogą przez „skryte w chmurach południe”, prowincję Yunnan. Ulegając nieustannej presji Francuzów, w 1874 roku król Annamu przyjął ich zwierzchnictwo, starał się jednak udobruchać swoich byłych mandzurskich władców, w dalszym ciągu wysyłając coroczną daninę do Pekinu. Przez lata Annam był poligonem dla francuskich najemników i Czarnych Flag (dowodzonych przez byłego wodza taipingów, Liu Yongfu, który uciekł z Chin, kiedy załamało się powstanie) toczących bitwy w imieniu dwóch wielkich mocarstw. Oba oskarżały się wzajemnie o podstępłą agresję, ale żadne nie wypowiedziało drugiemu wojny. Li Hongzhang zdał sobie wreszcie sprawę z beznadziejnej słabości sytuacji Chin i zgodził się oddać Annam. Jednak Jehonala i inni nastawieni an-tycudzoziemsko wielmoże opóźniali aprobatę jego decyzji. Kiedy wojsko francuskie, zawierając ustępstwom Li Hong-zhanga, weszło do Annamu, zostało znieczeka zaatakowane i zmasakrowane. W odwecie francuska flota zajęła chiński port Fuzhou, i 22 sierpnia 1864 roku nagle otworzyła ogień armatni do chińskich statków i baz naziemnych, zatapiając wiele dżonek i niszcząc arsenał portowy, symbol odradzającej się potęgi morskiej Chin. Doprowadzeni do wściekłości, ale wyposażeni w gorszą artylerię, Chińczycy walczyli przez siedem miesięcy, zaliczając wiele niepowodzeń. To była nierówna walka: wojska chińskie nie tylko walczyły przestarzałą bronią, w dodatku Państwo Środka zmuszone było walczyć na dwa fronty, ponieważ na drugim końcu kraju ruszyli się Japończycy. Li Hongzhang był w stanie wystarczająco jasno dojrzeć największe zagrożenie dla dynastii, by w memoriale do Jehonali napisać zwięzle i dobitnie: „wiele jest silnych państw,

lecz oni są przynajmniej oddaleni od nas o siedemdziesiąt tysięcy *li*, gdy Japonia jest niemal w naszym podwórzu". Uważał, że cesarstwo nie może sobie pozwolić na wojnę z dwoma wrogami jednocześnie; zważywszy okoliczności, należało zaspokoić żądania przeciwnika, który stanowił „mniejsze zło”. Kipiąc z wściekłości, Jehonała pozwoliła wyrwać sobie z rąk południowego wasala, po to jedynie, aby tym sprawniej przeciwstawić się barbarzyńcom ze wschodu. W marcu 1885 roku Chiny oddały Annam Francji w oparciu o pierwotny dokument, sporządzony przez Li Hongzhanga ponad sześć miesięcy wcześniej.

Jednak mimo koncentracji chińskich wojsk przeciwko „wschodnim karłom”, Japończycy z łatwością pobili i upokorzyli nieruchawego chińskiego giganta. Inaczej niż Państwo Środka, w latach sześćdziesiątych XIX wieku Japonia uznała wyższość techniczną państw europejskich, zrozumiała jaką siłę kryje w sobie nowa technologia i postanowiła wyciągnąć z tego wnioski. Pod przywództwem Mutsuhito, cesarza Meiji, który wstąpił na tron w 1867 roku, ów bardzo tradycyjny dotychczas kraj zapoczątkował u siebie przemiany na skalę wcześniej nie do pomyślenia, odrzucając wiele ze swoich starożytnych obyczajów i przekształcając się niemal z dnia na dzień w nowoczesne społeczeństwo przemysłowe. Zniesiono feudalizm, wprowadzono powszechny obowiązek szkolny, zaczęły ukazywać się gazety, wprowadzono także zachodni kalendarz gregoriański. Nie wszyscy Japończycy od razu pogodzili się z otwarciem kraju. W 1877 roku powstanie w prefekturze Satsume rzuciło armię samurajów przeciwko rządowi. Powstańcy protestowali przeciw tworzeniu nowoczesnej armii złożonej głównie z ludzi z gminu, co zagroziło uprzywilejowanej pozycji samurajów jako depozytariuszy rycerskiego kodeksu bushidó. Powstanie zostało szybko stłumione

- wojsko złożone z tradycyjnych samurajów z mieczem w dłoni zmiażdżyła armia ludzi z gminu (tych samych, którymi samuraje tak pogardzali), posługujących się nowoczesną bronią. Uprzemysłowienie Japonii postępowało milowymi krokami - pierwszą linię kolejową otwarto we wczesnych latach siedemdziesiątych - i w ciągu krótkiego czasu Japonia przyswoiła sobie wszystkie zawłości zachodniej nauki i techniki, i podjęła walkę o zdobycie dla siebie godnego miejsca wśród światowych mocarstw.

Zdumiewające przeobrażenie Japonii powinno posłużyć Jehonali i rządzącej chińskiej elicie jako przykład, wskazujący drogę ku nowoczesności, jaką powinny pójść również Chiny. Jehonala jednak, wspierana i wspomagana przez skorumpowaną chińską biurokrację, zignorowała lekcję płynącą z Japonii, skrywając się jeszcze nawet głębiej niż dotychczas za parawanem odwiecznej tradycji. Wkrótce miała więc otrzymać bardziej bolesną lekcję: w ciągu lat siedemdziesiątych XIX wieku Japonia zaczęła przeżyć swe młode mięśnie, Jehonala zaś musiała siedzieć beczynnym i obserwować, jak pogardzani „karłowaci ludzie” - teraz już zbyt potężni, żeby przeciwstawić im armię - przejęli kontrolę nad archipelagiem Okina-wy i wyparli chińskie wpływy ze strategicznie ważnej wyspy Tajwan. A to był dopiero początek. Rozgrzani dotychczasowymi sukcesami, w 1876 roku Japończycy wysłali flotyllę wojenną do Korei, najważniejszego lennika Chin, i zmusili ją do podpisania traktatu otwierającego Pustelnicze Królestwo dla japońskich towarów. Chińczycy nie wystosowali nawet dyplomatycznego protestu. Także inne kraje wykorzystwały coraz bardziej widoczną słabość Państwa Środka: w 1882 roku Stany Zjednoczone zawarły z Koreą podobny układ, nie poświęcając w nim nawet słowa roli Chin w tym królestwie, które potraktowano jako państwo suwerenne i niepodległe. Wewnątrz

kraju wyłoniły się prochińskie i projapońskie stronnictwa, z których każde dążyło do zdobycia władzy.

Jakkolwiek niechętnie, Jehonala i jej doradcy zrozumieli wreszcie, że pewien stopień unowocześnienia Chin na modłę zachodnią był po prostu niezbędny, jeśli chcieli zapobiec dalszemu odkrawaniu - plaster po plastrze - chińskiego melona. Podjęto wreszcie szereg środków mających doprowadzić do „samowzmocnienia” kraju. Ich szczytowym punktem było powołanie w 1885 roku Urzędu Admiralicji, który miał nadzorować budowę nowoczesnej marynarki wojennej, takiej, która mogłaby przeciwstawić się zarówno europejskim kanonierkom, jak też stawić czoło szybko rozwijającym się japońskim siłom morskim. Wydawało się, że bardzo powoli Państwo Środka zaczyna rezygnować z odwiecznego izolacjonizmu, i przygotowuje się do wejścia w nowoczesny świat.

Lecz w Chinach nic nigdy nie było tym, czym się wydawało. Wewnątrz murów Miasta Zakazanego, otoczonym przez sykofantów, dworaków i eunuchów wielmożom wciąż jeszcze łatwiej było zawierzyć starej fikcji głoszącej wszechmoc cesarskich Chin, aniżeli uwierzyć w pilną potrzebę zmian. W obliczu modernizacji, zagrażającej ich starym przywilejom, siły reakcji ruszyły do ataku.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kiedy umiera ptak

W roku 1879, w okresie ceremonii pogrzebowych Tongzhi, Jehonale zaczęły nawiedzać wyrzuty sumienia, że podejmując decyzję przedłożyła swoje własne interesy nad spokój duszy zmarłego syna. Mandżurscy cesarze wybudowali dwa kompleksy cmentarne, w których składali swoje doczesne szczątki - jeden na wschód, drugi na zachód od Pekinu. Chowano w nich na zmianę kolejnych członków dynastii. Obydwie nekropolie były położone wśród gór, otoczone sosnami (symbolem długowieczności), z dojazdem po szerokiej, wykładanej marmurem drodze, której boki ozdobiono ogromnymi rzeźbami gryfonów, wielbłądów, słoni, koni i walczących mężczyzn. Przed każdym grobowcem ustawiono drewniany pawilon, w którym przechowywano regalia cesarza, kryte złotym atłasem trony, haftowane w smoki żółte szaty i inne przedmioty należące do zmarłego monarchy. Wszystkie wystawiano na pokaz co roku w dzień ofiarowania, dla pocieszenia ducha zmarłego cesarza. Do każdego mauzoleum przydzielano osobnych służących i specjalny oddział gwardii, a całość nekropolii pozostawała pod pieczę gubernatora, który starał się ograniczyć ciekawym dostęp do grobowców i zachować święte odosobnienie tego miejsca.

Uroczystości związane z pogrzebem Księcia Niebios były długie i skomplikowane, jednak w końcu - w czterdzieści osiem miesięcy po śmierci Tongzhi - jego ciało było wreszcie gotowe do złożenia w miejscu ostatniego spoczynku. Uczonych mandarynów najbardziej gorszył fakt, że po upływie tego czasu Jehonala wciąż jeszcze nie spełniła swojej przysięgi, że zapewni duchowi zmarłego spadkobiercę, który - jeden jedyny - miał prawo odprawić religijne ceremonie, zdolne ułagodzić jego niespokojną duszę. Chociaż jednak owo bluźniercze niedopatrzenie było głównym tematem plotek wśród szacownych mędrców rządzących cesarstwem, wszyscy wiedzieli, że wszelka skarga w tej sprawie może wywołać wybuch gniewu Cesarzowej Zachodniego Pałacu, a za nim mogła przyjść natychmiastowa egzekucja.

Kilku z nich położyło jednak na szali swoje życie i wystosowało memoriały do „Czcigodnej Matki”. Szczęśliwie żadnego z autorów nie ścięto, ale na skargi cesarzowa zareagowała pogardą i tym rodzajem małostkowego gniewu, który zdradzał jej własny niepokój sumienia i podkopywał jej zwykłą pewność siebie. Tym, co ją gnębiło, nie były zapewne wyrzuty sumienia, lecz niepokój o własną przyszłość. Jehonala była straszliwie przesądna, dlatego też panicznie się bała, że pozostawienie duszy jej syna bez opieki po śmierci, musiało prowokować zły los, ale nie cierpiała, kiedy ktoś jej wypominał niewłaściwe postępowanie. „Wydaliśmy już jednoznaczny dekret” - powiedziała jednemu z autorów memoriałów - „i ogłosiliśmy go w całym Cesarstwie. Niniejsza prośba autora memoriału świadczy o niesłychanej zuchwałości, i niewybaczalnej tendencji do wynajdowania błędów tam, gdzie ich nie ma, co ogromnie nas rozgniewało, i w związku z powyższym udzielamy mu surowej nagany”. Autor skargi z pewnością był wdzięczny losowi, iż jego interwencja skończyła się

„surową naganą”, nie zaś wręczeniem mu jedwabnego sznura. Jak niemal wszyscy pozostali dworscy cenzorzy, pozostawił sprawę swemu własnemu biegowi, prawdopodobnie zadawalając się tym, że z narażeniem własnego życia spełnił swój obowiązek, zwracając uwagę Jej Wysokości na zaistniałą sytuację.

Jeden człowiek doszedł jednak do wniosku, że nie jest w stanie dłużej żyć w kłamstwie. Wu Kedu, uczony znany głównie z obłudnych, pełnych nietolerancji i ksenofobicznych memoriałów do tronu, nagle odsłonił zasługującą na większy szacunek cechę swego charakteru. Odczekał cztery lata, mając mimo wszystko nadzieję, że napływające powoli, lecz nieprzerwanie memoriały, żądając „spełnienia uroczystej i niepodważalnej obietnicy co do następstwa tronu” wreszcie odniosą skutek, tymczasem usłyszał tylko pobożne banały i dobiegające „spoza zasłony” wezwania do uspokojenia umysłów. Ze spokojnym obiektywizmem, który był tak cennym skarbem filozofii konfucjańskiej, Wu Kedu zdecydował, że tylko własną śmiercią uda mu się zwrócić uwagę na grożące dynastii ogromne niebezpieczeństwo, i że samobójstwo jest jedynym właściwym sposobem potępienia Jehonali za jej błędy i oskarżenia o grzech uzurpacji Tronu Smoka.

Wu Kedu nie pozostawił niczego losowi. Na miejsce swej śmierci wybrał jedną z pomniejszych świątyń taoistycznych, Mashen Qiao, znajdującą się najbliżej mauzoleum Tongzhi w miejscu, do którego miał jeszcze dostęp urzędnik jego rangi. Pozostawił instrukcje dla kapłana owej świątyni, przepraszając go za kłopot, jaki mogło mu sprawić samobójstwo w jego przybytku, oraz memoriał do cesarzowych. Instrukcja zawierała także zdumiewającą ilość prozaicznych szczegółów, zważywszy, że pisał ją człowiek szykujący się na śmierć:

Kapłanie Zhou, nie obawiaj się, nie mam zamiaru sprowadzić na ciebie zła. Zmuszony jestem pożyczyć sobie prawo do wykorzystania twojej uświęconej ziemi jako miejsca odpowiedniego na śmierć uczciwego człowieka. Natychmiast zawiadom sędziego i dopilnuj, żeby bezzwłocznie wysłano memoriał umieszczony w mojej teczce.

Kup dla mnie tanią trumnę i kaź ją pomalować od środka na czarno. Moje szaty są w całkowitym porządku, jedynie z butów należy odkroić skórzane podeszwy [uważano je za nieczyste, ponieważ dotykały ziemi], zanim złożycie mnie do trumny. Nie sądzę, aby sędzia musiał przeprowadzać dochodzenie. Proszę, żebyś trumnę kazał pociągnąć lakierem w celu wypełnienia szpar w spoiniach desek, przybił wieko gwoździami, zanim Cesarzowa zadecyduje o losie mych doczesnych szczątków. Potem kup kilka stóp ziemi... i kaź mnie szybko pogrzebać. Nie ma dla mnie znaczenia, czy będę leżał na cmentarzu wśród moich przodków; każde miejsce jest dobre, by mogły w nim spocząć szczątki lojalnego i uczciwego człowieka.

[...] Jutro rano możesz odciąć me ciało i kazać je złożyć w miejscu chłodnym i zacienionym. Bojąc się, że możesz przez przypadek zajrzeć tutaj w czasie, kiedy będę się wieszał, wziąłem na wszelki wypadek dozę opium, żeby mieć pewność śmierci [...] Zaprawdę jedyną rzeczą, o jaką cię proszę, jest to, żebyś zawiadomił sędziego i nie pozwolił kobietom i dzieciom wchodzić i gapić się na moje doczesne szczątki. Nie ma w tym nic dziwnego ani nienormalnego; śmierć jest obowiązkiem, którego nie sposób uniknąć. Ci, którzy to rozumieją, odczuwają żal. To wszystko.

Ostatnie poważne instrukcje spisane przez Wu Kedu.

Po napisaniu powyższych instrukcji, a także listu do najstarszego syna, ów godny następca Konfucjusza spokojnie, lecz zdecydowanie zadziergnął na gardle sznur spuszczonego

z belki pod świątynnym stropem. Obok położył swój memoriał do Jehonali, łabędzi śpiew, dokument, który miał wstrząsnąć do głębi duszą adresatki o gwałtownym i nieposkromionym charakterze. Zważywszy przyjęty zazwyczaj pokrętny sposób formułowania myśli w kręgach dworskich, ten memoriał musiał szokować ostrością sformułowań. Wu Kedu informuje cesarzowe, że:

Cesarzowe Wdowy popełniły podwójny błąd, wyznaczając następcę cesarza Xianfenga, a nie zmarłego właśnie władcy. Nowy cesarz [Guangxu] jest następcą Jego Wysokości Xianfenga, zatem linia sukcesji musi przejść w przyszłości na następcę nowego cesarza [...] co dekret [Jehonali] wyraźnie stwierdza. Wynika stąd, iż ustanowiony zostaje nowy precedens, według którego Wielkie Następstwo Tronu może być przekazane na drodze adopcji [...] Lecz wszak przez ponad dwa stulecia tradycją naszych przodków i prawem domu cesarskiego było przekazywanie tronu z ojca na syna [...]

Powinniśmy więc w miarę możliwość starać się znaleźć wyjście z tej podwójnie niewłaściwej sytuacji i powrót na słuszną drogę. Błagam więc obydwie Cesarzowe, żeby w swej łaskawości zechciały wydać drugi dekret, stwierdzający jasno, iż Wielka Sukcesja Tronu powróci do adoptowanego syna zmarłego Cesarza Tongzhi, nawet jeśliby Niebiosa pobłogosławiły nowego cesarza setką synów. W ten sposób zapewnilibyśmy następcę tronu zmarłemu cesarzowi, obecnie bezdzietnemu [...] I wówczas po wsze czasy uporządkowanie sprawy sukcesji do tronu będzie uznane za zasługę Cesarzowych, których sława pozostanie niezmienna i nieskończona [...]

W pokorze ofiarowuję lata mego życia [...] pokornie składam je jako błagalną ofiarę u stóp Cesarzowych Wdów, prosząc je uniżenie o wydanie krótkiego dekretu w imieniu zmarłego cesarza.

[...] „Kiedy umiera ptak, smutna jest jego pieśń. Kiedy umiera człowiek, dobre są jego słowa" [...] To są moje ostatnie słowa, moja ostatnia modlitwa, koniec wieńczący me życie.

Ta śmierć wstrząsnęła całym cesarstwem (jak pragnął tego Wu Kedu). jego ofiara znalazła się, jak byśmy to powiedzieli dzisiaj, na pierwszych stronach gazet, i sprawiła, że sprawa, dla której umarł, ponownie stanęła na porządku dziennym. Jehonała nie mogła już poprzestać na mętnych obietnicach i żywić nadziei, że po pogrzebie Tongzhi pamięć o nim zbladnie, a wraz z nią wątpliwości co do następstwa tronu. Z dwóch powodów skłonna była poddać się biegowi wydarzeń: z jednej strony jako wytrawny polityk zdawała sobie sprawę z siły publicznego poparcia dla protestu cenzora; z drugiej strony, jako zabobonna kobieta, wiedząc, że jego protest jest usprawiedliwiony, obawiała się nieszczęść, jakie rozgniewany duch Wu Kedu może na nią sprowadzić, jeśli go sobie nie zjedna (a także ducha Tongzhi). Zadziałała więc natychmiast, ogłaszając (w imieniu swoim i Sakoty) dekret spełniający żądania zmarłego mędrca. Mimo bezwarunkowej kapitulacji, duch Wu Kedu nadal ją prześladował. Do końca życia w każdym nieszczęśliwym wydarzeniu jehonała dostrzegała niewidzialną dłoń powieszonoego.

Nie powinniśmy jednak zapominać, że gdyby nie samobójstwo Wu Kedu, Jehonała nadal rzucałaby na prawo i na lewo mgliste obietnice załatwienia adopcji dziedzica dla swego zmarłego syna, i prawdopodobnie wprowadziłaby w życie główne postanowienia swego pierwszego dekretu, który czynił z potomstwa Guangxu przyszłych następców tronu. Ponieważ jednak Guangxu nie mógł płodzić dzieci, w momencie jego śmierci i wobec braku jasnego precedensu mówiącego o tym, jak poszukiwać kolejnego następcy tronu, prawie na

pewno doszłoby do wewnętrznych niesnasek, które mogły całkowicie pozbawić władzy cesarski ród Aisin Gioro, a może nawet zlikwidować fizycznie jego członków. To chyba był jedyny powód, dla którego Jehonala upierała się przy wyborze Guangxu na nowego cesarza i próbowała ustanowić nowy precedens w sprawie sukcesji do Tronu Smoka. Dwieście lat temu umierający wódz plemienia Jeho-Nala nakazał swym współplemieńcom zniszczenie swych rywali-zdobywców Aisin Gioro. Stare proroctwo cesarza z dynastii Mingów stało się ciałem, i wcieliło się w drobną postać Zachodniej Cesarzowej.

Kapitulacja Jehonali wobec ducha Wu Kedu miała uspokoić warstwę uczonych, natomiast jej stosunki ze współregentką Sakotą nieustannie się pogarszały. Kuzynki obdarzone zostały tak różnymi temperamentami, jak przeciwstawne połówki taoistycznej taiji: Jehonala to wulkan aktywności, wchłaniająca niczym gąbka wszelkie informacje, zawsze w pogotowiu, zawsze coś planująca; Sakota zaś bierna i pojednawcza, nie interesująca się sprawami świata, zawsze gotowa do kompromisu. W miarę jak cesarz Guangxu podrastał, właśnie ten spokojny wdzięk pociągał go coraz bardziej do Sa-koty, uciekał zaś od swej bardziej wymagającej ciotki. Cesarzowa Wschodniego Pałacu pozwalała mu się bawić i współczuła, gdy okazywał niechęć do nauki, Jehonala wymagała doskonałości w każdej dziedzinie. Musiało to prowadzić do wzrastającego napięcia między dwiema kuzynkami, ponieważ zjednanie sobie łask cesarza nie było łatwą sprawą. Mimo przeprowadzenia połowicznych reform Chiny pozostawały krajem orientального despotyzmu. Gdy zaś cesarz w przyszłości dorośnie i przejmie odpowiedzialność za państwo, jego słowo będzie prawem. Ci, których będzie lubił i poważał, będą opływali w dostatki. O losie tych, którymi gardził, nawet nie warto wspominać.

Jehonale niepokoiło także to, że mimo pozornej swobody w zachowaniu, Sakota umiała rządzić. Kiedy w 1880 roku Jehonala poważnie zachorowała na wątrobę, stwierdziła z zaskoczeniem, że jej kuzynka z pełną kompetencją zarządzała sprawami cesarstwa. Powstanie ludności muzułmańskiej, które wybuchło na północnym zachodzie Chin dziewięć lat wcześniej (dając pretekst Rosjanom do „przyjścia z pomocą” Chinom przez oderwanie od nich regionu Yili), stłumiono ostatecznie w 1878 roku. Kiedy jednak wysłano mandaryna Chong Hou, żeby upomniał się o zwrot Państwu Środka tego regionu, Rosjanie z uporem odmawiali wycofania swoich wojsk. Petersburskie rokowania Chong Hou skończyły się katastrofą dla Chin: działając pod nieustanną presją, mandaryn w końcu podpisał układ przekazujący Rosji połowę regionu Yili, zezwalający im na kontrolę ważnych szlaków komunikacyjnych, a nawet zgadzający się na zwrot „kosztów” w wysokości pięciu milionów rubli. Jehonala kazała go natychmiast ściąć, Chong Hou uniknął jednak katowskiego miecza, ponieważ ujęło się za nim kilka ważnych osobistości z Zachodu (w tym królowa Wiktorja), upraszających Tron Smoka o darowanie mandarynowi życia. Ponowne rozmowy w „sprawie Yili” toczył Zeng Jize (syn bohatera z okresu taipingów, Zeng Guofana) właśnie w czasie niepodzielnych rządów Sakoty, i oto Rosjanie zgodzili się wycofać z całego regionu Yili, w zamian za wypłacenie im dziewięciu milionów rubli. Ponieważ Królestwo Środka nie utraciło w tym konflikcie ani piędy swojej świętej ziemi, misję Zenga uznano za wyjątkowo udaną, gdyż ocalił on „twarz” chińskiego rządu. Sakota zyskała oczywiście sporo prestiżu w owej rozgrywce z Rosją i odtąd była uważana za zdolną administratorkę.

Odkrycie, że nie jest niezastąpiona, musiało bardzo zirytować Jehonale; co gorsza, wiedział już o tym każdy na dworze

i w całym kraju. To wtedy może w osobie swej cichej kuzynki Jehonala zobaczyła poważną rywalkę do władzy.

Wydarzenie z 1880 roku potwierdziło tylko jej najgorsze obawy. Od najdawniejszych czasów co roku dwór udawał się na pielgrzymkę do Zachodnich i Wschodnich Grobowców, gdzie modlono się i składano ofiary duchom dawno zmarłych cesarzy. W czasie uroczystości państwowych w Mieście Zakazanym, przewodnictwo z reguły obejmowała Jehonala, chociaż, mówiąc prawdę, Sakota znajdowała się o szczebel wyżej w skomplikowanej hierarchii dworu. Cesarzowa Wschodniego Pałacu nigdy się o swoje miejsce nie upominała, lecz tym razem, prawdopodobnie działając pod naciskiem księcia Gongy i innych członków rodu cesarskiego, nagle zażądała przewodniczenia w uroczystości składania ofiar przodkom i oddawania czci kurhanom kryjącym w sobie cesarskie grobowce w Mieście Klejnotów. Jehonala odmówiła, i doszło do gorszącej kłótni na oczach zgromadzonego dworu. Sakota przypomniała Jehonali, że była konkubiną cesarza, ona zaś, Sakota, była pełnoprawną małżonką Xianfenga, czyli niewątpliwie osobą wyższej rangi. Następnie postarała się jeszcze bardziej upokorzyć Jehonale, żądając, żeby stanęła w czasie uroczystości nieco za nią i po jej prawej stronie, ponieważ honorowa lewa strona zarezerwowana była dla ducha pierwszej żony Xianfenga, której wczesna śmierć utorowała Sakocie drogę do wyniesienia. Jak należało się spodziewać, Jehonala zlekceważyła te wymagania i zajęła centralne miejsce na cały czas uroczystości. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że cała afery została pomyślana jako sposób na upokorzenie jej przy świadkach i osłabienie jej autorytetu. Jeszcze groźniejszy był fakt, że Sakota najwyraźniej działała w porozumieniu z członkami domu cesarskiego: może był to więc początek jakiegoś spisku przeciwko rządowi Jehonali? Spisku, który

odsunąłby od władzy członków rodu Jeho-Nala i zrobił z Sakoty malowaną regentkę?

W sprawach osobistych miały się wydarzyć jeszcze gorsze rzeczy. Rong Lu, kuzyn i dawny narzeczony Jehonali (jeśli zaś wierzyć pogłoskom, również jej długoletni kochanek) otrzymał prawo wchodzenia i wychodzenia z Miasta Zakazanego o każdej porze dnia i nocy. Spożytkował ów przywilej, by nawiązać romans z pewną damą z Wielkiego Środka, dawną konkubiną zmarłego małżonka Jehonali, cesarza Xianfenga. Rong Lu winien był zdawać sobie sprawę z tego, że fakt ten szybko przeniknął do wiadomości publicznej, i wychowawca młodego cesarza, niejaki Weng Tonghe, przekazał wiadomość o tym związku Jehonali. Według jednej z relacji Jehonala nie chciała w to uwierzyć, dopóki na własne oczy nie zobaczy dowodów winy Rong Lu. Otrzymawszy donos, że właśnie przyszedł do swojej pani, złapała go jeżeli nie na gorącym uczynku, to w każdym razie w niewieścich komnatach, co było poważnym przestępstwem, za które groziła karą śmierci. Wobec faktu niewątpliwej zdrady Rong Lu, Jehonala musiała poczuć się porzucona i osamotniona. Rong Lu był jej ostoją, może jedyną osobą, na której zawsze mogła polegać w misternej grze zmiennych sojuszy i politycznych oszustw Miasta Zakazanego. Było zapewne naiwnością z jej strony oczekiwanie, że ten bardzo męski typ w wieku czterdziestu kilku lat będzie trwał w abstynencji seksualnej, kiedy ona sama zaczęła trzymać go na dystans. Może bardziej rozgniewał ją fakt, że jego wybranka mieszkała na jej własnym terytorium, dosłownie pod bokiem Jehonali, i że gdy ten romans stał się powszechnie znany, postawił ją w niezręcznej sytuacji i spowodował utratę twarzy. Jakikolwiek był powód jej gniewu, Rong Lu miał dużo szczęścia, że wyszedł z życiem z całej sprawy. Nie został ścięty, ale pozbawiono go oficjalnych stanowisk u dwo-

ru i wysłano na wojskową placówkę do Xi'anu, gdzie na faktycznym wygnaniu nudził się przez następne siedem lat. Eunuchowie szeptali do ucha Jehonali, że Cesarzowa Wschodniego Pałacu od dawna wiedziała o tym związku, ale przymykała na to oko, a może nawet sama ułatwiała spotkania zakochanym. Jehonała musiała dojść do wniosku, że za postępowaniem Sakoty mogła kryć się głębsza i groźniejsza motywacja. Pomagając w nawiązaniu zakazanego romansu, a przy tym zdając sobie świetnie sprawę z tego, że wcześniej czy później cała afera wyjdzie na światło dzienne, Sakota i jej sojusznicy z cesarskiego rodu musieli liczyć na gwałtowną reakcję Jehonali, która dowiedziawszy się o tym albo wyda wyrok śmierci na swego jedyne go prawdziwego przyjaciela na dworze, albo skaze go na długoletnie wygnanie. Jehonała istotnie nie zawiodła ich nadziei. Rong Lu był teraz w Xi'anie, a duma nie pozwoliła cesarzowej wezwać go z powrotem do Pekinu. Była więc obecnie bardziej izolowana i pozbawiona przyjaciół niż kiedykolwiek od momentu przybycia przed laty do Wielkiego Środka. Teraz mogła już ufać tylko eunuchom. Zważywszy atmosferę na dworze i jej własną podejrzliwą naturę, musiała czuć, jak coraz bardziej otacza ją wilcza zgraja.

Trudno dziś powiedzieć, czy było to zagrożenie realne, czy wymaginowane. Sakota wkrótce potem zaczęła zdaje się żałować tego, co się stało, i szczerze usiłowała pojednać się z kuzynką. W jej posiadaniu ciągle znajdowała się owa karta atutowa, dokument powierzony jej przez Xianfenga w 1860 roku, gdy umierający cesarz przebywał w Rehe. Ten dokument pokazała teraz prywatnie Jehonali. Jego treść musiała napęlić Jehonałę przerażeniem. Był to cesarski dekret, rozkaz zmarłego suwerena, który ciągle miał moc prawną, mimo upływu dwudziestu lat od jego śmierci. Głosił on, że gdyby konkubina Yi zaczęła mieszać się do rządów państwem, należy zwołać

Wielką Radę, pokazać jej niniejszy dekret, i Rada ma użyć całej swojej władzy i „umożliwić jej popełnienie samobójstwa”. Dokument, który Sakota pokazała Jehonali, był dla niej wyrokiem śmierci. Kobieta tak bezgranicznie arogancka i żądna władzy, jak Jehonała, musiała poczuć się w najwyższym stopniu wściekła i upokorzona, kiedy zdała sobie sprawę, że przez cały okres zwycięstw i triumfów była w gruncie rzeczy zdana na łaskę kogoś, kogo zalety i kunszt polityczny od dawna lekceważyła. Sakota mogła być wydać ją na pewną śmierć w każdym momencie od czasu owych niebezpiecznych dni w Rehe, kiedy to obie odniosły triumf nad Su Shunem i pozostałymi spiskowcami. Dla osoby tak bezgranicznie dumnej ujawnienie owego dokumentu musiało być strasznym i upokarzającym ciosem.

Sakota uważała, że zatajenie przez nią treści dekretu przez tyle lat było dowodem jej miłości lub przyjaźni wobec Cesarzowej Zachodniego Pałacu. Jako ostateczny dowód dobrej woli i przyjaźni spaliła ów fatalny dokument w obecności Jehonali.

Jeśli oczekiwała wdzięczności, wkrótce okrutnie się rozczarowała. Ukrywając swoje prawdziwe uczucia za grzecznościowymi zwrotami, Jehonała pozwalała wierzyć kuzynce w swoją dobrą wolę i życzliwość. Kilka dni później, jak powiadają, do rezydencji Sakoty zawitał eunuch z pudłem ciastek, prezentem od kochającej kuzynki, Cesarzowej Zachodniego Pałacu. Sakota skosztowała ciasteczka, i nagle rozchorowała się. Tajemnicza choroba nie ustępowała mimo wysiłków lekarzy, więc - zdając sobie sprawę, że koniec jest bliski - Sakota sporządziła zwykłą w takich okolicznościach „ostatnią wolę”, w której napisała jak „lekka choroba”, po której nastąpił „całkiem niespodziewanie bardzo niebezpieczny nawrót, sprawiła [...] że teraz nie ma już szans na powrót do zdrowia” i przekreśliła jej nadzieje na „osiągnięcie pięknego, dojrzałego wie-

ku". Obok zwyczajnych banałów, w owym pożegnalnym piśmie można wyczytać pośrednio krytykę pod adresem jej bardziej zuchwałej kuzynki. Sakota twierdzi, że „dawała w pałacu dobry przykład oszczędności i trzeźwości, i odwoziła urzędników od ostentacyjnego luksusu". Dyskretną aluzję do tego, że Jehonała przejawiała takie wady (a cenzorzy oskarżali ją o znacznie więcej), zrozumieli z pewnością uczeni w piśmie, dobrze wyszkoleni w obowiązującej na dworze subtelnej frazeologii.

Sakota, towarzyszka dziecięcych zabaw, sojuszniczka w czasach młodości, oraz przez tak wiele lat współregentka cesarstwa, żyła jeszcze kilka godzin. Umarła przed końcem dnia. Dla Jehonali jej śmierć musiała być wyzwoleniem od kłamstwa, w którym żyła od tak wielu lat. Teraz nie musiała już udawać, że dzieli z kimś władzę: po wielu latach została nareszcie jedyną i bezdyskusyjną władczynią Państwa Środka.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

„Emerytura”

Przez siedem lat po śmierci Sakoty Jehonala cieszyła się niczym nieskrępowaną swobodą jako jedyna regentka. Wzmocniła swą władzę, przeprowadzając w 1884 roku wymianę ludzi, którą można nazwać czystką obejmującą wszystkich znaczniejszych urzędników, zabezpieczając w ten sposób swoją pozycję na szczycie władzy. Przy tym, w zgodzie ze swoją dalekosiężną strategią zemsty plemiennej, Jehonala starała się doprowadzić do ostatecznego upadku Aisin Gioro.

Pierwszym, który musiał odejść, był książę Gong. Jehonala czuła do niego nieprzejednaną nienawiść od czasu, kiedy wraz z Sakotą doprowadził do śmierci jej faworyta, eunucha An Dehaia. Podejrzewała go również o spiskowanie z samym cesarzem w celu usunięcia jej od władzy. Gong stracił teraz wszystkie urzędy, a cesarski dekret oskarżał go o „budzącą niepokój pychę, nepotyzm, niedbalstwo i niekompetencję”. Były to zarzuty, które, z uwagi na ogólną atmosferę na cesarskim dworze, mogły być skierowane niemal przeciw każdemu. W konkluzji dekret Jehonali stwierdzał jednak: „Na znak naszej cesarskiej łaskawości postanowiliśmy zezwolić księciu Gongowi na zachowanie dziedzicznego księstwa, wraz z wszelkimi dochodami związanymi z tym tytułem, ale niniejszym pozbawiamy go wszelkich stanowisk, a także podwójnej pensji, jaką do-

tychczas pobierał. Zezwalamy mu na wycofanie się do życia prywatnego, gdzie zechce troszczyć się o stan swego zdrowia".

Jednocześnie zostali usunięci z Wielkiej Rady wszyscy wielmoże podejrzani o sprzyjanie księciu Gongowi. Tak więc: czcigodnemu Wielkiemu Sekretarzowi Bao Yunowi zalecono wycofanie się z życia publicznego; Li Hongzao (który w 1861 napisał dla cesarza Xianfenga jego pożegnalne orędzie mianujące regentem Su Shuna) również utracił swój urząd, lecz, czego mógł się obawiać, nie utracił życia; prezesa Urzędu Wojny, Jing Liana usunięto ze stanowiska, dodając obraźliwy komentarz, iż „wydaje mu się, że w zadowalający sposób spełnia swoje obowiązki, kiedy rutynowo opóźnia wszelkie działania jako człowiek pozbawiony podstawowej znajomości spraw". Posadę przy Jehonali stracił także Weng Tonghe (który w swoim czasie doniósł Jehonali o romansie Rong Lu z jedną z byłych konkubin jej męża), ale na znak łaski cesarskiej pozostawiono mu stanowisko w Urzędzie Robót Publicznych oraz funkcję wychowawcy młodego cesarza Guangxu.

Siostrzeniec Jehonali, cesarz Guangxu, nie mógł mieć dzieci, ale poza tym rozwijał się całkiem normalnie. W 1887 roku był już niskim i szczupłym, ale energicznym siedemnastoletnim młodzieńcem, osiągając wiek, w którym mógł przejąć samodzielne rządy. Mimo to jednak, za sprawą jego zdradzieckiego ojca, księcia Chuna, Jehonali udało się zachować władzę jeszcze przez kolejne dwa lata. Księżę Chun „samorzutnie" ubłagał Jehonale, by zechciała przedłużyć okres swej regencji; powtarzał to zresztą kilkakrotnie, ponieważ konfucjańska etykieta wymagała, aby Cesarzowa Wdowa w skromności swojej odmawiała jego prośbom przepisaną ilość razy, zanim mogła „niechętnie" na nie się zgodzić. Co też w końcu uczyniła.

W edykcie cesarskim (niewątpliwie podyktowanym na życzenie Jehonali) Guangxu oświadczył, że po wysłuchaniu

dekretu przekazującego mu pełnię władzy „zacząłem drzeć, jak gdybym był wśród fal na pełnym oceanie, nie wiedząc, gdzie znajduje się ląd. Jej Cesarska Wysokość zgodziła się jednak nadal doradzać mi jeszcze przez kilka lat w ważnych sprawach państwowych”.

Ta mała prolongata dała Jehonali dwa dodatkowe lata władzy, której tak pożądała. Gdy minął jednak ten czas, w 1889 roku, nawet dla osoby tak cynicznej i zuchwałej jak Jehonala, dalsze otwarte odmawianie dorosłemu już cesarzowi prawa do niepodzielnych rządów stało się zbyt poniżające. Jehonala oświadczyła więc, że przekazuje władzę cesarzowi Guangxu, zaś sama wycofuje się z życia publicznego. Słuchający tego oświadczenia, zwłaszcza zaś obserwatorzy z Zachodu, mieli wrażenie, że epoka Jehonali skończyła się i że czcigodna Cesarzowa Wdowa, obecnie licząca pięćdziesiąt pięć lat, wycofa się ze sceny i przestanie brać udział w życiu publicznym. Było to jednak całkiem mylne wrażenie. Pozycja przedstawicielki starszego pokolenia cesarskiej rodziny dawała jej, według reguł etyki konfucjańskiej, ogromną przewagę nad innymi: „Należało jej się pierwszeństwo przed cesarzem Guangxu, nie tylko jako matce jego poprzednika, ale również dlatego, że należała do starszego odeń pokolenia”.

Guangxu musiał składać wizyty Cesarzowej Matce przynajmniej raz na pięć dni, i za każdym razem bić przed nią czołem. Często bywało, że przez złośliwość eunucha Li Lianyinga (którego Guangxu kazał kiedyś wychłostać) cesarza przetrzymywano na kolanach przez ponad godzinę u progu pałacu jego ciotki. Lecz wymagano odeń nie tylko symbolicznych hołdów. Jehonala postawiła na swoim, zachowując kontrolę nad większością ważnych prac rządu. Zachowała dostęp do wszystkich najważniejszych dokumentów i memoriałów, i z charakterystyczną dla siebie pracowitością, czytała je

wszystkie i to dokładnie. Zrezygnowała być może z wglądu w szczegóły dotyczące administracji państwem, natomiast nie można było przeprowadzić żadnej poważnej nominacji ani podjąć ważnej decyzji bez jej wyraźnej zgody. Z jednym godnym uwagi wyjątkiem, kiedy cesarz Guangxu postanowił ostatecznie zrezygnować z „porad” ciotki, Jehonała dowiedziała się o jego zamiarze niemal natychmiast dzięki swojej siatce szpiegów i eunuchów.

Tym, co straciła, wycofując się z życia publicznego, był pewien zewnętrzny blichtr związany z funkcjami reprezentacyjnymi. W okresie swojej niepodzielnej regencji jehonała była najbliższa faktycznemu zasiadaniu na Tronie Smoka spośród wszystkich kobiet w historii Chin. Mimo swej płci, pod każdym względem, we wszystkim z wyjątkiem tytułu, była faktycznym Księżciem Niebios. Właśnie z tą ceremonialną pozycją, bardziej niż z innymi aspektami sprawowanej władzy, najtrudniej było jej się obecnie rozstać.

Nie odchodziła jednak z pustymi rękami. Za owo „odejście w stan spoczynku” Cesarzowa Wdowa wystawiła swojemu narodowi słony rachunek, zażądała podarunku na miarę wdzięczności, jaką w jej przekonaniu musiały odczuwać Chiny za wszystko, co dla nich zrobiła. Tym podarunkiem było polecenie odbudowy Letniego Pałacu, w którym, jak Cesarzowa Matka za czasów słynnego cesarza Kangxi, spędzałyby wolne od utrapień chwile w otoczeniu bajkowego krajobrazu lekkich pawilonów i bujnej zieleni. Dekretem z 1888 roku, ogłoszonym w imieniu cesarza, lecz faktycznie podyktowanym przez Jehonałę, Guangxu oświadczał, że:

pamiętając, iż w sąsiedztwie Zachodniego Parku był niegdyś pałac [...] który [...] wymaga pewnych napraw w celu przywrócenia mu dawnych funkcji jako miejsca pociechy i radości [...] Powzięliśmy

myśl, aby odbudować Qing Yi Yuan i nadać mu nową nazwę Yi He Yuan (która odwołuje się do książki o rytuałach i znaczy „o odpoczynku i spokoju dla zesłanej przez Niebiosów starości”).

Po kilku tradycyjnych odmowach, ciągnąc farsę korespondencji w gruncie rzeczy sama ze sobą, Jehonała udzieliła wreszcie wielce niechętniej zgody na powyższą propozycję. Ostateczny dekret w tej sprawie był klasycznym produktem jej umysłu. Szczera i słodka niczym sacharyna, Cesarzowa Zachodniego Pałacu w sposób skrajnie cyniczny pisała, że istotnie wie, iż:

[...] pragnienie cesarza, aby odbudować pałac przy zachodnich źródłach, wynika z podziwu godnej troski o moje dobro, z tego też powodu nie mogę zdobyć się na odtrącanie szorstką odmową jego ustawicznych prośb, wynikłych z dobrej woli. Poza tym, jako że koszty odbudowy pochłoną jedynie nadwyżki budżetu nagromadzone na skutek poważnych oszczędności ubiegłych lat, środki w dyspozycji Skarbu Państwa nie zostaną zaś w żadnej mierze uszczuplone, nie uczyni ta odbudowa żadnego uszczerbku w finansach państwowych.

Było to zwyczajne mydlenie oczu. W skarbie państwa nie było pieniędzy na odbudowę rajszych ogrodów dla Jehonali. Bez skrupułów, korzystając z pomocy Wielkiego Eunucha Li Lianyinga i układnego jak salonowy piesek księcia Chuna, Jehonała zaczęła opróżniać skarbiec państwa. Na początek zabrała około trzydziestu tysięcy taeli z Urzędu Admiralicji, którego prezesem był książę Chun. Fundusze, z których miano opłacić wyposażenie i odbudowę zniszczonej okrutnie chińskiej marynarki wojennej, poszły na wyposażenie i odbudowę rajszych ogrodów Yi He Yuan. W hierarchii potrzeb Jehonali marmury były ważniejsze od okrętów wojennych.

Nie było w tym nic tak bardzo niezwykłego w wymyślnym świecie Miasta Zakazanego, w którym łapownictwo i defraudacje stanowiły normę dnia powszedniego. Wszystko mogłoby jakoś funkcjonować, gdyby Chiny, co wciąż wmawiała sobie chińska elita polityczna, istotnie stanowiły pępek świata, bezpieczny w swym poczuciu danej przez niebiosa wyższości. Było to jednak, niestety, dalekie od prawdy. Wielu Chińczyków, zwłaszcza z młodszego pokolenia, odczuwało jako rzecz oczywistą i niepodważalną upokorzenie Chin przez zachodnie mocarstwa. Szeptano nawet po cichu, że cesarz Guangxu jest zafascynowany zachodnią nauką i tamtejszymi instytucjami, co napełniało skrajnie zachowawczego ducha Jehonali gniewem i obawą.

Ostatnim wielkim przedsięwzięciem Jehonali przed oddaniem władzy siostrzeńcowi Guangxu było zaaranżowanie jego ślubu. W 1889 roku wydano dekret ogłaszający komunikat o ślubie. Narzeczona cesarza mająca 22 lata, nie odznaczała się wielką urodą; znano ją u dworu pod imieniem Longyu (Zaszczytna Obfitość). Guangxu wolał inną pannę, lecz apodyktyczna ciotka oczywiście odrzuciła jego wybrankę. Ślub odbył się 26 lutego 1889 roku, w dniu wybranym przez dworskich astrologów. Było to niezwykle wystawne przyjęcie, opłacone z „dobrowolnych” datków poszczególnych prowincji, z których to pieniędzy duża część trafiła oczywiście do kieszeni Wielkiego Eunucha Li Lianyinga. Pannę młodą przeniosło z rodzinnego domu do Miasta Zakazanego szesnastu tragarzy, jej lektyka była misternie upleciona i osłonięta jedwabiem w kolorze cesarskiej żółci, haftowanym ideogramem *fu*, oznaczającym szczęście. Ideogram ów był podwójnie spleciony, co dla Chińczyków stanowiło symbol również wierności małżeńskiej. Lektykę otaczała chmara eunuchów w żółtych szatach, po obu zaś stronach strzegły pochodu konne oddziały Gwardii Cesarskiej.

Na czele barwnej procesji wysypaną żółtym piaskiem drogą kroczyli ci, którzy doprowadzili do tego małżeństwa (z wyjątkiem samej Jehonali). Za nimi postępowali muzykanci i tuziny pomocników, ubranych w krwistoczerwone szaty, kołyszących lampionami i fantazyjnie haftowanymi parasolami, które płynęły nad pochodem niczym kolorowe chmurki. Następnie z uroczystą pompą niesiono Księgę i Pieczęć Cesarską narzeczonej, a dalej szły szeregi sług niosących kosztowne ślubne prezenty. Pochód zamykała kolejna liczna grupa kolorowo odzianych sług, z których każdy niósł wielobarwny sztandar lub proporczyk. Niektóre sztandary wyhaftowano w smoki i fe-niksy (symbole cesarza i cesarzowej), złączone w miłosnym uścisku. Żaden ze zwykłych mieszkańców Pekinu nie oglądał owego wspaniałego pochodu. Wzdłuż całej trasy pochodu obstawionej żołnierzami ośmiu mandżurskich pułków, którzy zmusili gospodarzy domów do zamknięcia wszystkich bram i okiennic, rozstawiono błękitne ekrany, aby spojrzenie żadnego z „durnych ludzi” nie pogwałciło świętości procesji. A jednak, mimo grożących surowych kar, wielu zwykłych ludzi starało się coś dojrzeć przez szczeliny albo wycinało dziury w ekranach, po to tylko, żeby chociaż na chwilę rzucić okiem na tę bajeczną procesję, co zresztą było prawdziwym powodem wszystkich wydawanych zakazów. Mandżurowie byli bowiem mistrzami w manipulowaniu opinią publiczną i potrafili rozniecać ciekawość dla tajemniczej mistyki cesarskiego dworu.

Jak większość działań podjętych przez Jehonale w czasie smutnego życia Guangxu, zarówno owa parada, jak też samo małżeństwo, nie miało na celu zapewnienia cesarzowi szczęśliwego pożycia małżeńskiego, ale możliwość sprawowania stałego nadzoru nad cesarzem i zapewnienie jego ciotce utrzymania się na szczycie piramidy władzy. Narzeczoną dla cesarza Jehonala wybrała już wiele lat wcześniej, i decyzja ta mia-

ła charakter bardzo przemyślany, gdyż panna młoda była córką brata Jehonali, księcia Zhou, który był również bratem matki Guangxu. Tak ścisły związek dwojga bliskich kuzynów miał umocnić władzę rodu Jeho-Nala na pekińskim dworze. Spełniał on jeszcze jeden cel. Jehonala wiedziała, że „szczęśliwej pary” nic nie łączyło. Z czasem zniechęcili się do siebie całkowicie; wkrótce po ślubie zaczęły się kłótnie, a Guangxu często ulegał żonie, która najwyraźniej odziedziczyła po jehonali jej żelazną wolę i nie ustępowała nawet samemu Synowi Niebios. Taki rozwój wydarzeń znakomicie pasował do planów Jehonali. Przez wszystkie te lata pamiętała, jak groźnym dla niej związkiem okazało się małżeństwo Tongzhi i Alute, i za wszelką cenę chciała zapobiec takiemu powtórzeniu się historii. Gdy Guangxu i Longyu tak szybko się ze sobą skłócili, nie stanowiło problemu namówienie młodej żony, by pilnowała cesarza w imieniu swej przebiegłej ciotki.

To było sprytne posunięcie. Młody cesarz był coraz bardziej przekonany, że jedyna szansa uratowania Chin leży w naśladownictwie nauki i techniki reprezentowanych przez te same zachodnie mocarstwa, które ze wszystkich stron napierały na Państwo Środka. Wiedział, że oznacza to zmianę systemu rządów w Państwie Środka i odsunięcie od władzy sił konserwatywnych, które nie potrafiły przyznać „barbarzyńcom” przewagi na jakimkolwiek polu. Ponieważ do owych konserwatywnych sił zaliczała się również jego niepospolita i niepokonana dotąd ciotka, Guangxu powziął solenne postanowienie, że ona również musi zniknąć ze sceny. Katastrofalne wydarzenia nadchodzącej dekady miały potwierdzić przekonanie Guangxu o słuszności jego diagnozy, i skłonić go do przyjęcia kursu, który ostatecznie miał przywieść do upadku jego samego i całe Chiny.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Zbuntowany cesarz

Ochłodzenie stosunków między Guangxu a ciotką i większością osób z jego warstwy rozpoczęło się od pozornie niewinnego chłopięcego zainteresowania zabawkami. Jako bóg na ziemi, mały Guangxu, był rozpuszczany i niemiłosiernie rozpieszczany - zwykłą reakcją na łakomstwo małego cesarza nie było ograniczanie mu diety, lecz padanie przed nim na twarz i błaganie o lepsze maniery. Nie było w Chinach rzeczy, której by odmówiono Synowi Niebios, czego nieuniknionym skutkiem był fakt, że rozkapryszony malutki cesarz szybko czuł się bezgranicznie znudzony wszystkim i wszystkimi. W trosce o dobry humor przyszłego władcy Państwa Środka opiekujący się nim eunuchowie wciąż myszkowali po ulicach Pekinu, szukając przedmiotów, które choć na moment rozjaśniłyby cesarską twarzyczkę i wywołały uśmiech na wiecznie skrzywionych ustach cesarza. I właśnie w czasie jednej z takich eskapad eunuchowie natrafili na „sklep obcych diabłów” schowany w małej uliczce za budynkami niemieckiego poselstwa, coś w rodzaju małego domu towarowego, należącego do Duńczyka o nazwisku Kierulf, i wśród miliona innych towarów handlującego nakręcanymi zabawkami niemieckiej produkcji. W nadziei, że zainteresują małego Księcia Niebios, eunuchowie kupili kilka z nich i przynieśli do Wielkiego Środka.

Guangxu był zachwycony tymi mechanicznymi cudami z obcych krajów i wkrótce cesarski dwór regularnie zamawiał u pana Kierulfa wszystko, co tylko mógł on sprowadzić z Europy i Ameryki. W miarę jak podrastał, Guangxu domagał się coraz to nowych i coraz bardziej skomplikowanych barbarzyńskich bawidełek. Wkrótce jednak zabawki poszły w ką, i przyszedł czas na prawdziwe cuda zachodniej techniki: zainstalowano telefon, a na terenie Letniego Pałacu zbudowano kolejkę wąskotorową, którą, kiedy nie był zajęty pochłaniającymi coraz więcej czasu sprawami Państwa Środka, Guangxu lubił udawać się na przejażdżki w towarzystwie pań należących do dworu.

Jehonała natomiast wydawała się szczerze cieszyć swoją (pół)emeryturą. Teraz, kiedy młodość dawno już minęła, i kiedy nie mogła już liczyć na siłę swych kobiecych wdzięków, świadomie zmieniła swój publiczny wizerunek, przybierając pozę osoby czcigodnej, której należy się posłuch na mocy zakorzenionego od wieków w chińskim społeczeństwie poszanowania dla ludzi starszego pokolenia. Była obecnie, zgodnie z jednym ze swoich dworskich tytułów, Dostojną Matką, zamyśloną i pełną godności. Mimo wieku i braku nadmiernych obowiązków, Jehonała przestrzegała jednak dawnego trybu życia; wstawała codziennie o szóstej rano, na śniadanie jadła kaszę jaglaną i mleko. Powiadano, może złośliwie, że tym pierwszym napojem dnia było ludzkie mleko, odciągane z piersi mandżurskiej kobiety, specjalnie trzymanej przez Jehonałę w Wielkim Środku. Może to być jednak prawda, bo Jehonała przez całe życie święcie wierzyła w leczniczą moc rozmaitych mikstur i napojów (co dziesięć dni kazała sporządzać dla siebie napar na rozgniecionych perłach, gdyż wierzyła, że to jej gwarantuje długowieczność). Po śniadaniu damy dworu zajmowały się jej toaletą, co trwało około godziny.

Potem czasami w otoczonej przez dziewczęta służące i eunuchów lektyce, poprzedzanej przez kilkunastu idących z przodu muzykantów, kazała się nieść do jednego z trzech sztucznych jezior leżących na zachód od Miasta Zakazanego, gdzie godzinami wędrowała wśród sztucznie stworzonych dzikich ostępów, pojadając słodczyce i podziwiając krajobraz z rozrzuconych w rozmaitych punktach różnych altanek i pawilonów. To była część dnia, którą lubiła najbardziej, i poświęcała wiele czasu i starań utrzymaniu swoich ogrodów, zwłaszcza po roku 1880, kiedy od strachliwego księcia Chuna wyłudziła fundusze na swój ukochany projekt odbudowy Letniego Pałacu.

W czasie takiej przechadzki Jehonala w każdej chwili mogła zażądać obiadu. Wtedy cały orszak rzucał się do przygotowania około stu dań, których podania Cesarzowa Wdowa wymagała przy każdym posiłku, chociaż sama nie kosztowała nigdy więcej niż sześciu lub siedmiu z nich. Po południu, po godzinnej sjeście, zabierała się do malowania bądź ćwiczeń z kaligrafii (z której to umiejętności była bardzo dumna). Czasami grała ze swoimi damami w kości, w niezwykle popularnego w Chinach madżonga, albo w grę planszową „Podróż Ośmiu Wrózek przez Morze”, którą sama wymyśliła. Mogła też zechcieć przejechać się łódką po jednym z trzech jezior. Często raz jeszcze udawała się na przechadzkę po swoich ukochanych ogrodach, zwłaszcza jeżeli przedtem padał ulewny deszcz. Miłą monotonię tych zajęć przerywały, nadające pewien rytm jej dniom, oficjalne obowiązki, które jako Cesarzowa Wdowa wciąż musiała wypełniać, a także jej ulubiona rozrywka, teatr. Przynajmniej dwa razy w miesiącu, pierwszego i piętnastego dnia każdego miesiąca, organizowano przedstawienia teatralne w Mieście Zakazanym, a później (kiedy skończono budowę Letniego Pałacu) w nowym teatrze na brzegu jeziora Gungming. Jehonala uwielbiała zwłaszcza klasyków,

choć nie stroniła również od sztuk współczesnych chińskich autorów. Kiedy nie zjeżdżali aktorzy, spędzała wiele szczęśliwych godzin odgrywając sztuki sama, przy współudziale towarzyszących jej eunuchów. Gdy w 1903 roku po raz pierwszy pozwoliła się sfotografować, poleciła, by fotografia ukazywała ją w jednej z teatralnych masek. Wystąpiła na zdjęciu przebrana za chińską boginię miłosierdzia Guanyin (jej ulubiona postać), a Wielki Eunuch i cała reszta pozowała w rolach towarzyszących jej bóstw.

Jej stosunki z siostrzeńcem w tym okresie także sprawiały wrażenie serdecznych. Chętnie scedowała na niego wszystkie swoje dotychczasowe obowiązki, i wydawała się być zadowolona ze sposobu, w jaki rządził krajem. W miarę jak dojrzewał (miał już ponad dwadzieścia lat), zostawiała mu coraz więcej swobody w podejmowaniu decyzji, a niezwykle sprawna siatka szpiegów i donosy żony Guangxu zapewniały jej stałą kontrolę nad poczynaniami młodego cesarza i pozwalały czuwać nad tym, by nie przekraczał nakreślonych przez nią samą granic. Był rok 1894 i Cesarzową Wdowę absorbowały zbliżające się wspaniałe uroczystości, przygotowywane dla uczczenia sześćdziesiątej rocznicy jej urodzin. Miały one zaćmić wszystkie dotychczasowe tego typu jubileuszowe obchody, i stać się centralnym wydarzeniem długoletnich rządów Jehonali, nadając uzurpowanej przez nią władzy stempel legalności i dostojęstwa.

Los jednak zadecydował inaczej. Modernizacja japońskiego potencjału gospodarczego i wojskowego uczyniła z tego kraju potęgę, a imperialistyczne awantury wszczynane na terytorium Chin przez zachodnich mentorów Japonii, w połączeniu z własną japońską tradycją wojenną, przekonały Japończyków, że droga do wielkości wiedzie przez podbój ich ogromnego sąsiada. Trzysta lat wcześniej Japończycy po raz pierwszy

próbowali podbić Państwo Środka. W 1592 roku dyktator To-yotomi Hideyoshi wysłał swoje legiony samurajów przeciw Korei, mając zamiar wykorzystać ów kraj jako przyczółek do ewentualnego zamachu na Tron Smoka. Japońska armia lat dziewięćdziesiątych XIX wieku, lepiej wyposażona, lecz wciąż przesiąknięta duchem walki kodeksu buszido, wpadła na podobny pomysł. Ważną rolę w dramacie, który się właśnie rozpoczynał, odegrały nieświadome tego Stany Zjednoczone. Już w 1882 roku flota Meiguo Ren (Amerykanów) zmusiła Koreę do otwarcia wrót dla handlu z Zachodem. Amerykanie zignorowali wszelkie protesty Pekinu dotyczące jego zwierzchnictwa nad tym krajem i zmusili Chińczyków do podpisania układu, który uznawał Koreę za niepodległe państwo. Japonia zażądała podobnych uprawnień i już w 1885 roku Chiny i Japonia uzgodniły między sobą, że żadne z tych państw nie wyśle swoich wojsk do Korei bez zgody drugiej strony. Dziewięć lat później, po trwających przez cały rok zamieszkach i poważnych rozruchach, król Korei wystosował do Chin prośbę o pomoc w uśmierzeniu rozpoczynającego się powstania. Chiny wysłały swoje wojska, informując o tym Japonię, ta zaś natychmiast posłała swe własne oddziały przez Cieśninę Koreańską do Pustelniczego Królestwa. Scena była przygotowana do poważnego konfliktu, który wybuchł, kiedy Japończycy wzięli do niewoli żonę i dzieci króla Korei, a wkrótce potem osadzili na tronie osiemdziesięcioletniego ojca aktualnego monarchy. Chińczycy wysłali wówczas dodatkowe oddziały, przewożąc je na pokładzie okrętu Kowshing, zarejestrowanego w Wielkiej Brytanii. Na pełnym morzu okręt ten został zatrzymany przez japońskie kanonierki, storpedowany i błyskawicznie poszedł na dno. Japońscy żołnierze strzelali jak do kaczek do usiłujących ratować się rozbitków, co stało się jakby zapowiedzią haniebnego okrucieństwa, jakie mieli wykazać

japończycy we wschodniej Azji w pierwszej połowie XX stulecia. Czterdzieści osiem godzin później (na polecenie władz japońskich) marionetkowy staruszek król Korei jednostronnie wypowiedział wojnę Chinom i poprosił swych japońskich sprzymierzeńców o pomoc wojskową, którą niezwłocznie otrzymał. Rozpoczęła się wojna chińsko-japońska.

Japonia powinna ją była przegrać. Jako kraj wyspiarski musiała przetransportować statkami na kontynent azjatycki wszystkich żołnierzy, całą broń i zaopatrzenie. Kontrola nad szlakami morskimi była więc kluczem do zwycięstwa, a w tej dziedzinie Państwo Środka miało niewątpliwą przewagę. Przynajmniej w sprawach morskich Chiny, jak się zdawało, postanowiły skorzystać z nauk płynących z Zachodu, i zdążyły już zakupić najlepsze i najnowocześniejsze okręty. Li Hongzhang, bohater z okresu powstania taipingów i zbawca Jehonali w czasie kryzysu związanego z wyborem Guangxu na cesarza, a obecnie wpływowy namiestnik prowincji Zhili, był odpowiedzialny za flotę północną. Niezależnie od wdrożenia programu intensywnych zbrojeń i wymiany okrętów, zaangażował kapitana Langa, oficera brytyjskiej marynarki wojennej, żeby szkolił „jego” flotę. Na papierze ich siły miały zdecydowaną przewagę nad flotą japońską, zarówno pod względem tonażu, jak i liczby okrętów: Chińczycy mieli krążowniki opancerzone, lekkie krążowniki, okręty torpedowe, oraz, z czego byli szczególnie dumni, dwa nowoczesne okręty liniowe, każdy o wyporności siedmiu tysięcy ton, wyposażone w dziesięciocalowe działa. Najlepszym natomiast okrętem floty japońskiej był krążownik o wyporności czterech tysięcy ton. Każda bitwa morska powinna zakończyć się łatwym zwycięstwem chińskiej floty. A panując na morzach i ustanowiwszy morską blokadę Japonii, Państwo Środka nie powinno mieć trudności z wynegocjowaniem pokoju na korzystnych dla siebie warunkach.

Stało się jednak inaczej. Od początku wszystko Chińczykom szło na opak. Cesarska flota raz po raz umykała przed Japończykami, unikając walki. Gdy wreszcie starła się z mniejszymi flotyllami japońskimi, doszło do katastrofy. Dnia 17 września 1894 roku i ponownie 12 lutego 1895 roku, w dwóch bitwach na Morzu Żółtym, oddzielającym Koreę od Chin, chełpiąca się swoją siłą północna flota została całkowicie zniszczona. Marynarzom chińskim nie brakowało odwagi, lecz przyczyną klęski był przerażający brak organizacji i niewyobrażalna wręcz korupcja, która z imponującej floty wyssała całą zawartość, pozostawiając tylko zewnętrzną skorupę. Zanim jeszcze doszło do pierwszej bitwy, po typowej dla jego chińskich przełożonych kłótni o zachowanie twarzy, zrezygnował ze stanowiska kapitan Lang. Admiralem Floty był Ding Ruchang, oficer kawalerii, który „nie ukrywał, że nie zna się na niczym, co dotyczy okrętów”. Lang miał równorzędną rangę, lecz pisaną innym ideogramem, co otwierało pole do różnych interpretacji. Sprawy poszły na ostro, gdy admirał Ding został wezwany do Pekinu. Pod jego nieobecność admirał Lang usiłował objąć dowództwo. Wówczas starszy komandor floty Liu Buchan oświadczył, że Lang jest tylko doradcą w randze admirała i postanowił, że to on sam przejmie dowodzenie armadą. Doszło do kłótni, w wyniku której Lang zrezygnował. Pekin mianował nowego współadmirala, Niemca von Hennikena, który jednak nie był marynarzem, lecz saperem. Według relacji jednego z naocznych świadków, dla którego cały ów tragiczny epizod przypominał scenę z komedii, brak kwalifikacji chińskiego admirała nie miał tu najmniejszego znaczenia; admirał „barbarzyńca” potrzebny był tylko jako ewentualny kozioł ofiarny w celu ratowania chińskiego dowódcy przed egzekucją na wypadek przegranej bitwy lub wojny.

Kiedy doszło do bitwy, chińskie okręty liniowe zaledwie wystrzeliły w stronę nieprzyjaciela, a to z tej przyczyny, że po prostu miały za mało amunicji. Z braku amunicji cała dumna flota wojenna była czymś w rodzaju bezzębnego tygrysa, całkowicie niezdolna do powstrzymania naporu Japończyków. „Chłopiec w szkole od razu by pomyślał o tym, że trzeba zadbać o amunicję; nie przyszło to jednak do głowy dowodzącym chińską flotą”. Może nie tyle nie przyszło im do głowy, co uznali to za nieważne wobec szansy wyniesienia się nad innych. Zarówno Li Hongzhang jak i Jehonala mieli swój udział w tym tragicznym niepowodzeniu, bo obydwójce zdefraudowali sporą część funduszy przeznaczonych na zakup amunicji dla okrętów wojennych. Pieniądze zabrane przez Jehonale poszły na sfinansowanie odbudowy Letniego Pałacu, gdzie cesarzowa zabawiała się amatorskimi występami teatralnymi i przejażdżkami łodzią po jeziorze, nawet wtedy, kiedy wróg zatapiał okręty wojenne jej kraju i zabijał marynarzy. Klęska prawie nie poruszyła mętnych wód jeziora, jakim był mandżurski dwór cesarski. Jeden z dworskich eunuchów, zapytany o sprawę defraudacji, odpowiedział bezczelnie: „Nawet gdyby te pieniądze zostały wydane na flotę, Japończycy i tak by nas pokonali. A tak przynajmniej pozostał nam Letni Pałac”.

Mając wolną drogę na morzu, Japończycy wzmocnili swe wojska w Korei i ruszyli na północ, przekraczając chińską granicę na zachód od gór Changbai. Następnie ich wojsko skierowało się na południe i rozpoczęło oblężenie Port Arthur, wzorcowej fortecy (wybudowanej z pomocą zachodnich inżynierów) na samym cyplu ważnego strategicznie półwyspu Liaodong, który, niczym ramię wyciągnięte do obrony, wcina się w akwen Morza Żółtego. Port Arthur, wraz z siostrzaną fortecą Weihaiwei na północnym wybrzeżu półwyspu Shandong, bronił dostępu do wielkiego portu Tianjin, strzegącego

dojścia do Pekinu od strony wschodniej. Port Arthur padł 21 listopada 1894 roku. Trzy miesiące później, 12 lutego 1895 roku, kawalerzysta-admirał Ding Ruchang poddał Weihaiwei, po czym wraz ze swymi oficerami popełnił samobójstwo. Zwycięstwo Japończyków było pełne: ich armia szykowała się teraz do zdobycia Tianjinu i marszu na samą stolicę.

W Pekinie mandzurska elita wreszcie dostrzegła niebezpieczeństwo. Jehonala w pośpiechu przywołała z powrotem znajdującego się w niełasce księcia Gonga, prosząc go o radę w obliczu narastającego kryzysu, i wreszcie pozwoliła wrócić do Pekinu swemu dawniejszemu ukochanemu, Rong Lu. Nie mając zamiaru ponosić odpowiedzialności za klęskę w Korei, rzuciła na pożarcie wilkom swego wiernego zwolennika Li Hongzhan-ga. Namiestnika Zhili i Dowódcę Północnych Mórz pozbawiono wszelkich rang i zaszczytów, jednak nie wręczono mu jedwabnego sznura, pozwalając zachować życie (i całą olbrzymią fortunę). Degradacja Li uspokoiła nieco opinię publiczną. Wielu współczesnych - od wielmożów po wieśniaków - cieszył tak karkołomny upadek wielkiego dygnitarza: krążyły opowieści o sprzeniewierzeniach, jakich się dopuścił, a także o czynionych przez niego ogromnych inwestycjach finansowych w Japonii, które miały poprzedzać jego przejście na stronę przeciwnika. Przede wszystkim jednak, spektakularny upadek Li miał nie dopuścić do ujawnienia grzechów samej Jehonali.

Pekin wysłał emisariuszy do Japonii w celu wynegocjowania pokoju, ale niewiele zdołali oni wskórać, gdyż Japończycy byli nieubłagani. Chińczycy od wieków szydzili z „karłów Wschodu”, uważając ich za głupawych dzikusów, czerpiących wprawdzie z chińskiej kultury, ale zadowolających się naśladowaniem bardziej wyrafinowanego stylu życia i obyczajów Państwa Środka. Zdecydowani upokorzyć swego wielkiego sąsiada na oczach świata, Japończycy odesłali chińskich emisa-

riuszy do kraju i zażądali przystania do prowadzenia negocjacji przedstawiciela wyższej rangi. Niewielu mandżurskich dygnitarzy kwapiło się do pełnienia tak upokarzającej funkcji, lecz Jehonala jak zwykle znalazła na to sposób. Pozostający w niełasce Li Hongzhang raz jeszcze został mianowany ambasadorem, a edykt cesarski zlecał mu doprowadzenie do końca rokowań z Japończykami (których w swej niezmiernej pysze Chińczycy jeszcze teraz nazywali „karłami”). Jehonala wiedziała, że Li był już powszechnie znienawidzony ze względu na rolę, jaką odegrał w klęsce chińskich wojsk, toteż jeżeli uda mu się zaspokoić apetyty Japończyków bez zrujnowania Państwa Środka, to dobrze; jeśli natomiast jego misja nie powiedzie się, jego akcje nie mogą już bardziej spaść, a zawsze jeszcze pozostanie jedwabny sznur.

Jehonala mogła chętnie się swym kunsztem dyplomatycznym, lecz do szału doprowadzał ją łatwy sukces Japończyków. Naprawdę najbardziej drażnił ją wybór czasu japońskiej inwazji. Jehonala urodziła się w 1834 roku i na dziesiąty miesiąc 1894 roku przypadały najwspanialsze obchody jej sześćdziesiątych urodzin, przyćmiewając niezadowolenie, jakie wywoływały prace nad odbudową Letniego Pałacu. Nad owym nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności Cesarzowa Matka ubolewała w edykcie przepelnionym uczuciem zawodu i rozczarowania egotyka, któremu pokrzyżowano plany:

Przygotowywane pod szczęśliwymi auspicjami moje sześćdziesiąte urodziny [...] miały być radosnym wydarzeniem, z okazji którego cały naród zjednoczyłby się lojalnie, składając mojej osobie należny mi hołd. Planowano, że Jego Cesarska Wysokość w towarzystwie całego dworu przybędzie do Yi He Yuan, aby złożyć mi życzenia i pokłonić się. Urzędnicy i lud zgromadzili fundusze na wzniesienie łuków triumfalnych [wszyscy urzędnicy

„spontanicznie" ofiarowali jedną czwartą swoich rocznych dochodów jako podarek urodzinowy dla Cesarzowej Wdowy] oraz udekorowanie Cesarskiego Szlaku na całej jego długości od Pekinu do Letniego Pałacu. Wzniesiono wielkie ołtarze, przy których miano odmawiać na moją cześć buddyjskie sutry. Nie mam w zwyczaju trwać w nadmiernym uporze i bez końca odmawiać takim zaszczytom [...]

Któż mógł przewidzieć, iż ludzie-karły ośmielą się zmusić nas do walki, i na początku lata najadą kraj naszego lennika i zniszczą naszą flotę? [...] Data mych urodzin zbliża się, lecz jakże mogłabym w takim czasie delectować me zmysły zabawami...? Zarządzam więc niniejszym, by ceremonie z okazji mych urodzin odbyły się w Pałacu w Pekinie, i natychmiast odwołuję wszelkie przygotowania w Letnim Pałacu.

Sukces Japończyków głęboko zranił dumę Jehonali, ale wkrótce po owym upokorzeniu nastąpił kolejny, znacznie dotkliwszy cios podcinający prestiż Cesarzowej Wdowy i całych Chin. Rezultatem rokowań prowadzonych przez Li Hongzhan-ga w Japonii był traktat z Shimonoseki z 17 kwietnia 1895 roku, na mocy którego Chiny zgadzały się oddać Japonii Formozę, przybrzeżne wyspy Penghu i fortecę Port Arthur, co na wypadek przyszłej agresji pozostawiało Japończykom otwartą drogę do Tianjinu i Pekinu. Chiny musiały również oddać w zastaw południową fortecę Weihaiwei do czasu całkowitej spłaty wymuszonego przez Japonię „odszkodowania" w wysokości dwustu milionów taeli.

W dniu przybycia do Japonii na rokowania Li Hongzhanga postrzelił w twarz jakiś japoński szowinista; kula utkwiała w kości pod lewym okiem. Gdyby nie ten krwawy incydent, Japończycy prawdopodobnie podyktowaliby jeszcze ostrzejsze warunki - pierwotnie domagali się także ziem na północ od

Port Arthur oraz „grzywny” w wysokości trzystu milionów taeli. Zważywszy warunki, w jakich mu przyszło prowadzić rokowania pokojowe, układ zawarty przez Li ze zwycięskimi Japończykami był godny pochwały, ale po powrocie do Chin w 1896 roku stary weteran (w owym czasie miał siedemdziesiąt dwa lata) spotkał się z zajadłą wrogością. Cenzorzy żądali jego głowy, a większość kraju zgadzała się z nimi. Jehonala jednak uświadomiła sobie, jak niezwykle cenne dla jej celów były doświadczenie i wiedza Li Hongzhanga. Można go było upokorzyć, pozbawić zaszczytów i tytułów, wypędzić z dworu, lecz jego rady w kwestii spraw zagranicznych (o których Jehonala, podobnie jak reszta jej administracji, nie miała najmniejszego pojęcia), były obecnie dla niej zbyt cenne, żeby pozwolić na egzekucję tego człowieka. Mniejszego kalibru ludzi można było zesłać do pilnowania dróg pocztowych w Turkiestanie; Li jednak został wysłany przez Jehonalę do Sankt Petersburga, żeby reprezentował Chiny na koronacji cara Mikołaja II (w podróż tę, co dziwne, zabrał swoją własną wspaniałą zdobioną trumnę). Jednym z rezultatów jego podróży była tajna umowa, sfinalizowana w 1896 roku, w której oba kraje gwarantowały sobie wzajemną pomoc i obronę w przypadku ataku ze strony Japonii. Układ ten pozwolił Rosji kontynuować budowę kolei transsyberyjskiej przez chińską Mandżurię do Władywostoku, i umożliwił transportowanie tą koleją przez chińskie terytorium żołnierzy i zaopatrzenia dla rosyjskiej armii, a także dawał rosyjskiej flocie prawo stacjonowania (kiedy tylko ludzie karły wyniosą się z Port Arthur) w tym niezamarzającym porcie. Tej koncesji Chiny miały wkrótce pożałować.

Olbrzymi okup wymuszony na Chinach przez Japończyków, a także zagarnięcie przez nich dużych terytoriów, rozpałył chciwość państw Zachodu, napełniając je jednocześnie niejaką

obawą. Posiadając Port Arthur Japonia była na najlepszej drodze do osiągnięcia pozycji głównego mocarstwa regionu. Aby temu zapobiec, Niemcy, Francja i Rosja (której potężna flota dalekowschodnia stacjonowała w pobliżu) wspólnymi siłami zmusiły Japonię do zwrotu pierwotnemu właścicielowi twierdzy Port Arthur i półwyspu Liaodong. W zamian za to Chiny musiały zapłacić Japończykom dodatkowe trzydzieści milionów taeli jako zwrot poniesionych „wydatków”.

Łatwe zwycięstwo Japonii zachęciło Europejczyków do prześcigania się w żerowaniu na chorym organizmie Państwa Środka. Chiny nie miały gotówki na wypłatę odszkodowań wymuszonych przez Japończyków, rozpoczęła się więc między zachodnimi mocarstwami ostra rywalizacja o to, kto dostarczy pożyczek w żądanej wysokości. Nie zadowolając się lichwiarskim procentem, obecnie desperacko szukały one pretekstów, które pozwolą na odcinanie coraz większych kawałków chińskiego melona. Japonia siłami zbrojnymi zdobyła nowe terytoria; Wielka Brytania wymusiła już na Chinach przekazanie Hongkongu. Wobec tak wielkiej słabości Chin inne mocarstwa zachodnie były zdecydowane zagarnąć, co się tylko da. Rok po powrocie Li Hongzhang'a taki pretekst znalazły Niemcy; w prowincji Shandong zamordowano dwóch niemieckich misjonarzy. W odwecie wojsko kajzera zajęło port w Jiaozhou, niedaleko okupowanego przez Japończyków Weihaiwei, i „wydzierżawiło” na dziewięć lat terytorium w promieniu pięćdziesięciu kilometrów wokół portu. Rozruchy na południu Chin, w Kantonie skierowane przeciw obecności misjonarzy wykorzystala Francja, wymuszając podobną dziewięćdziesięciodziewięć-letnią „dzierżawę” miasta portowego Guangzhouan. W 1897 roku Rosjanie wykorzystali swe tajne porozumienie z Chińczykami, i wprowadzili flotyllę swoich okrętów wojennych

do Port Arthur, po czym odmówili opuszczenia portu. Wiosną 1898 roku Rosjanie „wydzierżawili” fortecę, i jeszcze jeden port, Talienwan do końca 1923 roku¹. Wielka Brytania zgłosiła zastrzeżenia do umów dzierżawnych pod pretekstem, iż podważały one równowagę sił w regionie i na tej wątpliwej podstawie prawnej - dokładnie w dniu, w którym Chińczycy spłacili Japończyków i ci ostatni zwalniali właśnie miejsce - zażądała dla siebie fortecy i portu Weihaiwei. Prasa wychodząca w portach traktatowych otwarcie pisała o rozbiorze Chin na wzór Afryki, którą już kilkadziesiąt lat wcześniej podzieliły się mocarstwa kolonialne.

Może jedyną korzyścią z tej serii narodowych upokorzeń było narastanie świadomości w umysłach sporej grupy chińskiej inteligencji, że dotychczasowy sposób patrzenia na świat przez zniekształcający pryzmat naiwnego poczucia wyższości nad cudzoziemcami, po prostu nie ma racji bytu. Wprawdzie hołdujący tradycji chiński uczoney dżentelmen mógł nadal dowodzić, że znakomite maszyny służące zniszczeniu niekoniecznie muszą świadczyć o wyższości Zachodu, lecz inni patrzyli nie tylko na technikę wojskową i w europejskim systemie rządów zauważali wiele spraw, które Niebiańskie Królestwo mogłoby zastosować z korzyścią dla siebie. Chińscy ambasadorowie i emisariusze wysyłani w ostatnich latach do krajów Zachodu, często wracali urzeczeni wszystkim, co tam zobaczyli. Jehonała była bardziej nieufna. Wysłuchawszy pewnej damy, uskarżającej się na barbarzyński zwyczaj krępowania stóp dziewcząt, spytała, czy europejska moda krępowania kibici kobiet gorsetami z fiszbinów nie jest podobnie barbarzyńska.

¹ Według rosyjskiego dyplomaty, hrabiego Witte, Li Hongzhangowi i jeszcze jednemu Chińczykowi zapłacono po 500000 taeli, aby przyspieszyli załatwienie tej sprawy.

Jehonala pozostawała ślepa na korzyści płynące z „barbarzyńskiej” techniki, czego nie można powiedzieć o jej siostrzeńcu, cesarzu Guangxu. Zainteresowania młodego cesarza zaczęły się od dziecinnej fascynacji nakręcanymi zabawkami, potem przeżył młodzieńczy zachwyt kolejką wąskotorową i telefonem pałacowym, i ostatecznie doszedł do niezachwianego przekonania, że cesarstwo nie wyjdzie z kryzysu, jeżeli zdecydowanie nie przestawi się na styl zachodni. Niedawna klęska w wojnie z Japonią oraz późniejsze tchórzliwe i bezradne „wydzierżawianie” terytorium kraju kolejnym najeźdźcom, pomagało tylko uświadomić sobie skalę zagrożeń, wobec których stało Państwo Środka. Mniej więcej od 1895 roku Guangxu zamawiał dla siebie każdą naukową książkę, wydawaną na Zachodzie i przetłumaczoną na chiński. Dosłownie pożerał je z nieprawdopodobną szybkością w zaciszu prywatnego gabinetu, stopniowo pogłębiając swoją wiedzę na temat zewnętrznego świata i jego osiągnięć. Nie należy lekceważyć tego samotnego wysiłku - po raz pierwszy bowiem cesarz z dynastii mandzurskiej zajął się osobiście zdobywaniem wiedzy na temat innych narodów, i gdyby dowiedzieli się o tym dostojni, lecz za życia izolowani od świata poprzednicy Guangxu, przewróciliby się z oburzenia w swych wspaniałych grobowcach.

Łatwo nam dziś zrozumieć i wczuć się w sposób myślenia Guangxu. Kraje Zachodu stosowały zawsze te same sposoby, żeby wykroić dla siebie „sfery wpływów” oraz (jeśli przyjmiemy Afrykę za wzorzec ich postępowania) może nawet kolonie z jego własnego cesarstwa. Wiara w potęgę tradycji i w przewagę chińskiej kultury najwyraźniej nie wystarczała, żeby obronić się przed tymi nowymi agresorami, zaś pradawna chińska strategia „rozgrywania jednego barbarzyńcy przeciwko drugiemu” zawiodła na całej linii. Prawdą było, że każde z rywalizujących ze sobą zachodnich państw zazdrościło suk-

cesów pozostałym i starało się zagarnąć dla siebie jak najwięcej. Na tym jednak sprawa się kończyła. Ci nowi barbarzyńcy rozumieli, że Chiny były tak olbrzymie, iż każdy będzie w stanie wykroić sobie z nich swój własny „plaster melona”. Niektóre plastry będą większe, inne nieco mniejsze, lecz obcokrajowcy z Zachodu zdawali sobie sprawę, że znacznie więcej będą mogli osiągnąć, działając w porozumieniu i połykając cesarstwo kawałek po kawałku, aniżeli walcząc między sobą o równiejszy podział łupów. Dzięki pomocy najbardziej zapalczywych reformatorów, cesarz poznał dzieje Rosji za czasów Piotra Wielkiego i Japonii za panowania Hideyoshiego, władców, którzy zyskali nieśmiertelną sławę, odrzucając stary styl rządów i modernizując swoje kraje. Te opowieści niewątpliwie wywierały zgoła niezwykle wpływ na świadomość cesarza i zdawały się oddziaływać na jego podświadomość. Zwłaszcza pouczający był przykład Japonii: oto kraj azjatycki, trzymający się ściśle odwiecznej tradycji, niemal z dnia na dzień przeskoczył od społeczeństwa feudalnego do przemysłowego, opartego na wzorcach Zachodu. Japonia posiadała najnowocześniejszą zachodnią broń i wyszkoliła swych żołnierzy i oficerów w znakomitej „barbarzyńskiej” strategii i taktyce. Tak wyszkolona armia pogardzanych ludzi karłów zadała wojskom chińskim niekończącą się serię klęsk. Ta właśnie Japonia, kraj azjatycki, zajmowała oto miejsce wśród wielkich mocarstw Zachodu, stając się akceptowanym i równorzędnym partnerem zachodnich barbarzyńców. Wnioski z tej sytuacji były oczywiste. Co udało się Japonii, musi również udać się Chinom. Aby odzyskać dawną chwałę, Chiny muszą pójść szlakiem przetartym już przez Japonię.

Mógł być jeszcze inny powód, dla którego Guangxu tak bardzo pragnął przeprowadzić w Chinach reformy i znów zapewnić swojemu narodowi wielkość - mianowicie jego impotencja.

O tym, że cesarz nie może mieć dzieci, wiedzieli wszyscy. W społeczeństwie konfucjańskim, w którym większość dążeń ogniskowała się na rodzinie, impotencja cesarza musiała spowodować tajemną pogardę większości narodu, nad którym los powierzył mu pieczę. Posiadanie dzieci (zwłaszcza synów) uważano nie tyle za naturalną konsekwencję biologicznych funkcji człowieka, co za nagrodę za cnotliwe życie własne lub swoich przodków. Bezdziatnych mężczyzn czasami lekceważąco nazywano *tianyan* - „naturalnymi eunuchami”. Grożąca mu katastrofalna utrata twarzy niewątpliwie stanowiła potężną siłę popychającą go na drogę reform społecznych. Możliwe, że była to największa z owych sił, zachęcających go do gruntownej - i raczej naiwnej - próby wyprowadzenia życia chińskiego z dotychczasowej stagnacji. Guangxu, będąc impotentem, nie mógł zyskać nieśmiertelności, dając narodowi zrodzonych z siebie spadkobierców w linii sukcesji do tronu, zatem chciał zostawić po sobie przynajmniej imię i sławę wielkiego reformatora.

Niezależnie od tego, jaka była prawda, Guangxu nie był jedynym, który uważał, że zachodnia wiedza jest dla Chin kluczem do odzyskania utraconego prestiżu, a nawet do ich uratowania jako suwerennego państwa, jak cesarstwo długie i szerokie wielu młodszych uczonych dochodziło do takiego samego wniosku i tęskniło za kimś, kto udzieli im informacji i wskaże drogę. Kiedy dowiedziano się, jakie zagraniczne książki czyta cesarz, popyt na zachodnie publikacje wzrósł tak bardzo i tak szybko, że towarzystwa trudniące się dostarczaniem książek w europejskich portach traktatowych na chińskim wybrzeżu nie mogły nastarczyć z dostawami. Natychmiast pojawiły się wersje pirackie, fotografowane przez pełnych inicjatywy chińskich przedsiębiorców, oferowane po jednej dziesiątej ceny oryginałów. W większości dużych miast powstały kluby reformatorów, w których podobnie myślący uczeni i urzędnicy mogli spotkać

się, żeby wysłuchać odczytów i podyskutować na temat najsukcesyjniejszych dróg modernizacji Chin.

Najwyższym guru tego reformatorskiego ruchu był charyzmatyczny uczonek z Kantonu o nazwisku Kang Youwei. Zbliżał się do czterdziestki, a w młodości odrzucił konfucjański styl życia chińskiego społeczeństwa. Na jakiś czas pograżył się w ezoterycznych rozważaniach buddyjskich, lecz po kilku miesiącach spędzonych na medytacjach w górach na północ od Kantonu, jego błyskotliwy i wszechstronny umysł zwrócił się ku wiedzy barbarzyńców. Zainspirowany wizytami w europejskich enklawach Kantonu, kiedy miał dwadzieścia dwa lata, Kang zaczął pochłaniać zachodnią wiedzę z chińskich przekładów zachodnich książek, jakie tylko mógł znaleźć w księgarniach na południu Chin. Zdaje się, że stworzył sobie dość dziwny, skomplikowany obraz własnej osoby, i uznał się za inspirowanego przez Zachód buddyjskiego bodhisattwę -istotę ludzką na wyższym stopniu duchowego rozwoju, która, doznawszy oświecenia, porzuca szczęście nirwany, żeby prowadzić inne ludzkie istoty przez osiem stopni na drodze szczęścia. Kang Youwei uważał się za innego typu bodhisattwę, którego powołaniem stało się zbawienie Chin dzięki wykorzystaniu europejskiej wiedzy. W połowie lat osiemdziesiątych XIX wieku pisał: „Przyszedłem na świat po to jedynie, by uratować wszelkie żyjące istoty. Z tego powodu właśnie zamiast mieszkać w Niebiosach, schodzę do Piekieł”.

Żarliwy entuzjazm Kanga dla westernizacji i jego liczne pisma, w których przedstawiał dogłębną analizę dolegliwości, na jakie cierpiał kraj, przyciągnęły do niego wielu konwertytów. W 1888 roku, w wystosowanej do cesarza petycji, Kang opisywał, jak ludzie Zachodu przełamali ochronny pierścień państw buforowych wokół Chin, i jak „obecnie wyciągają ręce po serce Chin. Japonia spiskuje w Korei, Anglia intryguje

w Tybecie, Rosja buduje kolej na północy, zagrażając Pekinowi, Francja zaś syci swe ambicje podbojami w południowo-wschodnich prowincjach". Reformy, argumentował, są niezbędne. Należy odrzucić odwieczne przekonanie, że stare instytucje i tradycje są nienaruszalne. Jeśli Chiny zdobędą się na wprowadzenie wszechstronnych reform, jakich świadkiem jesteśmy w Japonii, „w ciągu dziesięciu lat staną się silnym i zamożnym krajem, w ciągu dwudziestu zaś będą mocarstwem, zdolnym do odzyskania straconych terytoriów i pomszczenia doznanych upokorzeń". Owo gwałtowne wezwanie do czynu nie dotarło jednak do cesarza. Petycja trafiła do rąk konserwatystów, i w końcu „zaginęła" gdzieś w przepastnym labiryncie rządowej biurokracji. Kang był jednak uparty. W kwietniu 1895 roku widzimy go, jak zbiera podpisy około tysiąca trzystu uczonych pod petycją przeciwko proponowanemu układowi pokojowemu z Japonią, ale akcja okazała się spóźniona, bowiem rząd chiński już wcześniej podpisał układ. Niezrażony, w maju tegoż roku wystąpił z następną petycją, i tym razem miał więcej szczęścia. Klęska w wojnie z Japonią i upokarzający traktat z Shimonoseki, doprowadziły już wówczas do trzęsienia ziemi wśród części chińskich elit. Postulaty Kanga, aby przyjąć to, co jest najlepszego w europejskim stylu życia, oraz wykorzystać umiejętności i broń barbarzyńców w celu zapobieżenia rozbiorowi cesarstwa, teraz znalazły niejedno chętne ucho wśród członków mandzurskiej hierarchii władzy. Weng Tonghe, wychowawca cesarza, uprzednio nieprzekonany do tez Kanga, teraz poparł je publicznie. Zhang Zhitong, namiestnik Hangzhou wspierał szanghajski oddział Ojang Xue Hui (Stowarzyszenie do Badań nad Wzmocnieniem Kraju), którego Kang był gwiazdą pierwszej wielkości. Pekijski oddział stowarzyszenia liczył wielu wpływowych członków, a jednym z nich był Yuan Shikai, który miał później odegrać

destrukcyjną rolę w ruchu reformatorskim. Przy poparciu tak wpływowych zwolenników, Kang wreszcie zdołał dotrzeć do cesarza ze swoją drugą petycją.

Analiza sytuacji dokonana przez reformatora Kanga zrobiła duże wrażenie na Guangxu, który myślał podobnie. Kang nie lekceważył zagrożenia ze strony Japonii, ale patrzył na nie kompleksowo, jako na element większej całości. Zdaniem Kanga największym zagrożeniem dla Chin był całkowity rozbiór kraju przez wszystkie mocarstwa, co sprawiało, że „Chiny stoją w obliczu największego niebezpieczeństwa w swojej historii”. Guangxu kazał sporządzić trzy egzemplarze owego dokumentu, z których jeden posłał Jehonali. W lipcu dekret cesarski nakazał gubernatorom i namiestnikom wszystkich chińskich prowincji rozpoczęcie modernizacji. Taki krok musiał uzyskać ciche poparcie Cesarzowej Wdowy, i wydaje się, że w owym czasie nawet Jehonala była zwolenniczką procesu reform.

Niestety, wrodzona inercja chińskiego systemu rządów spowodowała, że większość gubernatorów nawet nie ruszyła palcem, i cesarski dekret stał się kolejnym zwojem pergaminu na stosie złożonym z pobożnych życzeń i nawoływań do dzieła, wydawanych od czasu do czasu przez cesarzy w ciągu dwu i pół stuleci panowania dynastii mandżurskiej. Osobiste interesy uczonych mandarynów były zbyt głęboko zakorzenione w porządku społecznym, by można go było skierować w inną stronę za pomocą słów, a rzeka biurokracji nie przestała toczyć się leniwie i mało skutecznie utartymi meandrami tego samego od wieków łożyska. Głęboko rozczarowany Kang Youwei, w 1896 roku powrócił do Kantonu, gdzie nadal pisał i agitował za reformami, które, jak uważał, były nieodzowne dla uratowania Chin przed rozpadem.

Zaledwie dwa lata później zajęcie przez Niemcy portu Jiaozhou, rozpoczęło wyścig mocarstw w walce o chińskie

terytorium. Widząc słuszość swoich przewidywań, Kang wrócił do Pekinu, kierując jeszcze jeden memoriał do Tronu. Cesarz wydał kolejny dekret, nakazując dopuszczenie Kanga do Zongli Yamen (ówczesnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych), gdzie miał on wyłożyć swe racje. Dodatkową decyzją urzędnicy zostali zobowiązani do zebrania wszystkich ksiązek Kanga, w celu przedłożenia ich cesarzowi. Wystąpienie Kanga przed zwierzchnictwem Zongli Yamen wywarło duże wrażenie na słuchaczach i ponownie wzbudziło zainteresowanie Guangxu. Cesarz zażyczył sobie osobistego spotkania z Kangiem, ale odwiódł go od tego zamiaru książę Gong, stary konserwatysta, zwolennik polityki siły, który argumentował, że tradycja nie pozwala cesarzowi na spotkanie się z urzędnikiem tak niskiej rangi. Guangxu nierozsądnie posłuchał, rozkazując jednak, żeby reformatorowi udzielono wyjątkowego przywileju zaadresowania memoriału bezpośrednio do cesarza. Kang skorzystał z łaskowości cesarza i 29 stycznia 1898 roku przedłożył mu opisany w szczegółach projekt reformy państwa. Twierdził, że tylko całościowa reforma może zbawić kraj, bo metody połowiczne zawsze zawodzą. Sam cesarz powinien ogłosić poparcie dla radykalnego całościowego programu reform. Przede wszystkim trzeba będzie odebrać od wszystkich wyższych urzędników państwowych przysięgę wierności i lojalności; kto nie zechce złożyć takiej przysięgi, będzie musiał odejść ze stanowiska. Po zakończeniu owego wstępnego postępowania należy powołać komitet Dwunastu Mędrców (Komitet do Instytucji Państwowych), który sporządzi i zabezpieczy pakiet reform do momentu ostatecznej aprobaty cesarskiej.

Guangxu działał ostrożnie. Wiedział, że jego niezwykła ciotka wydaje się popierać proces reform, lecz nie ma zamiaru zdradzać, w jakim stopniu, ani w jakim tempie chciałaby

widzieć ich wprowadzanie. Niewykluczone, że Jehonala uznała Guangxu za dogodne narzędzie, za pomocą którego postanowiła eksperymentować przy reorganizacji chińskiego społeczeństwa. Nie ulega wątpliwości, że tak samo jak inni, dobrze rozumiała pilną potrzebę reform. Lecz opoką jej władzy byli nie reformatorzy, lecz konserwatywna warstwa uczonych i reakcyjni wielmoże, bardziej przejęci koniecznością zachowania swych dotychczasowych przywilejów niż miejscem Chin na światowej scenie. Może więc zdecydowała, że lepiej będzie zachować milczenie i nie zdradzać swoich sympatii. W przypadku niepowodzenia cesarskich reform, cała wina spadnie na samego Guangxu, Jehonala zaś będzie mogła odciąć się od nich, twierdząc, że jest tak samo jak inni przerażona narastającymi problemami. Natomiast jeśli wszystko pójdzie dobrze, wówczas na nią, jako „nadzorującą” rządu Guangxu w Państwie Środka, spadnie przynajmniej połowa splendoru i udziału w sukcesie. Mówiąc terminami współczesnymi: Jehonala w każdej sytuacji mogła wygrać wszystko, natomiast jej siostrzeniec stał na pozycji przegranej.

Cesarską proklamacją datowaną na 11 czerwca cesarz spełniał pierwszy postulat Kanga Youweia, opowiadając się otwarcie po stronie reform. Nie zwracając uwagi na głośnie protesty konserwatystów, 16 czerwca przyznał Kangowi prawo do osobistej audiencji i niemal trzy godziny rozmawiał z ożywieniem z tym „urzędnikiem niskiej rangi”. To, co miał on do powiedzenia cesarzowi w czasie owej bezprecedensowej audiencji, utwierdziło cesarza w przekonaniu, że powinien przyjąć w całości polityczną filozofię Kanga. Nie będzie już dalszej zwłoki, koniec grania na czas. Proces reform zaczyna się na poważnie.

Rozpoczęła się seria wydawanych niemal codziennie edyktów cesarskich, która przeszła do historii jako Sto Dni Reform. W ciągu pierwszych dwóch miesięcy Guangxu wydał

dwadzieścia siedem dekretów, które zmierzały do obalenia najgorszych praktyk starego systemu i miały wprowadzić Chiny w nowoczesną erę.

EDYKTY

1. W sprawie założenia uniwersytetu w Pekinie.
2. W sprawie zobowiązania członków rodu cesarskiego do wyjazdów za granicę w celu studiowania amerykańskich i europejskich form sprawowania rządów.
3. W sprawie podejmowania studiów w dziedzinie sztuk, nauk technicznych i rolniczych.
4. Cesarz jest gotów wysłuchać zastrzeżeń konserwatystów wobec postępu reform.
5. Esej literacki nie ma być już podstawowym testem na egzaminie kwalifikującym na stanowiska rządowe.
6. Potępienie osób próbujących przeszkodzić w powołaniu do życia Uniwersytetu Cesarskiego w Pekinie.
7. W sprawie przyspieszenia budowy linii kolejowej Lu-Han.
8. Zalecenie dla wszystkich mandżurskich oddziałów, żeby przyjęły zachodnią broń i metody szkolenia.
9. W sprawie założenia w każdej prowincji szkół rolniczych w celu nauczania nowoczesnych metod uprawy roli.
10. W sprawie wprowadzenia ustawy patentowej i ustawy o prawie autorskim jako zachęty dla wynalazców i autorów; „IÓW. /...,'
11. Urząd ds. Wojny i Ministerstwo Spraw Zagranicznych mają przedłożyć cesarzowi raport na temat nowego systemu egzaminów na stopnie wojskowe.
12. W sprawie specjalnego nagradzania wynalazców i autorów:
13. W sprawie wsparcia, jakiego urzędnicy mają udzielać handlowi i kupcom.

14. W sprawie założenia kuratoriów w każdym większym mieście cesarstwa.

15. W sprawie utworzenia Biura ds. Górnictwa i Biura ds. Kolei Żelaznych.

16. W sprawie zachęcania dziennikarzy do pisania na wszelkie tematy polityczne.

17. W sprawie założenia wyższych szkół morskich i budowy statków szkolnych.

18. Apel do wszystkich ministrów i władz prowincji, żeby spróbowali zrozumieć sens podjętych przez cesarza dokonań, i udzielali mu pomocy w dziele reform.

19. W sprawie otwarcia szkół przy wszystkich chińskich placówkach za granicą, dla dobra przebywających tam chińskich dzieci.

20. W sprawie założenia w Szanghaju biur handlowych, mających stanowić zachętę do intensyfikacji wymiany handlowej.

21. W sprawie likwidacji sześciu biurokratycznych urzędów w Pekinie uznanych za nieprzydatne dla państwa.

22. Każdy, kto zechce, będzie miał prawo składania do Tronu zapieczętowanych memoriałów.

23. W sprawie zwolnienia dwóch prezesów i czterech wiceprezesów Urzędu Rytuałów.

24. W sprawie likwidacji urzędów gubernatora Hubei, Kantonu i Yunnanu, bo są nieprzydatne z punktu widzenia finansów państwa.

25. W sprawie organizacji szkół zawodowych, uczących podstaw produkcji herbaty i jedwabiu.

26. W sprawie likwidacji tradycyjnej, powolnej poczty kurierskiej i zastąpienia jej Cesarską Poczta Celną.

27. W sprawie wprowadzenia systemu budżetowego na wzór krajów zachodnich.

Trudno uznać za niesłuszny jeden chociażby z dekretów Guangxu. Gdyby zalecenia w nich zawarte zostały w całości wprowadzone, Chiny bez wątpienia odzyskałyby swoją pozycję w świecie. Kłopot polegał nie tyle na treści dekretów, co na charakterze doradców, którzy teraz radzili cesarzowi. Wszyscy oni, tak jak ich przywódca Kang Youwei, byli wizjonerami i teoretykami. Nie mając za sobą praktycznego doświadczenia w rządzeniu i aż do bólu świadomi zarówno skali zacofania Chin, jak i niebezpieczeństwa rozbioru kraju przez obce mocarstwa, nastawali na uruchomienie istnej lawiny reformatorskich edyktów. Isaac Headland, który przebywał w północnych Chinach w czasie Stu Dni, pisze, że jego chiński znajomy, członek wielce poważanej Akademii Hanlin, już po ukazaniu się szóstego spośród kilkudziesięciu edyktów zauważył, że: „Jeżeli cesarz będzie w dalszym ciągu wprowadzał reformy w tym tempie, dojdzie do poważnych kłopotów”. Tragedią było to, że wśród doradców cesarza nie znalazł się ani jeden, który umiałby podobnie głęboko spojrzeć w przyszłość. Gdyby biurokracji dano czas na przyswojenie sobie zmian (a każda z nich, przypomnijmy, była dla kasty rządzącej zmianą na skalę epoki), może wywołany nimi szok nie byłby tak wielki. Lecz oszalamiające tempo, w jakim zmiany te ogłaszano, powodowało coraz ostrzejszy opór ze strony starej gwardii. Mimo to, dopóki Guangxu zadawał się po prostu tworzeniem nowych urzędów „na wzór zachodni”, ich własne zaś interesy pozostawały nienaruszone, konserwatyści siedzieli cicho, śledząc zawistnie, w dobrze pojętym własnym interesie, do jakich nowych pomysłów przymierzał się cesarz.

Niestety, entuzjaści reform dodali do poprzednich błędów cesarskie edykty 21, 23, 24 i 26. Te dokumenty oznaczały w praktyce frontalny atak na przywileje i synekury najbardziej wpływowych i najlepiej ustosunkowanych urzędników i wiel-

możów. Reakcyjniści ruszyli do akcji. Do konfrontacji doszło na początku września, kiedy Xu Yingkui, prezes Urzędu Rytuałów, nie dopuścił do przekazania cesarzowi memoriału od sprawującego funkcję młodszego sekretarza Wang Zhao, co stanowiło pogwałcenie zapisów Cesarskiego Edyktu 22. Już poprzednio kilku innych wysokich urzędników bezkarnie zlekceważyło dekrety cesarskie, tak więc Xu - sam będąc wrogiem ruchu reform - mógł przypuszczać, że jego akt niesubordynacji również pozostanie niezauważony. Mylił się. Ku ogólnemu zdumieniu cesarz postąpił z nietypową dlań surowością: zarówno Xu, jak i wszyscy pozostali wyżsi urzędnicy w Urzędzie Rytuałów, zostali z miejsca pozbawieni stanowisk. Parę dni później, 5 września, Guangxu do obsługi Wielkiej Rady mianował czterech młodych reformatorskich sekretarzy, którzy „w praktyce mieli przejąć obowiązki członków Wielkiej Rady.” Dwa dni później ze stanowiska w Zongli Yamen zwolnił weterana Li Hongzhang. Starej gwardii rzucono w twarz rękawicę. Na reakcję nie trzeba było długo czekać.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Atak i kontratak

Zdymisjonowani członkowie Urzędu Rytuałów poprosili o audiencję u Jehonali. W obecności sprzyjających im członków dworu wyłożyli swoje skargi na cesarza i błagali na kolanach, żeby zechciała przejąć ster rządów. Jehonala nie reagując wysłuchała ich skarg i życzeń, i zakończyła audiencję, ani słowem nie zdradzając własnej opinii. Mistrzyni intrygi nigdy nie zdradzała swych poglądów i nikt nigdy nie wiedział, po czyjej stronie stanie.

Guangxu był jednak przekonany, że zgadł, co zamierza ciotka, i przeraziła go ta wiedza. W trakcie ceremonialnej wizyty, oddając jej zwykle hołdy, stwierdził, że Jehonala stała się zdecydowaną przeciwniczką reform. Jego argumenty już do niej nie trafiały. Rozeszła się pogłoska, że wyznaczona na 19 października inspekcja cesarskich wojsk w Tianjinie, miała stać się okazją do aresztowania cesarza i zmuszenia go do abdykacji. Dnia 13 września cesarz wysłał przez zaufanego sekretarza dekret (dla bezpieczeństwa pisany jego własną ręką) do Kang Youweia:

Z uwagi na obecną trudną sytuację, uznałem, że tylko reformy mogą uratować Chiny, i że można ich dokonać tylko po zwolnieniu konserwatywnych ministrów i nieuków, na których miejsce przyszliby ludzie inteligentni i odważni. Jej Łaskawa Wysokość

Cesarzowa Wdowa nie wyraziła jednak zgody. Staralem się wielokrotnie ją przekonać, ale jej Wysokość wpadała tylko w większą złość. Ty, Kang Youwei, a także Yang Rui, Lin Xu oraz Tan Sitong macie zastanowić się natychmiast nad tym, w jaki sposób możecie mnie uratować.

Zatroskany i pełen szczerej nadziei.

Cesarz żądał zbyt wiele od żarliwych, lecz naiwnych reformatorów. Wszyscy oni byli teoretykami, absolutnie niezorientowanymi w grze o władzę, nienadającymi się do dworskich intryg. Skoro jednak cesarz prosił o pomoc, podjęli rozpaczliwą próbę znalezienia jakiegoś sposobu na „uratowanie” jego i całego programu reform. Jak wynikało z listu cesarza, Jehonala była tą rafą, na której miały się rozbić wszystkie ich nadzieje. Racjonalne argumenty nie zdołały przekonać Cesarzowej Wdowy; wydawało się więc, że jedynym wyjściem jest teraz użycie siły. Po długich dyskusjach reformatorzy zdecydowali, że tylko zamach stanu, połączony z uwięzieniem Jehonali, może zagwarantować odrodzenie Chin.

Gang i jego uczeni koledzy zaczęli gwałtownie szukać zaufanego człowieka czynu, który mógłby zrealizować ich plan. Coraz bardziej zdesperowani, postanowili w końcu wybrać Yuana Shikaia, oficera należącego od dawna do OJang Xue Hui, (Stowarzyszenia do Badań nad Wzmocnieniem Kraju), a teraz dowodzącego najlepiej wyszkoloną i najnowocześniejszą jednostką chińskich sił zbrojnych. Niski, muskularny, z gładko wygoloną głową „Yuan wydawał się być [...] uosobieniem wielkiej energii”, a wyjątkowymi osiągnięciami w Korei i umiejętnością wdrażania najnowszej zachodniej techniki wojskowej, pozyskał podziw, a nawet zaufanie cesarza. Wydaje się, że Guangxu wiedział o proponowanym zamachu stanu i zgadzał się na jego przeprowadzenie. Przyjął generała

Yuana Shikaia na audiencji 16 września i mianował go honorowym wiceprezesem Urzędu Wojny, co było bardzo wysoką funkcją dla tak młodego oficera. Następnego dnia spotkali się ponownie, lecz nie wiadomo, co zaszło między nimi w czasie tego drugiego spotkania.

Czujną jak zwykle Jehonagę na pewno zaniepokoiły doniesienia o tych wypadkach. Nie wiedząc, po czyjej stronie stoi młody oficer, poleciła Rong Lu, żeby zatelegrafował do Juan Shikaia z Tianjinu i przekazał mu prawdopodobną, ale całkowicie wymyśloną wiadomość o podwyższonym stanie napięcia w tym regionie, nakazując Yuanowi natychmiastowy powrót do Tianjinu (i tym samym skutecznie separując go od cesarza). Lecz spiskowcy też już ruszyli do akcji. Tej samej nocy Yuana Shikaia odwiedził Tan Sitong, jeden z czterech mężczyzn, których cesarz prosił o zastanowienie się nad tym, „w jaki sposób możecie mnie uratować”. Syn gubernatora prowincji Hubei, zrezygnował z życia w luksusie, jakie mógł prowadzić dzięki rodzinnym układom i, jak to zwykle bywa z rozpieszczonymi młodzieńcami w roli rewolucjonistów, jego poglądy odznaczały się wyjątkowym ekstremizmem na tle innych reformatorów. Nie owijając spraw w bawełnę Tan powiadomił Yuana o spisku i prosił go o uratowanie cesarza, „zlikwidowanie opornych i zaprowadzenie porządku w pałacach”. Sugerował, iż Yuan powinien usłuchać rozkazu i natychmiast powrócić do Tianjinu, lecz tylko po to, by zaaresztować i zlikwidować swego przełożonego oficera Rong Lu, dawnego kochanka Jehonali. Następnie wraz ze swoimi oddziałami miał pomaszerować na Pekin, otoczyć Letni Pałac, i odizolować Cesarzową Wdowę od jej konserwatywnych sprzymierzeńców. Według niektórych relacji Tan otwarcie stwierdził, że Jehonagę trzeba usunąć, i zaofiarował siebie w roli kata. Wówczas cesarz, według Tana, miałby rozwiązane ręce i mógłby kontynuować swój program reform.

O sile i tajemniczej aurze, jaka otaczała Jehonagę, wiele mówi ów fakt, że spiskowcy widzieli klucz do powodzenia swego planu w odizolowaniu lub zamordowaniu tej drobnej, mającej już wówczas 64 lata Mandzurki. Wciąż jeszcze uważano ją za siłę napędową władzy i dynamiczny mózg, którego zimne wyrachowanie i zdecydowane działanie było nieodzownie potrzebne obozowi reakcyjnemu. Odetnij głowę, a umrze ciało antyreformatorów. Tan zażądał od Yuan Shikaia jednoznacznej odpowiedzi. Wahania i wątpliwości młodego wojskowego przeciął zdecydowanym pytaniem: jesteś z nami, czy przeciwko nam? W swym dzienniku Yuan Shikai notuje, że wyrzucenie pasa u jego gościa zdradzało, iż nosił przy sobie broń. Domyślając się, że spiskowcy nie pozwolą mu przeżyć, jeżeli odpowie odmownie na ich propozycję, Yuan rzekł: „W październiku cesarz przyjedzie do Tianjinu na inspekcję wojsk. Całe wojsko będzie zgromadzone na przegląd, jeśli jego Wysokość wyda rozkaz, któż odważy się odmówić jego wykonania?”. Najwyraźniej usatysfakcjonowany tą raczej dwuznaczną odpowiedzią, Tan opuścił Yuan Shikaia, aby poinformować swych kolegów spiskowców, iż znaleźli właściwego człowieka i mogą zająć się planowaniem zamachu.

Następnego ranka „człowiek czynu” wybrany przez reformatorów złożył trzecią, krótką wizytę cesarzowi, po czym udał się pociągiem do Tianjinu. Według niektórych relacji, miał przy sobie małą strzałkę daną mu przez cesarza jako symbol monarszej władzy; według innych wiozł tajny dekret cesarski pisany tuszem w kolorze ochry i potwierdzający w najdrobniejszych szczegółach plan zamachu, przedstawiony mu poprzedniego wieczoru przez Tan Sitonga. Niezależnie od tego, która z owych relacji była prawdziwa, nie ulega wątpliwości, że oficer o czaszce ogolonej na kształt kuli armatniej, miał o czym myśleć, kiedy pociąg uwoził go na wschód,

w kierunku Tianjinu. Przyłączenie się do Kang Youweia niewątpliwie posunęłoby naprzód sprawę reform, które - jak Yuan Shikai dobrze wiedział - były konieczne dla uratowania Chin. A także, jak oświadczył Tangowi, gdyby cesarz wydał mu rozkaz, jego obowiązkiem byłoby posłuszeństwo - wszak tego i niczego więcej wymagało od niego wyszkolenie i kultura. Wszystko to nie było jednak takie proste. Jeśli cesarz chciał wystąpić przeciwko własnej ciotce, to on deptał tradycyjne chińskie wartości, gdyż to Jehonali, jako najczcigodniejszej osobie ze starszego pokolenia, Guangxu winien był posłuszeństwo i najgłębszy szacunek. Czy należało kierować się tradycją i okazywać posłuszeństwo cesarzowi, skoro ten sam cesarz miał zamiar popełnić świętokradztwo, pogwałcając tę świętą tradycję? W praktyce Yuan Shikai musiał skrzętnie obliczyć, jakie szanse ma to całe przedsięwzięcie, wszystkie za i przeciw. Było ono niewątpliwie w najwyższym stopniu ryzykowne: Yuan Shikai dowodził zaledwie siedmioma tysiącami żołnierzy (wprawdzie lepiej uzbrojonych i wyszkolonych) przeciwko potężnej, stutysięcznej armii Rong Lu. Z drugiej jednak strony, gdyby udało się zlikwidować Rong Lu, wówczas jego armia, pozbawiona dowódcy, może w swojej masie przeszłaby na stronę reformatorów. Ale żołnierze równie dobrze mogliby rozedrzeć na strzępy człowieka strzelającego do ich dowódcy. Jeżeli jednak z kolei jego misja skończyłaby się sukcesem, za jednym zamachem stałby się najpotężniejszym człowiekiem w cesarstwie i zyskał dozoną wdzięczność cesarza, który dosłownie obsypałby go zaszczytami i złotem. Tymczasem, niestety, trzeba wziąć pod uwagę także to, że konserwatywne stronnictwo u dworu jest silne, gniew zaś Jehonali mógłby być straszny dla zdrajcy. Ale jednak...

Kiedy pociąg wjeżdżał na dworzec w Tianjinie, gdzie na peronie witała go specjalnie przysłana orkiestra, żeby uczcić je-

go niedawny awans, Yuan Shikai podjął już decyzję. Bardzo zdenerwowany, pojechał do głównej kwatery Rong Lu. Siedząc w zamkniętym pokoju, oko w oko ze starym mandzurskim wojownikiem, przestał się wahać. Kilka lat temu obaj oficerowie złożyli sobie przysięgę wierności na braterstwo krwi i teraz Yuan zapytał Rong Lu, czy ten nadal uważa go za wiernego owej przysiędze. „Oczywiście, że tak” - miał odpowiedzieć zdumiony tym pytaniem Rong Lu. - „I słusznie czynisz - odparł Yuan Shikai - ponieważ cesarz przysyła mnie, żebym cię zabił, a ja, zamiast cię zabijać, mówię ci o tym, z uwagi na moją lojalność wobec Cesarzowej Wdowy i miłość do ciebie”. Yuan Shikai ujawnił wszystkie szczegóły planu reformatorów zdumionemu Rong Lu, którego szeroko rozgałęziona siatka wywiadowcza najwyraźniej nie wiedziała nic o tej konspiracji.

Rong Lu nie marnował czasu. Razem z Yuanem wsiadł do pociągu, który powiózł ich obu do stolicy, gdzie zajechali tuż po godzinie piątej po południu. Lekceważąc wszelkie zwyczajowe formy, Rong Lu wdarł się do Miasta Zakazanego, roztrącając zdumionych strażników, którzy nie śmieli zatrzymać oficera tak wysokiej rangi, a następnie wjechał koniem w tłum przerażonych eunuchów, do których dotarła już pałacowa plotka, że szykuje się coś strasznego. Szybko ustalił, gdzie przebywa Jehonała, i z Yuanem u boku pobiegł przez pogrążone już w mroku korytarze, wypadając z Miasta Zakazanego przez zachodnią bramę. Pobiegli w kierunku ozdobnego Ołtarza Jedwabników na północno-wschodnim brzegu jeziora Bei Hai. Jehonała, wyjątkowo nieświadoma grożącego niebezpieczeństwa, dopiero co ukończyła rytualną ofiarę ku czci Bóstwa Hodowli Jedwabników. Upadłszy przed nią na kolana i bijąc czołem o ziemię oraz błagając o przebaczenie za tak zuchwałe wtargnięcie przed jej oblicze, najwierniejszy ze zwolenników

Jehonali odsłonił przed nią spisek jej siostrzeńca cesarza, który zamierza przechwycić całą władzę, zamordować Rong Lu, oraz uwięzić, a być może także uśmiercić ją samą.

Te rewelacje stanowiły ciężki cios dla Jehonali: musiała pogodzić się z tym, że Guangxu nie tylko zdradził ją i jej stronnictwo, ale przy tej okazji odrzucił odwieczną tradycję, nakazującą mu wobec niej synowską miłość i posłuszeństwo, która - jak uważali konserwatyści - odróżniała Chiny od barbarzyńców. Zostawiła cesarzowi wolną rękę, żeby pchnął do przodu sprawę reform, nie ryzykując buntu konserwatystów przeciwko jej rządowi. Lecz ten wybieg zwrócił się obecnie przeciwko niej. Cesarz, który dotychczas wydawał się być kontrolowaną przez nią marionetką, o mało nie odebrał jej władzy i prestiżu, o których zachowanie walczyła przez całe życie. Z zimną determinacją w obliczu zagrożenia i z całkowitym brakiem skrupułów, które odróżniały ją zarówno od przyjaciół, jak i od wrogów, Jehonala zmobilizowała się do natychmiastowego działania i wydała szereg rozkazów. Nim minęły dwie godziny, zgromadzili się przed nią „wszyscy członkowie Wielkiej Rady, wielu mandzurskich książąt i innych wielmożów [...] i urzędnicy sprawujący wysokie funkcje państwowe, w tym ministrowie, których cesarz pozbawił stanowisk. Wszyscy zgromadzeni padli na kolana, błagając ją, żeby zechciała przejąć ponownie rządy w cesarstwie. Jehonala nie miała najmniejszego zamiaru odmówić ich prośbom. Rozpoczął się kontratak.

Pod osłoną ciemności przewieziono z Tianjinu do Pekinu oddziały wierne Rong Lu, które zastąpiły strażników strzegących Miasta Zakazanego. Wczesnym rankiem następnego dnia cesarz, najwyraźniej nieświadomy faktu, że jego spisek (o ile kiedykolwiek naprawdę wszystko o nim wiedział) został odkryty, wszedł do pawilonu Zhong He, żeby dokonać próby rytualnych ceremonii ofiarowania jesiennego, wyznaczonych

na następny dzień, a wierni Jehonali eunuchowie zajęli po cichu swoje miejsca, po czym uzbrojeni strażnicy obstawili salę. Chwilę później, gdy cesarz opuszczał salę, otoczyli go żołnierze i w towarzystwie eunuchów wyekspediowali z Miasta Zakazanego do Nan Hai Hu, najbardziej południowego z trzech pałacowych jezior. Na samym środku jeziora leżała wysepka a na niej - ukryte wśród drzew i skał - pałacyk i pawilon, zwane Tarasem Oceanu, do których można było dojść jedynie przez długą groblę zakończoną strzeżonym przez żołnierzy zwodzonym mostem. Cesarza zaprowadzono pod strażą do Oceanicznego Tarasu i tam pozostawiono, odmawiając mu towarzystwa opiekujących się nim zwykle eunuchów; miał tutaj czekać na przybycie swej dostojnej ciotki.

Jehonala przetrzymała Guangxu przez wiele godzin, żeby zmiekkł niepewny swego losu. Kiedy się w końcu pojawiła (towarzyszył jej tylko Główny Eunuch Li Lianying), była w mściwym nastroju. Ma zamiar oszczędzić jego życie, powiedziała przerażonemu Guangxu, ale będzie go trzymać tutaj, w Tarasie Oceanu, pod najściślejszym nadzorem: każdy jego ruch, każde słowo, będą spisywane i natychmiast przekazywane do jej wiadomości. „Jak śmiał zapominać o tym wszystkim, co jej zawdzięcza, o tym, że go wyniosła na tron, i łaskawie pozwoliła jemu sprawować rządy, nędznej marionetce, człowiekowi, który nie miał wszak żadnych praw do tronu, i którego ona może tych praw pozbawić w każdej chwili?" Inna relacja z owych wydarzeń, spisana przez księcia De Linga, przenosi scenę konfrontacji Jehonali z Guangxu do apartamentów cesarskich. Nieco inne są także zanotowane słowa, lecz identyczna jest w obu przypadkach nieubłagana wrogość Jehonali.

Perłowa Konkubina, ulubiona towarzyszka Guangxu, błagała Jehonale, żeby oszczędziła cesarzowi dalszych prześladowań. Jehonala musiała potraktować to wstawiennictwo jako

wyjatkową bezczelność i kazała wyprowadzić konkubinę sprzed swego oblicza i uwięzić w innej części Miasta Zakazanego. Jeszcze po latach nie przestała jej nienawidzić, i gdy wreszcie nadarzyła się okazja, ukarała ją w sposób surowszy od uwięzienia. Usunąwszy jego jedyną przyjaciółkę, Jehonała kazała teraz swej siostrzenicy i małżonce cesarskiej Longyu towarzyszyć cesarzowi, zapewniając sobie w ten sposób stały dopływ informacji o jego poczynaniach z całkowicie pewnego źródła.

Obaliwszy siostrzeńca i trzymając go pod kluczem w trwożnej niepewności własnego losu, Jehonała zwróciła się teraz przeciwko jego zwolennikom. Od razu na początku zwolniła eunuchów Guangxu; czternastu z nich na wyraźny rozkaz Jehonali skazano wkrótce na śmierć. Pozostałych kazała przenieść na podrzędne stanowiska w odległych regionach kraju. Weng Tongha, który polecił cesarzowi reformatora Kang Youweia, pozbawiono wszelkich zajmowanych stanowisk; to samo spotkało gubernatora prowincji Hunan, który był tak zuchwały, iż posłuchał cesarza i próbował wprowadzić sugerowane reformy w zarządzanej przez siebie prowincji. Zhang Yinhuana, kantońskiego członka stowarzyszenia Zongli Yamen (którego królowa Wiktoria mianowała Wielkim Komandorem Orderu Św. Michała i Św. Jerzego) wygnano na pustynię Nowych Zachodnich Dominiów (Xinjiang). Odrzucił on brytyjską ofertę ratunku, i dwa lata później został uśmiercony na wygnaniu w makabrycznych okolicznościach. Członkowie rodziny cesarskiej też nie uniknęli „boskiego gniewu” Jehona-li: Cai Chu, którego reformistyczny zapał skłonił do namawiania cesarza, aby zabronił Jehonali mieszania się do rządów, skazany został na dożywotnie uwięzienie w „Pustej Komnacie”, ponurym więzieniu w cesarskim pałacu. Chociaż Jehonała obiecała, że nie zarządzi ogólnej proskrypcji, mimo to jed-

nak setki, być może nawet tysiące niższej rangi urzędników zostało zwolnionych ze stanowisk, wielu zaś skazano na wygnanie. Nie zaspokoilo to jednak żądy odwetu, jaka kipiała w sercu Jehonali. Egzekucje wszystkich czołowych reformatorów były sprawą przesądzoną, ale ponad wszystko Jehonala chciała być świadkiem uwięzienia i śmierci przywódców spisku: Kang Youweia i Tan Sitonga.

Kiedy Jehonala ruszyła do kontrataku, Kang wiódł niefrasobliwe życie. Najpierw starał się bezskutecznie pozyskać pomoc dla cesarza ze strony zachodnich mocarstw, potem beztrąsko wyruszył do Tianjinu, by tam wsiąść na statek do Szanghaju, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z ceny wyznaczonej za jego głowę. Przyjaciele radzili mu jechać w przebraniu, ale Kang odmówił, uważając, że „śmierć i życie są zawczasu postanowione”. Choć podróżował nie ukrywając twarzy i kręcąc się po Tianjinie, jakimś cudem uniknął aresztowania, zaś w Zhifu umknął tylko dlatego, że nakaz aresztowania przysłany miejscowym urzędnikom był zakodowany, nikt zaś w porcie nie posiadał klucza do odcyfrowania depechy - która z pewnością zawierała wyrok śmierci na Kanga. Dopiero na pokładzie parowca do Szanghaju dowiedział się o kontrataku od brytyjskiego urzędnika², który następnie pomógł mu prześlizgnąć się pod eskortą dwóch okrętów brytyjskiej marynarki wojennej do Hongkongu, będącego już we władaniu Brytyjczyków. Ostatecznie Kang wylądował aż w Japonii, z której, niczym z bezpiecznej przystani, przez całe lata potępiał reżim i Jehonale, którą oskarżał o najgorsze przestępstwa.

Fanatyczny we wszystkim Tan Sitong zdecydował, że zostanie w stolicy, i zapłacił najwyższą cenę za swoją odwagę.

² Tym urzędnikiem był J.O.P. Bland, współautor klasycznej pracy *China Under the Empress Dowager*.

Jego i pięciu innych spiskowców aresztowano i zawleczono przed Urząd Karny. Dokumenty znalezione w mieszkaniu Kanga nie pozostawiały cienia wątpliwości co do ich winy, i Wielka Rada opowiedziała się za ich bezzwłoczną egzekucją. Jehonala zgodziła się z tym wyrokiem, i to bynajmniej nie tylko ze względu na zemstę - były powody polityczne, dla których wyrok należało wykonać jak najszybciej: reformatorzy byli Chińczykami, a nie Mandżurami, i prawie wszyscy pochodzili z południowych prowincji. Długotrwały proces mógłby zaostrić napięcie między południowcami a ich mandżurskimi władcami, i doprowadzić do rewolty. Mężczyzn, znanych ogółowi jako Sześciu Dzentelmenów Ruchu Reform, wyprowadzono poza mury miasta, gdzie w obliczu tłumu gapiów odważnie spojrzeli na przygotowany miecz kata. Tan aż do końca, zachował swą zwykłą brawurę, wykrzykując zuchwale: „Godzę się przelać mą krew, jeżeli pomoże to ocalić mój kraj. Każdego, który ginie dzisiaj, w przyszłości zastąpi tysiąc innych, i oni poprowadzą dalej sprawę reform i nie pozwolą na uzurpację władzy”.

Tak zakończył się wielki eksperyment Guangxu. Obecnie Jehonala wydawała jeden edykt za drugim, systematycznie znosząc reformy zadekretowane poprzednio przez cesarza, budząc tym radość stronnictw reakcyjnych. Powrót do starego stylu rządów był tak całkowity, że zmiany zainicjowane w trakcie Stu Dni Reform mogły się wydawać snem: uczeni ponownie ślęczeli z piórem i tuszem, komponując kłopotliwe „oparte na ośmiu zasadach” eseje kwalifikujące do służby państwowej; przysyłane przez uczciwych ludzi memoriały odkładano na bok bądź cenzurowano; prasa znalazła się ponownie pod kontrolą rządu; zaś „durni ludzie” - jak Państwo Środka długie i szerokie - nadal uprawiali pola, nie korzystając z udogodnień nowoczesnej techniki rolniczej. Elita mandżurska, uwol-

niona od uciążliwego obowiązku pobierania nauk za granicą, z ulgą powróciła do swych ulubionych zajęć: knucia dworskich intryg i zapuszczania do monstrualnych rozmiarów paznokci u palców dłoni. Chiny ponownie stały się Chinami. Jehonała zaś, świdrująca wszystkich wzrokiem i wszechpotężna, teraz była nawet jeszcze bardziej bezpieczna na Tronie Smoka.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Napinanie mięśni

Reakcyjniści triumfowali na wszystkich frontach, lecz kłopoty Chin, zarówno wewnętrzne jak i zewnętrzne, pozostały. Poza wrodzonym egoizmem klasy rządzącej, główny problem sprowadzał się do następującej kwestii: czy Chiny mają pozostać w sposób oczywisty „chińskie”, ze swoją wielowiekową „wyższą” kulturą, odróżniającą je od zachodnich barbarzyńców, czy też powinny odrzucić stare prawo przodków i przyjąć merkantylną filozofię Zachodu, z obcymi Chińczykom systemami rządów i wymiaru sprawiedliwości? Guangxu doradzał zmiany, lecz jego patent na wzmocnienie Chin drogą naśladowania społecznych, edukacyjnych i wojskowych obyczajów Zachodu zakwestionowała Jehona i jej zwolennicy, uważając za całkowicie niemożliwy do przyjęcia. Z ich punktu widzenia Zachód mógł reprezentować wyższy poziom rozwoju przemysłowego, a zwłaszcza zbrojeniowego, lecz cywilizacyjna i moralna wyższość Chin nie ulegała dla nich wątpliwości. Sama Jehona zaś, mimo iż dostrzegała pilną potrzebę zmian, była ciągle - podobnie jak większość ludzi w rządzonej przez nią kraju - przywiązana do systemu opartego na precedensach i dekretach, w których widziała spoiwo utrzymujące jedność cesarstwa. Reakcyjniści uważali, że bez owego społecznego spoiwa nawa

państwowa utraciłaby ster i zaczęła chaotycznie dryfować na łasce zmiennych prądów i wiatrów, kraj zaś pogrążyłby się w anarchii. Jehonala nie mogła wyobrazić sobie społeczeństwa, w którym prawa przodków zostałyby zapomniane.

Najpilniejszym teraz zadaniem była, z jednej strony, obrona kraju przed narastającą agresją mocarstw zachodnich oraz Japonii, z drugiej zaś zachowanie unikalnej spuścizny Państwa Środka. Jak pod koniec XX wieku rząd chiński próbował zachować swoją wersję socjalizmu, jednocześnie głosząc doktrynę wolnego rynku, tak sto lat wcześniej Jehonala i jej ministrowie zdecydowali, że Chiny trzymać się będą podobnie schizofrenicznej polityki: kraj będzie rządzony tak jak dotychczas, i tylko w jednym będzie naśladował Zachód - w dziedzinie zbrojeń. Decyzji tej towarzyszyła całkowita zmiana w polityce zagranicznej. Od tego momentu miano nie czynić już żadnych dalszych ustępstw wobec obcych mocarstw. Dnia 28 września Jehonala sprowadziła Rong Lu z Tianjinu do stolicy i mianowała go kolejno: członkiem Wielkiej Rady, prezesem Urzędu Wojny, i Wysokim Komisarzem Cesarstwa, powierzając mu dowództwo nad czterema korpusami armijnymi broniącymi stolicy. Rong Lu natychmiast rozpoczął reorganizację armii północnej, tworząc nowy, dziesięcioletni korpus Naczelnego Dowództwa bezpośrednio pod swoimi rozkazami, oraz rozbudowując i modernizując pozostałe dywizje, tak że 27 czerwca następnego roku miał pod swoim bezpośrednim dowództwem pięć armii liczących około sześćdziesięciu tysięcy żołnierzy. Członka Wielkiej Rady i żarliwego konserwatystę Gang Yi wysłano w dolinę rzeki Jangcy, żeby przeprowadził modernizację sił zbrojnych w tamtym regionie, a przede wszystkim żeby zabezpieczył dopływ pieniędzy z tamtejszych podatków do Pekinu na finansowane przez rząd centralny

zbrojenia, a nie do kieszeni miejscowych gubernatorów. Okazał się tak skuteczny w realizacji tych zadań, że Jehonała w osobnym edykcie wychwalała później żarliwość Ganga, a prasa zagraniczna nadała mu przydomek „Gang, Najwyższy Szantażysta”. Generałowi Chang Shunowi powierzono reorganizację sił obronnych w Mandżurii, gdzie tuż za granicą czyhał rosyjski niedźwiedź, a komisarz Li Bingheng wysłany został do Mandżurii w tym samym celu co Gang nad Jangcy.

Pierwszą oznaką tego, że melon nie zamierza pozwolić na to, by odkrawano od niego kolejne plastry, było wydarzenie z marca 1899 roku, kiedy chińscy wieśniacy zamordowali trzech Niemców koło miasta Richao w prowincji Shandong, w pobliżu niemieckiej już wówczas bazy w Jiaozhou. Wojsko niemieckie zareagowało na to w sposób całkowicie przewidywalny, najeżdżając ten rejon, paląc dwie wioski i okupując miasto Richao. Odpowiedź Chińczyków była nietypowa, gdyż nie zaakceptowali tego wrogiego aktu. Ambasador Chin w Berlinie zapewnił rząd kajzera, że obywatele niemieckich otacza się w Chinach opieką, jednocześnie wystosowując ostry protest przeciwko niemieckiej agresji. Gubernatorowi Shandongu kazano wysłać wojsko do owego regionu i nie „przystawać w nieskończoność na agresywne żądania Niemców”. Na szczęście obce wojsko zdążyło wycofać się na czas, ale reakcja Chin dawała wszystkim zainteresowanym do zrozumienia, że wprawdzie Chińczycy nie mają ochoty na konflikt, to jednak każdy nowy akt obcej agresji spotka się teraz ze zbrojnym oporem.

Okazując fatalne wyczucie czasu rząd włoski wybrał ten właśnie moment, żeby zażądać od Chin zgody na dzierżawę zatoki Sanmen w prowincji Zhejiang, wraz ze zwykłym w przypadku poprzednich „dzierżaw” pakietem praw do transportu kolejowego i górnictwa w tymże rejonie. Włosi nie mieli

ani pretekstu prawnego, ani nawet interesów gospodarczych wokół tej zatoki. Włochy doszły po prostu do wniosku, że przecież też są wielkim mocarstwem, a ponieważ pozostałe wielkie mocarstwa wykroiły dla siebie po kawałku Chin, więc ich prestiż wymaga podobnego kawałka dla Włoch. Wielka Brytania dała Włochom do zrozumienia, że poprze ich żądanie, więc redakcja londyńskiego „Timesa” wysłała do swego pekińskiego korespondenta George'a E. Morrisona tajemniczą, zaszyfrowaną depezę: „MORRISON PEKIN PAMIĘTAĆ PRZYJAŹŃ MAKARONIARZY TIMES”. Oficerowie chińskiej służby wywiadowczej nieźle musieli się nagłowić, by zrozumieć treść owego telegramu.

Na nieszczęście w imieniu Włoch negocjacje prowadził włoski ambasador w Pekinie, signor de Martino, „człowiek w ciągłym stanie napięcia, łatwo podniecający się i skrajnie przesądny, wierzący w tajemne znaki i zjawiska nadprzyrodzone. Poprzednio reprezentował swój kraj w Japonii i Brazylii, gdzie pewnego dnia odmówił podpisania ważnej konwencji, ponieważ w drodze do Ministerstwa Spraw Zagranicznych zaszedł mu drogę zezowaty człowiek”. Okoliczności zewnętrzne również sprzyściły się, żeby zamienić groźnie brzmiące włoskie żądanie w sytuację z *commedii de Warte*. Ministrowie z Zongli Yamen, mimo starań, nie byli w stanie ustalić, o jaką mianowicie zatokę chodzi Włochom. Jak by tego było mało, Chińczycy nie bardzo wiedzieli, kogo lub co reprezentują ci dziwaczni *Italien*, „mieli tylko niejasne wrażenie, że jest to jakieś państewko, którego armię pobili niedawno jacyś czarni barbarzyńcy w Afryce”. Nie chcąc podejmować żadnej decyzji, i sądząc - raczej błędnie - że pomoże to w jakiś sposób signorowi de Martino „zachować twarz”, Chińczycy po prostu odesłali włoski dokument bez komentarza z powrotem na jego adres.

De Martirio wpadł we wściekłość, lecz okoliczności dały Chińczykom dodatkowy dzień na refleksję, gdyż ostateczna konfrontacja przypadała trzynastego dnia miesiąca, w którym przesądny włoski ambasador nie załatwiał żadnych spraw z obawy przed „urokiem” (nawet nie ośmielał się wymieniać tej daty, zwykle nazywając ten dzień „dniem lisa”). Niestety to opóźnienie tylko jeszcze bardziej podnieciło signora de Marti-no. Działając na własną odpowiedzialność, rozkazał włoskim kanonierkom wypłynąć na Morze Żółte, wysyłając jednocześnie lakoniczne ultimatum do władz chińskich, w którym żądał natychmiastowego podporządkowania się jego żądaniom. Zaniepokojona tak nieoczekiwanym zwrotem sytuacji, Wielka Brytania natychmiast wycofała Włochom swe „dyplomatyczne poparcie”. Chiny zresztą i tak nie uległy szantażowi: zignorowały obecność włoskich okrętów i po prostu udały, że nie było żadnego ultimatum. Signor de Martino znalazł się w takiej sytuacji, w której musiał wyłożyć karty na stół - Włochy zaś musiały teraz albo „dać spokój, albo strzelać”. Po kilku dniach napięcia Europejczycy zrezygnowali pierwsi; de Martino, okryty niesławą, został odwołany do Włoch, a żądanie koncesji w zatoce Sanmen (jeśli taka kiedykolwiek istniała na mapie) przestało być aktualne.

Ta kolonialna komedia omyłek będzie miała daleko idące konsekwencje. Prestiżowe zwycięstwo w konfrontacji z Włochami przekonało Jehonagę i wielu na jej dworze, że ich nowa strategia jest słuszna. Jeżeli uda się zniwelować militarną przewagę Zachodu, barbarzyńców będzie można utrzymać na dystans i ostatecznie przegnać ze świętej chińskiej ziemi. Chiny niecierpliwie wyczekiwały nadejścia takiego dnia porachunków z obcymi diabłami i, za zezwoleniem Jehonali, prowadziły coraz energiczniejsze prace nad zbrojeniami i reorganizacją wojska.

W tym bardzo ryzykownym psychologicznie momencie, kiedy nadzieje Jehonali poszybowały tak wysoko, los sprzysiął się przeciw niej, zwracając jej uwagę na pewną grupę ludzi ćwiczących się w sztuce wojennej, chełpiących się wyjątkowymi zdolnościami i nadnaturalnymi przymiotami, dzięki którym zepchną do morza „długie nosy”. Wykorzystując zabobonną naturę i ksenofobię Jehonali, przekonali ją, że dzień zapłaty za chińskie krzywdy jest bliski, i sprawili, że pogrążyła Państwo Środka w konflikcie, który ostatecznie doprowadził do zniszczenia starego systemu dynastycznego, panującego w Chinach od ponad dwóch tysięcy lat.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Stowarzyszenie Sprawiedliwych Pięści

Sztuki walki mają długą i chwalebą tradycję w dziejach Państwa Środka. Posługując się mieczem lub toporem bojowym, włócznią lub piką, halabardą bądź niezliczonymi innymi odmianami broni ręcznej, rozmaici mistrzowie przyjmowali uczniów i ćwiczyli ich w arkanach ataku i obrony. W tej dziedzinie Chiny nie różniły się od średniowiecznej Europy z jej mistrzami fechtunku i gonitwami do pierścienia. Istniały jednak dwie różnice. A mianowicie w Chinach równie silny nacisk kładziono na walkę bez użycia broni, której pionierem był według legendy buddyjski misjonarz i guru o imieniu Bodhidharma, założyciela szkoły „walczących mnichów” z klasztoru Shaolin. Starając się zachować życie w kraju pełnym gwałtów, wobec faktu, że filozofia ich religii nie pozwalała posiadać broni, mnisi pod kierunkiem Bodhidharmy opracowali system walki, czyniąc „włócznie ze swych pięt, maczugi ze swych pięści”. Kiedy w latach siedemdziesiątych XIX wieku okupujący Okinawę Japończycy zakazali miejscowej ludności posiadania broni ręcznej, ci ostatni sprowadzili z kontynentu chińskich instruktorów do nauki walki bez użycia broni. Sztukę „boksowania stopami i dłońmi” przejęli następnie Japończycy jako karate - walkę „pustymi dłońmi”, o od nich owa sztuka rozeszła się na cały świat.

Japońskie określenie „pustymi dłońmi” zawiera niuans często przeoczany przez ludzi Zachodu, którzy ideogram oznaczający „pustkę” odczytują jako odnoszący się wyłącznie do braku broni w rękach wojownika. Tymczasem „pusty” odnosi się również do duchowego nastawienia mistrza wyćwiczonego w walce. Otóż zazwyczaj ludzie przystępują do walki, mając umysły przepełnione gniewem, irytacją, obawą, nienawiścią, nadzieją zwycięstwa. Takie uczucia zaciemniają mózg i mogą prowadzić do popełniania w trakcie walki fatalnych błędów. Tymczasem mistrz walki wręcz, *meijin*, przechodzi takie fizyczne i psychiczne szkolenie, żeby podejmować walkę z całkowitym spokojem, z umysłem wolnym od wszelkich założeń, nie troszcząc się o sprawy życia i śmierci. W takim stanie uspokojenia, zwanym w Japonii *mushin* (brak umysłu), umysł ludzki odzwierciedla rzeczywistość tak dokładnie, jak zastygła w bezruchu tafla jeziora odbija w sobie wędrujący po niebie księżyc. Nic nie stoi między atakiem i reakcją na atak, a wtedy nic nie odbierze zwycięstwa.

Ta filozofia jest odbiciem oryginalnej chińskiej techniki wywodzącej się z buddyzmu chan (zen). W ciągu wieków wykształciło się wiele szkół walki. Niektóre z nich wybierały sobie jakiś konkretny zwierzęcy totem, i starały się w czasie ćwiczeń naśladować jego styl walki, siłę lub szybkość: miały więc swoich zwolenników biały żuraw, pijana małpa, modliszka i wiele innych zwierząt. Technik walki była wielka różnorodność, ale dzieliły się na dwie zasadnicze kategorie, propagujące tak zwany styl zewnętrzny i wewnętrzny.

Styl zewnętrzny kładł nacisk na siłę mięśni i szybkość ruchów. Uczniowie trenowali z ciężarkami i spędzali mnóstwo czasu ćwicząc zadawanie ciosów - dłońmi i stopami - drewnianym manekinom pokrytym słomianymi matami. Celem tych ćwiczeń było wzmocnienie i utwardzenie kostek dłoni i podbicia

stóp dla wzmocnienia ciosów zadawanych dłońmi i stopami. Niektóre szkoły wołały ćwiczenia polegające na wyciąganiu palcami wbitych w deskę gwoździ, służące wyrabianiu sobie niezwykle silnego uchwytu palcami i dłońmi. Dziwaczne praktyki stosowano czasami w celu wyrobienia odporności ciała na uderzenia. „Technika podwieszania kamieni” polegała na stopniowanym tygodniami i miesiącami, coraz silniejszym zgniataniu i wałkowaniu jąder, aż do momentu, gdy te najwrażliwsze części męskiego ciała stawały się stosunkowo odporne na tortury. Wówczas przechodzono do drugiego etapu ćwiczeń, w którym pod worek mosznowy podwieszano uczniowi kamień, stopniowo zwiększając jego rozmiar i ciężar. Wytrawni praktycy tej sztuki osiągnęli możliwość uniesienia jedenastokilogramowego ciężaru podwieszanego pod workiem mosznowym. Praktyka ta podobno uodporniała mężczyzn na paraliżujący ból w wyniku uderzenia w krocze (nie wiadomo jednak, czy ten rodzaj ćwiczeń nie powodował impotencji lub bezpłodności).

Zwolennicy wewnętrznego stylu walki wyśmiewali takie praktyki. Zewnętrzne szkoły walki liczyły na siłę mięśni, więc sprawność walczącego malała z wiekiem, gdy stawał się starszy, a jego ciało słabe. Adeptci stylu wewnętrznego uważali, że tajemnica mistrzostwa w walce polega na pielęgnowaniu *qi*, czyli siły życiowej przepływającej wzdłuż meridianów ludzkiego ciała, którą w stosunku do normalnych ludzi wykorzystuje się na przykład posługując się igłami do akupunktury. Zwolennicy stylu wewnętrznego twierdzili, że prawdziwy mistrz używa specjalnej techniki do manipulowania swym własnym *qi*, i potrafi stokrotnie zwiększyć jej siłę oddziaływania, kierując je dowolnie w jakąkolwiek część ciała. *Qi* można skoncentrować w dowolnej części ciała, czyniąc tę część odporną na ciosy miecza lub innego rodzaju broni. Możliwa jest także jej projekcja z ciała mistrza z iście zabójczym skutkiem: pojedynczy, stosun-

kowo łagodny cios mógł spowodować śmierć ofiary nawet długo po uderzeniu. Praktyka *qigong*, obecnie tak popularna na Zachodzie, wywodzi się bezpośrednio z wewnętrznych stylów walki, znanych jako Ba Gua, Xing Yi, lub Tai Qi Quan³.

Władze niechętnie odnosiły się do sztuk walki i zwalczały je, zwłaszcza wówczas, kiedy - co często się zdarzało - łączyły się one z tajemniczymi rytuałami i oddawaniem czci nieznanym bóstwom. Kodeks prawny 157⁴ stwierdzał w sposób nie podlegający dyskusji: „przywódcy heretyckich sekt, oddających cześć bałwanom i tumaniących lud będą skazywani na śmierć przez powolne uduszenie”. Zakazano działalności nawet niektórym szkołom walki nie podpadającym pod kategorię „sekt heretyckich”: „Samozwańczym instruktorom sztuk marcial-nych, ich mistrzom i adeptom, grozi kara stu kijów oraz wygnania na odległość trzech tysięcy *li*” (około tysiąca sześciuset kilometrów). Kodeks karny okazał się mało skuteczny. Wiele szkół prowadziło swoją działalność w tajemnicy przed władzami, inne miały w swoim regionie tak rozgałęzione wpływy, iż miejscowe władze po prostu nie stosowały się do praw nakazujących pociąganie winnych do odpowiedzialności.

Pod koniec dziewiętnastego stulecia w prowincji Shandong, leżącej na południe od Pekinu, mieściła się siedziba dwóch bardzo wpływowych magiczno-religijnych grup uczących techniki walki: Bokserów Ducha oraz Złotego Dzwonu. Ci pierwsi uprawiali zbiorowe śpiewy i wierzyli w nawiedzanie ciał przez obce duchy:

³W 1998 roku rozmawiałem z pracownikiem Światowego Funduszu Ochrony Dzikich Gatunków (WWF), który przysiągł mi, iż na własne oczy widział w prowincji Syczuan pokaz, podczas którego trzej wędrowni mnisi, posługując się wyłącznie skoncentrowaną „siłą myśli”, stukli na odległość butelkę i podpalili gazetę. Według niego nie było sposobu, aby dokonano oszustwa z obu przedmiotami - stłuczonym i podpalonym.

Szef Bokserów zapalił kadzidło i zaczął wypowiadać zaklęcie, i wkrótce wszyscy jego ludzie padli w omdleniu na ziemię. Następnie, z trudem stając na nogi, twierdzili, że w ich ciała wstąpili bogowie. Mieli odmienione twarze. Zaczynali podskakiwać w górę i w dal, potrząsając w teatralny sposób trzymanymi w dłoniach mieczami i włóczniami. Jakieś dźwięki bez sensu wydobywały się z ich ust, jak gdyby upili się winem [...] Twierdzili, że mogą wbić w swoje ciała włócznie aż do złamania grotów, a mimo to nie będą mieli ran [...] mówili o sobie Stowarzyszenie Sprawiedliwej Pięści albo Stowarzyszenie Szlachetnej Harmonii [...].

Podobne stowarzyszenia rozkwiwały w Chinach od stuleci i wszystkie twierdziły, że w sposób nadprzyrodzony wyrabiają u swych członków odporność na ciosy i rany. Wiele z tych grup miało na celu obalenie mandżurskiej dynastii Gjingów i przywrócenie Mingów, jednak pod koniec XIX wieku pojawił się nowy wróg, znacznie bardziej dostępny i łatwiejszy do ugodzenia - chrześcijanie.

Od kilku już dziesiątków lat - na skutek koncesji, wymuszonych pod lufami karabinów na chińskich władzach - działali w Chinach misjonarze rozmaitych chrześcijańskich Kościołów, i nieśli nową wiarę coraz dalej w głąb Chin, często oczerniając się nawzajem w gorączkowym i całkiem niechrześcijańskim wyścigu po dusze maluczkich. W niektórych regionach i wśród niektórych grup ludności mieli jednak spore osiągnięcia, i teraz wszędzie, oprócz najbardziej odległych prowincji Państwa Środka, można było spotkać chińskich chrześcijan i ich kościoły. Wśród owych konwertytów byli tak zwani chrześcijanie od ryżu, którzy przyjęli nową wiarę głównie z uwagi na dodatkowe porcje żywności wydawane przez misjonarzy swym owieczkom. Wielu jednak znalazło autentyczną pociechę w nowej, obcej wierze. Na nieszczęście, roz-

liczne uprawnienia i przywileje przyznawane Europejczykom na mocy kolejnych europejsko-chińskich traktatów, pozwalały misjonarzom chronić przed chińskim wymiarem sprawiedliwości członków swoich Kościołów, wśród których niekiedy znajdowali się zwykli kryminaliści, co wzmagało niechęć miejscowej ludności. Oficjalnym dekretem z dnia 15 marca 1899 roku wszystkim księżom rzymskokatolickim przyznano oficjalny status: misjonarze otrzymali uprawnienia równe miejscowym sędziom pokoju, archidiakoni i diakoni zostali zrównani z *daotaiami* (lokalnymi gubernatorami), biskupi zaś z namiestnikami, co dawało im prawo składania tym ostatnim wizyt i prowadzenia z nimi korespondencji na prawach partnerskich. Uprzywilejowana sytuacja chrześcijan wywoływała niechęć pozostałej ludności, kiedy więc w latach 1898 i 1899 wiele części kraju nawiedziły na zmianę powodzie i susze, niezadowolenie ludności szybko przemieniło się w nienawiść do nowej religii.

Znaczna część winy leżała po stronie katolickich misjonarzy, bardzo nietolerancyjnych wobec innych i z reguły odmawiających uczestnictwa w jakichkolwiek chińskich uroczystościach. Inne obce religie zwykle integrowały się w jakiejś mierze z kulturą miejscową. Nawet dzisiaj, Wielki Meczet w Xi'anie, zbudowany w dawnej stolicy Chin w XIV wieku, jest na zewnątrz nie do odróżnienia od tradycyjnych świątyń buddyjskich w tym regionie, podobnie jak żydowska synagoga w Kaifengu. Gdy dawniej chrześcijanie bardzo starali się dostosować do miejscowych warunków (ojcowie jezuici prosili nawet papieża - bezskutecznie, co prawda - by zezwolił na kult przodków), przeciętny dziewiętnastowieczny misjonarz w Chinach widział swe chrześcijańskie posłannictwo wyłącznie przez pryzmat wyższej, jak mu się wydawało, europejskiej cywilizacji. Nie wystarczało mu stworzenie miejsc kultu dla

jego chińskich konwertytów, uważał, że budowle te muszą wiernie naśladować europejskie kościoły, wznoszone z kamienia, z romańskimi łukami i smukłymi iglicami wymierzonymi prosto w niebo.

Misjonarze nie rozumieli albo nie chcieli zrozumieć, że takie budynki same w sobie obrażały uczucia Chińczyków. Chińska geomancja, *feng shui*, traktowała całą przyrodę jako część ściśle ze sobą powiązanej skomplikowanej sieci rozmaitych rodzajów energii, której poszczególne elementy należy utrzymywać we wzajemnej równowadze, jeśli nasz świat ma funkcjonować harmonijnie. Tak jak jednostka ludzka posiada w sobie energię życiową *qi*, rozprowadzaną wzdłuż południków ciała, tak ciało ziemi podlega przyływowi i odpływowi życiodajnej energii rozchodzącej się wzdłuż telurycznych linii sił, którymi są ziemskie meridiany. Działalność ludzka, przejawiająca się zwłaszcza we wznoszeniu niewłaściwych budynków w niewłaściwych miejscach, może zmienić drogi przepływu energii i spowodować załamanie się naturalnego cyklu życia. Z punktu widzenia Chińczyków, chrześcijańskie kościoły, z wysokimi wieżami i głęboko w ziemię wpuszczanymi fundamentami, były pogwałceniem zasady *feng shui* danej przestrzeni, niczym igły do akupunktury beztrąsko wbijane w ciało zdrowego człowieka - co w obydwu przypadkach zakłóca przepływ energii, doprowadzając do choroby. Przy takim spojrzeniu na świat było oczywiste, że winą za wszystkie klęski żywiołowe, okresowo nawiedzające Chiny, będą niewątpliwie natychmiast obarczane „obce diabły”.

Nowa faza zaborczej polityki wielkich mocarstw i związana z nią groźba rozbioru Chin, wzbudziła nowe podejrzenia i ataki nienawiści. Misjonarzy zaczęto postrzegać jako awangardę zaborczych mocarstw, jako szpiegów starających się podporządkować Zachodowi Synów Ludu Han i dążących do

zniszczenia cesarstwa. Zdobyte zachodniej techniki pogłębiły poczucie alienacji chińskiego ludu: parowce zastąpiły flisaków, zabierając im źródło utrzymania, „po wybudowaniu linii kolejowych robotnicy wiejscy [...] utracili zarobki płynące z wynajmowania wozów, łodzi i pomieszczeń na sklepy”.

Wobec tak oczywistych „prowokacji” ksenofobia stała się patriotyzmem, a Stowarzyszenie Sprawiedliwej Pięści (nazywane przez misjonarzy i innych obcokrajowców Bokserami) stało się wyrazicielem ludowego niezadowolenia, ochoczo tolerowanego przez rząd razem z ich hasłem: „Popieraj Qingów i tęp cudzoziemców”. W kraju pojawiły się afisze wyjaśniające pretensje Bokserów wobec Europejczyków i proponowane rozwiązanie:

Uwaga! Wszyscy ludzie na bazarach i w wioskach we wszystkich chińskich prowincjach! Wobec faktu, że katolicy i protestanci szkalują naszych bogów i mędrców, oszukują naszych cesarzy i ministrów na górze, i uciskają chiński lud na dole, rozgniewali się na nich nasi bogowie i nasz lud [...] Zmuszeni więc jesteśmy ćwiczyć magiczną walkę Yi He, aby obronić nasz kraj, wyrzucić z niego obcych bandytów i pozabijać nawróconych na chrześcijaństwo, ratując nasz lud od straszliwych cierpień.

Z nadejściem wiosny 1900 roku setki, tysiące niezadowolonych Chińczyków zgłosiły się pod szkarłatne sztandary Bokserów, obwiązując głowy czerwonymi przepaskami i ćwicząc z entuzjazmem „boksowanie z cieniem” oraz intonując śpiewne zaklęcia, które, o czym byli całkowicie przekonani, ochronią ich przed wszelkimi rodzajami broni używanymi przez obcych diabłów. Najpierw takie grupy wędrowały przez prowincję Shandong, potem pojawiły się w sąsiednich prowincjach Zhili i Shanxi, podpalając kościoły i mordując każdego

misjonarza i konwertytę, jakich spotkali na swej drodze. W miarę jak rosły rzesze ich zwolenników, gromady Bokserów ruszyły na północ, w kierunku Pekinu, rozgłaszając wszem i wobec, że ich celem jest pozbycie się z Chin wszystkich cudzoziemców i ich znieprawdzonej religii.

Zamknięta za wysokimi murami Miasta Zakazanego, Jehonala z dreszczykiem emocji i zachwytu słuchała pierwszych doniesień o antycudzoziemskim nastawieniu Bokserów. W głębi serca zgadzała się z nimi, że barbarzyńców trzeba się pozbyć, w razie potrzeby nawet przemocą. Przeczucie polityczne ostrzegało ją jednak, że talenty okultystyczne, którymi tak się chełpią Bokserzy, mogą nie wystarczyć w rozprawie z barbarzyńcami. Mandżurski urzędnik i daleki krewniak Jehonali pisał w owych dniach: „Cesarzowa nie aprobuje proponowanego przez Stowarzyszenie Wielkiego Miecza pomysłu wytępienia cudzoziemców, bo nie wierzy, że jest ono w stanie ten cel osiągnąć”.

Niezależnie od nieustających upokorzeń, jakie spotykały cesarstwo ze strony cudzoziemców, były jeszcze inne ważne powody, dla których Jehonala miała zamiar wyrzucić swój gniew na obcych diablach. Główny reformator jej siostrzeńca, Kang Youwei, uszedł wszak przed jej „boskim gniewem” dzięki pomocy Brytyjczyków, którzy eskortowali go do bezpiecznej przystani w swej kolonii, Hongkongu. Mimo wyznaczenia niesłychanej sumy stu tysięcy taeli jako nagrody za jego głowę, niemal na jej oczach wywieziono go do Japonii, gdzie władze pozwoliły mu na kontynuowanie jego zdradzieckiej działalności. Ostatnio zaś szczególnie rozgniewały Jehonale reakcje zagranicznych poselstw na jej najnowszą próbę ostatecznego pozbycia się cesarza Guangxu ze sceny politycznej.

Od czasu zamachu w 1898 roku jej siostrzeniec przebywał w Tarasie Oceanu, na malowniczej odizolowanej od świata

wysepce na Południowym Jeziorze, z pawilonami o lakierowanych na czerwono ścianach i ścieżkach wykładanych marmurowymi płytami, nad którego upiększeniem czuwała niegdyś sama Cesarzowa. W pierwszym napadzie gniewu po nieudanym „zamachu” reformatorów, Jehonala kazała wprowadzić szereg „ulepszeń”: wiele okien wychodzących na piękne krajobrazy zamurowano, inne otwarto na stałe, bez względu na pogodę. Cesarz, który już wówczas cierpiał na liczne dolegliwości, tkwił tam na wpół zagłodzony, izolowany od świata, w niedogrzanych i niesprzątanym pokojach, z pełzającym wokół robactwem. Przetrzywanie go w takich warunkach mogło mieć tylko jeden cel. Kiedy przybrały na sile pogłoski o tym, jak jest traktowany, że cierpi na wiele chorób i może wkrótce umrzeć, sir Claude McDonald przekazał Zongli Yamen - chińskiemu Ministerstwu Spraw Zagranicznych - swój pogląd, że śmierć cesarza nie usposobi przyjaźnie mocarstw europejskich i może mieć katastrofalne konsekwencje dla samego cesarstwa. Takie mieszanie się cudzoziemców w wewnętrzne sprawy Chin rozwścieczyło Jehonale, lecz rozumiała zawołaną groźbę zawartą w dyplomatycznej nocie, i oto, cudownym zrzędzeniem losu, od owego właśnie momentu cesarz zaczął czuć się lepiej. Następnie spróbowała innego fortelu: 24 stycznia 1900 roku uczyniła następcą tronu Pun Chuna, syna reakcyjnego księcia Duana, „chłopca 14-letniego, o wielkiej inteligencji, ale gwałtownym temperamencie”. Wszyscy na dworze cesarskim zrozumieli tę decyzję w identyczny sposób: oto Jehonala przygotowywała grunt pod rychłe zejście z tego świata cesarza Guangxu. I tym razem jej mordercze plany pokrzyżowali cudzoziemcy z Zachodu. Wbrew wszelkim dyplomatycznym zwyczajom, ani jedno z cudzoziemskich poselstw nie przysłało życzeń z tej uroczystej okazji. „Nieprzyjęcie do wiadomości przez korpus dyplomatyczny

tego wydarzenia powstrzymało partię reakcyjną od realizacji swego planu, co doprowadziło do szczególnej furii księcia Duana, nie mogącego doczekać się momentu, kiedy ujrzy swego syna na tronie".

Gdy pierwsi Bokserzy zaczęli wlewać się do stolicy, Jehonala zwołała nadzwyczajne zebranie Wielkiej Rady, żeby zdecydować, jakie stanowisko powinien zająć dom panujący. Wielu książąt krwi było entuzjastami Bokserów i wierzyło po cichu w ich nadprzyrodzone możliwości. Przyczyną tej naiwnej wiary mógł być brak wykształcenia (szkołę dla książąt zamknięto w latach sześćdziesiątych XIX wieku, i wielu młodych arystokratów miało poważne luki w edukacji). Inni z mniejszym optymizmem patrzyli na szanse Bokserów w konfrontacji z zachodnią artylerią i bronią szybkostrzelną. Zarówno Rong Lu jak i jego kolega Yuan Shikai prywatnie byli przeciwni popieraniu takiego ruchu jak Stowarzyszenie Sprawiedliwej Pięści, choć w czasie spotkań z entuzjastami Bokserów w otoczeniu Jehonali obaj woleli zachować dla siebie swe wątpliwości.

Niektórych cudzoziemców także napawał niepokojem niebezpieczny kierunek, jaki przybierały wydarzenia w Chinach. Dr George Ernest Morrison, korespondent londyńskiego „Timesa” w Pekinie, w swoim prywatnym dzienniku pod datą 17 kwietnia zapisał, że „Bokserzy robią się coraz bardziej niebezpieczni. Powodem jest brak deszczu, który ludzie przypisują zakłóceniu feng shui przez cudzoziemców”. Morrison nie był jednak wówczas zbyt zaniepokojony sytuacją, bo napisał również: „Jeżeli nadejdą deszcze, Bokserzy szybko znikną”. Ale już kilka dni później w korespondencji do gazety pisał: „Na ulicach sprzedaje się literaturę wymierzoną przeciw cudzoziemcom. W pobliżu Baodingfu doszło do poważnego incydentu z Bokserami, który tamtejszy misjonarz Ewing w niepokojącym doniesieniu nazwał prawdziwą «bitwą»”.

Chiński służący poinformował Morrisona, że niebiosa mają zesłać osiem milionów wojowników, którzy zniszczą barbarzyńców. Wreszcie 18 maja spadł deszcz, jednak wbrew oczekiwaniom Bokserzy nadal wzniesli zamieszki i zbliżali się do stolicy. „Francuscy księża donoszą o śmierci 61 mężczyzn, kobiet i dzieci w Kaolo, w połowie drogi między Baodingfu i Pekinem. Zamieszki wybuchły także w Anszjen, skąd ludzie uciekają pociągami do Pekinu. Niektórych spalono żywcem. Cała wieś Kaolo jest zniszczona”. Teraz już było bez znaczenia, czy deszcz padał, czy nie - nienawiść wobec cudzoziemców osiągnęła moment krytyczny, weszła w fazę samonakręcającej się spirali gniewu, i nie było już możliwości powstrzymania jej bez interwencji rządu. A rząd się do tego nie kwapił.

Biskup Favier, wikariusz apostolski Pekinu, 19 maja napisał list do pana Pichon, posła pełnomocnego Francji, żądając przysłania czterdziestu do pięćdziesięciu marynarzy do ochrony Beitangu, katedry rzymskokatolickiej położonej jakieś trzy kilometry na północny zachód od dzielnicy dyplomatycznej. Bokserzy, jak powszechnie wiadomo, pisał biskup Favier, zamierzają zniszczyć wszystkie kościoły w Pekinie: „data ataku na naszą katedrę jest już ustalona”, a potem mają zaatakować zagraniczne poselstwa. Ambasador Pichon nie przejął się tymi doniesieniami i oświadczył Morrisonowi, że uważa biskupa Fawiera za panikarza. Brytyjski poseł, sir Claude McDonald, był takiego samego zdania jak Pichon, pisząc w spokojnym tonie do swego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Londynie: „Przyznaję, że na podstawie znanych mi faktów nie podzielam ponurych przewidywań francuskiego księdza”. Morrison również był skłonny zgodzić się z tym, zapisując w swoim prywatnym dzienniku pod datą 21 maja: „Nie wyczuwamy w powietrzu niebezpieczeństwa”, lecz następnie dodał złowrogą notatkę: „Ceny mieczów i noży

podskoczyły dwukrotnie. Warsztaty pracują dzień i noc, aby sprostać zapotrzebowaniu".

Czując się bezpiecznie za wysokimi murami ambasad, niemal całkowicie izolowani od prawdziwego życia Chin, mieszkający w Pekinie cudzoziemcy nadal bawili się i spotykali na rautach. Brytyjczycy w dniu 24 maja świętowali urodziny królowej Wiktorii, sześć dni później brali udział w wieczorze muzyki tanecznej w wykonaniu chińskiej orkiestry sir Roberta Harta. Ich wesołość stawała się jednak z dnia na dzień coraz bardziej wymuszona. Dyplomaci otrzymali już oficjalne pozwolenie na sprowadzenie obcych oddziałów dla ochrony ambasad. Zgodnie z planem jako pierwszy przybył 3 czerwca amerykański kontyngent złożony z pięćdziesięciu sześciu żołnierzy piechoty morskiej, którzy dumnie przemaszerowali ulicą Poselstw, zdążając do swej ambasady. Biorąc pod uwagę okoliczności, konieczność rozlokowania żołnierzy w tej dzielnicy była oczywista, ale ich przybycie podsyciło tylko wrogość Chińczyków, tym bardziej gdy okazało się, że liczebność oddziałów, 389 żołnierzy i 16 oficerów z sześciu krajów, dwukrotnie przekroczyła liczbę uzgodnioną w Zongli Yamen. Sir Claude McDonald zmienił już zdanie o doniesieniach biskupa Faviera, i na początku czerwca wyznał, że jest „bardzo zaniepokojony”. Chińscy urzędnicy najwyraźniej nie podzielali jego obaw. Henry Cockburn 4 czerwca uczestniczył w spotkaniu antykryzysowym w Zongli Yamen; kiedy Brytyjczyk omawiał ważne punkty, jeden z mandarynów spokojnie sobie drzemał. Rozeźlony Cockburn krzyknął: „To są właśnie Chiny!... Jak zrozumieć tych ludzi? Cesarzowa Wdowa bawi się w teatr, kiedy w kraju wszystko się wali”.

Napięcie w stolicy rosło z dnia na dzień aż do 9 czerwca, kiedy miasto obiegła pogłoska, jakoby rząd cesarski zdecydował się wymordować wszystkich cudzoziemców w Pekinie. Obawia-

jąc się najgorszego, McDonald wysłał telegram do dowódcy brytyjskiej Royal Navy, admirała Edwarda Seymoura, prosząc o dodatkowy przydział żołnierzy do ochrony poselstw. Następnie, po rozmowach z szefami pozostałych przedstawicielstw, odwołał swoją prośbę, ale kiedy otrzymał wiadomość, że gwałty już się rozpoczęły, znów zmienił zdanie, prosząc o pilne przysłanie posiłków. Tym razem nie chodziło o potwierdzenie planowanej masakry - McDonald miał w ręku sprawdzone doniesienie, że tłum napadł na pekińską siedzibę wyścigów konnych dla cudzoziemców i nawet spalił główną trybunę! Nieświadom ironii tego stwierdzenia, ambasador utrzymywał, że ów incydent -bardziej niż jakikolwiek inny - był aktem profanacji, „żywym i namacalnym dowodem dla wszystkich Europejczyków w Pekinie, w jak niebezpiecznej sytuacji się znaleźli”.

Wieczorem tego samego dnia brytyjski konsul w Tianjinie zwołał zebranie wszystkich zagranicznych przedstawicieli. Następnego dnia o godzinie dziewiątej rano, pięcioma pociągami wysłano do Pekinu międzynarodowe oddziały liczące przeszło tysiąc pięciuset żołnierzy. Patrząc z późniejszej perspektywy, trzeba chyba stwierdzić, że ta „inicjatywa Seymoura” była błędem, i mogła przyspieszyć kryzys, któremu miała zapobiec. Wśród Chińczyków wieść o „inwazji” obcych wojsk rozeszła się lotem błyskawicy i zelektryzowała ludność wzdłuż całej linii kolejowej z Tianjinu do Pekinu. Parę godzin po tym, jak pociągi z wojskiem wyruszyły z dworca w Tianjinie, ktoś przeciął linię telegraficzną do stolicy. Poparcie dla Bokserów kwitło. Dnia 10 czerwca podpalono letnią siedzibę brytyjskiego poselstwa na Zachodnim Wzgórzu. Dyplomaci z coraz większą obawą obserwowali narastanie aktów gwałtu, wyczekując niecierpliwie na przybycie odsieczy admirała Seymoura, która miała zapewnić im bezpieczeństwo, a może nawet uratować życie. Nie mogąc się jej doczekać, 11 czerwca

kilku z nich zaryzykowało wyjazd na dworzec Majiabu, żeby tam czekać na przyjazd wojska. Tymczasem godziny mijały, z ranka zrobiło się popołudnie, a pociągów ciągle nie było. Dyplomaci jeden po drugim zaczęli wracać do swoich ambasad, aż wreszcie pozostał na dworcu tylko pan Sugiyama, ambasador Japonii. Gdy zapadła noc, wreszcie i on zrezygnował. Kiedy wracał do siebie małym chińskim powozikiem, koło głównej bramy południowego miasta otoczyli go nagle muzułmańscy awanturnicy Dong Fuxianga (którzy rankiem tego dnia pozwolili mu bez przeszkód wyjechać z miasta), z żądzą mordy na posępnych twarzach. Wyciągnęli Sugiyamę z powozu, powalili na ziemię, i kolbami karabinów roztrzaskali mu czaszkę, pozostawiając ciało w pyłe drogi. Według niektórych relacji, zdążyli jeszcze wyciąć mu z klatki piersiowej serce, które zanieśli w darze generałowi Dongowi. Sugiyama był pierwszym cudzoziemcem, który zginął w zamieszkach.

Smutne było to, że wyprawa Sugiyamy od początku była skazana na niepowodzenie - pociągi z wojskiem znajdowały się jeszcze daleko od Pekinu. Kiedy japoński dyplomata umierał na ulicy, żołnierze z oddziałów spieszących z odsieczą sami musieli walczyć o życie, odpierając atak Bokserów w miejscowości Langfang, w połowie drogi z Tianjinu do Pekinu. W wyniku tego starcia zginęło około pięćdziesięciu chińskich wojowników. W takich okolicznościach podróżowanie pociągiem jest zawsze ryzykowne. Chińczycy stopniowo niszczyli tory - w miarę jak Europejczycy naprawiali odcinki wcześniej zniszczone, Chińczycy niszczyli kolejne. W pewnym momencie żołnierze Seymoura, otoczeni przez coraz większą rzeszę Bokserów i wrogo nastawioną miejscową ludność, myśleli już tylko o ratowaniu własnego życia.

Izolowane od zewnętrznego świata ambasady w Pekinie pozostawiono własnemu losowi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Oblężenie dyplomatów w Pekinie

Wiadomość o tym, że cudzoziemcy próbowali wysłać „armię” do serca Państwa Środka, roznieciło tylko płomień ksenofobii, zawsze tłący się w duszy Jehonali. Urzędnicy z Zongli Yamen 11 i 12 czerwca kontaktowali się z ambasadorem McDonaldem, starając się odwieść go od pomysłu sprowadzenia wojska, ale Brytyjczyk był stanowczy: wojsko musi przybyć. Następnego dnia, z błogosławieństwem Cesarzowej Wdowy wydany został dekret, którego wojownicza nieustępliwość przypominała odpowiedź sprzed roku na włoską próbę wymuszenia na Chinach koncesji terytorialnych. Yuan Shikai otrzymał rozkaz wysłania swoich żołnierzy do obrony Pekinu. Tego samego dnia dużemu oddziałowi Bokserów pozwolono wejść za mury miasta. Jehonala i jej dwór szykowali się do wojny.

Bokserzy oczywiście prowadzili już własną wojnę z cudzoziemcami. Niemal natychmiast po wkroczeniu do stolicy zaczęli podpalać kościoły i mordować chińskich konwertytów („dodatkowych włochaczy”) w zachodnich dzielnicach miasta. Morrison z „Timesa” opisywał „Dochodzące przez całą noc [...] straszne krzyki. Charkot mordowanych. Gwałty i rzezie”. Jak donosił biskup Favier, wymordowanie „najważniejszych obcych diabłów” było planowane na później. Następnego dnia, 14 czerwca, cała armia Stowarzyszenia Sprawiedliwych

Pięści wdarta się do dzielnicy zwanej tatarską lub mandżurską, gdzie mieściły się poselstwa. Bokserzy weszli przez bramę Hata Men i natychmiast podpalili najbliższy kościół, szukając chrześcijan. Tych, których znaleźli, przebijali mieczami lub rzucali żywcem w płomienie. Grupka ludzi z zachodnich poselstw natknęła się na ciało kobiety ze związanymi rękami i nogami, którą oblano benzyną i podpalono w ciemnym zaułku między domami, żeby jako ludzka pochodnia oświetlała przejście. Korespondent „Timesa” pisał, że to przekracza jego wytrzymałość:

O godzinie drugiej po południu dr Morrison, który ma serce szlachetniejsze niż wielu samolubnych wychodźców, dowiedział się, że wielu nawróconych na chrześcijaństwo nadal pozostaje na łasce i niełasce Bokserów w pobliżu kościoła Nantang, i zwrócił się do ambasadora McDonalda z prośbą o wojsko w celu uratowania nieszczęśników. Przydzielono mu dwudziestu Brytyjczyków, do których dołączyła grupa niemieckich i amerykańskich żołnierzy. Morrison poprowadził ich na miejsce i ponad setkę bezbronných Chińczyków ocalił od straszliwych tortur i śmierci, co będzie na zawsze jedną z najjaśniejszych kart w biografii doktora.

Ocalonych Chińczyków umieszczono w otoczonym murami pałacu Fu, należącym do księcia Su, mandżurskiego arystokraty, położonym tuż obok wschodniej strony ambasady brytyjskiej, oddzielonym od niej jedynie uliczką i wąskim kanałem. W ciągu dnia coraz więcej chińskich chrześcijan szukało względnego bezpieczeństwa w pałacu Fu; „obładowani garnkami i naczyniami, z własnymi łózkami i tobołkami z ryżem”. Ostatecznie ponad dwa tysiące Chińczyków znalazło schronienie w dzielnicy ambasad. Dla tych zrozpaczonych ludzi, których jedyną nadzieją na ratunek były zachodnie poselstwa,

przyszłość rysowała się w czarnych barwach. Gdyby jednak cudzoziemcom udało się wynegocjować bezpieczne opuszczenie Pekinu, wówczas - jeżeli Cesarzowa Wdowa nie zmieni nastawienia i nie zdecyduje się na poskromienie Bokserów - chińscy chrześcijanie nie mogli liczyć na litość ze strony Stowarzyszenia Sprawiedliwych Pięści.

W tym momencie Jehonała jeszcze się nie zdecydowała, jakie ma zająć stanowisko wobec Bokserów. Żeby przedyskutować sprawę 16 czerwca zwołała całą Radę Cesarską, w której uczestniczyli wszyscy mandżurscy wielmoże i wysocy urzędnicy ministerialni. Rzucona na początku sugestia, że Bokserów należy przegnać ze stolicy, utonęła we wrzasku protestów, podniesionych przez zwolenników Bokserów pod przewodnictwem księcia Duana, przywódcy stronnictwa reakcyjnego. Cesarz Guangxu, którego głosu jednak nikt nie słuchał, był za ułagodzeniem Wielkich Mocarstw, a na jego krótkie wypowiedzi nie zwracano w ogóle uwagi. Kiedy Yuan Chang z Zongli Yamen, chińskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, oświadczył, że Bokserzy nie są patriotami a buntownikami, i że mimo swoich magicznych formułek giną od obcych kul, głos zabrała Jehonała, górująca nad wszystkimi w swym stojącym na podium fotelu: „Jeżeli nawet nie możemy polegać na magicznych formułkach, to czyż nie możemy polegać na ludzkich sercach? Chiny są słabe - jedyną rzeczą, na którą naprawdę możemy liczyć, są serca naszego ludu. Jeżeli je stracimy, jak uda nam się zachować nasz kraj?”. Sympatie Jehona-li były oczywiste i, jak zwykle, to rozstrzygnęło sprawę. Ostatecznie uzgodniono, że należy wysłać do Tianjinu dwóch urzędników, którzy mieliby odwieść mocarstwa od wysyłania wojsk do Pekinu. Tegoż dnia wydano edykt, nakazujący powołanie do armii „młodych i silnych Bokserów”. Zdaje się, że Jehonała wzięła jednak pod uwagę zdanie niektórych

umiarkowanych, i próbowała obecnie zneutralizować stanowiącą potencjalne niebezpieczeństwo zgraję Bokserów, powołując najlepszych z nich do armii, gdzie podlegaliby wojskowej dyscyplinie.

Była to z pozoru rozsądna strategia. Następnego dnia sytuacja uległa jednak gwałtownej zmianie. Niespodzianie zwołano drugie posiedzenie Rady Cesarskiej, na którym Jehonala, z poszarzałą od gniewu twarzą i zaciśniętymi wargami, zakomunikowała, że właśnie dotarła do niej zawierająca cztery punkty nota od obcych rządów. Mocarstwa domagały się obecnie, żeby cesarzowi wyznaczono specjalną rezydencję, żeby dochody zbierali przedstawiciele obcych państw i żeby wyznaczeni cudzoziemcy czuwali nad wszystkimi sprawami wojskowymi. Jehonala pominęła czwarte, ostatnie żądanie. W sali obrad zapanowała śmiertelna cisza. Żądania te równały się wszak likwidacji panującego obecnie porządku, a w najlepszym razie jego całkowitemu podporządkowaniu woli mocarstw. W końcu Jehonala przerwała milczenie, demonstrując swój cały dawny temperament, odwagę i ducha walki: „To jest początek prawdziwej agresji - powiedziała - i zagrożone jest istnienie naszego narodu. Jeżeli po prostu założymy ręce i poddamy się ich żądaniom, nie będę miała odwagi żeby po śmierci spojrzeć w twarz naszym przodkom. Jeśli musimy zginąć, dlaczego nie walczyć aż do śmierci?”.

Głównym powodem jej wściekłości, dolewającym oliwy do ksenofobicznego ognia, jakim płonęła Jehonala, był punkt czwarty, który zachowała w tajemnicy przed Radą Cesarską. Zawierał on żądanie ustąpienia Jehonali jako szefa rządu i „przywrócenia władzy cesarza.” Już pierwsze trzy żądania wzbudziły jej nienawiść, ale oddać władzę? Woli umrzeć i zobaczyć przed śmiercią, jak Państwo Środka obraca się w jałową pustynię, aniżeli ustąpić barbarzyńcom. Nie można było

wymyślić nic lepszego, żeby wzniecić wojowniczość i wzbudzić wolę walki w Cesarzowej Wdowie. Nie bez powodu, bo dokument bynajmniej nie był dowodem braku wrażliwości i wycucia czasu ze strony „barbarzyńców”. Te cztery żądania były bardzo starannie przemyślane i obliczone na rozwścieczenie Cesarzowej Wdowy. Dokument był oszustwem, fałszywką przygotowaną przez księcia Duana właśnie w celu rozwścieczenia Jehonali i zrobienia z niej zajadłej zwolenniczki wojny z cudzoziemcami.

Fortel się powiódł. Władze poszczególnych prowincji natychmiast otrzymały rozkazy, żeby przysłały żołnierzy do obrony Pekinu. Trzej ministrowie mieli poinformować ambasadorów, że jeśli zamierzają rozpocząć wrogie działania, muszą natychmiast opuścić Pekin. Ministrowie następnego dnia spotkali się z ambasadorem McDonaldem, który podczas długiej rozmowy nie wspomniał ani słowem o czterech żądaniach, co przekonało chińskich urzędników, że dokument, którym poprzedniego dnia Jehonala tak gniewnie wymachiwała przed Radą, musiał być fałszywy. Ale mleko już się rozlało, fakt zaś, że McDonald nie zamierzał rezygnować z żądania zwiększenia wojskowej ochrony ambasad, całkowicie zrozumiały z zachodniego punktu widzenia, był tylko na rękę stronnictwu reakcyjnemu na dworze. W tym samym czasie to, co się działo w Tianjinie i na wybrzeżu, zmusiło zachodnich sojuszników do podjęcia akcji, których następstwem musiało być wzmocnienie stronnictwa wojny.

Wcześniej, także 16 czerwca, długo po tym, gdy nieszczęsny pan Sugiyama i reszta korpusu dyplomatycznego nadaremnie oczekiwali na przybycie odsieczy na dworcu Majiabu, podążający z odsieczą oddział Seymoura - trafiając pod silny ostrzał, miał wielu rannych i niebezpiecznie kurczące się zapasy amunicji - utknął w połowie drogi między Pekinem

a Tianjinem. Zdając sobie sprawę z tego, że jego kolumnie grozi okrążenie i odcięcie, Seymour początkowo postanowił wracać do Tianjinu, ale po otrzymaniu meldunków o tym, że na jego drodze do bezpiecznego schronienia usadowiły się silne chińskie oddziały wojskowe wspomagane przez Bokserów, skierował się ku fortom Dagu. Wystosował do chińskiego komendanta lakoniczne ultimatum, stwierdzające, że zamierza „tymczasowo, za zgodą chińskiego dowódcy lub używając siły” o godzinie drugiej nad ranem następnego dnia rozpocząć okupację fortów. Chińczycy odmówili i zaczęli strzelać do aliantów, ale wówczas do akcji włączyła się artyleria dwóch zachodnich okrętów wojennych, które zdążyły tymczasem podpłynąć, i jeszcze tego samego dnia forty skapitulowały.

Yu Lu, namiestnik prowincji Zhili, napisał o ultimatum Seymoura w memoriale, który doszedł do Pekinu 19 czerwca. Donosił o walce, ale bojąc się przekazywać złe wiadomości, pominął fakt, że forty Dagu ostatecznie skapitulowały. Dla Je-honali i dworu cesarskiego raport namiestnika był potwierdzeniem faktu, że sojusznicy zdecydowani byli kontynuować atak. Zatem kolejny urzędnik raz jeszcze udał się do obcych ambasad z informacją o zerwaniu stosunków dyplomatycznych, dając ich personelowi dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie stolicy i zaznaczając, że po upływie tego czasu strona chińska nie będzie mogła zagwarantować im bezpieczeństwa. Nie wiedząc o niepowodzeniu ekspedycji Seymoura ani o bitwie o forty Dagu, dyplomaci zebrali się na naradę, żeby omówić chińskie ultimatum i zdecydować czy konieczny jest wyjazd do Tianjinu i czy będzie to bezpieczne. Ambasador Niemiec, baron von Ketteier, arystokrata starej daty o wybuchowym temperamencie, stanowczo twierdził, że Chińczykom nie można ufać i że w drodze do Tianjinu personel ambasad

zostanie wymordowany. Wielu obecnych skłonnych było z tym się zgodzić, ale dwóch ludzi - Pichón i ambasador amerykański, major Conger - opowiedziało się za opuszczeniem stolicy. Korespondent „Timesa” George Morrison był zbulwersowany, że, uważający się za *Protecteur des Missions Catholiques en Chine* ambasador Pichón może opowiadać się za opuszczeniem Pekinu, kiedy skutkiem takiego kroku byłaby „natychmiastowa rzeź tysięcy miejscowych chrześcijan, którzy zaufali cudzoziemcowi i uwierzyli w jego dobrą wolę”. Zdecydował jednak instynkt samozachowawczy i wszyscy niemal cudzoziemcy głosowali za tym, żeby zawierzyć chińskim gwarancjom i uciekać, ratując własną skórę, zaś chińskich konwertytów pozostawiając własnemu losowi. Tuż przed północą zebrani wysłali do Zongli Yamen list, podpisany przez konsula Hiszpanii, señora Cologana, prosząc o spotkanie w celu ustalenia sposobu transportu, gwarancji bezpieczeństwa i zaopatrzenia cudzoziemskiego konwoju w drodze do Tianjinu. Morrison zaprotestował, oświadczając Hiszpanowi, że Chińczykom grozi „całkowita masakra”, ale w odpowiedzi usłyszał tylko, że „to nie nasza sprawa.” Korespondent „Timesa” był zgorszony tchórzostwem swych europejskich kolegów. Przez cały czas trwania tego kryzysu, ów australijski dziennikarz reprezentował stanowisko o niebo przewyższające poziom większości nieudolnych dyplomatów, których działania w tym kluczowym momencie odbijają się później na opinii krajów, które reprezentowali. Morrison ponownie zabrał głos. „Spojrzał zgromadzonym prosto w oczy i oświadczył: «jeżeli głosujecie za opuszczeniem Pekinu w dniu jutrzejszym, na wasze głowy spadnie śmierć każdego mężczyzny, kobiety i dziecka w tym wielkim, bezbronnym konwoju, a wasze nazwiska przejdą do historii i zostaną tam na zawsze jako nazwiska należące do najnędzniejszych, najgorszych i najbardziej

strachliwych tchórzów, jacy kiedykolwiek stąpali po ziemi»." jego wołanie pozostało głosem wołającego na puszczy, jeżeli Chińczycy zaproponują możliwą do przyjęcia marszrutę, personel ambasad był gotów wynieść się jak najszybciej z Pekinu.

Następnego dnia wszyscy wstali bardzo wcześnie i bardzo dłużyły im się godziny oczekiwania na chińską odpowiedź na ich wysłany o północy list. Minęła dziewiąta, a z Zongli Yamen nie napłynęła żadna wiadomość. O dziewiątej trzydzięci nadal nie było ani słowa. Von Ketteier znów zaczął się awanturować i chciał pójść do Yamen, żeby wyrzucić presję na mandarynów i wyciągnąć od nich odpowiedź, ale większość zdecydowała, iż rozsądniej będzie czekać, zgadzając się z opinią ambasadora McDonalda, że „byłoby poniżej naszej godności jechać do Yamen i tkwić tam, oczekując książąt". Von Ketteler zaprotestował, walnął pięścią w stół i oświadczył, że sam do nich pójdzie i będzie tam siedział choćby całą noc, jeśli zajdzie taka potrzeba. Opuścił pokój wraz ze swym sekretarzem, panem Cordes, i wkrótce zgromadzeni zobaczyli, jak tragarze wynoszą ich z terenu poselstwa w obitych szkarłatno i zielono lektykach w kierunku chińskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdy reszta dyplomatów objęła się bez celu i przeklinała Chińczyków za zwłokę.

Zaledwie dwadzieścia minut później jeden z chińskich stajennych von Kettelera wpadł trzaskając drzwiami i krzycząc łamaną angielszczyzną: „Jakaś człowieka zrobiła zabić niemiecki ambasador!". Nie od razu mu uwierzono, lecz wkrótce wiadomość okazała się przerażająco prawdziwa. Do lektyki von Kettelera zbliżył się na ulicy chiński żołnierz i strzelił kilkakrotnie z bliskiej odległości do niemieckiego posła. Sekretarzowi, panu Cordesowi, mimo postrzałów w obie nogi, udało się uciec. Nieznany był także los profesora Huberta Jamesa, sympatycznego starszego pana, będącego klasycznym typem

łagodnego, wiecznie roztargnionego uczonego, który wyszedł z zabudowań ambasady, w celu udzielenia pomocy chińskim konwertytom i od tego czasu wszelki słuch o nim zaginął. Dopiero trzy dni później dyplomaci dowiedzieli się o jego strasznym losie. Teraz najwięksi nawet optymiści wśród zgromadzonych musieli przyznać, że Chińczycy wymordowaliby ich wszystkich, gdyby zdecydowali się wyruszyć do Tianjinu. Przeszło dwa miesiące później, kiedy kryzys został już zażegnany, zostało to potwierdzone przez niepodważalne źródło. Jak zanotował Morrison, pewien Europejczyk dowiedział się od Xi Fu, prezesa Urzędu Nominacji Cywilnych, że „istniał spisek, którego celem było wymordowanie tego ranka wszystkich ambasadorów, a zamordowanie tylko jednego było przedwczesnym wypadkiem przy pracy, z chińskiego punktu widzenia godnym pożałowania, bo zapobiegło ogólnej masakrze”. Fakt, że zamordowanie von Kettelera zlecone zostało odgórnie, potwierdził zresztą sam zamachowiec. Tuż przed ścięciem mu głowy za tę zbrodnię, mandżurski żołnierz skarżył się głośno, że przecież obiecano mu awans i siedemdziesiąt taeli nagrody za zabicie barbarzyńcy, a dostał zaledwie czterdzieści taeli srebrem.

Przed dyplomatami zamknęła się ostatnia droga ucieczki. Bez względu na to, co miało się zdarzyć (a musieli patrzeć w przyszłość z przerażeniem), wszyscy byli obecnie unieruchomieni w stolicy, uwięzieni niczym w potrzasku na terenie ambasady, gdy za jej murami ulicami Pekinu przewalały się tłumy Bokserów, nawołujących do pomsty i potrząsających mieczami, halabardami i karabinami (patrz plan 2). Po południu 20 czerwca, dokładnie o czwartej godzinie, w której upływał czas chińskiego ultimatum, pierwsze strzały w mury gmachu poselstwa zraniły austriackiego żołnierza i zabiły francuskiego marynarza. Rozpoczęło się oblężenie.

W Mieście Zakazanym nastroje były ponure, ale stanowcze. Nikt naprawdę nie wiedział, dokąd zaprowadzi droga wybrana przez Jehonagę. Następnego dnia atmosfera nieco się poprawiła, gdy nadszedł memoriał od Yu Lu, namiestnika prowincji Zhili, opisującego szczegółowo serię chińskich zwycięstw nad siłami mocarstw: dwa okręty uszkodzono ogniem artyleryjskim z fortów Dagu, siły sprzymierzonych odepchnięto do Tianjinu. Bokserzy sprawnie współdziałając z regularną armią cesarską, odparli ataki sprzymierzonych. Po raz kolejny w memoriale nie było w ogóle mowy o kapitulacji fortów Dagu, namiestnik nie raczył także poinformować dworu o innych swoich niepowodzeniach. Podniesiona na duchu dobrymi wiadomościami o „zwycięstwach” i znów rozpierana dumą wynikającą z dawnego poczucia wyższości swojej kasty, jehonala 21 czerwca wydała cesarski edykt wypowiadający wojnę jednocześnie aż dziewięciu najpotężniejszym państwom świata: Wielkiej Brytanii, Francji, Stanom Zjednoczonym Ameryki, Niemcom, Japonii, Włochom, Austro-Węgrom, Belgii i Holandii. Następnego dnia Bokserzy zostali uznani oficjalnie za siły pomocnicze regularnej armii. Dowództwo nad nimi powierzono księżętom Zhuangowi i Gang Yi, a z rządowych magazynów wydano i rozdzielono między niedożywionych Bokserów duże ilości ryżu. Dwa dni później sto tysięcy taeli rozdano Bokserom i żołnierzom innych formacji wojskowych w stolicy.

Jehonala i stronnictwo reakcyjne mieli przygotowany plan działania, który jednak od początku był naznaczony prymitywną żądzą zemsty. Z wojskowego punktu widzenia dyplomaci w Pekinie nie przedstawiali żadnego zagrożenia dla Chin. Tak nieliczną grupę słabo uzbrojonych ludzi mógł zablokować w dzielnicy ambasad niewielki oddział chińskiego wojska. Na pewno nie byli w stanie zorganizować wypadu ani w żaden inny sposób wpłynąć fizycznie na wynik wojny, jaką

Jehonała wypowiedziała mocarstwom. Prawdziwym zagrożeniem dla Jehonali i jej reakcyjnych sojuszników był Tianjin, gdzie okazał się oddział nowocześnie uzbrojonych, świetnie wyszkolonych i sprawdzonych już w walce żołnierzy państw sprzymierzonych szykował się do drugiego ataku na Pekin. Gdyby udało się wypchnąć te wojska z chińskiego terytorium, zanim zaczną prawdziwy marsz na stolicę, Chińczycy byłiby w znacznie lepszej sytuacji, by stawić czoło dalszym zagrożeniom. Z jakiegoś jednak powodu chińskie oddziały, które mogłyby wesprzeć taki atak, wciąż jeszcze tkwiły w Pekinie, rzekomo po to, żeby zlikwidować mało ważny strategicznie opór ambasad. Mimo dwuznacznych (celowo) sformułowań, cesarski dekret z 23 czerwca określa dość jasno kierunek chińskiej polityki:

Należy jak najszybciej zakończyć dzieło podjęte przez Dong Fuxianga, żeby uwolnić wojsko i wysłać je do Tianjinu dla obrony kraju.

Jedynym wytłumaczeniem strategii „najpierw poselstwa, potem Tianjin” mogła być żądza odwetu Jehonali, jej pragnienie zemsty i upokorzenia obcych diabłów, które nie dawało jej spokoju od chwili, kiedy czterdzieści lat temu lord Elgin i baron Gros ruszyli na Pekin, spalili Pałac Letni, i zmusili cesarza Xianfenga i ją samą do haniebnej ucieczki do Rehe.

Nie wszystkim podobała się wysoce ryzykowna strategia, jaką przyjęły Chiny. Namiestnicy i gubernatorzy z południa Chin - może dlatego, że byli bardziej oddaleni od sceny konfliktu - mieli znacznie bardziej realistyczny pogląd na szanse ich kraju w równoczesnej walce ze wszystkimi mocarstwami świata. Najpierw zażądali, żeby Li Hongzhang wystosował w ich imieniu memoriał, występując przeciwko działaniom

wojennym i protestujący przeciwko Bokserom. Ale Li był zbyt przebiegłym politykiem, żeby podkładać własną głowę pod topór. Zgodził się jednak z innymi wysokimi urzędnikami, żeby Chiny na południe od rzeki Jangcy w miarę możliwości nie mieszały się do wydarzeń na północy. Na szczęście edykt z 20 czerwca nakazywał, żeby namiestnicy „zjednoczyli się w obronie swoich terytoriów”, zwrot ten zaś południowcy postanowili zinterpretować nie jako wezwanie do wspólnej walki przeciw obcej agresji, lecz jako nakaz wykazania własnej inicjatywy w obronie zarządzanych przez nich terytoriów. Zdecydowali, że ich terytoria będą najlepiej strzeżone wówczas, kiedy weźmie się pod ochronę obcokrajowców i zlikwiduje Bokserów. Uzgodnili także, całkiem nielegalnie, że nie będą rozpowszechniać cesarskich edyktów wypowiadających wojnę mocarstwu i zalecających przekształcenie Bokserów w pół oficjalną zbrojną milicję. Potem skontaktowano się z konsulami obcych państw w Szanghaju i ustalono, że obcej własności w mieście będą strzegły obce wojska, poszczególne zaś odcinki doliny Jangcy mają kontrolować odpowiedzialni za nie namiestnicy. Ich działania zapobiegły rozszerzaniu się zamieszek, a także, ze względu na oczywiste różnice w polityce północy i południa, pozwoliły potem, by Tron twierdził, że powstanie Bokserów i wynikłe z niego okrucieństwo było rezultatem „rebelii”, na którą władza cesarska nie miała żadnego wpływu.

Cudzoziemcy i chińscy konwertyci byli teraz dosłownie zabarykadowani w dzielnicach ambasad: na początku oblężenia znajdowały się tam 473 osoby cywilne i 409 wojskowych obywateli państw sprzymierzonych, 400 osób chińskiej służby i około 2750 chińskich chrześcijan. Druga, znacznie bardziej narażona na ataki grupa - w której skład wchodził biskup Favier, 22 zakonnice i około 3500 chińskich chrześcijan,

w tym około 800 dzieci - została otoczona przez oddziały Je-honali na terenie katedry Beitang. Bronił ich mały oddział złożony z czterdziestu trzech marynarzy, o których przysłanie przewidujący biskup zwrócił się do ambasadorów, zanim jeszcze wybuchła burza. Naprzeciwko nich stały tysiące kiepsko uzbrojonych i niezdyscyplinowanych Bokserów z czerwonymi chustami na głowach, muzułmańscy weterani generała Dong Fuxianga w białych turbanach oraz żołnierze Armii Kwatery Głównej pod dowództwem Rong Lu, wyszkoleni na zachodnią modłę i uzbrojeni w nowoczesne zagraniczne karabiny, z których większość rozmieszczono wokół ambasad. „Były tam kurtki i bluzy we wszystkich kolorach; krwistoczerwone szarawary z wyobrażeniami czarnych smoków; niektórzy taszczyli olbrzymie, dwuręczne miecze. Uzbrojeni w łuki wojownicy mieszały się z konnicą generała Donga, rekrutowaną z ludu Kansu, lecz zaopatrzoną w przewieszane przez ramię kawaleryjskie karabinki najnowszej produkcji. Powiewały sztandary błękitne, żółte obwiedzione czarnym haftem, chorągwie białe i czerwone [...]. Wydawało się, że zjawili się tam żołnierze spod wszystkich pekińskich sztandarów, w mundurowych kurtkach zdobionych insygniami swoich dywizji”.

Pozycje obronne sił sprzymierzonych były niezwykle słabe. Kiedy tylko zaczęła się strzelanina, garnizon strzegący ambasady Austro-Węgier porzucił swe stanowiska, co wystawiło na niebezpieczeństwo tych, którzy bronili sąsiedniego budynku celnego, i trzeba go było również oddać w ręce wroga. George Morrison uznał rejteradę żołnierzy austro-węgierskich za bardzo smutne widowisko: „Nie było wystarczających powodów, żeby porzucili swe stanowiska” - napisał później. Początkowo obrońcy próbowali bronić każdego metra kwadratowego terenu dzielnicy ambasad, lecz wkrótce okazało się, że linia obrony

była zbyt rozciągnięta dla małej ilości broni, jaką dysponowali (cztery lekkie działa, karabiny i karabinki, mniej niż trzysta nabojów na jednego obrońcę), wkrótce więc musieli opuścić ambasady francuską i włoską, i oddać je atakującym Chińczykom. Chińczycy zaatakowali 23 czerwca i zdobyli najważniejszy punkt obrony cudzoziemców, bastion górujący nad wysokim murem Miasta Tatarskiego, i wówczas, w tumanach niesionego przez burzę aż z pustyni Ordos lessowego pyłu, przenikającego do każdego domu w Pekinie, sprzymierzeni zmuszeni zostali do wycofania się na ostatnią silną pozycję obronną, jaka im pozostała - liczący ponad hektar powierzchni teren poselstwa brytyjskiego.

Szalejąca owego dnia burza skłoniła Chińczyków do popełnienia aktu świętokradztwa na własnym narodzie, który słusznie przeszedł do historii jako zbrodnia przeciw ludzkości. Od północy, odległy od niego miejscami nie więcej niż o dwa metry, sąsiedował z brytyjskim poselstwem budynek, z którego ogień, gdyby go podpalić (przy odpowiednim kierunku wiatru), niemal z pewnością przeniósłby się na ostatnie pozycje obronne cudzoziemców. Budynek ów był siedzibą słynnej Akademii Hanlin Yuan - Lasu Dziesięciu Tysięcy Pędzelków, głównego ośrodka nauki chińskiej. Fakt, że w budynku mieściła się najstarsza na świecie biblioteka, zawierającą bezcenne, unikalne rękopisy sprzed ponad tysiąca lat, zdawał się zupełnie nie obchodzić Chińczyków. Przez wybite okna i otwarte drzwi wrzucono bomby zapalające, i Las Dziesięciu Tysięcy Pędzelków stanął w ogniu jak pudełko zapalek. Kiedy tylko języki ognia podniosły się ku niebu, wiejący poprzednio północno-zachodni wiatr nagle ucichł i ogień nie wydostał się poza bibliotekę, a tymczasem w sąsiednim poselstwie łańcuch pracowników podających sobie wiadra z wodą zapobiegł rozprzestrzenieniu się pożaru na budynek

misji brytyjskiej. Zniszczenie owej wspaniałej siedziby wiedzy (akt wandalizmu porównywalny ze spaleniem biblioteki aleksandryjskiej w 391 roku lub z pożarem biblioteki w Pergamonie, w której spłonęło dwieście tysięcy woluminów) nie osiągnęło swego celu, natomiast zubożyło na zawsze spuściznę kulturalną Chin.

Paradoksalnie, to właśnie cudzoziemcy rzucili się do ratowania ocalałych skarbów Akademii Hanlin. Ruiny biblioteki jeszcze dymiły, kiedy ambasador McDonald wysłał notę do Zongli Yamen, informując ministerstwo, że udało się uratować niektóre spośród bibliotecznych manuskryptów i domagając się przybycia chińskich ekspertów, którzy by nadzorowali akcję ratowniczą. Odpowiedzi nie było. „Inne wielkie biblioteki [...] zniszczyli zwycięscy najeźdźcy, ale co myśleć o narodzie poświęcającym własną świątynię wiedzy, od setek lat stanowiącą dumę i chwałę całego kraju, i jego uczonych po to jedynie, aby zemścić się na obcokrajowcach?”

Chińczycy ponowili ataki na poselstwo, i przez kilka dni niemal bezustannie słychać było ogień artylerii i strzały karabinów. Odnotowano szereg szczęśliwych przypadków: pani Bredon i jej córka spały, kiedy potężna kula armatnia stłukła szybę w ich sypialni i wpadła między łóżka, nie raniąc nikogo; kula karabinowa przeznaczona dla jednego z obrońców, zamiast trafić go w głowę, ścięła szyjkę butelki z alkoholem, którą trzymał w dłoni; kula z muszkietu drasnęła kapitana Stroutsa w szyję; inna wytrąciła pewnemu sierżantowi brzytwę z dłoni, kiedy akurat zabierał się do golenia. Lecz nie wszystkie pociski były tak łaskawe, i codziennie donoszono o nowych rannych lub zabitych. Mijały tygodnie i obrońcy zwierali coraz ciaśniej szeregi, w miarę jak malała liczba osób zdolnych do walki. Nie wygasły jednak bolesne spory na tle rywalizacji narodowościowej. Kiedy wreszcie skończyło się

oblężenie, Morrison tak krótko scharakteryzował narodowe charaktery: „Wysłałem służącego z jakąś wiadomością. Po drodze obrabował go Rosjanin, wydupczył Francuz, zabił Niemiec. Zrozpaczony, skarżę się brytyjskiemu oficerowi. Ten patrzy na mnie, wsadza monokl w oko, i mówi: «Tylko tyle? Co za nuda!»”.

Sarkazm, brawura, czarny humor, wszystkie te cechy pomagały przeżyć dni niesamowitego napięcia w ciągłym zagrożeniu życia. Na początku oblężenia nadeszła wiadomość o losie sympatycznego profesora Jamesa. W dniu zamachu na von Kettelera schwytali go muzułmańscy zabijacy generała Donga i pognali, pędząc przed sobą bagnietami do pałacu księcia Zhuanga. Księżę przez trzy dni trzymał go w łańcuchach i, według niektórych, poddał starego człowieka torturom, zanim kazał go ściąć. Jego odciętą głowę pokazywano następnie tłumom, a pewien chiński kronikarz zanotował:

Jego głowę wystawiono teraz na widok publiczny w klatce zawieszzonej pod główną belką Bramy Dong An. Trzeba ją było włożyć do klatki, bo nie miała warkocza, za który można byłoby ją zawiesić. Twarz ma przerażający wyraz, ale mimo to jest miłą rzeczą móc popatrzeć na głowę cudzoziemca wiszącą w bramie naszego pałacu.

Myśl o tym, że podobny los mógł spotkać każdego cudzoziemca na terenie ambasad, musiała być stałym źródłem niepokoju oblężonych. Jehonała 22 czerwca poleciła księciu Zhuangowi, mordercy profesora Jamesa, żeby wydał obwieszczenie wyznaczające nagrody za głowy barbarzyńców: pięćdziesiąt taeli za głowę mężczyzny, czterdzieści kobiety i, w co trudno uwierzyć, trzydzieści za głowę dziecka. Tak silna była jej nienawiść wobec obcych diablów, a może strach, że wła-

śnie oni mogą doprowadzić do jej upadku. Chciata widzieć ich martwych. Wszystkich.

Zdawało się, że swój cel osiągnęła 16 lipca. W patetycznym stylu, nie szczędząc przerażających szczegółów, „Daily Mail” pisał o „Masakrze pekińskiej” z 7 lipca. Po opisie niemilknącej artyleryjskiej kanonady, autor opisuje kolejne zmasowane ataki Chińczyków, a „kiedy słońce osiągnęło zenit, niewielka grupa pozostałych Europejczyków wysłała mężnie na spotkanie śmierci [...] i wreszcie, ulegając miażdżącej przewadze wroga, każdy z owych Europejczyków zginął, nabity na miecz w najbardziej odrażający sposób”. Relację odczytano w Izbie Gmin, nabożeństwo żałobne odbyło się 28 lipca w katedrze Św. Pawła, a „Times” przyłączył się do powszechnego nastroju żałoby, pisząc: „Nadszedł czas, kiedy musimy porzucić nadzieję. Udawanie, że może prawda nie jest aż tak straszna, byłoby niemądrym tchórzostwem”. Ukazały się całe strony nekrologów, w tym nekrologi sir Claude'a McDonalda, sir Roberta Harta, oraz „pełnego poświęcenia” korespondenta „Timesa”, George'a Morrisona. Osiągając prawdziwe szczyty dziennikarskiej pasji, „The Thunderer” opisywał, że „Europejczycy do samego końca walczyli ze spokojną odwagą, stawiając czoło przeważającym hordom łaknących ich krwi fanatycznych barbarzyńców [...] Kiedy wystrzelono ostatni nabój, nadeszła ich godzina. Wyszli na spotkanie śmierci jak prawdziwi mężczyźni [...]” i tak dalej w podobnym duchu, dziwnie przywołując na pamięć oficjalną wersję ostatniej bitwy generała Custer'a [bohatera amerykańskiej wojny z Indianami - przyp. tłum.].

I była to wersja tak samo nieprawdziwa. Cała relacja, od początku do końca, była wymysłem anonimowego „specjalnego korespondenta”, i została wysłana z Szanghaju. Na takich opowieściach budowano mit Brytyjskiego Imperium. Gwoli

uczciwości, powiedzmy od razu, że opowieść nie była nieprawdopodobna. Gdyby Chińczykom udało się przerwać linię obrony, niewątpliwie doszłoby do ogólnej masakry, i jest bardziej niż prawdopodobne, że obrońcy walczyliby do ostatniego naboju i jeszcze dłużej, a także, jak sugerowały następne relacje, zastrzeliliby własne żony i dzieci, żeby nie zostawić ich na łasce Bokserów. Prawda była jednak taka, że 16 lipca poselstwa wciąż jeszcze trzymały się, chociaż obrońcy musieli stawiać czoło nieustannym atakom chińskich napastników. Natomiast dzień rzekomej „masakry” istotnie był dniem śmierci jednego Europejczyka. George Morrison, kapitan Strouts z Królewskiego Pułku Lekkiej Piechoty Morskiej, oraz japoński pułkownik Shiba 16 lipca około siódmej rano wyruszyli na obchód, co wymagało od nich przekroczenia strefy Fu, nieustannie wystawionej na nieprzyjacielski ostrzał. Kiedy pochyleni przebiegali przez tę strefę, Strouts został postrzelony w nogę, a pocisk uszkodził arterię udową. Również Morrison otrzymał postrzał w nogę, pocisk zaś przeznaczony dla pułkownika Shiby przebił tylko jego szynel, nie raniąc ciała. Stroutsa przeniesiono do szpitala, ale zmarł w krótkim czasie na skutek upływu krwi. Morrison także z powodu odniesionej rany trafił do szpitala i niemal cały miesiąc pozostawał przykuty do łóżka.

Stroutsa pochowano tego samego popołudnia, wraz z Harrym Warrenem, studentem, który został śmiertelnie postrzelony poprzedniego dnia, kiedy pełnił wartę. Dla pozostałych te dwa zgony i jedna rana były ciężkim ciosem. Strouts i Morrison byli prawdziwymi filarami obrony przez cały czas oblężenia, toteż wszyscy odczuli boleśnie ich nieobecność. Zapanowało ogólne przekonanie, że może już być tylko gorzej. Tymczasem obrońcy mieli niedługo otrzymać nieoczekiwane wsparcie.

Nie wiedzieli, że 13 lipca Tianjin wpadł w ręce sprzymierzonych, klęskę zaś pogłębiła śmierć jednego z najlepszych chińskich dowódców, generała Nie, który zmarł tuż przed bitwą. Kilka dni po tym nieszczęściu Jehonala otrzymała memoriał od trzynastu namiestników i gubernatorów większości południowych prowincji. Zawierał on cztery prośby: o ochronę dla cudzoziemskich kupców i misjonarzy; o wysłanie do Niemiec listu cesarza z wyrazami ubolewania z powodu śmierci barona von Kettelera; o ogłoszenie dokładnego spisu strat wynikłych z niszczenia mienia obcokrajowców przez Bokserów lub podjudzony przez nich tłum, żeby rząd cesarski mógł wypłacić stosowne odszkodowania. Domagali się także wydania jasno sformułowanego dekretu, w którym będzie mowa o tym, że wszelkie zamieszki wszczynane przez „bandytów” w prowincji Zhili będą uśmierzone przy użyciu siły. Następnym elementem zmieniającej się sytuacji były ostrzeżenia ze strony rządów sprzymierzonych, że Jehonala i członkowie jej Wielkiej Rady zostaną pociągnięci do odpowiedzialności, jeżeli jakakolwiek krzywda spotka pracowników ambasad. Tymczasem Rong Lu doszedł do wniosku, że masakra w dzielnicach ambasad sprowokuje taki odwet ze strony mocarstw, że będzie to oznaczało koniec dynastii. Toteż zaczął po cichu torpedować oblężenie. Obrońcy zauważyli, że sektor obsadzony przez oddziały Rong Lu atakuje znacznie mniej niż inne sektory, i że to na jego odcinku zjawiali się posłańcy z wiadomościami, a niekiedy ludzie z żywnością na sprzedaż. Pod komendą Rong Lu znajdowała się również jedyna w Pekinie bateria ciężkiej artylerii, działa, które gdyby użyto przeciwko ambasadom, ich linia obrony w ciągu paru godzin obróciłaby się w gruzy. Kiedy muzułmański generał Dong Fuxiang chciał użyć tych armat, Rong Lu, ryzykując gniew swej pani, oświadczył wprost, że mu ich nie da.

Z drugiej strony także Jehonala zobaczyła wypisane na ścianie słowa. Nadszedł czas „politycznej elastyczności” i cesarzowa w typowy dla niej sposób nie zwlekała z dalszymi działaniami, które musiała podjąć. Odpowiadając na cztery „prośby” przedstawione przez mandarynow z południa 17 lipca, wydała edykt, zgadzając się spełnić je wszystkie. Li Hong-zhang, wytrawny stary wojownik, który, o czym Jehonala wiedziała, cieszył się szacunkiem cudzoziemców, został wysłany w celu poinformowania rządów sprzymierzonych, że ich obywatele w poselstwach są bezpieczni i odtąd będą pod ochroną.

Jeszcze wcześniej, przed podjęciem owych decyzji, Jehonala zaczęła prowadzić podwójną grę. Kiedy w najlepsze trwały walki wokół ambasad, 3 lipca wysłała dekret do chińskich ambasadorów za granicą, polecając im poinformowanie obcych rządów, że rząd cesarski „wyda ścisłe rozkazy dowódcom, by w miarę swoich możliwości bronili ambasad, oraz karali buntowników na ile pozwolą okoliczności”. Taki dekret autokratycznej cesarzowej, dysponującej ogromną siłą wojskową, był czystą sofistyką, a co więcej, sugerował, że jeśli możliwości jej dowódców będą ograniczone, lub jeśli okoliczności nie będą sprzyjające, obcokrajowcy mogą zginąć. Wystosowała także apele do rosyjskiej Najjaśniejszej Cesarzowej Matki, do królowej Wiktorii i do cesarza Japonii o pomoc w rozwiązaniu kryzysu w sposób pokojowy. Jednocześnie w tym samym dniu, w którym wysyłano te wszystkie listy, dwór wydał również edykt do wszystkich chińskich gubernatorów i dowódców, stwierdzający, że „nie ma żadnej absolutnie możliwości, abyśmy natychmiast zaczęli rokowania pokojowe [...] Generałowie, namiestnicy i gubernatorzy muszą usunąć słowo «pokój» ze swych serc; nabiorą wówczas śmiałości i siły”.

Taka niejednoznaczność posunięć dyplomatycznych może świadczyć o tym, że Jehonala chciała starannie wyważyć swo-

je stosunki zarówno ze zwolennikami wojny, jak i ze zwolennikami pokoju w swoim rządzie. Nie ulega jednak wątpliwości, że ona sama myślała o zajęciu ambasad, i o wściekłość przyprawiała ją świadomość, że cudzoziemcy ciągle jeszcze się bronią. Mimo to uznała jednak za właściwsze powstrzymanie się od całkowitej likwidacji obcych dyplomatów w Pekinie. Nadchodziły niepokojące wieści, że chińska armia starała się wprawdzie stawić opór wojskom sprzymierzonych pod Be-izhangiem, ale została odepchnięta i musiała się wycofać do Yangcun. Może jednak mimo wszystko cudzoziemcy wygrają? Jeśli tak, to za śmierć swoich ludzi w Pekinie z pewnością odpowiedzą odwetem, który może oznaczać koniec dynastii. To zaś będzie jednoznaczne z kresem jej władzy. W dniu 17 lipca Jehonała ogłosiła zawieszenie broni i na jakiś czas Chińczycy przestali ostrzeliwać poselstwo.

Trzy dni wcześniej ambasadorowie otrzymali list, jakoby od „księcia Ojnga i innych”, z żądaniem - sformułowanym w sposób kurtuazyjny - aby obcokrajowcy opuścili swoje poselstwa i grupami udali się do Zongli Yamen, „w oczekiwaniu na dalsze decyzje” dotyczące ich powrotu do krajów ojczystych. Niepewni, czy list nie jest fałszywką, kierownicy ambasad zareagowali ostrożnie, nie przyjmując chińskiej oferty i oświadczając, że społeczność dyplomatyczna w Pekinie działa wyłącznie w obronie własnej. Kiedy trwały jeszcze rokowania w tej sprawie, weszło w życie zawieszenie broni i stosunki między obydwoma walczącymi stronami stały się prawdziwie surrealistyczne. Chińscy żołnierze, którzy jeszcze kilka godzin temu myśleli tylko o wyżynaniu cudzoziemców, nagle zaczęli podchodzić do otaczających poselstwo barykad i przyjaźnie gawędzić z obrońcami. Żołnierze kupowali jajka i inne podstawowe produkty od swych chińskich przeciwników, a Japończykom udało się nawet kupić od napastników pewną

ilość karabinów. Trębacz z orkiestry Roberta Harta, który dotychczas brał udział w walkach po chińskiej stronie, podszedł, prosząc o pomoc lekarską z powodu uszkodzonego ucha. Zawiązano mu oczy i zaprowadzono do szpitala ambasady, opatrzono i wypuszczono z powrotem, zdrowego i ponownie gotowego do walki z cudzoziemcami. Zaledwie kilka dni przed tą sielską scenką we francuskiej ambasadzie zabito z zimną krwią szesnastu bezbronnych chińskich jeńców, których kolejno, „żeby zaoszczędzić naboju”, przebijał bagnietem francuski kapral.

Chińska strona wręcz zasypywała cudzoziemców dowodami przyjaźni. Zongli Yamen, działając niewątpliwie z błogosławieństwem Jehonali, 20 lipca, jako wyraz szczególnie dobrej woli, przysłało do poselstwa przez pas ziemi niczyjej cztery wozy jarzyn i melonów. Przyjazd wozów powitano z entuzjazmem i za żywność podziękowano, ale żądania ze strony Zongli Yamen, by cudzoziemcy opuścili poselstwa i zdali się na dobrą wolę strony chińskiej, głośno wyśmiano. Istnieją dowody na to, że chińska oferta była szczerą - zważywszy na niepowodzenie kampanii na wybrzeżu - nawet Je-honala i wielu reakcjonistów szukali rozpaczliwie sposobów uniknięcia zbliżającej się katastrofy i pomyśleli, że uwolnienie oblężonych dyplomatów mogłoby przetrzeć drogę do zakończenia działań wojennych. Lecz po tylu cierpieniach, śmierci wielu towarzyszy, obrońcy nie byli w nastroju do opuszczenia jedyne miejsca w całym Pekinie, które dawało im choćby odrobinę poczucia bezpieczeństwa, nawet tylko chwilowo. Znikła więc szansa na pokojowe rozwiązanie konfliktu.

W ostatnich dniach lipca szala przechyliła się ponownie w stronę wojny, gdy w Pekinie pojawił się sławny bohater wojskowy, Li Bingheng, okryty sławą w kampanii chińsko-francuskiej 1885 roku, ostatnio zaś piastujący stanowisko

Wielkiego Szantażysty Jehonali w Mandżurii. Li był zdecydowanym przeciwnikiem wszystkiego, co przychodziło z zagranicy, protestował przeciwko budowie linii kolejowych, drukowaniu papierowej waluty, budowaniu ogólnokrajowego systemu pocztowego, górnictwa i nowoczesnego szkolnictwa, jego patriotyzm, sprawność zawodowa i uczciwość osobista były jednak niepodważalne. Kiedy pod koniec czerwca zaproponował swe usługi jako dowódca armii, został natychmiast przyjęty i skierowany do stolicy. Jego obecność tam była tak bardzo potrzebna, iż wydano dwa dekrety nakazujące mu przyspieszyć podróż do Pekinu - miał jechać dniem i nocą, żeby przybyć jak najprędzej. Li wjechał do miasta 26 lipca i, po konsultacjach z dwoma arcykonserwatystami, Gang Yi oraz Xu Dongiem, zaszczyciła go audiencją cesarzowa. Li wzmocnił jej słabnącą wolę walki, przekonując, że „tylko wówczas, gdy się jest zdolnym do walki, można negocjować pokój”. Takie wojownicze słowa brzmiały jak muzyka w uszach Jehonali, która na znak swej łaski przyznała generałowi prawo do poruszania się konno po Mieście Zakazanym oraz wjeżdżania w lektyce do Pałacu Zimowego. Co ważniejsze jednak, powierzyła zasłużonemu generałowi dowództwo czterech grup armii rozlokowanych na razie na przedmieściach Pekinu. Zmieniająca często zdania Jehonala przyjęła teraz linię polityczną generała Li: podejmowanie rokowań tylko z pozycji siły. Skłaniając się ponownie ku polityce wojny, zaszczyciła Bokserów i stronnictwo reakcyjne swą cesarską łaską i pozwoliła na przeprowadzenie egzekucji pięciu liberalnych (i zbyt głośno wyrażających swe poglądy) ministrów. Wolta Jehonali była tak kompletna, że 2 sierpnia Yuan Shikai wysłał do przyjaciela depezę z następującym lakonicznym przesłaniem: „Beznadzieja. Nie mów za dużo”. Cesarzowej znów marzyło się zwycięstwo; porzuciła pomysł natychmiastowego pojednania

z rządami wielkich mocarstw i nakazała wymordowanie wszystkich obrońców ambasad.

Jej bohater Li Bingheng wyjechał z Pekinu na front 6 sierpnia, ubrany, jak twierdzą niektórzy sprawozdawcy, w strój przywódcy Bokserów: czerwony turban na głowie, czerwona chusta obwiązana wokół talii. Tuż przed wyjazdem złożył jeszcze wizytę na dworze, chełpiąc się: „Cóż to jest tych kilku obcych żołnierzy - nie muszę nawet z nimi walczyć. Sami uciekną”. Od razu poniósł szereg porażek z rąk sprzymierzonych. Miasto Beizhang niedawno wpadło w ręce sprzymierzonych, a chińskie wojska wycofały się do Yangcun. Po ataku 6 sierpnia również Yangcun znalazło się w rękach sprzymierzonych. Popęłił wówczas samobójstwo Yu Lu, namiestnik Zhili (którego optymistyczne relacje, mówiące o sukcesach wojennych na początku kryzysu, zachęciły Jehonagę do prowadzenia wojowniczej polityki). Trzy dni później armia generała Li poniosła klęskę pod miastem Hexiwu, a następnego dnia samo miasto poddało się obcemu zwycięzcy. Generał Li wycofał się do Madou, po to tylko, by następnego dnia opuścić również i to miasto. Z jego raportu, wysłanego do Jehonali 11 sierpnia, nie przebija już zwykła generałowi arogancja - jest to raport człowieka pogrążonego w rozpacz:

Wycofałem się z Madou do Zhangjiawan. Od kilku dni obserwuję drogi zapchane dziesiątkami tysięcy żołnierzy. Uciekli na samą wieść o zbliżaniu się nieprzyjaciela; w ogóle nie zmierzyli się z nim. Podpalali i grabili mijane po drodze wioski i miasta tak dalece, że dowiedziona przeze mnie armia nie miała od kogo kupić furazu, skutkiem czego zarówno moi żołnierze, jak i ich konie są głodne. Uczestniczyłem w wielu wojnach, zarówno we wczesnej młodości, jak i będąc starym człowiekiem, lecz nigdy nie widziałem takich rzeczy [...] Gdy wszyscy żołnierze czekają tylko na

okazję do ucieczki, sytuacja wymyka się z rąk. Nie ma czasu na przegrupowanie i ponowne rozmieszczenie oddziałów. Mimo to zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zebrać jakoś wojsko i walczyć na śmierć i życie [...]

Tego samego popołudnia Li Bingheng już nie żył. Kiedy chińska armia ponownie rzuciła się do ucieczki, zanim sprzymierzeni ruszyli do ataku, Li popełnił samobójstwo, wołając zażyć truciznę, niż wstydzić się kolejnych klęsk z rąk barbarzyńców, którymi tak pogardzał.

Podobno jeszcze przed tą ostateczną katastrofą Jehonala zdała sobie sprawę z faktu, że gra się skończyła. Nie wiedząc jeszcze o śmierci swojego bohatera, w dniu, w którym popełnił on samobójstwo, mianowała swego starego sprzymierzeńca i faworyta, Li Hongzhanga, Ministrem Pełnomocnym do spraw rokowań z mocarstwami. Następnego dnia w pałacu dowiedziano się o klęsce pod Hosiwu i Jehonala natychmiast nakazała urzędnikom Zongli Yamen wysłać kilku ministrów do poselstw w celu rozpoczęcia rokowań w sprawie rozejmu. Mandaryni zwrócili się do sir Claude'a McDonalda i otrzymali listowną odpowiedź, że chińscy urzędnicy będą mile widziani następnego dnia o godzinie 11 przed południem. Była to ostatnia szansa na znalezienie pokojowego rozwiązania kryzysu. Zaledwie trzy dni wcześniej aliancki posłaniec przedarł się do ambasad, przynosząc depeszę, w której generał Gaselee, naczelny dowódca idących na odsiecz wojsk, informował: „Zbliżają się duże siły sprzymierzonych. Dwukrotnie pokonaliśmy wroga. Trzymajcie się”. Również pułkownik Shiba otrzymał od generała Fukushimy dużo bardziej szczegółową wiadomość, podającą planowaną trasę przemarszu wojsk sojusznicych i zapowiadającą ich przybycie do Pekinu na 13 lub 14 sierpnia. Wiadomości te podbudowały obrońców do

tego stopnia, że „każdy chodź, promieniując radością”. Byli pewni, że to oni będą negocjować z pozycji siły, kiedy zjawią się urzędnicy z Zongli Yamen. Stano się jednak inaczej. Mandaryni nie wytrzymali napięcia nerwowego, bojąc się, że w przypadku niepowodzenia rokowań każdy, kto wejdzie na teren poselstwa, zostanie zatrzymany jako zakładnik albo jeszcze gorzej potraktowany. Rankiem 13 sierpnia, w dniu, w którym miały rozpocząć się rokowania, nadeszła nota uskarżająca się na strzały padające z terenu ambasady i stwierdzająca, że żaden z chińskich ministrów, którzy mieli prowadzić negocjacje, nie może przybyć, bowiem wszyscy oni „mają ważne obowiązki”. Nie wiadomo dlaczego, wkrótce nadeszła druga nota, dokładnie wówczas, gdy strzelanina ze strony chińskiej osiągnęła swe apogeum, z propozycją, aby „poczynając od dnia dzisiejszego ani Chińczycy, ani cudzoziemcy nie słyszeli już, o ile to będzie możliwe, żadnych strzałów karabinowych”, a nawet w czasie strzelaniny strona chińska poczyniła pewne kroki, by przygotować pomoc i wsparcie dla przebywających w poselstwie. Właśnie wtedy, kiedy ambasador McDonald czytał notę, pocisk z chińskiego działa wpadł do pokoju, w którym siedział. Tego było już za dużo, nawet dla tak doświadczonego dyplomaty, jakim był sir Claude, wyśmienicie wyszkolony w sztuce posługiwania się kurtuazyjnym językiem dyplomacji, przy jednoczesnym wymachiwaniu dużym kijem. Na chińską notę nie było odpowiedzi. Oblężenie miało trwać nadal.

Tuż przed nadejściem pisma od mandarynów, Chińczycy zaczęli atakować ze zdwojoną energią, podejmując ostatnią próbę zdobycia poselstw w ataku frontalnym. 11 sierpnia z bezprecedensową gwałtownością zaatakowano ambasadę francuską i niemiecką, następnego zaś dnia całodzienna strzelanina z chińskich umocnień spowodowała śmierć dwóch

obrońców i wielu raniła. Mniej więcej w tym samym czasie, w miejscu znanym mieszkańcom ambasad jako Mongolski Rynek, padł ugodzony kulą chiński oficer, który miał poprowadzić atak na dzielnicę dyplomatyczną. Obecność oficera na czele idących do ataku żołnierzy była zjawiskiem niezwykłym, więc natychmiast rozeszła się pogłoska, że oficer ten przysiągł, iż zdobędzie poselstwa w ciągu pięciu dni, i kiedy przez cztery dni to mu się nie udało, piątego dnia, kiedy mijał termin, próbował poprowadzić szybki atak. Szeregowy żołnierz chiński walczył na ogół mężnie, natomiast brak serca do walki wśród ich oficerów był tematem rozmów obrońców. Jeden z uczestników dyskusji podzielił się poglądem, że chińska komenda „do ataku” może być wypowiedziana w formie „naprzód do ataku!”, albo „za mną do ataku” i że „często słyszeliśmy okrzyk «do ataku», lecz nigdy nie słyszeliśmy «za mną»”. Owe rozpaczliwe ataki nie działały już deprymująco na oblężonych, lecz raczej podnosiły w nich nadzieję, bo traktowali je jako dowód na to, że odsiecz musi być niedaleko. Wzmocnieni więc na duchu obrońcy, strzelali spoza nowo umocnionych barykad i z otworów strzelniczych, wybudowanych w czasie poprzedniej przerwy w walkach, cały czas trzymając Chińczyków na bezpieczny dystans. Wiara w rychłe ocalenie była tak duża, że komitet organizujący obronę ufundował nagrodę za najlepszy medal pamiątkowy upamiętniający oblężenie. Rozpatrzono kilka projektów, w tym jeden przedstawiający trzy postacie, Amerykanina, Japończyka i Europejczyka, stojące ramię w ramię na głowie smoka z podpisem: *Ex ore draconis liberati sumus*.

Ostatni kryzys miał jednak nadejść. Około godziny dziewiątej wieczorem dzwon alarmowy wezwał wszystkich do broni, gdy Chińczycy rozpoczęli szaleńczą strzelaninę z kilku stron naraz. Każdy mężczyzna w ambasadzie zajął swoje

miejsce na murach (z wyjątkiem norweskiego misjonarza Nestergaarda, który w pierwszych dniach oblężenia postradał zmysły i trzymano go w więzach w stajni poselstwa). Nawet dwóm księżom (którzy nigdy dotychczas nie prosili o broń) tym razem wydano rewolwery. Lecz do generalnego ataku, którego spodziewali się obrońcy, nigdy nie doszło i około północy intensywność ostrzału zmalała. Dwie godziny później obrońcy usłyszeli palbę artyleryjską odbijającą się echem od nocnego nieba, a jeszcze trochę później charakterystyczny odgłos, jaki wydają karabiny maszynowe Maxima, i wiedzieli, że ratunek jest już blisko: „cokolwiek się zdarzy, my mamy Maxima, a oni nie mają nawet Minima”. Linię obrony obiegła wieść, że wojska sprzymierzonych są już pod wschodnim murem stolicy. Jak gdyby w odpowiedzi Chińczycy znów wzmoгли ostrzał, i na dźwięk dzwonu alarmowego żołnierze oraz ochotnicy znów popędzili na swoje stanowiska. Poprzez huk wystrzałów obrońcy słyszeli głosy chińskich oficerów nawołujących swych żołnierzy do ataku, ale ani jeden żołnierz nie miał ochoty ryzykować wychylenia się ponad linię okopów, i stopniowo bezładna strzelanina straciła na intensywności, aż wreszcie słychać było tylko zwykłe, sporadyczne strzały i ochotników ponownie odwołano ze stanowisk bojowych.

O brzasku tego dnia wszyscy w poselstwie byli przekonani, że nadchodzi dzień ich wyzwolenia. Z chińskiej strony ciągle jednak padały jeszcze strzały i dopiero koło drugiej po południu ujrzano pierwszych alianckich żołnierzy z brytyjskiego pułku Sikhów ostrożnie podkradających się przez trawnik brytyjskiego poselstwa. Rozpętało się pandemonium, wszyscy rzucili się ku nim, „wykrzykując coś do siebie, klaszcząc, wymachując chusteczkami do nosa, ściskając sobie ręce”. Pojawił się generał Gaselee i jego sztab, w otoczeniu kolejnych Sikhów i Radżputów, i okrzyki radości wybuchły ze zdwojoną

mocą. „Wszyscy tańczyliśmy z radości, a niektórzy z trudem powstrzymywali łzy”. Wywołany tym tumult pobudził do akcji Chińczyków - wielu z nich jeszcze trwało na stanowiskach - którzy teraz rozpoczęli bezładną strzelaninę, raniąc lekko jedną z pań, jedyną kobietę trafioną kulą w czasie oblężenia. Mniej szczęścia miał hinduski żołnierz, który zaraz po wejściu na teren poselstwa wychylił się przez otwór strzelniczy i natychmiast otrzymał śmiertelny postrzał w twarz.

W swej nieopisanej radości z powodu nadejścia ratunku, mieszkańcy poselstwa zapomnieli jakoś o innych obleganych, wciąż otoczonych przez chińskie wojsko w katedrze Beitang. Ów grzech zaniechania był może zrozumiały wśród ludzi, którzy przeżyli tak ciężkie chwile w ciągu pięćdziesięciu pięciu dni oblężenia. Żadnego usprawiedliwienia nie można jednak znaleźć dla żołnierzy sił sprzymierzonych, których celem było wszak ratowanie wszystkich cudzoziemców przed niebezpieczeństwem. Podwójnie niewytłumaczalne było to w przypadku żołnierzy francuskich i włoskich, których rodakom zaledwie trzy kilometry na północ od dzielnicy ambasad groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Pozostaje jednak faktem, że przez następne dwa dni nie zrobiono dosłownie nic, by pomóc tym nieszczęśnikom. Kiedy tylko resztki chińskiego wojska wycofały się, oddziały sprzymierzonych przestały zajmować się walką, a zabrały się do gwałtów i plądrowania; następnie zaś różne kontyngenty narodowe „staraly się oczyścić Tatarskie Miasto i zdobyć Miasto Cesarskie, zostawić swoje straże w Pałacu, z podszytej zawiścią obawy, żeby żaden inny kraj nie wyprzedził ich w zajmowaniu ważnych miejsc”. W miarę jak obce wojska rozchodziły się po mieście, tych niewielu mieszkańców, którym nie udało się jeszcze uciec, robiło co mogło, żeby wkupić się w łaski zdobywców. Widząc turbany hinduskich oddziałów, chińscy muzułmanie założyli takie same

nakrycia głowy; na domach wywieszono kartki z napisami deklarującymi, że ich mieszkańcy są posłusznymi poddanymi tego akurat obcego mocarstwa, którego chińską nazwę piszący opanowali (Japonia, pisana chińskim ideogramem, była najczęściej spotykaną nazwą kraju, ale widziano również ide-ogramy oznaczające USA, często wypisane do góry nogami); ci, którzy opanowali choćby w małym stopniu angielski, błagali o litość w tym języku: „Najszlachetniejszy wielki człowieku, panie, wyrażam nadzieję, że nie zabijesz nas; my wszyscy dobrzy ludzie tutaj”. Pewien mieszkaniec Pekinu wywiesił na drzwiach swego domu transparent „pokryty masą niezrozumiałych znaków. Pytany o ich znaczenie, odpowiedział, że nie wie - skopiował je z japońskiego pudełka zapalek”.

Zdarzało się wielokrotnie, że mieszkańcy stolicy na próżno błagali o litość. W ciągu pierwszych paru dni często zdarzały się rabunki i zabójstwa popełniane przez żołnierzy wszystkich narodowych kontyngentów, choć zdarzały się też sceny pełne czarnego humoru:

- Piękne futro z soboli. Dawaj je tu!
- Ale w środku jest Chińczyk.
- Potrząśnij, to wypadnie.

„Rosjanie rabowali i gwałcili kobiety w domu chłopca z orkiestry (na terenie ambasady), a wtedy Chińczyk chwycił kornet i zagrał rosyjski hymn narodowy; żołnierze natychmiast poderwali się na baczność, a gdy przebrzmiała ostatnia nuta, zasalutowali i wyszli”.

Ostatecznie z pomocą oblężonym w Beitangu przyszedł jedyny niechrześcijański kontyngent narodowy, Japończycy, którzy zaatakowali 16 sierpnia. Zwłoka spowodowała jednak najtragiczniejszą być może i najbardziej bezsensowną śmierć w czasie całego oblężenia. Ojciec d'Addosio, który przeżył bez szwanku oblężenie ambasad, po przybyciu odsieczy, niespo-

kojny o los swych ziomków w katedrze Beitang, zdecydował się wyjechać z bezpiecznego obszaru wokół ambasady. Udał się do katedry na osiołku, chcąc dowiedzieć się o losy zamkniętych tam ludzi. Miał do przebycia wszystkiego nieco ponad trzy kilometry, większość chińskich oddziałów już uciekła, ale, jak się okazało, trasy, którą obrał, strzegli fanatyczni muzułmanie Dong Fuxianga. Zatrzymali ojca d'Addosio gdzieś po drodze między katedrą a poselstwami, ściągnęli go z osiołka i zawlekli do pałacu księcia Duana, gdzie poniósł męczeńską śmierć.

To morderstwo było już ostatnim wypadkiem śmiertelnym wśród osaczonych. Wszyscy cudzoziemcy, którzy przeżyli oblężenie, byli obecnie bezpieczni, armia chińska poniosła klęskę, Cesarskie Miasto znalazło się w rękach sprzymierzonych. Oblężenie ambasad dobiegło końca. Pozostawało pytanie: gdzie podziała się osoba, która zachęcała do wojny? Gdzie była Jehonala?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Ucieczka... i powrót

Kiedy 14 sierpnia zniesiono oblężenie ambasad. Jehonała ciągle jeszcze przebywała w Mieście Zakazanym. Cesarzowa była tak kompletnie odizolowana od świata za murami Wielkiego Środka, że nie zdawała sobie nawet sprawy z postępów wojsk sojusznicznych. Kilka tygodni później, w rozmowie z prowincjonalnym urzędnikiem, tak opisała brutalne przebudzenie:

Słyszeliśmy jak latały kule, wydające odgłosy niby miauczące koty [...] Zastanawiałam się, skąd tu się wzięło tyle kotów. Właśnie upinałam włosy. Usłyszałam jeszcze jedno «miauu» i przez okno wpadła kula. Upadła na ziemię, podskoczyła i potoczyła się. Przyrzeliśmy się jej dokładnie. Właśnie kiedy postanowiłam zbadać sprawę, w drzwiach za zasłoną pojawił się Cai Lan. Powiedział trzęsącym się głosem: «Obcy żołnierze weszli do miasta. Uciekaj, Stara Buddo» [...] Cesarz był jeszcze bardziej wystraszony niż ja, i z miejsca chciał ze mną uciekać. Powiedziałam: «Popatrz na swój strój; nie możesz tak wyjść». W szalonym pośpiechu zerwaliśmy z niego suknię z pereł, czerwony kapelusz z frędzlami, i ściągnęliśmy cesarską szatę. Narzucił na siebie inny długi płaszcz.

Wcześniej Jehonała zarzekała się, że raczej popelni samobójstwo, niż opuści Cesarskie Miasto. Teraz podjęła upokarza-

jącą decyzję, żeby uciekać jako kobieta z gminu. Zrzuciła biżuterię, zdjęła z dłoni zrobione z zielonego jaspisu nakładki na paznokcie, po czym obcięła piętnastocentymetrowe paznokcie przy małych i serdecznych palcach, owe groteskowo długie paznokcie, którymi szlachta mandżurska chępiła się, by dowieść, że jest klasą niekalającą się pracą rąk. Obcięła nieskazitelnie upięte włosy, a to, co zostało, wepchnęła pod szal. Potem, gdy w panice kręciły się wokół niej damy dworu i przerażeni eunuchowie, naciągnęła na siebie ciemnoniebieski kaftan wieśniaczki:

Przebrałam się za służącą. Uciekliśmy natychmiast. Nie mieliśmy czasu na zabranie ubrań, wyszliśmy z pustymi rękami. Szliśmy pieszo aż do północnej bramy Miasta Zakazanego, gdzie zobaczyliśmy wóz z mułem, jedyny wóz, jaki widzieliśmy od czasu wyjścia z Pałacu [...] Weszłam na wóz razem z cesarzem i kazałam woźnicy jechać szybko przed siebie. Inni, którzy wyszli z nami, zdołali wynająć wozy po drodze. Kiedy opuściliśmy miasto przez północno-zachodnią bramę, znów znaleźliśmy się wszyscy razem-, nie mieliśmy jednak odwagi zostać tam dłużej, w obawie, że mogą nas dogonić obcy żołnierze [...].

W swojej opowieści o ucieczce Jehonala nie wspomniała o jednym incydencie. Miała po temu swoje powody, ponieważ nie przysparzał jej chwały, świadczył natomiast o wielkim zdenerwowaniu Cesarzowej Wdowy i o władzy nad życiem i śmiercią poddanych, jaką wciąż jeszcze sprawowała. Kiedy cała grupa szykowała się do wyjścia, ulubiona towarzyszka cesarza Guangxu, Perłowa Konkubina, wielokrotnie błagała na kolanach Cesarzową Wdowę, żeby nie uciekała, nie kalala honoru dynastii, bo ucieczka jest upokarzająca i może narazić na niebezpieczeństwo cesarstwo. Według innych relacji,

dziewczyna prosiła jedynie o to, żeby móc uciekać razem z cesarzem. Niezależnie od tego, co kierowało Jehoną, czy w tej młodej dziewczynie zobaczyła siebie samą sprzed czterdziestu lat, gdy wzywała do oporu i tak przekonywująco występowała przeciwko ucieczce Xianfenga do Rehe, czy też rozgniewał ją tupet konkubiny, zareagowała fatalnie. Wydała szczekliwy rozkaz eunuchom i oto, na oczach przerażonego Guangxu i reszty dworu, eunuchowie pochwycili Perłową Konkubinę i wrzucili do pobliskiej studni, gdzie pozwolono jej utonąć. Jehona kazała woźnicy jechać dalej, rozbitkowie zaś z mandzurskiego dworu, przerażeni i spokorniali, opuścili swoją stolicę.

Jehona pozostawiła niedołącznemu księciu Ojng niewdzięczne zadanie prowadzenia rokowań ze zwycięskimi sprzymierzonymi. Dużo wcześniej z południowych Chin do Pekinu wezwała Li Hongzhang, weterana niezliczonych międzynarodowych konferencji, który miał wspomagać księcia w dyskusjach z aliantami. Li jednak grał na zwłokę, początkowo ignorując wezwania, potem przeniósł się do Szanghaju, gdzie został przez kilka tygodni, dumając nad katastrofalną sytuacją na północy, zanim wreszcie - po jedenastu edyktach żądających jego przybycia - 19 września wylądował w Tianji-nie, kiedy oblężenie ambasad dawno już się skończyło, a do Pekinu weszły obce wojska. Znalazł jeszcze wymówkę, by przez następne trzy tygodnie pozostać w porcie, nim ostatecznie udał się w drogę do stolicy, żeby objąć swoje obowiązki.

Przed Li Hongzhangiem i księciem Cjingiem stało prawie niewykonalne zadanie. Mimo wewnętrznych sporów, zachodnie mocarstwa były wystarczająco przebiegłe, by wiedzieć, że występując w jednolitym froncie, wycisną najwięcej korzyści z Państwa Środka. Dawno już zapomnieli o tym, że kiedyś marzył im się rozbiór Chin - mimo niewątpliwych zalet takiego rozwiązania, uznano, iż Chiny były po prostu za duże, miały

zbyt wiele ludności (i co ważniejsze, zbyt jednorodnej), żeby rozbiór kraju mógł się powieść. Podobnie obalenie Mandżurów i próba zainstalowania na tronie marionetkowej dynastii czy wręcz jakiegoś rządu republikańskiego, było równaniem ze zbyt wieloma niewiadomymi. Jedynym więc co pozostawało -zdaniem trzeźwego Irlandczyka, sir Roberta Harta - było układanie się z Jehoną i Mandżurami. Lecz o ile barbarzyńcy nie chcieli zagrozić dynastii, o tyle jednak byli zdecydowani na wyegzekwowanie kary i wyciśnięcie reparacji z kraju. Mieli niejedną sposob na odkrawanie kawałków melona.

Po swojemu zaczęli Rosjanie i *defacto* dokonali już oderwania części terytorium Chin. Korzystając z powstania Bokserów jako pretekstu, zajęli Mandżurię, szybko rozprawiając się ze stacjonującymi tam chińskimi wojskami, i 1 października jako zwycięzcy wkroczyli do Mukden, starożytnej stolicy Mandżurów. Japonia nieoficjalnymi kanałami poinformowała, że jeśli Chińczycy stawią opór rosyjskiej okupacji, Japonia zapewni dostawy wojskowe i oficerów, szkolących chińską armię. Rosjanie prowadzili jednak misterną grę, zagarniając chińskie ziemie, a jednocześnie oferując usługi w negocjacjach z wielkimi mocarstwami w Pekinie. Li Hongzhang zignorował japońską propozycję: już wcześniej oświadczył, że celem rosyjskiej inwazji nie są trwałe zdobycze terytorialne. Li był zdania, że lepiej doprowadzić do rozsądnego pokoju w Pekinie, a później zacząć rozmowy z Rosjanami o wycofaniu ich wojsk, aniżeli zaczynać teraz kolejną wojnę, mając do dyspozycji wyczerpaną, zdemoralizowaną armię i żadnej pewności zwycięstwa.

Nie trzeba było długo czekać na propozycje mocarstw. Już 4 października 1900 roku Francuzi wystosowali sześciopunktową notę, która miała być podstawą do rokowań. Domagano się w niej: ukarania odpowiedzialnych za niedawne ataki na obcokrajowców; przedłużenia zakazu na import uzbrojenia;

odszkodowania dla państw, organizacji i osób, które ucierpiały na skutek działań wojennych; wzmocnienia fortyfikacji wokół poselstw i ustanowienia stałego cudzoziemskiego garnizonu w Pekinie; zburzenia fortów Dagu; oddania przez Chińczyków dwóch lub trzech punktów wzdłuż drogi między Dagu a Tianjinem. Spełniając te wszystkie żądania Chiny stawały się państwem upokorzonym, bezbronny i bez grosza w skarbie. Obcokrajowcy mieli decydować o karach wymierzanych Chińczykom, w tym także książętom krwi. Odszkodowania, o czym Chińczycy już dobrze wiedzieli, wyciągną z Chin fundusze, które mogłyby zostać użyte na wzmocnienie państwa. Przy stałej obecności obcego garnizonu w stolicy, po zburzeniu fortów Dagu i oddaniu trasy do Tianjinu pod kontrolę barbarzyńców, obce wojska w dowolnej chwili mogły dokonać desantu, a Chińczycy mogą nie mieć dość siły, by odmówić następnym żądaniom ze strony mocarstw, usprawiedliwionym lub nie. Taki był zresztą, oczywiście, główny cel tych żądań.

Pozostałe mocarstwa nie były w pełni zadowolone z francuskiej propozycji. Ostateczny tekst jedenastopunktowej Wspólnej Noty do Chińczyków zawierał także dodatkowe żądania, w tym wzniesienia „pomników ekspiacji” przypominających o śmierci barona von Kettelera i ambasadora Sugiyamy, wojskowej okupacji „niektórych punktów [...] w celu utrzymania komunikacji między stolicą a wybrzeżem”, ustanowienia kary śmierci za aktywną działalność w organizacjach skierowanych przeciwko cudzoziemcom, zmian które miały „ułatwić” stosunki handlowe, i modyfikacji „dworskiego rytuału ceremonialnego przyjmowania obcych przedstawicieli w taki sposób, jaki określą mocarstwa”. Chiny leżały na deskach, a obcokrajowcy zgodnie zamierzali dobrze im dokopać.

Informacje o przebiegu rokowań Jehonala i dwór otrzymywali w czasie ich śpiesznej ucieczki jak najdalej od szukają-

cych pomsty obcych wojsk. Święty Wóz najpierw skierował się na północ. Zarekwirowano dodatkowe wozy, i Jehonala jak milczący symbol jej pozycji, jechała sama, gdy tymczasem Gu-angxu, cesarz, musiał podróżować razem z innymi. W dwa dni po opuszczeniu stolicy Jehonala wraz z dworem przybyli do Huailai, gdzie prefekt miasta, Wu Yong, zatroskany do nieprzytomności wizytą Dwóch Pałaców, po dwudniowym poście mógł zaproponować im posiłek złożony jedynie z zielonej fasoli i kaszy jaglanej. Urzędnik pokornie przeproszał za ubogą dietę, lecz Jehonala, zmęczona, brudna i zmartwiona sytuacją, zachowała rozsądek: „To zupełnie dosyć w czasach nędzy. Czy dzisiaj mam prawo mówić, co jest dobre, a co złe?”. Wu Yonga zaprowadzono do cesarza, który „stał przy wozie. Miał na sobie wytartą pikowaną kurtę z czarnego jedwabiu, za dużą na niego, i nic na wierzchu, żadnego płaszcza ani kamizeli. Jego włosy w miejscach, które winny być wygolone, odrosły na dwa centymetry, a warkocz był zmierzwiony. Jego twarz pokrył kurz, przez który widać było żółtą i wysuszoną skórę”. Cesarz także dostał do jedzenia fasolę i kaszę jaglaną. Nieco później Dwa Pałace radośnie podzieliły się jeszcze pięcioma jajami, które Wu znalazł w kredensie w jakimś opuszczonym domu.

Pierwotnie Jehonala zamierzała przekroczyć Wielki Mur i skryć się bezpiecznie w swojej mandzurskiej ojczyźnie, jak to zrobiła już czterdzieści lat temu, gdy dwór Xianfenga po raz pierwszy uciekał przed gniewem barbarzyńców. Najazd Rosjan, którzy właśnie zajęli i „przyłączyli” Mandżurię, pokrzyżował te plany, i pod Xuanhua karawana skręciła na południowy zachód w stronę Datong w prowincji Shanxi, a potem na południe, udając się w liczącą osiemset kilometrów podróż przez Taiyuan do Dongguan, gdzie długa procesja wozów i koni skierowała się na zachód, rozpoczynając ostatni stukilometrowy etap marszu

przez prowincję Shanxi, by wreszcie przybyć do Xi'anu, dawnej stolicy Chin (patrz mapa 3).

Tu dopiero Jehonala dowiedziała się o ostatecznych warunkach, jakie Li Hongzhangowi udało się wynegocjować z mocarstwami. Teraz składały się one z dwunastu artykułów, które w zasadzie nie różniły się od tych zawartych we wcześniejszej Wspólnej Nocie. Li radził przyjąć wszystkie. Zapoznali się już z nimi i wyrazili swoją opinię członkowie Wielkiej Rady; Rong Lu, Wang Wenshao i Lu Chuanlin natychmiast przysłali telegramy z żądaniem poważnych zmian, ale główny chiński negocjator był niewzruszony. Do cesarskiego dworu 27 grudnia przesłał memoriał, argumentując, że mocarstwa przyjęły ostry kurs i nie chcą słyszeć o żadnych ustępstwach. Ponownie radził zaakceptowanie warunków, ostrzegając, że sprzymierzeni mogą zerwać rokowania i rzucić wojsko do ofensywy, a to może zagrozić dalszemu istnieniu państwa. Tego samego dnia dwór cesarski wydał edykt wyrażający zgodę na przyjęcie porozumienia, żądając jedynie, żeby w ramach zaakceptowanych dwunastu artykułów negocjatorzy starali się wytargować jak najlepsze warunki, już tylko jeden wielmoża, Zhang Zhidong, wystąpił przeciwko porozumieniu, i nawet zaproponował przeniesienie rokowań do Nankinu. Li Hongzhang, tak bardzo chory, że słudzy musieli mu pomagać w dojściu do stołu rokowań, nazwał ten pomysł „ideą absurdalną i wypaczającą sens rozmów”. Li musiał wiedzieć, jak mało czasu mu zostało i, zrozpaczony niezdecydowaniem dworu cesarskiego, 6 stycznia 1901 roku wysłał kolejny memoriał wzywający członków Wielkiej Rady do wyrażenia zgody na podpisanie dwunastu artykułów, których treść „nie podlega dyskusji, a dalszy opór doprowadzi jedynie do zerwania rokowań [...] Ukazał się dekret (z 27 grudnia) zatwierdzający wynegocjowane warunki; jeśli ich nie podpiszemy, będą uważać, że dwór złamał słowo, a ne-

gocjatorzy działają bez stosownych pełnomocnictw. W takim przypadku nie tylko nie będzie można żądać, by wycofali swe wojska, nie uda się również wstrzymanie postępu ich armii". Dwór cesarski z wyraźną niechęcią posłuchał rad Li Hongzhang'a i 10 stycznia nakazał podpisanie dwunastu artykułów. Chiny i ich mandzurska elita przeszły długą drogę od pierwotnej aroganckiej oceny „barbarzyńców”, która rzutowała na rokowania z lordem Elginem i baronem Grosem zaledwie pięćdziesiąt lat wcześniej.

Siedząc bezpiecznie w Xi'anie, gdzie jej Wielki Eunuch Li Lianying organizował już daniny oraz „haracze” w celu utrzymania dworu na poziomie, do którego ona (i on) przywykli, Jehonała była raczej zadowolona z przebiegu rozmów pokojowych. Śmiertelnie się bała, że sprzymierzeni ją obarczą winą za atak na poselstwa, zamordowanie von Kettelera i Sugi-yamy, i całe szaleństwo Bokserów. Obawiała się również, że może dojść do rozbioru cesarstwa, że dynastia może stracić tron, a jej własna władza w najlepszym razie ulec wielkiemu ograniczeniu albo całkowicie przejść w ręce cesarza. Kiedy okazało się, że nie doszło do niczego takiego, i że mocarstwa postawiły na stabilne Chiny pod władzą Mandzurów, ze Starą Buddą na czele, uznając to za stosunkowo najmniejsze zło, Jehonała była gotowa zatwierdzić decyzję swojej Wielkiej Rady. Z jej punktu widzenia były jedynie dwa punkty sporne: wysokość reparacji, jakie trzeba będzie zapłacić, oraz kogo trzeba będzie ukarać za czyny, które George Morrison, ze swoją niezaprzeczną skłonnością do przesady, nazwał „zbrodniami bez precedensu w historii ludzkości, wystąpieniami przeciwko prawom narodów i zasadom cywilizacji”.

Kwestia odszkodowań okazała się być równie trudna do uzgodnienia pomiędzy samymi mocarstwami, jak i pomiędzy nimi a stroną chińską. Chińczycy nie byli po prostu w stanie

zapłacić olbrzymiej sumy czterystu pięćdziesięciu milionów taeli, którą uzgodniono w trakcie rokowań, i można było sporo zarobić, udzielając Chinom pożyczki na tę sumę, jednak państwa sprzymierzone nie potrafiły uzgodnić między sobą wysokości odsetek za taką pożyczkę. Była również kwestia, z jakich dochodów skarbu chińskiego część można by przeznaczyć na coroczne spłaty zobowiązań. Wiele z zachodnich delegacji chciało, żeby to były dochody z podwyższonych ceł na towary importowane, ale Wielka Brytania (której handel z Chinami wart był więcej niż handel wszystkich innych krajów zachodnich wziętych razem, co sprawiało, że głównie Brytyjczycy ucierpieliby na podwyższeniu ceł importowych) nie zgodziła się na to. Potem zaproponowano wprowadzenie ceł na towary obecnie z takich opłat wyłączone lub też przeznaczenie na ten cel akcyzy za sól (część tego podatku już wówczas odpisywana była przez rząd chiński na spłatę poprzednio zaciągniętych długów zagranicznych). Targowano się zawzięcie: w pewnym momencie Niemcy, którzy początkowo żądali podwyżki chińskich ceł importowych do dziesięciu procent, zmienili stanowisko i przystali na brytyjską propozycję ograniczenia podwyżki do połowy pod warunkiem, iż Brytyjczycy przystaną na niemiecką propozycję, żeby oprocentowanie pożyczki potrzebnej Chinom na spłatę odszkodowań wyniosło cztery procent.

Równie trudna była kwestia ukarania winnych. Próbując uprzedzić żądania kary śmierci dla dużej liczby wysokich urzędników państwowych, którzy byli zwolennikami Bokserów, 13 listopada 1900 roku Jehonala i jej ministrowie wydali dekret skazujący dziewięciu urzędników i książąt krwi na rozmaite kary: od dożywotniego więzienia, do przeniesienia z zajmowanych stanowisk na niższe i zesłanie w inne regiony kraju, aż po zwykły areszt domowy. Nie wystarczyło to de-

legatom mocarstw. Wręczyli Li Hongzhangowi swoją własną „czarną listę” z nazwiskami i zbrodniami dwunastu osób, które, jak twierdzili, „zasługiwały na śmierć”. Trzech z owej dwunastki - Xu Dong, Li Bingheng i arcykonserwatysta Gang Yi -już nie żyło, bo albo popełnili samobójstwo, albo zmarli z powodu choroby. Wśród pozostałych było trzech wielmożów -książę Zhuang, książę Duan oraz książę Cai Lan; pięciu mandarynów - Ying Nian, Zhao Shuqiao, Yu Xian, Xu Chengyu i Qi Xiu; jeden dowódca armii, muzułmanin Dong Fuxiang. Obie strony spotkały się 5 lutego w siedzibie brytyjskiego poselstwa, gdzie Chińczycy poinformowali zachodnich ambasadorów, że ich żądania przekazane zostały do Xi'an, i że wyszedł nowy dekret, podwyższający kary do absolutnego maksimum, na jaki Chińczycy mogą sobie pozwolić. Dwaj spośród ukaranych - książę Zhuang i Yu Xian - zostali skazani na śmierć. Sześciu innych skazano na kary od dożywotniego więzienia w Xinjiangu (księcia Duana), do pozbawienia stanowisk i wygnania dla pozostałej piątki. Jeśli delegaci sprzymierzonych będą na to nalegać, również trzech ministrów, którzy zdążyli umrzeć przed ogłoszeniem wyroków, można pośmiertnie pozbawić stanowisk. Chińczycy upierali się, że teraz nie mogą osądzić i skazać generała muzułmanina Dong Fuxian-ga, który odegrał najważniejszą rolę w czasie oblężenia poselstw, bo cieszy się zbyt wielką popularnością i ma pod swoją komendą zbyt wielu żołnierzy. Zgodzili się jednak ukarać go, gdy tylko okoliczności na to pozwolą.

Sprzymierzonym znów to nie wystarczało. Byli zdecydowani zapobiec powtórzeniu się zamieszek i masakr z ubiegłego roku. Toteż ich przedstawiciele postanowili dać odstraszący przykład, tak żeby nigdy więcej żaden mieszkaniec Państwa Środka nie próbował ważyć się na takie okrucieństwa. Chcieli więcej krwi, więcej egzekucji. Tak więc po przeprowadzeniu

błyskawicznych konsultacji, już następnego dnia wystosowali odpowiedź, w zasadzie powtarzając swoje wcześniejsze żądania z jedną tylko zmianą, mianowicie że nie będą protestować przeciwko zamianie kary śmierci dla księcia Duana i księcia Cai Lana na dożywotnie więzienie w pustyniach Sinkiangu, pod warunkiem że „w ich przypadku nie będzie możliwe żadne dalsze złagodzenie kary”. Zgodzili się także z argumentem Chińczyków w sprawie mużłmańskiego generała, Dong Fu-xianga, pod warunkiem jednak, że nim rozważy się wymierzenie mu kary, zostanie on natychmiast pozbawiony dowództwa. Co do pozostałych, tylko ich śmierć mogła udobruchać przedstawicieli mocarstw.

Chińczycy byli przerażeni zakresem i surowością kar, jakich domagali się przeciwnicy, i targowali się jeszcze o złagodzenie wyroku w odniesieniu do Ying Niana i Zhao Shugiao, uważali bowiem, że ani jeden, ani drugi nie zasłużył na śmierć. Żądali również zwolnienia dwóch ministrów, Qi Xiu i Xu Chen-gyu, przetrzymywanych przez Japończyków, argumentując, że tylko Chiny mają prawo wymierzać karę wysokim urzędnikom chińskim. Za szczególnie niesprawiedliwe uważali skazanie na karę główną Zhao Shugiao, i za wszelką cenę starali się go uratować. W chińskim raporcie była mowa o tym, że kiedy zaczął się kryzys, mandaryna wysłano, by zbadał sprawę Bokserów; miał powrócić do Pekinu po spędzeniu dwóch dni ze Stowarzyszeniem Sprawiedliwej Pięści. W jego sprawozdaniach dla Tronu nie ma nic, co można by uznać za pochwałę lub obronę Bokserów. Aż dwudziestu jeden urzędników, reprezentantów czterech prowincji podpisało wspólny telegram, domagając się, by zrobiono wszystko, co tylko można, dla uratowania życia Zhao. Chińczycy pociągali za wszystkie możliwe sznurki i posunęli się tak daleko, że zwrócili się do konsulów państw sprzymierzonych w Szanghaju, Nankinie i Hangzhou,

z prośbą, by ci z kolei wpłynęli na swoich przedstawicieli w celu zmiany decyzji. Odpowiedź była jednak niedwuznaczna. Sprzymierzeni byli nieubłagani, a brytyjscy, japońscy i niemieccy negocjatorzy ostrzegali Chińczyków, że zwłoka w tej sprawie może źle wpłynąć na dalsze rokowania pokojowe. Mimo to jednak książę Qing i Li Hongzhang otrzymali instrukcje, żeby wybadali sprzymierzonych, czy nie pozwoliliby Yingowi i Zhao na popełnienie samobójstwa, i ponownie domagali się zwolnienia Qi Xiu oraz Xu Chengyu, w celu dokonania ich egzekucji przez samych Chińczyków. Sprzymierzeni 21 lutego zgodzili się na zwolnienie obu mandarynów, ale upierali się przy tym, że nie ma mowy o pozwoleniu im na samobójstwo, i że muszą umrzeć przez uduszenie. Było coś bardzo niepokojącego w owym nędznym, mściwym i nieubłaganym szukaniu zemsty, w owym spektaklu, w którym kulturalni wiktoriańscy dżentelmeni nie pozwalali człowiekowi na śmierć z własnej ręki, do końca nalegając, by umierał powoli, w upodlający sposób, mając gardło z wolna miażdżone garrotą. Czyżby rzeczywiście okoliczności i potrzeba dania przykładu wymagały takiego barbarzyństwa?

Ostatecznie Chińczycy uznali jednostronnie, że śmierć samobójcza przez powieszenie jest równoznaczna ze śmiercią przez uduszenie. Tego samego dnia wydali obwieszczenie, w którym wyrazili zgodę na wszystkie żądania sprzymierzonych, oprócz jednego: Ying Nianowi i Zhao Shuqiao miano pozwolić na popełnienie samobójstwa. Na nieszczęście ten akt łaski skrzywdził jedyne go człowieka, który niemal z całą pewnością nie był winien zbrodni przypisywanych mu przez cudzoziemców. Był nim Zhao Shuqiao.

Zhao był w Xi'an, kiedy dotarła do niego wiadomość o wyroku, i z typowym konfucjańskim stoicyzmem zdawał się zaakceptować swój los. Niestety, samobójstwa miał dopilnować

Cen Chunxuan, wojownik znany zarówno z aktów odwagi, jak i ze swojej brutalności. Według relacji prefekta Wu Yonga, który przebywał wówczas w Xi'an: „Zhao był silnym fizycznie mężczyzną i nie umierał, mimo iż próbował różnych sposobów. Zadzierzgnął sobie pętlę na gardle i wypił środek odurzający. Cen nie miał cierpliwości, żeby czekać na rezultat i ponaglił go w szorstki sposób”. Ostatecznie znecierpliwiony czekaniem Cen kazał sługom mandaryna uśmiercić go w wyjątkowo barbarzyński sposób. Pod nadzorem Cena „zakleili oni usta, uszy, oczy i nos Zhao bawełnianym papierem, który oblali winem. Mandaryn wielokrotnie tracił i odzyskiwał przytomność, nim wreszcie umarł. Było to godne pożałowania. Cen był zbyt nieludzki”.

Mimo iż godne ubolewania i barbarzyńskie, owe egzekucje rzekomych „przywódców” powstania Bokserów ostatecznie usunęły ostatnią poważną przeszkodę na drodze do układu pokojowego. Obok egzekucji wielu drobniejszych urzędników, wskazanych przez przedstawicieli sprzymierzonych (pewnej liczbie owych „pomniejszych” egzekucji towarzyszyli europejscy „obserwatorzy”) otworzyły one drogę do normalizacji stosunków między dwiema stronami, to zaś przekonało z kolei Jehonagę, iż może już bezpiecznie powrócić do Pekinu. Po kilku falstartach i opóźnieniach 6 października 1901 roku Święty Wóz wreszcie udał się w drogę, i Dwa Pałace wyruszyły w wolną i zmuśną podróż do stolicy.

Jako pierwsze wyjechały wczesnym rankiem wozy wyładowane bagażami. Następnie opuściła miasto grupa żołnierzy na koniach; za nimi jechali eunuchowie, potem książęta, a potem wysocy urzędnicy konno albo wozami.

Wtem trzykrotnie strzelił cesarski bicz i kilka żółtych lektyk pojawiło się od strony pałacu. Przechodnie na ulicach w milcze-

niu padali na kolana. W żółtych lektykach siedzieli cesarz, Cesarzowa Wdowa i młoda Cesarzowa Małżonka.

Potem jechali książęta i wysocy urzędnicy, a w końcu następca tronu Taizi z wielką ilością wozów załadowanych zawartością archiwów różnych yamenów. Było już prawie południe, kiedy wszyscy wyjechali z miasta przez Bramę Południową⁴.

Cesarska karawana jechała na zachód, prosto ku tragedii, która miała wkrótce pozbawić Jehonałę jej najsilniejszej podpory. Kiedy dojeżdżali do miasta Huazhou, jedyny syn Rong Lu, który jechał razem z karawaną, zachorował i umarł na nieznaną chorobę. Śmierć dziedzica uczyniła z siedemdziesięcioletniego już Sekretarza Generalnego Rong Lu ruinę człowieka. Co gorsza, protokół wymagał, aby Rong Lu, pozostał w cesarskiej karawanie, tak więc stary szlachcic i żołnierz nie mógł uczestniczyć w przygotowaniach do pogrzebu syna, lecz musiał tę sprawę powierzyć innemu urzędnikowi, Hu Yansunowi. Święty Rydwan kontynuował podróż na zachód, lecz złe wiadomości wciąż go ścigały. Teraz nadeszła wiadomość o śmierci Li Hongzhang, weterana dziesiątków wojen i setek dyplomatycznych potyczek. Ta wiadomość wstrząsnęła wszystkimi, lecz szczególnie Jehonałą. Ze wszystkich jej doradców Li był człowiekiem najbardziej doświadczonym w międzynarodowych rozgrywkach dyplomatycznych i oto teraz, w czasie największego kryzysu, zabrakło go. „Wszyscy urzędnicy dworu, eunuchowie i strażnicy patrzyli na siebie wzajem, jak gdyby nagle zawaliły się podpory i filary domu, nie pozostawiając nikogo, na kim można byłoby się oprzeć [...] Nawet tym, którzy czasami go obmawiali, zrobiło się przykro”. Jehonała robiła, co

⁴Do przewiezienia całego dworu potrzeba było ponad dwa tysiące wozów.

mogła: następcą Li mianowała powszechnie szanowanego Wang Wenshao, nowym zaś namiestnikiem prowincji Zhili -lojalnego Yuan Shikaia.

Smutna karawana wlokła się powoli, wzdłuż brzegu potężnej Huang He, Rzeki Żółtej, do Kaifengu, gdzie Jehonała zatrzymała się na cały miesiąc. Z typową dla niej zmiennością nastrojów, wcześniejsze przygnębienie i obawy Starej Buddy szybko rozwiąły się i Jehonała uznała tę przerwę w podróży za „miły odpoczynek, niczym wyprawy łowieckie za dynastii Han”. Choć szczęśliwa, nie unikała podjęcia nieprzyjemnych obowiązków. Właśnie w Kaifengu jej gniew skrupił się na ostatnim prominentnym zwolenniku Bokserów na dworze. Edyktem z 30 listopada pozbawiła rangi następcę tronu, niesforenego i aroganckiego Taizi, syna księcia Duana, odebrała wszystkie przywileje i na zawsze wypędziła z dworu w Mieście Zakazanym, na którym w szczęśliwszych czasach pysznił się, paradując w czerwonym uniformie Stowarzyszenia Sprawiedliwej Pięści.

Z Kaifengu procesja skręciła na północ ku Pekinowi odległemu o około 650 kilometrów. Ceremonialny wyjazd z miasta przypominał wyjazd z Xi'anu „ale teraz zjawili się wyżsi urzędnicy z różnych prowincji [...] toteż tłum był gęstszy. Pochód był bardziej jednolity. Szczególnie sympatyczną okolicznością była piękna pogoda. Świeciło słońce, wiał słaby wiatr. W powietrzu nie unosił się kurz. Powiewały sztandary. Nikt się nie odzywał, ciszę przerywało jedynie dudnienie końskich kopyt i skrzypienie toczących się po piachu kół wozów. Pochód, niczym miasto odziane w jedwabie, rozciągał się na kilka kilometrów wzdłuż brzegu rzeki, rysz tunek bojowy tysiąca żołnierzy ogniście mienił się w słońcu. To było jak dziesięć tysięcy drzew brzoskwiniowych w pełni wiosennego rozkwitu”.

Współczesna relacja wspomina, że Rong Lu spytał Jehonagę, co uczyniłaby, gdyby po przełamaniu oblężenia poselstw, barbarzyńcy zdobyli Pekin. Podobno w odpowiedzi zacytowała makiaweliczną radę klasyka z okresu dynastii Han: „Jeśli cesarz chce zyskać wiarygodność w oczach obcych krajów, może to zrobić tylko przekonując ich władców, iż posiada trzy kardynalne cnoty [...] musi udawać przyjaźń, prawić słodkie komplementy, i traktować gorszych niż on tak, jak gdyby byli mu równi”. Od chwili powrotu do stolicy stało się jasne, że Jehonala zamierza trzymać się tych starych wskazówek.

Zrywając z tradycją, a może chcąc uczynić pierwszy gest mający na celu uspokojenie opinii zagranicznej i symboliczną akceptację nowinek z Zachodu, ostatnią część powrotnej podróży Jehonala odbyła pociągiem, jadąc ze swoją świtą nowiutkim, wyłożonym cesarską żółcią i wyposażonym w tron wagonem. W dniu 7 stycznia 1902 roku, pod dobrymi auspicjami, wybranym z tego względu przez dworskich astrologów, Święty Rydwan wjechał na dopiero co ukończony dworzec w Pekinie, gdzie czekał także osobny luksusowy pawilon, w którym ustawiono lakierowane złotem trony, naczynia pokryte emalią *cloisonné* i ogromne wazy z delikatnej porcelany. Tutaj Jehonala i jej orszak przesiedli się w tradycyjne lektyki, i ostatni odcinek podróży do Wielkiego Środka odbyli drogą wysypaną żółtym piaskiem, obstawioną żołnierzami padającymi na kolana w momencie przejazdu Dwóch Pałaców. Zgodnie z warunkami układu pokojowego, wszystkie obce wojska, z wyjątkiem nowego garnizonu strzegącego poselstw, dawno już opuściły stolicę. Pekin znowu należał do Jehonali.

Obcy delegaci, przebywający jeszcze w Pekinie wydali instrukcje, żeby tej czysto chińskiej ceremonii nie zakłócała kłująca w oczy obecność obcokrajowców. Lecz tak ogromne było zainteresowanie, tak wielka niesława imienia Jehonali, że

większość mieszkających w Pekinie cudzoziemców wybrała się na mur otaczający Miasto Tatarskie nad bramą Qian Men. Zgodnie ze starodawnym obyczajem, w tym miejscu cesarz i jego orszak musieli opuścić lektyki, żeby odprawić modły w przytulonej do muru małej świątynce, z sanktuarium ku czci mandżurskich bóstw opiekuńczych. Włoski marynarz, Don Rodolfo Borghese, zostawił nam opis przybycia Świętego Rydwanu i reklamowego geniuszu Jehonali:

Nie mogliśmy wybrać lepszego punktu widokowego. Pierwsi przybyli mandżurscy wojownicy na swych małych, ognistych koniach. Potem nadciągnęła grupa chińskich urzędników w galowych ubiorach, a na końcu cesarskie lektyki, niesione z niewiarygodną szybkością między dwoma szeregiem klęczących żołnierzy. [...] Kiedy dotarły do ogrodzonego miejsca między murem a wejściem do sanktuarium, lektyki zatrzymały się i cesarz z cesarzową wysiedli [...] Wsiadając cesarzowa zerknęła w górę i zobaczyła nas - szpaler cudzoziemców obserwujących jej przyjazd zza szanców. Eunuchowie próbowali chyba skłonić ją, żeby szła dalej, bo nie jest rzeczą stosowną, żeby cesarzowa stała w miejscu na oczach wszystkich. Nie była ona jednak osobą, którą można ponaglać [...] W końcu zdecydowała się ruszyć, ale zanim weszła do świątyni, gdzie czekali już bonzowie, żeby rozpocząć ceremonię, przystanęła raz jeszcze i patrząc w górę na nas, uniosła splecione dłonie do podbródka i wykonała kilka drobnych pokłonów.

Skutki owego gestu były zadziwiające. Weszliśmy wszyscy na ten mur w nadziei, że uda nam się zobaczyć chociażby w przelocie tę straszną cesarzową, którą Zachód uważał za niemalże wroga rasy ludzkiej. Byliśmy jednak pod wrażeniem wspaniałości szybko przesuwającego się orszaku, a w naszej żarłocznej ciekawości zapomnieliśmy o niechęci do kobiety odpowiedzialnej za ty-

le zła. Zaskoczyła wszystkich tym ledwo dostrzegalnym pokłonem, skierowanym do nas, przyglądających się jej gapiów, i tym wdzięcznym gestem splecionych dłoni. Z wysokości muru tłum odpowiedział na ów gest spontaniczną owacją. Cesarzowa wydała się być zadowolona. Stała jeszcze przez chwilę, patrząc do góry i uśmiechając się. Następnie zniknęła we wnętrzu świątyni.

Jehonała znakomicie wyczuwała nastroje barbarzyńców. „Udawała przyjaźń” i gorszych od siebie traktowała, jak gdyby byli jej równi, im zaś bardzo się to podobało. Od tego momentu, od owych paru zwykłych skłonów głowy uczynionych we właściwej chwili, w zbiorowej pamięci obcokrajowców zaczęło zanikać wspomnienie wypowiedzianej wojny, oblężenia poselstw, ceny naznaczonej na głowy „barbarzyńskich” dzieci; zaczęto zapominać o jej niedawnych grzechach. Jehonali wybaczone.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Odejście wbrew woli

W ciągu kilku następnych miesięcy Jehonała coraz częściej posługiwała się swoim wdziękiem. Zaledwie osiem dni od chwili powrotu do stolicy Czcigodna Matka przyjęła na audiencji zagranicznych przedstawicieli. Dwa tygodnie później zaproszenia na podobną audiencję otrzymały żony dyplomatów; przyjęcie było całkowicie formalne, ale bezprecedensowe: cesarzowa siedziała niedostępna na Tronie Smoka, szepcząc swoje uwagi do ucha księcia Qin-ga, który następnie występował jako jej rzecznik. To był dopiero początek. Następne spotkania z żonami dyplomatów stały się znacznie bardziej swobodne, Jehonała przechadzała się wśród nich, uśmiechając się do tak niedawno jeszcze znieawidzonych obcych diabolic (na których głowy rok wcześniej wyznaczyła cenę po czterdzieści taeli od sztuki), trzymając ich dłonie w swoich, i deklarując z wszelkimi pozorami szczerości, że „wszystkie należą do jednej rodziny, są jedną rodziną”. Ku zaskoczeniu i zdziwieniu swoich zasadniczych, wiktoriańskich gości Stara Budda wielokrotnie wybuchła w ich obecności płaczem, kiedy rozmowa schodziła na oblężenie poselstw: „Tak bardzo ubolewam nad wszystkim, co zaszło w owych trudnych czasach. Bokserzy przez jakiś czas mieli przewagę nad rządem, wnieśli nawet broń palną do pałacu i umieścili ją na ścianach. Takie rze-

czy nigdy już się nie powtórzą". Kiedy panie patrzyły na zalewającą się łzami Jehonale - cesarzową, a zarazem starą, smutną kobietę - było im zaskakująco łatwo uwierzyć, że ona nigdy nie miała zamiaru wyrządzić krzywdy żadnemu obcokrajowcowi, mimo krwiożerczych edyktów i wyznaczenia ceny na głowy barbarzyńców. Może dlatego, że dyplomaci wiedzieli, jak nieodzowna jest Jehonala dla utrzymania stabilności Chin, jej wersja wydarzeń stopniowo zaczęła się przyjmować jako obowiązująca, zarówno na Zachodzie jak i na Wschodzie. Zachodnie podręczniki historii po dziś dzień mówią o „rebelii” Bokserów, chociaż to wydarzenie było powstaniem skierowanym przeciw obcej dominacji, nie zaś przeciwko rządowi Mandżurów, i chociaż Bokserzy byli oficjalnie uznawani za siły pomocnicze, które miały pomóc Mandżurom w wybicciu albo zepchnięciu wszystkich cudzoziemców do morza.

Czcigodna Matka nie wahała się również wejść w skórę cesarza reformatora. Wydawała obecnie edykt za edyktem (niektóre ukazały się jeszcze za jej pobytu w Xi'an), przywracające reformy Guangxu, przeciw którym sama tak gwałtownie występowała w 1898 roku, a które teraz powtórnie wprowadzano w życie za osobistą zgodą Cesarzowej Wdowy. Udało jej się to, czego nie zdołało dokonać kilku innych cesarzy, mianowicie przeprowadziła zakaz handlu opium, zezwalając jedynie ludziom powyżej sześćdziesiątki na palenie z umiarkowaniem. Wysłała nawet za granicę komisję złożoną z wybitnych Chińczyków, żeby zbadali możliwość wprowadzenia w Chinach rządu konstytucyjnego. A przecież nawet teraz była fałszywa. Wiele nowych reformatorskich dekretów było zwykłym mydleniem oczu; nawet nie próbowano wcielać ich w życie, i trudno nie wyciągnąć wniosku, że były one, jak wiele innych spraw w ostatnich latach życia Jehonali, obliczone na przypodobanie

się cudzoziemcom, aby zasłużyć na ich szacunek, i w konsekwencji, na utrzymanie się jej przy władzy.

Ale żadne sztuczki nie mogły ukryć oczywistego faktu, że Jehonala i jej zaufani ludzie starzeli się. Na początku 1903 roku Rong Lu, przyjaciel i powiernik, miłość jej życia, przygnębiony śmiercią jedyne go syna, padł ofiarą ciężkiego ataku astmy, na którą cierpiał od dawna, po którym nigdy już nie doszedł do siebie. Rosjanie nadal okupowali Mandżurię i chociaż uzgodniono termin wycofania rosyjskich wojsk z tego regionu, data ta nadeszła i minęła, i nic nie wskazywało na to, żeby ojczyzna Mandżurów miała powrócić do Państwa Środka. Pod koniec panowania Jehonali amerykańska malarka Katherine Carl spędziła sporo czasu na chińskim dworze. Miała namalować portret władczyni, i w rezultacie spędziła wiele godzin w towarzystwie Jehonali, pracując pod presją ogromnych ograniczeń artystycznych, wynikających z wielkich różnic między konwencjami artystycznymi Wschodu i Zachodu. Miała natomiast okazję żeby bezpośrednio obserwować Jehonale przez wiele miesięcy i w pewnej przynajmniej mierze poznać prywatną kobietę kryjącą się pod maską cesarzowej. Chociaż portret Jehonali, jaki w końcu namalowała, jest konwencjonalnie nieprawdziwy i w zachodnim odbiorze niezadowolający, pokazany przez nią obraz zbliżającej się do siedemdziesiątki cesarzowej ukazuje zmęczoną, samotną i chyba rozczarowaną starszą panią, którą los pod koniec życia skazał na dosiadanie jej własnego tygrysa tak długo, aż już dosiąść go nie będzie mogła: „Jej Cesarska Mość wyglądała w owych dniach na zmęczoną i skłopotaną. Często wychodziła do ogrodów natychmiast po [porannej] audiencji, na samotny spacer bez towarzystwa dam, a kiedy wychodziła w towarzystwie Księżniczek, wkrótce siadała, roztargniona i nieobecna duchem, wpatrując się w najpiękniejsze widoki i swoje ulubione

perspektywy. Zdawało się, że myśli o czymś innym [...] Jej silna twarz była zmęczona i pomarszczona. Ramiona zwiesiła apatycznie, i wydawało się, że po prostu ma już dość. Widziałam, jak ukradkiem otarła łzę".

Mimo to jednak nie przestała być tą dawną Jehoną o żelaznej woli. Chociaż rozczarowana, słaba i stara, ciągle nie mogła się zdecydować na przekazanie berła cesarzowi. Dopóki żyła, była niewzruszona: Guangxu nigdy nie będzie rządził.

Sam cesarz zaś zdawał się prowadzić grę na przeczekanie. Skończył dopiero trzydzieści dwa lata i mimo wielu chorób, zgodnie z naturą rzeczy powinien ostatecznie przeżyć swoją starzejącą się potężną ciotkę. Katherine Carl, oceniająca go okiem artystki, widziała iż jest on:

postaci drobnej i eleganckiej, wzrostu nie więcej niż 1,67 metra. Ma pięknie ukształtowaną głowę, z wyraźnie widocznymi cechami intelektualisty, wysokie czoło, duże piwne oczy o nieco opadających powiekach, całkiem nie chińskie w kształcie i rozstawieniu. Ma wydatny nos i, jak u większości członków cesarskiej rodziny, w tak zwanym „szlachetnym typie". Dość duże usta o cienkich wargach, górna trochę krótsza i dumnie wygięta, dolna nieco wystająca. Silnie zarysowany podbródek, nieco cofnięty w stosunku do linii czoła. Na twarzy nie ma ani grama tłuszczu, co sprawia, że miło na niego patrzeć, i mimo dość delikatnej budowy ciała widać drżącą w nim wielką siłę.

Pani Carl dostrzegła także spokojny, refleksyjny charakter Guangxu i była na tyle spostrzegawcza, że domyśliła się, co kryło się za ową „sfinksową naturą":

Cesarz ubiera się niezwykle schludnie i z wielką prostotą, nie gustując w ozdobach i biżuterii z wyjątkiem okazji państwowych.

Jego twarz ma łagodny wyraz, lecz spojrzenie spod ciężkich powiek jest bystre i inteligentne [...] Czy marzy o przyszłej wielkości swego cesarstwa? Czy czuje, że mimo niepowodzenia pierwszych prób dojścia do władzy, ciągle jeszcze może grać na czas, bo kto naprawdę umie czekać, ten się doczeka? Chyba rzeczywiście tak myśli! Chyba zdał sobie w pełni sprawę z tego, że popełnił błąd w wyborze instrumentów i czasu w swojej walce o postęp. Lecz wyraz wieczystej cierpliwości w tych dużych oczach wydaje się sugerować, że jeszcze nadejdzie czas, gdy spróbuje ponownie doprowadzić do uratowania Chin - on jedynie czeka na okazję.

Zwycięstwo Japończyków w rozpoczętej w 1904 roku wojnie z Rosją było momentem zwrotnym w stosunkach między narodami Wschodu i Zachodu na całym świecie. Jak gdyby antycypując atak na Pearl Harbor trzydzieści siedem lat później, Japonia zaatakowała bez ostrzeżenia i zniszczyła rosyjską flotę w bazie Port Arthur. Na lądzie Japończycy zlikwidowali osiemdziesiąt trzy tysiące źle dowodzonych rosyjskich żołnierzy w Mandżurii, sami jednak stracili przy tej okazji ponad sto trzydzieści tysięcy ofiar. Było to kosztowne zwycięstwo, ale Japonia wygrała. Po raz pierwszy od ponad dwustu lat kraj orientalny tak całkowicie pokonał mocarstwo zachodnie. Wojna rosyjsko-japońska stała się dla chińskiej elity ważną lekcją - zwracała uwagę na fakt, że zasadniczym czynnikiem w dziele ratowania Chin przed wrogami jest zachodnia technika. To, co dzisiaj udało się Japonii, być może jutro osiągną Chiny. Stało się obecnie jasne dla wszystkich, że strategia Guangxu z 1898 roku była zasadniczo słuszna. Ostatnie wydarzenia podniosły prestiż cesarza na dworze i teraz nie ulegało już wątpliwości, że - mając młodość po swojej stronie - on i reformatorzy muszą ostatecznie zwyciężyć w długiej wojnie z Jehoną i starą gwardią reakcjonistów.

Wiele osób na dworze doszło do tych samych wniosków i przeraziła je ta perspektywa. Przewidywali, że jeżeli Guan-gxu zostanie następcą Starej Buddy, dla nich osobiście będzie to katastrofa. Jak mówi chińskie przysłowie: „Gdy pada drzewo, znika jego cień”, więc jeśli Jehonala „dosiądzie smoka” wcześniej niż Guangxu, nic już nie będzie w stanie ochronić tych, którzy w swoim czasie zdradzili cesarza i na wiele lat uczynili jego życie piekłem na ziemi. Jako cesarz będzie mógł zrobić z nimi wszystkimi, co będzie chciał. Najważniejszym z nich był Yuan Shikai, obecnie bogaty i wpływowy namiestnik Zhili, ten który poinformował Rong Lu i cesarzową o spisku reformatorów i wysłał Guangxu do jego więzienia w Tarasie Oceanu; drugi to Li Lianying, Wielki Eunuch, z rozkoszą starający się upokorzyć Księcia Niebios, i dbający o to, by nie miał odpowiedniego ubioru, ogrzewania i pożywienia w okresie swojego odosobnienia. Ani jeden, ani drugi nie mógł spodziewać się litości, gdyby Jehonala umarła przed Synem Niebios. Obydwaj więc uznali, że Guangxu nie może żyć długo. Jego ciotka, zdecydowana nigdy nie dopuścić go do rządów, nie przelałaby wielu łez.

Wobec wielu tak wpływowych, czyhających na niego wrogów - jak Jehonala, Yuan Shikai i Li Lianying - nie było niespodzianką, że kiedy w 1908 roku zachorowała Jehonala, nagle zachorował także Guangxu, i to tak poważnie, że był zmuszony położyć się do łóżka. Jehonala w jakiś sposób wiedziała, że choroba cesarza jest śmiertelna. Dnia 13 listopada, kiedy Guangxu jeszcze żył, sama poczuła się na tyle dobrze, że objęła przewodnictwo rady zwołanej dla wyznaczenia nowego cesarza. Yuan Shikai podtrzymał kandydaturę syna księcia Qinga, Puluna, który właśnie osiągnął pełnoletniość. Jehonala się na to nie zgadzała. Z miejsca odrzuciła zaproponowaną kandydaturę, i wymieniła jako swojego wybrańca

Puyi, syna księcia Chuna i wnuka Rong Lu. Może owa nominacja była ostatnim wyrazem jej przywiązania do wiernego przyjaciela i utraconej miłości. Ale może ważniejsze było to, że Puyi był jeszcze dzieckiem, miał niecałe trzy lata. Jehonala nie utraciła swej dawnej przebiegłości: wybór Puluna na Syna Niebios byłby równoznaczny z jej natychmiastowym wycofaniem się z aktywnego życia; przy cesarzu dziecku, wszystko by pozostało po staremu. Jak zwykle przeprowadziła na radzie swoją wolę i Puyi miał zostać nowym cesarzem. Wydaje się, że mimo iż chora, Jehonala zaplanowała dla siebie jeszcze jedną długą regencję. Los jednak zrzucił inaczej.

Dzień po podjęciu decyzji w sprawie sukcesji tronu, Jehonala złożyła wizytę Guangxu, który teraz już niewątpliwie leżał na łożu śmierci. Trzy dni wcześniej był u niego lekarz, doktor Chu, który przedtem badał cesarza i uznał, że cierpi on na chorobę Brighta. Kiedy przyszedł teraz, stwierdził, że pacjent nie może spać, rzuca się w swym łożu, cierpiąc na straszne skurcze żołądka: „Nie mógł oddać moczu, puls był coraz bardziej przyspieszony, twarz posiniała, język miał żółty kolor -wszystkie te objawy nie miały nic wspólnego z poprzednią chorobą”. Wniosek był prosty - Guangxu nie umierał na żadną z chorób, na które cierpiał dotychczas. To była nowa i nagła „choroba”. Cesarzowi podawano truciznę.

W czasie krótkiej chwili wytchnienia umierający Guangxu poprosił podobno o papier i napisał własne bezkompromisowe ostatnie przesłanie:

Byliśmy drugim synem księcia Chuna, kiedy Cesarzowa Wdowa wybrała Nas na tron. Zawsze Nas nienawdziła. Lecz za Naszą niedolę w ciągu ostatnich dziesięciu lat odpowiedzialny jest Yuan Shikai i jeszcze jeden. Kiedy nadejdzie czas, chcę żeby natychmiast ścięto Yuana.

Było to tragiczne, patetyczne i całkowicie nierealne. Syn Niebios od dawna już był pozbawiony efektywnej władzy w państwie. Nic więc w tej sprawie nie zrobiono, zaś samo przesłanie, o ile istotnie zostało napisane, znikło bez śladu. Jeszcze jednak w ostatnich chwilach życia, gdy nie mógł już mówić, Guangxu upierał się przy tym. Zauważono, że powoli poruszał wskazującym palcem prawej ręki, kreśląc nieustannie kółka. W chińskiej kaligrafii, *juan*, pierwszy znak imienia Yuan Shikaia oznacza „okrąg” lub „kółko”. Dokładnie w godzinie koguta (między piątą a siódmą wieczorem) 14 listopada 1908 roku, w obecności Jehonali, swej żony Longyu, oraz Błyskotliwej Konkubiny, stojących przy cesarskim łożu śmierci, zataczający kółka palec zatrzymał się, a następnie zastygł na zawsze. Nieszczęsny i nieszczęśliwy duch cesarza Guan-gxu opuścił jego ciało, podążając do Dziewięciu Źródeł.

Jehonała niewiele czasu poświęciła żałobie. Następnego dnia, po dobrze przespanej nocy, była na tyle zdrowa, że mogła podjąć swoje zwykłe rutynowe zajęcia. Wstała o szóstej rano i zjadła na śniadanie faskę ciepłego mleka i tłuczony ryż z odrobiną korzenia lotosu. Rano zwykła załatwiać sprawy oficjalne, godziny do południa spędziła, przewodnicząc Wielkiej Radzie, która rozpatrzyła kroki, jakie należy podjąć w związku ze śmiercią cesarza i wstąpieniem na tron Puyi. Przygotowano dekrety, już z imprimatur nowego cesarza; w jednym z nich Jehonała przekazała swój tytuł Cesarzowej Matki wdowie po Guangxu, w drugim przyznała sobie jeszcze bardziej prestiżowy tytuł (i jeszcze wyższe wynagrodzenie) Wielkiej Cesarzowej Matki. Zakończyła pracę w przeświadczeniu, że ma przed sobą perspektywę sprawowania regencji aż do osiągnięcia pełnoletności przez nowego cesarza (czyli co najmniej przez czternaście lat, kiedy ona sama osiągnie już dostojny wiek osiemdziesięciu siedmiu lat), po czym zrobiła

sobie przerwę i udała się na obiad. Według jednej z relacji zjadła duży talerz rajskich jabłuszek z zagęszczoną śmietaną. Dziwna to była i niebezpieczna dieta dla osoby przychodzącej dopiero do zdrowia po ataku dyzenterii. Niezależnie zresztą od tego, co zjadła na południowy posiłek, wkrótce po obiedzie Jehonała rozchorowała się tak gwałtownie, że po paru minutach straciła przytomność. Gdy ją odzyskała, sprawiała wrażenie osoby święcie przekonanej o tym, że oto zbliża się jej koniec. Nigdy nie wyjaśniono, skąd wzięła się ta nagła pewność. Każdej naturalnej chorobie, zwłaszcza o tak gwałtownych objawach, towarzyszy możliwość poprawy stanu zdrowia, przynajmniej dopóki medycyna nie będzie w stanie postawić właściwej diagnozy. Jehonała była jednak przekonana, że umiera i że żadne lekarstwa jej nie pomogą. To przekonanie każe myśleć zarówno o jej kuzynce Sakocie, Cesarzowej Wschodniego Pałacu, jak i cesarzu Guangxu, którzy, niemal z całą pewnością, zostali otruci.

Dwadzieścia lat wcześniej Jehonałę oskarżano o otrucie kuzynki, a w 1908 roku stołeczni plotkarze byli absolutnie przekonani, że cesarzowi podano truciznę. Podawano przynajmniej trzy wersje śmierci Guangxu. Według jednej z nich Yuan Shikai, bojąc się (i słusznie!), że po śmierci jehonali zwycięski Guangxu zechce wyrzucić zemstę na człowieku, który go tak haniebnie zdradził, przekupił jednego lub kilku eunuchów z najbliższego otoczenia cesarza, i namówił, żeby któryś podał mu truciznę. Według innej pogłoski winna była Jehonała która - nie mogąc pogodzić się z myślą o dojściu do władzy jej zniechęconego siostrzeńca, w obawie przed pośmiertną hańbą swego imienia i utratą reputacji - kazała eunuchom podać cesarzowi truciznę. Trzecia wersja obarczała winą samych eunuchów, zwłaszcza zaś Wielkiego Eunucha Li Liany-inga, który od lat znęcał się nad cesarzem. Wiedząc, z jaką

niechęcią odnoszą się do siebie cesarz i jego ciotka, Li postanowił otruć cesarza, w przekonaniu, że morderstwo spotka się z cichą aprobatą Jehonali.

Teraz jednak to cesarzową zaniesiono do jej komnaty i ubrano w Szaty Długowieczności, tradycyjny kostium śmierci, którego założenia zaledwie trzy dni temu odmówił Guan-gxu w ostatnim akcie protestu. Jehonala rozkazała, żeby przygotowano tekst jej ostatniego przesłania, do którego własną ręką dodała ostatni, raczej banalny akapit:

Patrząc wstecz i wspominając minionych pięćdziesiąt lat, widzę jak nieubłagane następowały po sobie nawiedzające Nas nieszczęścia wewnętrzne i agresje z zewnątrz. Nowy cesarz jest dzieckiem, wkracza dopiero w wiek, w którym potrzebne mu będzie nade wszystko wszechstronne wykształcenie [...] jego Cesarska Mość musi poświęcić się studiom w trosce o interesy kraju i nie poddawać się smutkom. Modłę się najusilniej o to, by nie rezygnował z nauki i zdołał dzięki temu dodać świeżego blasku do chwalebnych dokonań jego Przodków.

Żałobę należy nosić tylko przez dwadzieścia siedem dni.

Słuchajcie i bądźcie posłuszni!

Tak pisała kobieta, która pozwoliła własnemu synowi (o ile był to jej syn) rujnować swe zdrowie w domach rozpusty i palarniach opium, i która okrutnie rozprawiła się z siostrzeńcem, osadzając go w więzieniu, bo „poświęcił się studiom w trosce o interesy kraju”, gdy owe interesy okazały się sprzeczne z jej własnym. Wydaje się, że nawet w obliczu śmierci Jehonala nie zdejmowała z twarzy maski obłudy. Kiedy jednak eunuchowie ułożyli ją twarzą na południe, co było tradycyjnie kierunkiem, w którym panujący miał oddawać ducha, jej ostatnie słowa zdradziły, iż zdaje sobie sprawę z tego,

że jej niepoohamowana żądza władzy przyniosła niepowetowaną szkodę jej narodowi: „Nie pozwólcie eunuchom mieszać się do rządów - wyszeptła - dynastię Mingów zrujnowali eu-nuchowie, a jej los niech będzie ostrzeżeniem dla mojego ludu”. Ciąg dalszy był jeszcze bardziej wymowny: „Nigdy więcej nie pozwólcie, żeby kobieta sprawowała najwyższą władzę w Państwie. Jest to sprzeczne z prawem naszej dynastii i dlatego powinno być zakazane”.

To były ostatnie słowa Jehonali. Obrócona twarzą ku południowi, oddychała coraz wolniej, aż wreszcie przestała oddychać. „Jej usta pozostały szeroko otwarte, co Chińczycy interpretują jako znak, iż duch zmarłego nie chce opuścić ciała”. Miała siedemdziesiąt trzy lata. Wielka Cesarzowa Matka Chin, za której sprawą zmarło gwałtowną śmiercią tak wiele innych osób, wreszcie sama „dosiadła smoka”; dynastię i Chiny zostawiała w stanie chaosu - do czego, być może, od początku dążyła.

Epilog

Czy Jehonala została otruta? Śmierć cesarza i śmierć Wielkiej Cesarzowej Matki w odstępie zaledwie dwudziestu czterech godzin musi naturalnie budzić najgorsze podejrzenia, jako zbyt wielki zbieg okoliczności. Nie ulega chyba dyskusji, że Guangxu został uśmiercony celowo. Zbyt wiele osób skorzystało na jego śmierci, a pomijając nawet pogłoski (często uzasadnione) przypisujące jego śmierć otruciu, przekonujące w tym względzie jest świadectwo lekarskie doktora Chu. Przyjąwszy powyższe za prawdę, jest niezaprzeczalnym faktem, że śmierć jehonali nastąpiła bezpośrednio po śmierci Guangxu, co wydaje się dowodzić, że jej odejście z tego świata nie było naturalne. Stronnicy cesarza byliby nad wyraz naiwni, gdyby nie brali pod uwagę scenariusza, zakładającego wczesną śmierć cesarza, i nie przygotowali swojej kontry na taki obrót spraw. Przekonanie samej Jehonali, że oto nadchodzi jej koniec, dodaje wiarygodności tej hipotezie - nikt lepiej niż ona nie znał tak dobrze objawów i skutków wielu trucizn, których mógł użyć skrytobójca. Trzeba być skrajnie naiwnym, by uwierzyć, że któreś ze stronnictw, reformatorzy czy konserwatyści, mogło zaniedbać przygotowania sobie kroków zaradczych na wypadek najgorszego. Niezależnie od tego, czy był to akt zemsty, czy też próba obrony własnych interesów,

zdaje się nie ulegać wątpliwości, że śmierć Jehonali była odwetem reformatorów za otrucie cesarza.

Choć pod powierzchnią ozdobnego, ujętego w ceremonialne ramy życia w Wielkim Środku kipiała nienawiść, Wielkiej Cesarzowej Matce należało urządzić pogrzeb odpowiedni do jej niezwykle wysokiej rangi. We wrześniu po jej śmierci, odbyła się specjalna uroczystość, „poza Miastem Zakazanym, na dużym pustym placu obok Wzgórza Węglowego, ustawiono wspaniałą barkę z papieru o długości około pięćdziesięciu metrów. Na jej pokładzie stał tłum [papierowych] eunuchów i dziewcząt służących, a także umeblowanie i wiktuały potrzebne prześwietnym zmarłym w niższych regionach. Na dziobie umieszczono tron otoczony klęczącymi postaciami urzędników, przyodzianych w oficjalne szaty, jak gdyby cień Zachodniej Cesarzowej przyjmował ich na audiencji”. Gdy już wszystko było ukończone i odprawiono wymagane rytuałem czynności, ten jedyny w swoim rodzaju Papierowy Dwór strawiły płomienie, „aby Stara Budda miała zeń pożytek przy Żółtych Źródłach”⁵.

Pogrzeb cesarza Guangxu odbył się wcześniej, i kosztował pół miliona taeli. Pogrzeb Jehonali był znacznie bardziej wystawny i kosztował trzykrotnie więcej, odzwierciedlając faktyczną różnicę w pozycji cesarza i jego „dostojnej ciotki”. Niemal w rok po jej śmierci, 5 listopada 1909 roku, po długich i skomplikowanych obrzędach pogrzebowych poprzedzających pochówek, ciało Jehonali przetransportowano w pełnej chwale z Wielkiego Środka do miejsca ostatniego spoczynku -Wschodnich Grobowców. Kondukt pogrzebowy, z udziałem tłumu jezdnych i niezliczonych eunuchów oraz odzianych

⁵Pozory rządów dynastycznych przetrwały w części Miasta Zakazanego do roku 1924, kiedy to „cesarz-dziecko” Puyi, ukończył osiemnasty rok życia i został zmuszony do opuszczenia Pałacu.

w biel, kolor żałoby na Wschodzie, urzędników „był niewiarygodnym widowiskiem: czerwone ubiory tragarzy, żółte szaty lamaistycznych kapłanów, srebro i złoto bogatych haftów”. Muzykanci wygrywali żałobne melodie, gdy Wielki Eunuch Li Lianying postępował w smutku przed trumną swej pani, trzymając w ramionach Mudana, ulubionego pekińczyka Jehona-li. Mówiono później, że piesek zdechł z żalu za swą panią przy wejściu do grobowca (było to powtórzenie opowieści o Tao Hua, innej wiernej psinie z okresu dynastii Song, który nie mógł przeżyć śmierci cesarza Taizonga) i pochowany został obok ciała Jehonali. Bardziej prozaiczna wersja tego wydarzenia mówi, że eunuchowie wykradli pieska zaraz po ceremonii pogrzebowej i odprzedali go z dużym zyskiem. Niezależnie od tego, która z tych opowieści jest prawdziwa, w dniu 9 listopada, o godzinie siódmej rano, wybranej przez astrologów jako najpomyślniejszej do tego obrządku, trumnę z ciałem Wielkiej Cesarzowej Matki zamknięto ostatecznie w grobowej Komnacie Klejnotów.

W trumnie Jehonali złożono nie tylko jej ciało. Ostrożny i czujny jak zwykle Wielki Eunuch Li Lianying sporządził bardzo dokładną listę niewykłycznych skarbów, które towarzyszyły jego pani:

Na dnie trumny leżał materac o grubości osiemnastu centymetrów, haftowany perłami, wieko było wybite jedwabną haftowaną kapą zdobioną perłami. Ciało spoczywało na koronkowym prześcieradle z wyhaftowaną perłami postacią Buddy.

W głowie umieszczono ozdobę z nefrytu, w kształcie kwiatu lotosu, w stopach zaś wyrzeźbione z nefrytu liście. Cesarzowa spoczywała w uroczyściej szacie przetykanej złotą nicią, na którą nałożono haftowany kaftan i sznur pereł, a inny, długi sznur pereł dziewięciokrotnie owijał się wokół ciała zmarłej, w ramionach

której umieszczono osiemnaście wykonanych z pereł wyobrażeń Buddy... Ciało przykryto świętą kapą Duoluo, na głowie miała diadem z pereł, a po bokach umieszczono 108 statuetek Buddy wykonanych ze złota, nefrytu i rzeźbionych w klejnotach. Na stopach położono po arbuzie i dwa wyrzeźbione w nefrycie melony, a także dwieście brzoskwiń, gruszek, moreli i daktyli wyrzeźbionych z drogich kamieni. Z lewej strony umieszczono rzeźbiony z nefrytu korzeń lotosu, z wyrastającymi z niego liśćmi i kwiatami; po prawej położono drzewko koralowe. Luki wypełniono rozrzuconymi perłami i klejnotami, sięgającymi aż do samej góry, i wreszcie całość przysypano perłami.

Kiedy już zamierzano nałożyć wieko na trumnę, jedna z księżniczek dorzuciła jeszcze piękny nefrytowy naszyjnik z osiemnastoma figurynkami buddy i drugi, z ósemką galopujących koni.

Dynastia niedługo przeżyła pogrzeb Wielkiej Cesarzowej Matki. Po śmierci Jehonali administratorem cesarstwa sprawującym władzę w imieniu Puyi, został mianowany jego ojciec, książę Chun, młodszy brat Guangxu. Nie miał on jednak tego autorytetu i charyzmy, jakie ożywiały drobną postać Cesarzowej Matki. Lady Townley po śmierci Jehonali pytała proroczo: kto zdoła „oprzeć się naporowi obcej agresji i wstrzymać falę wewnętrznej rebelii?”. Dwa lata od chwili złożenia jej do grobu kraj pogrążył się w chaosie. Cały kraj ogarnęły bunty skierowane przeciwko panowaniu dynastii mandzurskiej. Mandżurowie zrzekli się tronu 12 lutego 1912 roku, przekazując władzę wykonawczą w ręce Yuan Shikaia, wiernego sługi Jehonali, który, jak zwykle skoncentrowany na własnym interesie, próbował niemal natychmiast założyć własną dynastię na ciepłym jeszcze ciele dynastii mandzurskiej. Nic z tego nie wyszło, i dla Chin zaczęła się czarna noc watażków i bezprawia, z której wydobyły się dopiero po kilku dziesiątkach lat.

Starożytne proroctwo spełniło się. Po przeszło dwustu pięćdziesięciu latach „dziesięciogębna kobieta z trawą na głowie” doszła do władzy w Państwie Środka i wywarła zemstę na cesarskim klanie Aisin Gioro. Kobieta z klanu Jeho-Nala objęła władzę nad Mandżuriami i, zarówno ich dynastię, jak też swój naród, doprowadziła do ruiny i wyniszczenia.

Postscriptum

Dziewiętnaście lat po złożeniu Jehonali na wieczny odpoczynek z tak wielką rytualną pompą, potężna eksplozja wstrząsnęła sosnowym lasem w Dolinie Wschodnich Grobowców, przerywając senną ciszę mauzoleum. Grupa zdecydowanych na splądrowanie wszelkich świętości mężczyzn wysadziła w powietrze wrota do cesarskiej Komnaty Klejnotów. Chińskie hieny cmentarne wczołgały się przez wyrwaną wybuchem dziurę w murze mauzoleum, żeby ograbić sarkofagi tych, którzy ongiś posiadali Mandat Niebios⁶. Zbezczęścili i poćwiartowali ciała cesarza OJanlonga i jego żon. Ograbili grobowiec Jehonali, rozbili jej trumnę, zgarnęli wszystkie bezcenne klejnoty ze złota, nefrytu i innych kamieni. Zerwali ze zwłok świętą kapę Duolo, odarli z wyszywanych perłami i przetykanych złotą nicią szat, pozostawiając przeraźliwie nagiego trupa, z którego ściągnęli nawet część dolnej bielizny. Szczątki doczesne Jehonali, niegdyś najpotężniejszej władczyni na świecie, rzucili bezceremonialnie twarzą w dół na posadzkę grobowca, by niewidzącymi, zapadłymi oczodołami wpatrywała się w ciemną ziemię Państwa Środka.

⁶H. Mac Aleavy, *A Dream of Tarcary*, str. 186, cyt. sprawozdanie komisji śledczej.